

XV-5

173



BIBLIOTEKA
ANGIELSKA

TOM

5

1927

WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY

W DOMU KSIĄŻKI POLSKIEJ



I. 1. 218. 260



J O H N
G A L S W O R T H Y

Patry
CJUSZ



1927

W A R S Z A W A

S K Ł A D G Ł Ó W N Y

W D O M U K S I Ą Ż K I P O L S K I E J

AUTORYZOWANY PRZEKŁAD Z ANGIELSKIEGO



I. 1. 218. 260



DRUK. M. S. WOJSK
WARSZAWA PRZEJAZD 10

1979 K 415 / 28

GILBERTOWI MURRAY

„ἦθος ἄνθρωπων δαιμόνων“

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I

Brzask dzienny, wkradłszy się do pokoju ogromnego i tak wysokiego, że oczy patrzące nie dostrzegały szczegółów rzeźb na powale, snuł się z chłodną, pół-senną ciekawością świtu wśród bajecznej skarbnicy przeszłości. Spojrzenie brzasku, wolne od uprzedzeń oczu ludzkich, dobywało na jaw sprzeczności najosobliwsze, jakby dla wyświecenia zastygłego pochodu dziejów.

W tej bowiem wielkiej sali jadalnej, jednej z najpiękniejszych w Anglii, od wieków już rodzina Caradoc'ów gromadziła pamiątki i dowody swej egzystencji. Naokół tej sali jadalnej budowano, burzono i znów restaurowano tak długo, aż wreszcie i pozostałe budowle Monkland Court przybrały pewien jednolity wygląd. Tylko tutaj pozostawiono nienaruszone dzieło rąk starych, quasi-klasztornych twórców i tu, wśród tych ścian, pokolenia za pokoleniami pozostawiały nieświadomie ślady swego ducha. I teraz oto, w obliczu światła, leżały tutaj zebrane smutne dowody wieczystych dążeń człowieka do nieśmiertelności, osłony jego przemijającej, ziemskiej powłoki, jego fetysze i cudaczne przejawy wiary, nieoszczędzone przez nieubłagany i bezwzględny czas.

Dziejopis mógł znaleźć tu niejedno potwierdzenie swych przypuszczeń, badacz — według materiałów tu nagromadzonych — ułożyć właściwą hierarchję rodów, filozof — śledzić rozwój arystokracji od jej pierwszego szczybla potęgi, zdobytej bądź nieokrzęsianą siłą, bądź przebiegłością, poprzez wieki władzy, aż do malowniczego schyłku i progę jej ostatniego postoję. Nawet artysta mógłby pochwycić tu czasem ów niespokojny, przejmujący nastrój, podobny temu, który przenika nieraz do głębi serca przy zwiedzaniu starych katedr.

Od legendarnego miecza zdradzieckiego dowódcy Celtów, który przeszedł na stronę Wilhelma Zdobywcy i otrzymał wraz z ręką pewnej wdowy normandzkiej rozległe włości w Devonshire, aż do puharu, ofiarowanego przez mieszkańców Devonshire obecnemu hrabiemu na Valleys, Geoffrey'owi Caradoc z okazji jego zaślubin z lady Semmering — nie brakowało tu żadnych pamiątek, prócz może portretów rodzinnych, znajdujących się w galerji Valleys House w Londynie. Był tu nawet przechowywany stary duplikat pożółkłego aktu, zawierającego królewskie potwierdzenie tytułu i własności dóbr dla Jana, najznakomitszego z Caradoc'ów, który, niestety, zaniedbał obowiązku urodzenia się jako ślubne dziecko, a to dzięki jednemu z tych zabawnych przekroczeń, które znaleźć można w genealogji wielu starych rodów. Tak, dokument ten znajdował się tutaj, umieszczony prawie że cynicznie na widoku, cały ten incydent bowiem, stanowiący zapewne kwestję palącą w XV stuleciu, teraz był jedynie tematem do drobnych ironicznych uwag, w związku z tem, że potomków „rodzonego” brata Jana Edmunda bezwątpienia znaleźć można było pomiędzy włościanami pobliskiej parafji.

Światło dnia, ślizgając się między starożytnymi zbrojami, a zawieszonymi nad niemi skórami tygrysiemi, które zaledwie rok temu przywiózł z Indyj Bertie, młodszy syn Caradoc'ów, zdawało się zasta-

nawiać nad tymi, którzy, niegdyś przodując i wyróżniając się zasługą prostego prawa natury, wieńczącej silnych i odważnych, dziś zaś odsunięci przez potężny prąd życia społecznego, zmuszeni są stwarzać sobie niebezpieczeństwa, by nie stracić wiary we własną siłę.

Bezlitosne światło wczesnego letniego poranku zdawało się zastanawiać nad wieloma innymi jeszcze zmianami, a wędrując po surowych obiciach ściennych, to znów po miękkich kobiercach, wyciągało z kontrastu tego pewne dowody, iż zdrowy rozsądek obecnego hrabiego Valleys kazał mu zaniechać surowej ascezy przeszłości. Skończyła się wreszcie krytyczna wędrówka świtu. Wszystko stanęło nagle w czarodziejskiej szacie, bo oto wstało słońce i poprzez wschodnie okna rozlało na pokój jasną, mistyczną radość, a wraz z pierwszymi promieniami wpadł przez uchyloną kratę okienną duży bąk i usiadł na kwiatkach, które zdobiły stół, stojący wpoprzek wschodniego końca sali, stół nieduży, używany tylko wtedy, gdy w domu znajdowało się niewiele osób. Godziny płynęły cicho. Słońce było wysoko na niebie, kiedy do sali jadalnej weszły trzy pokojówki ze szciotkami, dziewczyny różowe i hałaśliwe; po ich odejściu dwaj lokaje poczęli spokojnie i uważnie nakrywać do stołu. Następnie przybiegła mała sześćioletnia dziewczynka, — zbadać zapewne, czy nie znajdzie się dla niej coś godnego uwagi, — mała Anna Shropton, dziecko sir Wiliama Shroptona i lady Agaty, najstarszej córki domu i jedynej z czworga młodych Caradoc'ów, która dotychczas wstąpiła w związki małżeńskie. Małutka przyszła na paluszkach, chcąc niespodzianie nastraszyć kogokolwiek, ktoby znajdował się w jadalni. Jej szeroką twarzą o prostym, wydatnym nosku, rozświetlały duże, szczere, piwne oczy, nosiła szeroką holenderską sukienkę, opasaną luźnym paskiem poniżej stanu; będąc żywym uosobieniem swobody, zdawała się widzieć

w życiu jedynie tylko radość i uciechę. Niebawem znalazła coś godnego uwagi.

— Patrz, oto bąk! Wiliamie, czy myślisz, że mogłabym go schwytać do mojej szklanej puszki?

— Sądzę, że nie, uważaj lepiej, gdyż może cię ukąsić.

— Mnie nie ukąsi.

— Dlaczego?

— Bo nie.

— Naturalnie — jeśli tak mówisz...

— O której godzinie zajedzie samochód?

— O dziewiątej.

— Pojadę z dziadkiem aż do bramy wjazdowej.

— A jeśli ci na to nie pozwoli?

— Pomimo to pojadę.

— Rozumiem.

— Być może, że pojadę z nim aż do Londynu, nie wiem tylko, czy ciotka Barbara jedzie.

— Nie, zdaje mi się, że nikt nie jedzie z Jego Lordowską Mością.

— Gdyby ją zabrał, pojechałabym również. Wiliamie!

— Słucham.

— Czy wuj Eustachy na pewno zostanie wybrany?

— Naturalnie.

— Czy sądzisz, że będzie on dobrym członkiem Parlamentu?

— Lord Miltoun jest bardzo mądry.

— Naprawdę?

— A jak ty sądzisz?

— Nie wiem, co myśli o tem Karol.

— Spytaj go.

— Wiliamie!

— Słucham.

— Ja nie lubię Londynu, lubię być tutaj, i lubię Catton, i bardzo lubię dom, i kocham Pendridy i... lubię Ravensham.

— Zdaje mi się, że Jego Lordowska Mość wstąpi dziś po drodze do Ravensham.

— Ach, więc zobaczy się z prababunią. Wi-
liamie!

— Oto Mrs. Wallace.

Stojąca na progu drzwi kobieta o bladej, łagodnej
twarzy, wyrzekła:

— Chodź, Anno.

— Już idę. Hallo, Simons!

Wchodzący kamerdyner odparł:

— Tak jest, panienko!

— Muszę już iść.

— Bardzo żałujemy, panienko.

— Tak.

Drzwi zatrzasnęły się lekko. W wielkim pokoju
zapanowała pracowita cisza, poprzedzająca zwykle
czas posiłku. Czterech ludzi, zajętych przy stole, usu-
nęło się nagle na bok. Lord Valleys wszedł do jadalni.

Zbliżył się powoli, czytając. Spokojne oczy prze-
działała nieznaczna zmarszczka, twarz miał ogorzałą
i rumianą, zarysowaną stanowczo, okoloną szorst-
kimi włosami i szpakowatym wąsem; twarz czło-
wieka, który zna wartość swego zdania i jest rad
z tej świadomości. Wysoki, zgrabny, prosty, z głową
zlekka podaną ku tyłowi — sprawiał wrażenie nietyle
zarozumiałego, ile zadowolonego w zupełności ze
sposobu swego życia i myślenia. Wszystkie jego ruchy
cechowała beztroska w stosunku do otoczenia, tak
charakterystyczna dla ludzi przywykłych do wystą-
pień publicznych, ludzi niezależnych materialnie
i niezwykłych troszczyć się o to, co inni o nich myślą.

Zajął miejsce przy stole i, nie przerywając czy-
tania, zabrał się do jedzenia. Dopiero po chwili, zauwa-
żywszy obecność swej najstarszej córki, która weszła
i usiadła obok, odezwał się:

— Irytuje mnie konieczność wyjazdu w taką
pogodę.

— Czy udajesz się na posiedzenie gabinetu,
ojcze?

— Tak, ta przekłeta sprawa samolotów.

Ciemne, łęklive oczy Agaty, osadzone w delikatnej, drobnej twarzyczce, z zajęciem studjowały szczegóły przyborów, ustawionych na kredensie, a służących do zachowywania temperatury potraw; w myśli rozważała: „Przypuszczam jednak, że są one praktyczniejsze od moich, chciałabym usłyszeć tylko zdanie Wiliama, czy woli wielkie półmiski, czy też pojedyncze ogrzewacze”.

Jednocześnie prawie zdołała sformować pytanie, z którym głośno zwróciła się do ojca; głos jej, zarówno jak ruchy, był zwykle łagodny, łęklivy prawie, wyjąwszy te chwile, kiedy cośkolwiek zagrażało jej mężowi lub dzieciom.

— Czy uważasz, ojcze, możliwość wojny za okoliczność sprzyjającą sprawie Eustachego?

Ojciec nie odpowiedział, witając wchodzącego mężczyznę. Nowoprzybyły, wysoki, przystojny, młody człowiek, o ciemnych włosach i jasnym zarostcie, choć nie spokrewniony z lordem Valleys, jednakże przypominał go chwilami, a to przez istniejące między nimi pewne negatywne podobieństwo. Klaudjusz Fresney, vicehrabia Harbinger, posiadał również ów charakterystyczny typ, zwany normandzkim, uwydatniający się głównie w stanowczej regularności rysów i lekko orlim nosie; lecz to, co w starszym mężczyźnie zdawało się wskazywać jedynie na bezkrytyczne uznanie siebie za wzór i regułę życia, w młodszym — sprawiało wrażenie mniej korzystne, a zarazem bardziej rozbijające; zdawało się, że pokrywa niepewność ustawicznymi drwinami z czegośkolwiek.

Za vicehrabią weszła do jadalni lady Valleys, kobieta tęga i wyniosła; mimo, że syn jej najstarszy liczył już lat trzydzieści, sama przekroczyła ledwie pięćdziesiątkę. Zapewne była kiedyś słynną pięknoscią, dopatrzyć się tego można było z całego zachowania, ruchów i głosu; teraz pozostały już tylko nieznaczne ślady urody na jej przekwitłej twarzy o szaro-niebieskich oczach i zniszczonej cerze. Łą-

czyła w sobie zalety wiernej towarzyszki życia z cechami kobiety *par excellence* światowej. Dostatek i częste przebywanie na świeżem powietrzu wryły piętno na tej postaci, ożywionej niesłabnącą energią i nie pozbawionej pewnej dozy humoru.

Lady Valleys odpowiedziała na uwagę Agaty:

— Ależ naturalnie, moja droga, są to okoliczności wyjątkowo sprzyjające.

Lord Harbinger wtrącił:

— O ile się nie mylę, Brabrook będzie mówił na ten temat. Czy słyszała go pani kiedykolwiek, lady Agato? Panie Przewodniczący, Panowie! Oto powstaje — a wraz ze mną powstają hasła demokratyczne!

Agata odpowiedziała mu tylko uśmiechem, gdyż myślą była gdzie indziej: „Jeśli pozwolę Annie pojechać dzisiaj aż do bramy wjazdowej, jutro skorzysta z tej okazji dla jakiegoś nowego wybryku”. Nie interesowała się sprawami społecznymi, a jej odziedziczona potrzeba rozkazywania znajdowała ujście w rządzeniu domem i gospodarstwem. Przeszło to u niej w rodzaj kultu czy też namiętności, czuła się poniekąd jakby przywódczynią ruchu patriotycznego.

Lord Valleys, skończywszy jeść, powstał:

— Czy masz jakieś polecenie do matki, Gertrudo?

— Nie, dziękuję, pisałam do niej wczoraj.

— Powiedz Miltoun'owi, aby zwrócił uwagę na tego Courtiera, słyszałem, jak przemawiał, uważam, że jest dobry.

Lady Valleys odprowadziła małżonka do drzwi.

— Czy wiesz, Geoffrey'u, że wspominałam matce o tej kobiecie?

— Czy uważałaś to za konieczne?

— Tak. Jestem niespokojna. Matka posiada jednak wpływ na Miltoun'a.

Lord Valleys wzruszył ramionami i, uściśnawszy zlekka rękę żony, wyszedł.

Chociaż sam trochę zaniepokojony z tego powodu, nie należał jednak do ludzi, którzy potrafią się martwić zgóry. Miał nerwy silne, nerwy, które spotyka się często w tej sferze, wśród ludzi, którzy wiele mają do czynienia z końmi. Przyjmował drobne nieprzyjemności, które mu przyniósł dzień, jako zło konieczne. Swego starszego syna, jeśli chodziło o kobiety, uważał za zagadkę, której rozwiązaniem dawno już przestał się trudzić.

Wszedłszy do wielkiego hallu, przystanął na chwilę, gdyż przypomniał sobie, że nie widział jeszcze tego rana swej ulubionej córki, Barbary.

— Czy lady Barbara jest jeszcze na dole?

Usłyszawszy odpowiedź przeczącą, zarzucił płaszcz samochodowy, podany mu przez Simonsa i wyszedł przed wielki biały portyk, ozdobiony herbami Caradoc'ów, kutemi w kamieniu.

Głosik małej Anny, jasny i donośny, dobiegł go poprzez sflumione warczenie samochodu:

— Chodź, dziaduniu!

Dla człowieka, który ma lat sześćdziesiąt pięć i ciężaru ich bynajmniej nie czuje na swych barkach, słowo „dziadek” brzmi w uszach niemiło. Lord Valleys skrzywił się pod wąsem i, wskazując ręką małą Annę, rzekł:

— Proszę przysłać po to do bramy wjazdowej.

Czysty, cienki głosik protestował:

— Ależ nie, ja sama wrócę.

Samochód ruszył, przerywając dalszą dyskusję.

Lord Valleys w samochodzie — był to smutny obraz tego, jak dalece żywioł opanowany został przez swą niszczycielkę, — wiedzę. Wielki miłośnik wyścigów konych, jeszcze do niedawna noszący zaszczytny tytuł „mistrza polowania”, którego głównym zainteresowaniem w życiu były, prócz polityki, konie, kierowany zdrowym rozsądkiem, musiał nietylko tolerować, lecz i popierać to, co je głównie rugowało. Jego instynkt samozachowawczy działał podświadomie, zmuszając go do wiary w to, że wiedza wraz z opa-

nowaniem brutalnej natury, może być oddana na usługi władzy, opartej na stałych i skryzalizowanych podstawach. Cały jego nowoczesny sposób życia, korzystanie z wyników najnowszych wynalazków, nadawanie zawrotnego tempa egzystencji, tak, że traciła punkt oparcia i stawała się powierzchowna, jego ruchliwość, kosmopolityzm, rozległe stosunki towarzyskie, któremi się szczyił, wszystko to było w rezultacie zbyt skomplikowane, zbyt zawile dla zakresu jego pojmowania i niwelowało wyższość i odrębność, wymaganą od ludzi jego sfery i stanowiska.

Uparty, o umyśle niezbyt subtelnym, choć bezwzględnie nie tępy — jeśli szło o praktyczną stronę życia — dawał się unosić prądowi, trzymając silnie ster i nie spostrzegając, iż znajduje się w wirze odmetu.

Kierowany praktycznym rozsądkiem, wolał łatwiejszą odmianę reakcjonizmu, która, opierając się na własnej wartości umysłowej, czerpie jednocześnie materialne korzyści z wrogiego sobie postępu — aniżeli rzeczywisty reakcjonizm, którego zwolennikiem był jego syn, Miltoun.

Prowadził sam auto, bystry i zrównoważony, z czapką głęboko nasuniętą na oczy. Rozdrażnienie, wywołane niespodzianem posiedzeniem gabinetu podczas odpoczynku świątecznego, bynajmniej nie przeszkadzało mu rozkoszować się równym, szybkim pędem auta poprzez letnie powietrze, którego słodycz unosiła się pod wielkimi drzewami alei. Obok niego, szeroko rozstawiwszy nóżki, siedziała mała Anna. Jazda samochodem była dla niej nowością i pełen zdumienia zachwył malował się w jej wielkich oczach, szeroko rozwartych ponad wydatnym noskiem. Raz tylko jeden przemówiła, kiedy samochód, przejeżdżając koło bramy, minął małą córeczkę odźwiernego.

— Hallo, Zuziu!

Nie było odpowiedzi, lecz wyraz bladej twarzyczki Zuzi był tak pokorny i pełen uwielbienia, że nawet lord Valleys, który nie był z natury spostrzegawczy, zauważył to z pewną satysfakcją.

„Tak“, pomyślał trochę niekonsekwentnie, „serce narodu jest zdrowe“.

ROZDZIAŁ II

Ravensham House, położony na stokach parku Richmondskiego, był podmiejską siedzibą rodziny Casterley, od czasu kiedy weszło w zwyczaj posiadanie rezydencji, położonej w obrębie łatwej i bliskiej komunikacji z Westminster. W wielkiej, przytykającej do hallu oranżerii, przed grupą japońskich lilij stała lady Casterley, szczupła, niewysoka starszuszka, o twarzy koloru kości słoniowej, cienkim nosie i bystrych oczach, do połowy przysłoniętych powiekami, pokrytymi siecią drobnych zmarszczek. Bardzo spokojna, w szarej sukni, z głową okoloną siwymi włosami, robiła wrażenie małej figurynki, rytej delikatnie w starej stali. W długich, cienkich palcach trzymała list, pisany swobodnym, nieco chaotycznym stylem.

Montkland Court Devon

Kochana Mamo!

Geoffrey wyjeżdża jutro, wstąpi do Ciebie po drodze, o ile mu czas na to pozwoli; ta nowa afera wojenna bardzo go absorbuje. Ja przyjadę do miasta dopiero po wyborach Miltoun'a. Przyznaję, że nie mam odwagi zostawić go tutaj samego. Widuje się on ze swoją „nieznajomą“ codziennie. Mr. Courtier, ten, który napisał książkę przeciwko wojnie — niezbyt entuzjastyczną, gdy się pomyśli, że pisał ją człowiek,

który sam był kiedyś żołnierzem — zamieszkał tu w zajeździe. Pracuje on dla partji radykałów. Zna „nieznajomą“ Miltoun'a również i, miejmy nadzieję— dla dobra Miltoun'a — zna ją aż za dobrze. Jest to człowiek o powierzchowności bardzo pociągającej, ma rude wąsy, jest dość miły i cokolwiek zwarjowany. Bertie przyjechał do nas w tych dniach, muszę go skłonić do rozmowy z Miltoun'em, niech się dowie, jak rzeczy stoją. Można w tym wypadku zawierzyć Bertowi, jest bardzo przebiegły. Muszę przyznać, że „ona“ jest bardzo ładna, lecz absolutnie nic o niej nie wiemy, prócz tego, że jest rozwiedziona z mężem. W jaki sposób można się dowiedzieć czegoś bliższego o ludziach? Niezwykła uczciwość Miltoun'a pogarsza jeszcze sytuację. Powaga młodego pokolenia jest w istocie zadziwiająca. Nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek w mej młodości zapatrywała się tak serjo na życie.

Lady Casterley opuściła rękę, trzymającą ukoronowany arkusik. Skrzywiła się zlekka, pamiętała jeszcze bardzo dobrze młodość swej córki. Podnosząc znowu list, czytała dalej:

Jestem przekonana, że zarówno Geoffrey, jak i ja, czujemy się o wiele młodszy od Miltoun'a i Agaty, chociaż są oni naszymi dziećmi. Szczęściem, u Berta i Barbary nie odczuwa się tak tego. Groźba wojny wywarła doskonały skutek na sprawę kandydatury Miltoun'a. Claude Harbinger jest u nas również. Pracuje dla Miltoun'a, lecz w rzeczywistości mam wrażenie, że przyjechał tu dla Barbary. Jest to dla mnie trochę przykre, jeśli się weźmie pod uwagę, że nie ma ona jeszcze nawet lat dwudziestu, lecz ze względu na jej wyjątkową urodę, należało się takiego obrotu rzeczy spodziewać, a Claude jednakże jest pod każdym względem wzorowy. Mówią o nim teraz bardzo wiele, wysuwa się on na czoło partji młodych torysów.

Lady Casterley ponownie opuściła list, nasłuchując. Przeciąwszy, stłumiony odgłos jakiejś odległej

wrzawy przeniknął do oranżerji, wibrując między blademi płatkami lilij i strząsając z nich krótkie, delikatne fale woni. Lady Casterley weszła do hallu, gdzie natknęła się na starszego człowieka, o wyblądłej twarzy, z długimi siwemi faworytami.

— Co to za hałas, Cliftonie?

— Pochód socjalistów, jaśnie pani, w drodze do Putney, gdzie zamierzają urządzić demonstrację. Ludność szydzi i gwizdże, zatrzymano ich akurat tu, przed bramą.

— Czy przemawiają?

— Mówią jakieś bzdurstwa, jaśnie pani.

— Pójdę i posłucham, podaj mi moją czarną laskę.

Pod ciemnymi, płasko-rozgałęzionymi cedrami, które wznosiły się jak hebanowe pagody po obu stronach podjazdu, wisiała nisko wielka, sina chmura, rozświetlona złowrogo na horyzoncie jedynym jasnym promieniem. Pod tym pochmurnym baldachimem skupiła się na drodze mała grupka zakurzonych i poczochranych mężczyzn i kobiet, otaczając i zachęcając oklaskami wysokiego, czarno odzianego mówcę. Przyglądał się temu zgromadzeniu niewielki tłum, złożony z mężczyzn i wyrostków, akompaniując przemowie okrzykami i szyderstwami.

Lady Casterley i jej majordomo stanęli o kilka kroków poza żelaznemi wrotami. Drobna, szara figurka była bardziej wyzywająca w swym spokoju, niż wszystkie gesty i obelgi tłumowi. Oczy jej jedynie poruszały się pod w półopuszczonemi powiekami, prawą ręką mocno ścisnęła rączkę laski.

Głos mówcy wznosił się silnym protestem przeciwko wyzyskowi „ludu“, to znów zniżał się nieco, komentując ironicznie idee chrześcijaństwa. Domagał się gwałtownie zwolnienia z ciężaru bezsensownych podatków na armję, groził, iż niezadługo lud ujmie sprawę w swoje ręce.

Lady Casterley odwróciła głowę.

— Mówi głupstwa, Cliftonie. Deszcz zacznie zaraz padać, wróć do domu.

Pod kamiennym portykiem przystanąła. Sina chmura załamała się nagle, gwałtowny deszcz załął rozbiegający się szybko tłum. Słaby uśmiech okolił wargi lady Casterley.

— Wyjdzie im to na korzyść takie lekkie ochłodzenie zapału. Zmokniesz, Cliftonie, pospiesz się. Lord Valleys będzie na obiedzie. Przygotuj mu pokój do przebrania. Przyjedzie samochodem z Monkland.

ROZDZIAŁ III

W bardzo wysokim, dość pustym pokoju, wykładanym białą boazerją, lord Valleys z szacunkiem witał swą teściową.

— Jazda trwała zaledwie dziesięć godzin, niezła szybkość, prawda?

— Jestem bardzo rada, że przyjechałeś. Kiedy jest termin wyborów Miltoun'a?

— Dwudziestego dziewiątego.

— Szkoda, nie powinien pozostawać w Monkland, wówczas, kiedy owa nieznajoma tam się znajduje.

— Ach, tak, słyszała mama o niej?

Lady Casterley odpowiedziała surowo:

— Jesteś zbyt pobłażliwy, Geoffrey'u.

Lord Valleys uśmiechnął się.

— Ta cała afera wojenna — rzekł po chwili, — zaczyna już mi się dawać we znaki. Nie mogę się zupełnie zorjentować, jaki jest nastrój wśród ludu.

Lady Casterley powstała.

— Niema żadnego. Jeśli wojna wybuchnie, wtedy nastrój będzie taki, jaki być powinien. Tak jest zawsze. Podaj mi ramię, Geoffrey'u. Czy jesteś głodny?

Poglądy lorda Valleysa na wojnę były zapartywaniami człowieka, który od czasów kiedy doszedł do okresu samodzielnego myślenia, zawsze obracał się pośród ludzi, kierujących losami państwa. Podobnie jak lilje w wielkiej oranżerji, nie mogą czuć zmysłami kwiatów, rosnących w ogrodzie, lord Valleys, opancerzony przesadami i zwyczajami, właściwemi swej sferze, stykał się jednak z ogółem — niemniej niż się tego należało spodziewać. W istocie, w niektórych dziedzinach, jako człowiek praktyczny i rzeczowy, był w jawnym kontakcie z opinią przeciętnego obywatela. Był zupełnie szczerzy, twierdząc, że zna lepiej potrzeby ludu od tych, którzy wiele na ten temat gardłują, i bezwątpienia miał rację, gdyż usposobieniem był bliższy ludowi, niż jego prowodyrzy, — choć napewno nie czułby się zadowolony, gdyby ktoś zwrócił mu na to uwagę. Życie obarczyło naturę obowiązkiem politycznej i światowej przebiegłości, której pierwotna siła tkwiła w praktyczności i zupełnym braku wyobraźni. W jego interesie leżało działanie, działanie niezbyt krańcowe, nie wprowadzające premoją idej w czyn. Był wolnomyślny tam, gdzie nic nie godziło w puklerz form towarzyskich i obyczajowych, — był liberalnym dziedzicem, oczywiście w granicach, niezagrożających jego własnym interesom. Popierał sztukę tak długo, dopóki rozwijała się ona w kierunku zgóry przewidzianym. Musiał mieć lekką rękę, pewne oczy, żelazne nerwy i te doskonałe maniery, które właśnie nie są manierą. Z natury był łatwym w pożyciu małżonkiem, pobłażliwym ojcem, sumiennym i prawym politykiem, oddawał się chętnie pracy, przyjemnościom i rozrywkom na świeżem powietrzu. Adorował i kochał żonę i nigdy nie żałował, że się ożenił. Prawdopodobnie nie żałował w życiu niczego, prócz może tego, że jeszcze nigdy nie wygrał wyścigu Derby, lub że nie udało mu się doprowadzić hodowli pewnej odmiany centkowanych wyźłów do zupełnie rasowej dosko-

nałości. Teściową swoją szanował tak, jak się szanuje zasadę.

Z postaci tej drobnej staruszki biła niezwykła siła skupionej stanowczości, dziedzictwo i pewność tych, których znaczenia nie nigdy nie zachwiało. *podat*
Przywileje i ustalona niezależność jej przodków, *Wojna*
wypływająca z rozkazywania i rządzenia, *posada*
zniweczyła zdolności przewidywania, że autorytet ich może być kiedyś zachwiany. Jej pewność siebie nie była nabyta, przeciwnie, była to stała, nieodłączna cecha czynnego, dominującego usposobienia. Wyposażona w doskonałą, zwykłą zresztą w jej sferze, znajomość życia społecznego, zbrojna w kulturę, odpowiadającą warstwie przodującej, przesiąknięta niezmiennymi ideami, niepodlegająca nikomu i niczemu, chyba jedynie własnemu zwyczajowi rządzenia, — posiadała umysł groźny, jak miecze obosieczne, którymi władali jej przodkowie Fitz-Haroldowie na polach bitew pod Agincourt i Poitiers. Umysł, który instynktownie odrzucał możliwość poznania swej wewnętrznej istoty, *jak*
rodząca się z bezsensownych praktyk, kontemplacji, rozumienia i przenikania, *2*
Jeśli lord Valleys był jakby szkieletem maszyny arystokratycznej, lady Casterley stanowiła stalową sprężynę w jej wnętrzu. Cały jej sposób życia był niewyszukany i prosty, przyzwyczajenia skromne i oszczędne; wstawiała wcześniej, zajęta ustawicznie od rana do wieczora była tak dobrze zakonserwowana, iż przy swych siedemdziesięciu *Wspaniale* pięciu latach mogła się równać z niejedną pięćdziesięcioletnią kobietą. Posiadała tylko jedną słabą stronę — stanowiącą jej siłę. Było to najzupełniejsze zaślepienie, jeśli chodziło o określenie miary charakteru i znaczenia jej stanowiska we wszechświecie. Była symbolem, — siłą.

Wspaniale Wspaniale harmonizowała z wielkim pokojem, w którym obiadowali, pokojem o szarych ścianach, pokrytych fryzem, malowanym w stylu Fragonarda, zdobnym w nimfy i róże, już nieco poczerniałe, jak również z umeblowaniem, sprawiającem w tych cza-

sach wrażenie przeżytku. Na stołach nie było kwiatów, prócz kilku lilij w starej, srebrnej wazie. Na ścianie, ponad wielką konsolą, wisiał portret zmarłego lorda Casterley.

Staruszka przemówiła.

— Przypuszczam, że program działania Milton'a nie podlega żadnym wpływom.

— Otóż w tem właśnie sęk: cierpi on na przesrost zasad. Chciałbym tylko, aby starał się unikać tego w swych przemówieniach.

— Pozostaw mu swobodę pod tym względem i postarajcie się oddalić go od tej kobiety, jak tylko wybory zostaną ukończone. Jak ona się właściwie nazywa?

— Jakaś tam Mrs. Lees Noel.

— Jak długo mieszka w Monkland?

— Około roku, zdaje mi się.

— Czy nic bliższego nie wiesz o niej?

Lord Valleys wzruszył ramionami.

— Tak — rzekła lady Casterley, — naturalnie, pozwalasz, by ta sprawa przyjęła niepożądany obrót. Pojadę sama do was, przypuszczam, że nie uczynię Gertrudzie kłopotu. Jaki jest stosunek Courtiera do tej „pani“?

Lord Valleys uśmiechnął się. W uśmiechu tym zawierała się cała jego układna i pobłażliwa filozofja. „Nie należę do wścibskich“, zdawał się mówić. Lady Casterley zacisnęła usta.

— Courtier to narwaniec — rzekła, — czytałam jego książkę o wojnie, — przesiąknięta jest ideami podżegającymi. Rezultaty tego widziałam już za progiem mojej własnej bramy. Tłum agitujący przeciw wojnie.

Lord Valleys stłumił ziewnięcie.

— Doprawdy, nie przypuszczałem, że Courtier ma jakiegokolwiek wpływy.

— To niebezpieczny człowiek; — większość idealistów jest nieszkodliwa, jego książka natomiast jest bardzo mądra.

— Chciałbym, na miłość Boga, żeby się raz skończyły te straszaki wojenne, ośmieszają tylko oba państwa — zauważył lord Valleys.

Lady Casterley podniosła szklanę, napelnioną krwisto-czerwonem winem.

— Wojna nas uratuje — powiedziała.

— Wojna to nie żarty.

— Zapoczątkuje ona lepszy porządek rzeczy.

— Tak sądzisz?

— Jako naród uzyskamy znów pierwszeństwo, a demokracja pozostanie wstecz o pół wieku.

Lord Valleys, uformowawszy na obrusie trzy małe górki soli, przerwał, aby je policzyć, następnie, unosząc zlekka brwi, jakby z powątpiewaniem w to, co miał zamiar wyrzec, szepnął:

— Powiedziałbym raczej, że wszyscy jesteśmy dzisiaj demokratami... O co idzie, Cliftonie?

— Szofer zapytuje, o której godzinie pan rozkaże mu zajechać?

— Natychmiast po obiedzie.

W dwadzieścia minut później skręcał już przez żelazne wrota na drogę, prowadzącą do Londynu. Ściemniało się, na niebie gromadziły się chmury, przepływając tu i tam z nieskończoną bezcelowością. Żaden zamiar nie zdawał się powodować ich ruchem, spotykały się na firmamencie, jak stado owiec lub jak sroki-olbrzymy, krzyżując i przecinając swój lot. Deszcz wisiał w powietrzu. Samochód nie wznosił za sobą kurzu. Mknął szybko, wyszukując lampami drogę. Na moście Putney zatrzymany został przez sznur platform. Lord Valleys spoglądał w obie strony. W rzece odbijały się światła z domów, zgrupowanych po obu jej brzegach, lampy przystani, latarnie łodzi. Białawe, kręte cielsko tego wielkiego Tworu — w wieczystym pędzie ku morzu — nie wzbudzało w nim żadnych refleksyj. Tamizę znał przed laty, kiedy brał udział w Ministerstwie Handlu i Przemysłu, wiedział dobrze jaką jest istotnie, że jest niewypowiedzianie brudna i zwięzająca się w tem

miejscu, gdzie winna być najszersza. Jednakże po chwili, gdy zapalał cygaro, nawiedził go dziwny nastrój, — jak gdyby znajdował się w obecności bliskiej mu kobiety.

„Mam nadzieję w Bogu, że z tych pogroźek wojennych nie wyniknie nic poważnego“.

Auto pomknęło dalej drogą, rojącą się od pojazdów i ludzi, w kierunku wytwornego centrum Londynu. Powystawiane w kioskach przed niektórymi sklepami wieczorne gazety nie zawierały jednak pocieszających wiadomości.

„Sytuacja wikła się“.

„Nowe szczegóły“.

„Możliwość groźnych komplikacyj“.

Przed każdym kioskiem można było zauważyć niewielki zamęt wśród tłumu przechodniów, wywołany przez osoby, które, po przeczytaniu nowin, torowały sobie przejście, aby znów iść w dalszą drogę. Hrabia Valleys zastanawiał się, co też oni sobie wyobrażają. Co kielkowało w tych głowach, zwróconych ku kioskom? Czy wogóle myśleli ci wszyscy mężczyźni i kobiety na ulicy? Jak odnosili się do groźnego im kataklizmu? Apatyczne i tępe twarze nie wyrażały nic, żadnego czynnego pragnienia, żadnego entuzjazmu, ani nawet przerażenia. Biedacy! Wobec spraw tych byli tak bezsilni, jak mrówki, chcące zapobiec zniszczeniu swego mrowiska przez przechodzącego urwisa. Prawdą jest bezwątpienia, iż naród niewiele ma do powiedzenia w kwestji wojny. Przyszło mu na myśl zdanie, wyjęte z pewnego dziennika radykalnego, który czytał jako człowiek bezpartyjny: „Nieświadomy faktów, zahypnotyzowany hasłami patryjotycznymi, opanowany instynktem tłumu, oraz wrodzonym uprzedzeniem do cudzoziemców, bezbronny przez swą cierpliwość, stoicyzm, wiarę i zaufanie do stojących wyżej od niego, wreszcie przez swój snobizm, wzajemną nieufność, beztroskę o jutro i brak uspołecznienia — jakże bezsilny i godny pożałowania jest człowiek ulicy w obliczu Wojny!“ Dzien-

nik, ten, aczkolwiek mądry, wydawał mu się zawsze niemożliwie agitacyjny.

Było bardzo wątpliwe, czy będzie mógł w tym roku udać się do Ascott. Myślą odbiegł w tej chwili do swej obiecującej dwuletniej klaczy Cassety, poczem, jakby zawstydzony, gwałtownie skierował uwagę na sprawy marynarki. Wątpił, czy jest ona dostatecznie przygotowana na wypadki nieoczekiwane. On sam zajmował w rządzie stanowisko mniej określone, jeden z tych tytułarnych urzędów, potrzebnych w celu przygotowania do gabinetu wypróbowanych osobników, dla których czasowo nie można znaleźć bardziej odpowiedzialnych funkcji. Od spraw marynarki myśli jego powędrowały znów do matki żony. Wspaniała staruszka! Jakżeż doskonałym politykiem byłaby, będąc mężczyzną. Zbyt reakcyjna! Co za djabelnie wyzywające stanowisko zajęła wobec Mrs. Lees Noel! Z uczuciem zadowolenia prawdziwego znawcy przypominał sobie szczegóły twarzy i sylwetki tej damy, którą widział dzisiejszego ranka, przejeżdżając obok jej domku. Tajemnicza, czy też nie, była z pewnością wysoce interesująca. Zgrabna główka z ciemnymi włosami, z przedziałem pośrodku, zachwycająca figura! Urok tajemniczości ją otacza! Bezwątpienia jakaś sprawa z przeszłości, lecz to nie powinno go interesować! Zawsze gorąco współczuje kobietom tego rodzaju!

Oddział żołnierzy rezerwy, wracających z defilady, powstrzymał na chwilę pęd samochodu. Lord Valleys wychylił się, przyglądając się im takim samym krytycznym, bystrem i skupionym spojrzeniem, jakiemby spoglądał na sfore psów. Umysł jego nabrał znów sprężystości. Chaotyczne rozmyślenia i wątpliwości pierzchły. Zuchy! Napewno potrafią sprostać swym zadaniom. Ich twarze, ogorzałe od całodziennego przebywania na powietrzu, napiętnowane były biernością lub nawpół zaczepną pewnością siebie. Napewno nie zaprzętały sobie głowy jakimiś

oderwanemi wątpliwościami, ani też wizjami okropności wojny.

Ktoś wznosił okrzyk na ich cześć. Lord Valleys ujrzał wokół siebie wznoszące się i opadające kapełusze i usłyszał okrzyki, które zrazu ostre i wysokie, przeszły potem w ochrypłą wrzawę i nagle umilkły. „Zdają się być bardzo rozentuzjasmowani” — pomyślał. „Niewiele im trzeba. A jednak jest duch wojowniczy w narodzie”. Znowu przeniknął go pewien rodzaj zadowolenia.

Kiedy przeszedł ostatni żołnierz, samochód począł zwolna torować sobie drogę pomiędzy tłoczącą się za oddziałem ciżbą, złożoną z ludzi różnego wieku, wyrostków, kobiet i dziewcząt; patrzyli oni na lorda Valleys obojętnie, jak gdyby życie ich było zbyt odrębne, by pozwolić im na zainteresowanie się tym człowiekiem, który mijał ich, rozparty wygodnie w samochodzie.

ROZDZIAŁ IV

W tym samym czasie w Monkland, w malutkiej, bielonej bawialni białego, strzechą krytego domku, po obu stronach kominka siedziało, rozmawiając, dwóch mężczyzn. W pobliżu wpołużąc na niskim, wygodnym fotelu, czarnooka kobieta zabawiała się studjowaniem swych drobnych, delikatnych paluszków, splatając je lub wyciągając pod światło ognia. Od czasu do czasu usuwało się jakieś polano, ukazując rozżarzoną powierzchnię. W pokoju unosiło się miłe ciepło, zdające się promieniować z białych ścian, przesiąkniętych światłem ognia i lampy. Ćmy, przylatujące z ciemnego ogrodu, wibrowały jak małe, srebrne bączki ponad purpurowemi różami, umieszczonemi w jaskrawo-zielonej wazie. W pokoju uno-

sił się zapach — zwykły w starych, krytych strzechą domkach, złożony z dymu polan, kwiatów i głogu.

Po lewej stronie kominka siedział mężczyzna lat około czterdziestu, wzrostu więcej niż średniego, prosty, krzepki, żywy, o jasnych oczach i twarzy krwistej, — która płonęła przy drobnem nawet rozdrażnieniu. Włosy blond wpadały w odcień rudawy, zaś jego długie, ogniste wąsy, zwisające aż do podbródka, jak u Don Kichota, zdawały się chwilami jeżyć.

Na prawo siedzący człowiek dobiegał trzydziestki, był bardzo wysoki, szczupły i muskularny. Siedział skulony w niskim fotelu, rękami otoczywszy kolana. Ledwie dostrzegalny, smętny uśmiech opromieniał jego chudą twarz, o suchych, pergaminowych, gładko wygolonych policzkach i głębokich, żywych oczach — twarz, która bezwzględnie kryła jakieś specyficzne piękno.

Ci dwaj ludzie, tak niezwykle różni, spoglądali na siebie jak dwa psy sąsiadów, które długi czas trzymały się od siebie zdaleka i nagle spotkały się w miejscu, gdzie niemożliwością było stoczyć walkę. Kobieta pilnowała ich — chociaż pani jednego, lecz jako miłośniczka psów, — przez proste amatorstwo, zwykła była głaskać i pieścić drugiego.

— A więc tak, Mr. Courtier — przemówił młody człowiek suchym i ironicznym głosem, maskując uśmiechem płomienny wyraz oczu, — wszystko, co pan mówi, stosuje się jedynie do obrony tak zwanego ducha liberalizmu, a ten duch — wybaczy pan moją szczerość — będąc jedynie wytworem filozofji i sztuki, znika w tym momencie, kiedy w grę wchodzi praktyczna strona życia.

Rudowłosy zaśmiał się dziwnym śmiechem, — jednocześnie wesołym i sardonicznym.

— Dobrze powiedziane — odparł, — i ani mi w głowie zaprzeczyć, lecz pan, lordzie Miltoun'ie, godzący politykę z hasłami kastowości i autorytetu, stoi — jeśli chodzi o praktyczną stronę życia — na

tym samym gruncie, co każdy, głoszący ideę liberalizmu.

— Nie zgadzam się z tem.

— Możesz się godzić, lub nie godzić. Zapatrywania pańskie na sprawy społeczne przypominają zapatrywania kościoła na śluby i rozwody, tak odległe od realizmu życia, jak stanowisko wyznawcy wolnej miłości — i równie niewykonalne. Klęska pańskich zapatrywań leży w nich samych. Są już za mało żywotne i zbyt dalekie od życia, by mógł pan „rozumieć“, a jeśli nie można rozumieć — nie można rządzić. Z równem powodzeniem wystarczałoby spokojnie założyć ręce, jak z takimi pojęciami ubiegać się o stanowisko polityka.

— Nadal musimy się z tem zgodzić, że zdania nasze są zasadniczo rozbieżne.

— Być może, iż wogóle za wiele od pana żądam, ostatecznie jest pan tylko arystokratą.

— Nie rozumiem pana, Mr. Courtier.

Ciemnooka kobieta poruszyła się niespokojnie, ręce jej wzniosły się, jakby na znak przestrogi. Starszy mężczyzna powstał natychmiast i przemówił zmienionym, pokornym głosem:

— Rozmowa nasza nuży Mrs. Noel. Dowidzenia, Audrey. Najwyższy czas, żebym poszedł.

Stojąc na tle wielkiego francuskiego okna, rzucił na pożegnanie w stronę kominka:

— Rozumiałem przez to, lordzie Miltoun'ie, iż sfera wasza jest najbardziej wyrachowana i najbardziej oschła w całym państwie i dziwiłbym się, gdyby te cechy nie zaoszczędziły jej gubienia się w marzeniach. Dobranoc.

Wyskoczył przez niski parapet na trawnik i zniknął w ciemnościach.

Młody człowiek siedział nieporuszony. Blask ognia padał na jego twarz, nadając jakiś natężony wyraz ustom i oczom. Powiedział nagle:

— Czy pani wierzy w to, Mrs. Noel?

Zamiast odpowiedzi Audrey Noel uśmiechnęła się tylko i podeszła do okna.

— Spójrz na tę żabkę, przychodzi tu każdego wieczora.

Na kamiennej płycie werandy, w promieniu światła, padającego od lampy, siedziała mała, złotawa żabka. Kiedy Miltoun podszedł bliżej, zakolysała się i przestraszona uciekła.

— Jaki spokój panuje w ogrodzie pani — rzekł młody człowiek.

Ujął jej rękę bardzo delikatnie i przycisnął do ust, poczem zniknął w ciemnościach w ślad za swym przeciwnikiem.

W istocie spokój i cisza unosiły się w ogrodzie. Noc zdawała się nasłuchiwać, czy wszystkie lampy zgasły, czy wszystkie serca ułożyły się do spoczynku. Nasłuchiwała, zapalając małe, białe gwiazdki dla każdego drzewka, dla każdej strzechy, dla drzemiących, znużonych kwiatów, — jak matka czuwa nad śpiącym dzieckiem pochylona, licząc miłośnie każde westchnienie, każdy włos na jego główce. Wszelki spór i dyskusja zdawały się być dziecinną paplaniną wobec tego uśmiechu nocy.

Oblicze kobiety, stojącej przy oknie, podobne było do oblicza słodkiej, ciepłej nocy. Było ono tkliwe, pełne harmonji, nie surowej i chłodnej, lecz żywej i promiennej, — która zdawała się być siedliskiem wzniosłych uczuć. W ogrodzie, całym aksamitno-szarym z ciemnymi cieniami, padającymi od drzew, jedynie białe kwiaty czuwały i przyglądały się jej uważnie. Drzewa stały ciemne i ciche. Nawet ptaki nocne nie odzywały się. Tylko mały strumyk w głębi szemrał głosem, który nabierał mocy wtedy, kiedy głos dnia zamierał. Audrey Noel podlegała łatwo nastrojom, odporność nie leżała w jej naturze, lecz dzisiaj nie udzielił jej się spokój, przenikający wszystko. Ręce jej drżały, policzki płonęły, pierś falowała, a oddech dobywał się gwałtownie z lekko rozchylonych ust.

ROZDZIAŁ V

Eustachy Caradoc, wicehrabia Miltoun, wiódł bardzo osamotnione życie aż do czasu, kiedy począł sobie zdawać sprawę z różnych właściwości swej egzystencji. Będąc dzieckiem, nie posiadał bliższych przyjaciół, za wyjątkiem Cliftona, majordomusa swej babki. Jego bony, guwernantki i wychowawcy przyznawali, iż nie są w stanie go zrozumieć, uważali, iż jest zbyt poważny na swój wiek, przerażał ich nawet lekko, okazując zdolność do takiej krańcowości, jaką jest milczące znoszenie cierpień. Wczesne dzieciństwo przepędził prawie całkowicie w Ravensham, będąc zawsze najukochańszym wnukiem lady Casterley, która odnajdowała w nim tę celową wyniosłość, której brak było w usposobieniu jej córki. Lecz tylko przed Cliftonem, tym poważnym, pięćdziesięcioletnim człowiekiem, o długich, białych faworytach — dawał małe upust swym zwierzeniom.

— Tobie to mówię, Cliftonie — przyznawał się, siedząc na poręczy wielkiego fotela w pokoju Cliftona, lub brodząc pomiędzy krzakami malin, — bo jesteś moim przyjacielem.

A Clifton z głową trochę przechyloną na bok, z wyrazem poważnego zainteresowania temi „przyjacielskimi“ zwierzeniami, o charakterze wprawiającym go często w zakłopotanie, odpowiadał od czasu do czasu „Naturalnie, milordzie“ — a częściej jeszcze „Naturalnie, mój drogi“.

Było w ich przyjaźni coś ładnego i godnego, żaden z nich nie przekraczał granicy należnego drugiemu szacunku. Obaj interesowali się gołębiami i częstokroć długo przypatrywali się im z zadziwiającą uwagą.

Z biegiem czasu, Eustachy, stosownie do tradycji przyjętej w jego rodzinie, wstąpił do Harrow. Pozostawał tam pięć lat. Był jednym z owych chłopców o niezbyt silnych pięściach i nogach, których często

można widzieć włóczących się samotnie do swych odosobnionych kryjówek, z jednym ramieniem zlekka podniesionem od ciągłego zwyczaju noszenia czegoś pod pachą. Od przezwiska „lizus” chronił go jego tytuł, najzupełniejszy brak pedanterji, obojętność na to, co o nim myślą, oraz ostry język, którego doświadczyć nikt nie miał ochoty. Pozostał jednak zawsze brzydkiem kaczątkiem, które nigdy nie potrafiło pluskać się należycie w zielonych sadzawkach tradycji, związanych ze Szkołą Publiczną. W grach sportowych odznaczał się taką niedołęźnością, że towarzysze jego, dla świętego spokoju, pozostawiali mu zupełną swobodę. Wyjątek czynili tylko jeśli chodziło o palanta, gdyż w tem wykazywał niezwykłą biegłość, głównie dzięki jakiejś dziwnej giętkości członków. Znany był również ze swych śmiałych eksperymentów chemicznych, których rezultatem były różne substancje, przechowywane ukradkiem, aż do czasu uzyskania specjalnego pozwolenia od gospodarza klasowego, którego tenże udzielił, w myśl zasady, że jeśli w pokoju ma się unosić zapach nieprzyjemny, niechaj już będzie wiadomo, z czego pochodzi. Zaprzyjaźnił się z niewieloma towarzyszami, lecz przyjaźń ta pozostała trwałą. Jego ćwiczenia łacińskie były niedołęźne, zaś greckie tak marne, iż niemalże zdziwienie wywołała okazana pod koniec studjów zupełnie przyzwoita umiejętność pisania i władania ojczystym językiem. Opuszczał szkołę bez żalu. Lecz kiedy z okna pociągu ujrzał po raz ostatni pagórek ze starą śpiczastą wieżą, ścisnęło go coś za gardło, przełknął gwałtownie kilka razy i, zaszrywając się głęboko w kąć wagonu, przymknął powieki.

W Oxfordzie było mu lepiej, lecz tam również był stosunkowo samotny, pozostając tak często, jak tylko mógł, w swem mieszkaniu poza uniwersytetem, wybierając zwykle dla siebie pomieszczenia odległe z widokiem na ogrody i szanie miasta.

Za czasów oxfordzkich po raz pierwszy zrodziła się w nim namiętność do ćwiczenia woli, której siła tak bardzo miała go cechować w przyszłości. Zabrał się do wiosłarstwa i, choć tego rodzaju przepędzanie czasu nie leżało zupełnie w jego naturze, wywalczył sobie jednak miejsce w regatach swej korporacji. Pod koniec zawodów schodził zazwyczaj ze swego stanowiska w stanie najzupełniejszego wyczerpania, dzięki temu, iż ostatni kwadrans wyścigu wiosłował tylko niesłychanym nateżeniem woli. Taka sama żądza ćwiczenia się w karności kierowała nim przy wyborze nauk. Zajął się literaturą klasyczną, która—przy jego znikomej umiejętności greki i łaciny, jak najmniej mu odpowiadała. Dzięki nadludzkiej pracy, otrzymał ocenę zadawalniającą, prócz tego uzyskał najwyższe odznaczenie wszechnicy za prace z literatury angielskiej. W kołach towarzyskich, ześrodkowujących życie uniwersyteckie, wiadano o nim niewiele. Przez cały czas swego pobytu ani razu nie brał udziału w zebraniach koleżeńskich. Nie polował, nie mówił nigdy o kobietach i nikt również nie wspominał kobiet w jego obecności. Czasem jednak nawiedzały go namiętności, które często nawiedzają ascetów, kiedy całe istnienie zdaje się chłonać i pożerać ogień, płonący w dzień i w nocy, przemijający szczęśliwie, niewiadomo jak i kiedy, jak nagle zdmuchnięta świeca. Chociaż nietowarzyski w całym tego słowa znaczeniu, nie był jednak pozbawiony kompanji podczas owych dni oxfordzkich. Znał wielu, zarówno profesorów jak i studentów. Jego długie spacery bez określonego kierunku srogo dawały się we znaki tym, którzy nie byli amatorami tak nudnego spędzania czasu, jakiem jest przechadzka w celach rozmowy. W okolicy od Abingdon aż do Bablock-Hythe znano go dobrze, lecz on nie znał zupełnie okolicy. Cenił go również Senat, gdzie już na początku wyrobił sobie markę, podczas debaty o cenzurze literackiej. Bronił wówczas swych poglądów z taką zaciętością, wytrwałością i młodzieńczym zapałem, że napewno odniósłby zwycięstwo,

gdyby nie pewien Irlandczyk, który przerwał mu, wskazując na niebezpieczeństwo, grożące biblii, na który to zarzut odpowiedział Miltoun: „Lepiej jest ryzykować, niż nie mieć nic do zaryzykowania”. Od tej chwili ustaliło się o nim zdanie.

W Oxfordzie pozostawał cztery lata. Opuszczając uniwersytet, uczuwał dziwny rodzaj niezdecydowania. Ostateczny sąd wszechnicy o tym wychowanku zawierał się w mniemaniu: „Eustachy Miltoun! Ach, dziwak! Lecz wypłynie kiedyś, bezwątpienia wypłynie”.

W tym samym czasie odbył z ojcem dłuższą konferencję, która utrwaliła ostatecznie zdanie, jakie mieli nawzajem o sobie. Rozmowa ta toczyła się w wielkiej czytelni Monkland Court pewnego listopadowego popołudnia.

Płomienie ośmiu świec, umieszczonych w wysmukłych świecznikach, po cztery z każdej strony rzeźbionego, kamiennego kominka, oświecały pokój. Drżący blask zakreślał niewielki krąg wśród ciemnej przestrzeni komnaty, której ściany, wykładane czarną dębową boazerją, wypełnione były książkami. Cierpki zapach skóry i suszonych płatków różanych zdawał się przenikać do głębi, jakgdyby tchnienie przeszłości. Ponad wielkim kominkiem wisi malowany przez nieznanego malarza portret kardynała Caradoc'a, męczennika za wiarę w XVI stuleciu. Promienie oświetlały jedną stronę jego gładko wygolonej twarzy; asceta i męczennik z leciutkim uśmiechem, opromieniającym jego usta i głębokie oczy, górował nad niebieskawym płomieniem paleniska.

Zarówno ojciec jak i syn nie mogli się zdecydować na rozpoczęcie rozmowy. Obaj nie odnosili zupełnie wrażenia, iż są sobie bliscy. W istocie nie widzieli się od dłuższego czasu, a i dawniej widywali się bardzo rzadko. Lord Valleys odezwał się pierwszy:

— A więc, mój drogi, co zamierzasz czynić teraz? Przypuszczam, że uda nam się zapewnić ci tutejszą kandydaturę, o ile wogóle masz zamiar kandydować.

— Dziękuję bardzo, tymczasem jeszcze nie myślę o tem.

Poprzez przezroczystą chmurkę dymu cygara lord Valleys przyglądał się bacznie wysokiej postaci, zagłębionej w stojącym naprzeciw niego fotelu.

— Dlaczego nie? — spytał. — Nigdy nie jest za wcześnie, oczywiście, o ile nie masz ochoty przetrzeć się pierwej po świecie.

— Zanim się stanę „światowcem“, czy tak?

Lord Valleys zaśmiał się z przymusem.

— Jeśli chodzi o sprawy polityczne, zdaje mi się, że nie możesz w tem nabrać żadnego doświadczenia, o ile nie zajmiesz się niemi bezpośrednio — rzekł. — Ile masz lat?

— Dwadzieścia cztery.

— Wyglądasz starzej — nieznaczna zmarszczka niezadowolenia ukazała mu się między brwiami. Czy mu się tylko zdawało, że lekki uśmiezek błądzi koło ust Miltoun'a?!

— Urobiłem sobie jakieś dziwne pojęcie — rzekł ten ostatni — iż przedewszystkiem należy poznać dokładnie warunki. Mam zamiar poświęcić na to najmniej pięć lat.

Lord Valleys podniósł brwi.

— Strata czasu — rzekł. — Daleko więcej skorzystałbyś, wstępując natychmiast do parlamentu. Wyobrażasz sobie te sprawy zbyt poważnie.

— Bezwątpienia.

Przez dobrą minutę lord Valleys nie odpowiadał, czuł się oszołomiony. Uspokoiwszy się trochę, rzekł:

— A więc dobrze, czyń jak uważasz.

Przygotowanie Miltoun'a do zawodu polityka odbywało się wielostronnie: praktykował w dobrach swego ojca, w Izbie Adwokackiej, wyjeżdżał do Niemiec, do Ameryki, do kolonij brytyjskich, pracował dwukrotnie przy wyborach, i dwukrotnie rozczarował się, sądząc, że ma do czynienia z wyborcami, na których stałości przekonań można polegać. Czytał bardzo wiele, powoli, lecz z sumienną gruntownością:

poezję, historję, dzieła filozoficzne, religijne i socjalne. Nie lubił natomiast beletrystyki, a w szczególności przekładów. Pragnąc usilnie być bezstronnym i obiektywnym, karmił się jednocześnie tem tylko, co odpowiadało jego naturze, odrzucając nieświadomie wszystko, co zagrażało nastrojom jego indywidualności. Wszystko co czytał, w rzeczywistości przyczyniało się jedynie do umocnienia głębokich przekonań, które tkwiły w jego usposobieniu. Gardząc snobistycznym imponowaniem bogactwem i sferą, posiadał jednocześnie—skromną zrazu, lecz głęboką i stale wzrastającą—świadomość swej zdolności przodowania, oraz duchowej wyższości nad tymi, którym chciał stać się pożyteczny. W istocie nie było w nim ani śladu faryzeuszostwa, był prosty i szczery, lecz jego oczy, gesty, całe zachowanie wskazywały na jakieś ukryte źródło niezachwianej pewności, na niedosięgalną głębię, gdzie nie przenikały żadne przebłyski wątplenia. Nie był pozbawiony dowcipu, lecz nie posiadał tego rodzaju samokrytyki, która dopatruje się śmieszności, tkwiących w nas samych.

Miltoun widział świat i wszystkie rzeczy na nim się znajdujące, w formie spirali, nawet wtedy, kiedy były one kołami. Nie pojmował, iż wszechświat w jedynakowej mierze złożony jest z tych dwóch symboli, których moment pojednania nie został jeszcze odnaleziony.

Takim był Eustachy Miltoun w tym czasie właśnie, kiedy członek Izby, kandydujący z jego ojczystych stron, odziedziczył tytuł.

Pomimo swych lat trzydziestu nie kochał się ani razu, wiódł życie niesłychanie purytańskie, z jednym jedynem tylko wykroczeniem od raz przyjętej zasady. Kobiety obawiały się go, i on, być może, obawiał się kobiet. W marzeniu zdawały mu się urocze i wzbudzające pożądanie, w rzeczywistości zaś były za mało subtelne i wzbudzały w nim przesyć. Kochał swoją najmłodszą siostrę, Barbarę, lecz nigdy nie odczuwał przywiązania do matki, babki, ani do starszej siostry,

Agaty. Zabawny był widok lady Valleys w towarzystwie swego pierworodnego. Jej zgrabna sylwetka, trochę przekwitłe policzki i szaro-niebieskie oczy, któremi lekko kokietowała z wyrazem humoru i przekory, wszystko to w obecności Miltoun'a przybierało charakter dziwnego, trochę satyrycznego tła. Sądy i powiedzenia, zawsze trochę ryzykowne, były charakterystyczne dla jej żywej natury, potrafiła powiedzieć wszystko, cokolwiek jej przyszło do głowy. Nigdy, nawet za czasów dzieciństwa, nie darzył jej Miltoun swem zaufaniem. Nie brała mu tego za złe, będąc jedną z tych natur szlachetnych i wspaniałomyślnych, które niezdolne są czuć się dotknięte tem, że je pominięto. Uważała go zawsze za dziwaka i na tem koniec. Najwięcej niepokoiła się jego zupełną obojętnością w stosunku do kobiet. Czuła, iż jest to anomalja, podobnie jak wyczuwała istotną, choć należycie zamaskowaną normalność w swym mężu i młodszym synu. Było to powodem, iż zdawała sobie sprawę dokładniej, niż jej na to pozwalał czas wśród wiru życia światowego—z niebezpieczeństwa, jakie przedstawiała przyjaźń jej syna z „nieznajomą“.

Przyjaźń tę zapoczątkował zwykły przypadek. Pewnego grudniowego popołudnia Miltoun udał się do farmy dzierżawcy, zabitego podczas wypadku z koniem. Zastał wdowę po nim w tak strasznej rozpaczy, iż graniczyła z zupełną niemożnością wyrażenia uczuć, spotęgowaną jeszcze teraz obecnością panna. Uspokoił biedaczkę w sprawach dzierżawy i, wychodząc, natknął się w przedsionku na jakąś kobietę w futrzanym żakiecie i czapeczce, niosącą w ramionach małego, płaczącego chłopczyka, którego czoło broczyło krwią. Odebrał dziecko z jej ramion i, umieściwszy na krześle w pokoju, zwrócił się do młodej kobiety. Była ona bardzo poważna, słodka i czarująca. Zapytał, czy należy zawiadomić matkę o wypadku. Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Biedactwo, nie należy jej przerażać. Najpierw obmyjemy i owiniemy ranę.

Razem tedy zabrali się do opatrunku. Ukończywszy, spojrzła na Miltoun'a, zdając się mówić: „Napewno lepiej pan to potrafi jej powiedzieć, niż ja”. Wobec tego poszedł uprzedzić matkę i został nagrodzony ze strony poważnej pani miłym uśmiechem. Podczas tego pierwszego spotkania dowiedział się że się nazywa Audrey Lees Noel, i z tego też spotkania wyniósł wspomnienie twarzyczki, której urok prześladował go ciągle. W kilka dni później, przechodząc przez wieś, ujrzał ją znowu, wchodzącą przez furtkę do jakiegoś ogródka. Skorzystał z okazji, aby spytać się, czy nie zechce pokryć swego domku nową strzechą, poczem nastąpiły oględziny dachu i, rozmawiając — zatrzymał się u niej dłuższy czas. Przyzwyczajony do kobiet, które — już w najlepszym razie obdarzone wdziękiem i nieafektowane — zawsze jednak posiadały manierę pewnego zblazowania, przyswojoną im przez życie wielkoświatowe, — znajdował Miltoun dziwny urok w tej słodkiej, ciemnookiej kobiecie, obdarzonej ujmującym i nieśmiałym czarem, i żyjącej zdala od świata. Tak to z ziarna przypadku wykwitła jedna z owych rzadkich przyjaźni między samotnymi ludźmi, przyjaźni, która w krótkim czasie może wypełnić większą część egzystencji dwojga istnień.

Pewnego dnia spytała go:

— Przypuszczam, że pan wie o mnie wszystko.

Miltoun skinął potwierdzająco głową. Informacyj udzielił mu wikary.

— Historia jej jest bardzo smutna, mówiono mi... rozwód.

— Czy mąż zażądał rozwodu, czy też...

Przez mgnienie oka wikary wahał się.

— O nie, nie, zawiniono względem niej, jestem tego pewien. Przyzwoita kobieta, o ile mogę sądzić, choć obawiam się, że nie należy do mego bractwa.

Miltoun, w którym rycerskość wzięła górę, zadowolił się tem wyjaśnieniem. Kiedy spytała go, czy zna jej przeszłość, za nic na świecie nie pozwoliłby,

aby poruszyła to, co było dla niej bolesne. Jakakolwiek była jej historia, jasnym było, że nie ona zawiñiła. Począł ją już kształtować według własnych uczuć, przestała być dla niego stworzeniem ludzkim, stała się wyrazem jego pragnień.

Na trzeci dzień po starciu z Courtierem, znalazł się znowu w jej małym domku, ogrodzonym wysokim parkanem. Budynek otoczony gęstwiną róż, z czarno-bronzową strzechą, zwisającą ponad staroświecko oprawnymi szybkami górnych okien, zdawał się kryć przed światem. Ztyłu, jakby na straży, stały dwie sosny, rozszczepiając ciemne gałęzie i podczas wiatru południowego, szmerząc poważnie o pogodzie. Na krańcach ogrodu wznosiły się wysokie krzaki bzu, a wielka lipa, przytykająca z sąsiedniego pola szumiała i szeleściła, a w dni pogodne i spokojne napełniała powietrze ociężałym brzęczeniem drobnych pszczoł, które bez liku gromadziły się w tem zielonym siedlisku.

Zastał ją zajętą naprawianiem sukni. Siedziała pochylona nad robotą, z właściwym sobie wdziękiem i pewną manierą — zdawało się, iż wszystkim przedmiotom, sukniom, kwiatom, książkom, muzyce — udziela się z pewnem czarującym zainteresowaniem. Przyszedł do niej po całym dniu pracy wyborczej, gdzie doznał przykrości na dwóch zebraniach i jeszcze odczuwał żal po tych przejściach. Móc patrzeć na nią, być przez nią pocieszanym i dogładanym — wszystko to działało na niego niezwykle kojąco. Wyciągnięty na leżaku przysłuchiwał się jej grze.

Księżyc o obliczu pierrota powoli przepływał ponad wzgórzem po niebie koloru szarych irysów. Jak zahypnotyzowany wpatrywał się Miltoun w tę rozgorzałą gwiazdę, wędrującą w bladej jaśni. Z trzęsawisk wznosiła się wątła mgła oparów. Drzewa w dolinie, jak trzoda na pastwisku, stały pogrążone do połowy w bieli, otoczone bladą kurzawą niezliczonych, drobnych pyłków księżycowych, opadających na białą mgłę. Księżyc skrył się za lipę i zdało się,

że wielki, rozpalony, czarno-niebieski lampjon zawisł na niebie.

Nagle w dźwięk muzyki wmieszał się przeraźliwy odgłos gwizdania, rozbrzmiał, ucichł i znów się wzniósł. Miltoun powstał.

— To przerwało moje marzenia — rzekł. — Mam pani coś do powiedzenia, Mrs. Noel. — Lecz spojrzawszy na nią, siedzącą cicho z rękami na klawiszach, zamilkł w cichem uwielbieniu.

Jakiś głos w drzwiach wykrzyknął.

— Och, proszę pani! Mylordzie, tam na łące mordują człowieka!

ROZDZIAŁ VI

Kiedy nieśmiertelny Don wprawiał swemi sztuczkami w ruch wszystkie struny wesołości, towarzyszył mu jeden błazen tylko. Karola Courtier otaczały natomiast zawsze rzesze całe, które w istocie nie były w stanie pojąć jego postępowania, nacechowanego najzupełniejszą bezinteresownością. Chociaż zadziwiał swych współczesnych, jednakże nie śmieli się z niego otwarcie, gdyż wiadomem było powszechnie, że miał on na sumieniu życie kilku mężczyzn i miłość wielu kobiet. Jest to połączenie, któremu trudno się oprzeć, tembardziej, gdy idzie z niem w parze zewnętrzny wygląd silny i rycerski. Syn duchownego z Oxfordshire, mając lat zaledwie osiemnaście, rozpoczął wędrówkę błędnego rycerza i pomimo, że stale walczył z wiatrakami, ani razu nie został wysadzony z siodła. Źródło wytrwałości leżało zapewne w tem, że nie zdawał sobie sprawy z tego, że znajduje się w siodle. Było to dla niego tak naturalne, jak dla innych śmiertelników miejsce za stołem biurowym. Ze swego posłannictwa nie wyniósł żadnej korzyści, gdyż usposobienie jego zbyt było podobne

do jego czerwono-złoty włosów, które ludzie porównywali do płomieni, pochłaniających wszystko, co się przed nimi znajduje. Nie ukrywał swych wad i słabości. Był nieuleczalnym optymistą, uwielbiał piękno do tego stopnia, iż czasem zapominał, którą z kobiet kocha najmocniej. Miał zbyt cienką skórę, za gorące serce, nienawidził humbugu i stale lekcewazył swoje własne interesy i dobro. Był kawalerem, posiadał wielu przyjaciół i wielu wrogów. Duszę miał stale rozgrzaną do białości, a ciało przygotowane do ciosu, jak ostrze miecza. Jeśli człowiek, który sam przyznaje, że brał udział w pięciu wojnach, miesza się do agitacji na korzyść pokoju, może się to wydawać na pozór nielogiczne, w istocie jednak tak nie było: walczył on zawsze po stronie słabszej, a w tej chwili żadna ze stron nie wydawała mu się tak słaba, jak ta, która propagowała pokój. Nie był wybitnym politykiem ni znakomitym oratorem, ba, nie był nawet biegłym mówcą, lecz posiadał ostry język i wzrok płomienny, co zawsze wywierało pewne wrażenie na słuchaczach. W chwili obecnej nie było prawdopodobnie w całej Anglii miejsca, stanowiącego grunt mniej podatny do propagandy pokojowej, niż właśnie okręg Bucklandbury. Nieścistością byłoby twierdzić, że Courtier był niepopularny wśród tamtejszej praktycznej, niezależnej, trochę tępej, lecz jednocześnie porywczej ludności, — pogwałcił on jednak ich przekonania i wzbudził głębokie podejrzenia. Żadną miarą nie mogli wywnioskować o co mu właściwie idzie. Chociaż był on w Londynie dość wybitną osobistością, dzięki swej działalności i książce „Pokój czyli przegrana sprawa“, ludność Bucklandbury nic o nim nie słyszała. Jego awanturnicza działalność w ich stronach wydawała im się śmiesznym przykładem mieszania oderwanych teoryj do oczywistych faktów, gdyż idea, iż narody mogą i powinny żyć w zgodzie, była wszak bardzo nierealna, a faktem oczywistym było, że nigdy tak nie żyły. Monkland, będące dobrami dworskimi, liczyło—oczywi-

ście — niewielu przeciwników Miltoun'a. Nastrój słuchaczy już podczas pierwszej przemowy głóściciela pokoju prędko przeszedł od zwykłej ciekawości do szyderstw, a od szyderstw do nienawiści, aż wkońcu, kiedy Courtier zajął postawę zdecydowanie wroga i począł używać zbyt ostrych argumentów, miał jedynie do zawdzięczenia wpływowemu pośrednictwu wicekarego, że z zatargu tego wyszedł cało... A jednak, kiedy rozpoczął swą przemowę, odczuwał względem tych ludzi nieprzepartą sympatię. Zdawali się być tak uderzająco niezależni. Oczekując swej kolei, w myśli oznaczył ich jako tych, z którymi dojdzie do porozumienia. Chociaż wiedział, iż musi się zawsze przeciwstawić idei niepopularnej, jednak nie sądził nigdy tak źle o żadnym poszczególnym osobniku, ażeby uważać go za zdolnego do przynależenia do tej właśnie grupy. Z pewnością ci ludzie niezależni i szlachetni nie dadzą się otumanić. Przeżył jeszcze jedno rozczarowanie w życiu. Nie mógł się z tem pogodzić, tak jak nie mogli się z nim pogodzić jego słuchacze. Odeszli, nie przebaczywszy i, nie zapominając, powrócili.

Zajazd, malutki, biały budynek, którego okienka zarośnięte były powojami, posiadał jeden pokój gościnny na piętrze, oraz malutką bawialnię, gdzie Courtier jadał. Pozostałą część domu zajmowała wielka, kamienną posadzką wykładana szynkownia z długim, drewnianym bufetem, ustawionym w głębi. Rozbrzmiewał tu co noc hałas rozmów, prowadzonych w dziwnym trochę żargonie. Od czasu do czasu — przy ogólnym chórze, życzącym dobrej nocy — wysuwała się przez drzwi jakaś postać, niepewnie trzymająca się na nogach, zatrzymywała się pod wielkim iesieniem, by zapalić fajkę i następnie powoli sunęła ku domowi.

Lecz tego wieczora, kiedy drzewa stały pogrążone w księżycowym pyłe, ci, którzy wychodzili z budynku, nie kierowali się w stronę domu, lecz krążyli w cieniu i łączyli się z innymi postaciami, wysuwającymi

się cichaczem z izby. Niebawem więcej jeszcze osobników napłynęło łąką i ścieżką, prowadzącą od cmentarza, aż zebrało ich się może trzydziestu lub więcej, szepczących między sobą z rodzajem jakiegoś podejrzanego zadowolenia. Niesamowita wesołość zdawała się czaić wśród cienia drzew przed domkiem, skąd z jedyne go oświetlonego okna dobywał się śpiewny głos czytającego mężczyzny. Śmiechy przycichły, szepcano.

— Wprawia się do przemówień.

— Wykurzymy tego szczwanego lisa.

— Pieprz turecki jest najodpowiedniejszy.

— Już zaczyna kichać.

— Drzwi zatarasowaliśmy dobrze!

Na widok twarzy, ukazującej się w oświetlonym oknie, wybuchł hałaśliwy śmiech.

Człowiek przy oknie mocował się gwałtownie z zasuwą. Śmiech potężniał. Uwięziony, pokonawszy zapórę, wyskoczył na ziemię, upadł, podniósł się, potknął i znowu upadł. Jakiś głos surowy spytał:

— Co to znaczy?

Z rozbiegającej się gromady dobiegł szepc:

— Jego lordowska mość.

Przestrzeń pod jesionami opróżniła się nagle, pozostała tylko wysoka sylwetka mężczyzny i biały cień kobiety.

— Czy to pan, M. Courtier, czy pan ranny?

Leżący człowiek odpowiedział:

— Coś mi się stało w kolano. Podli! O mało mnie nie zadusili.

ROZDZIAŁ VII

Tego samego wieczora w pałacu Monkland, Bertie Caradoc, opuściwszy palarnię, aby się udać na spoczynek, wstąpił na chwilę do hall'u, gdzie wisiał

barometr. Obserwowanie tego przyrządu weszło w codzienne przyzwyczajenie u sportowca, który poświęcał cały swój wolny czas zimą na polowanie, latem na wyścigi.

Hubert Caradoc, przygotowujący się również do kariery dyplomatycznej, bardziej niż którykolwiek z innych Caradoc'ów odziedziczył charakterystyczną siłę i różne słabostki swej rodziny. Był wysokiego wzrostu, zbudowany muskularnie, jego opalona twarz, o drobnych, regularnych rysach, odznaczała się wyrazem stanowczości, maskowanym obojętnością. Jego badawcze, szaro-bronzowe oczy zakryte były do połowy powiekami. Wrodzona skrytość broniła mu okazywać światu całej ich głębi. Nos miał suchy, zgrabny, wargi, pokryte ciemnymi wąsikami, zaledwie otwierały się, gdy mówił — głos miał przytłumiony i mowę niezwykle szybką. Cała powierzchowność zdawała się wskazywać człowieka rozumnego, praktycznego, zaradnego, obdarzonego zimną krwią, traktującego życie, jak gdyby ono było ujeżdżanym przez niego wierzchowcem, któremu można zaufać tylko tyle, by nie stracić nad nim panowania. Był to człowiek, dla którego teorie nie miały żadnej wartości, chyba, że natychmiast zostawały wprowadzone w czyn, nawskroś pedantyczny, żądający dla siebie zawsze najlepszego, lecz zdolny do stoicyzmu w potrzebie, gładki w obejściu, lecz zawsze gotów do zaczepki, zdolny przebaczać tylko te błędy i współczuć tylko tym nieszczęściom, które własne doświadczenie nauczyło go rozumieć. Takim był brat Milton'a w dwudziestym szóstym roku życia.

Skonstatowawszy, iż barometr nie opada, już miał zamiar udać się po schodach na górę, kiedy spostrzegł w głębi hall'u trzech zbliżających się ludzi. Będąc z natury ciekawy i ostrożny, czekał, aż przybliżą się pod światło lampy, a ujrawszy, iż jest to Milton i jeden z lokajów, podtrzymujący między sobą jakiegoś utykającego człowieka, natychmiast pospieszył z pomocą.

— Pan, zdaje się, wywichnął kolano. Chwilę cierpliwości... Przynieś krzesło, Karolu.

Usadowiwszy nieznanego na krześle, Bertie zawinał mu nogawicę spodni i obmacał kolano. Była w tym ruchu delikatna troskliwość ręki, przyzwyczajonej w swem życiu do obchodzenia się z choremi stawami i pęcunami koni.

— Hm, — rzekł — czy może znieść pan trochę bólu? Podtrzymaj go z tyłu, Eustachy. Ty, Karolu, usiądź na ziemi i przytrzymaj mu nogi na krześle. Uwaga.

Uchwycił nogę i pociągnął. Dał się słyszeć lekki trzask w stawie i zgrzytnięcie zaciśniętych zębów.

Bertie zawołał:

— Brawo, dzielny z pana człowiek. Tym razem obejdzie się bez konowala.

Odprowadziwszy swego kulawego gościa do pokoju, zamienionego naprędce na sypialnię i pozostawiając go pod opieką lokaja, obaj bracia odeszli.

— A więc, mój drogi, — rzekł Bertie, kiedy udawali się do swych pokojów — to położyło kres jego zamierzeniom, nie zaszkodzi ci już tym razem. Jednakże dzielny z niego człowiek.

Wieść, że Courtier znalazł przytułek pod dachem pałacu, rozniosła się między domownikami jeszcze przed śniadaniem, za pośrednictwem kogoś, którego zadaniem było wiedzieć wszystko i udzielać wiadomości innym.

Malutka Anna, odwiedzwszy rannym zwyczajem sypialnię matki, stanęła w charakterystycznej swej pozie, z główką podniesioną i rączkami za paskiem i natychmiast rozpoczęła:

— Wuj Eustachy przyprowadził wczoraj wieczorem człowieka ze zranionem kolanem, wuj Bertie nastawił mu to kolano. Wiliam mówił, że Karol powiedział, że tylko był taki lekki trzask.

Dał się słyszeć lekki odgłos uderzających o siebie ząbków.

— To jest ten człowiek, który mieszkał w za-
jeździe. Wiliam mówi, że schody były za wąskie jak
się go wносиło, i teraz, jak będzie miał zwichnięte ko-
lano, to długo jeszcze będzie chodził o lasce. Czy
mogę iść do ojca?

Rozczesując włosy, Agata pomyślała:

— Nie wiem, czy paski, umieszczone tak nisko,
są zdrowe dla dzieci.

— Zaczekaj chwilę — zawołała.

Ale małej już nie było. Jej głosik rozlegał się
w ubieralni sir Wiliama, który, jak to wnioskować
można było z jego odpowiedzi, golił się właśnie.
Kiedy Agata, nieopuszczająca nigdy odpowiedniej
okazji, aby zbliżyć się do swego męża, zajrzała tam
po chwili, zastała go już samego. Był to mężczyzna
wysoki, o spokojnej, solidnej twarzy i nieufnych
oczach, mało interesujący dla wszystkich, z wyjąt-
kiem swej żony.

— Courtier został złapany w sidła — rzekł. —
Nie wiem, co powie twoja matka na wroga w domu.

— Podobno on jest jakimś niedowiarkiem i ra-
czej...

Sir Wiliam, dążąc śladem swych myśli, przerwał
jej:

— Być może, iż jest to nawet niezłe mieć go
tutaj u nas, oczywiście, jeśli chodzi o Miltoun'a.

Agata westchnęła.

— Zdaje mi się, że powinniśmy być dla niego
uprzejmi. Muszę iść powiedzieć matce.

Sir Wiliam uśmiechnął się.

— Anna już się o to postara — odparł.

I w istocie Anna już się postarała o to. Usado-
wiona we framudze okna poza zwierciadłem, przed
którym siedziała lady Valleys, rozprawiała:

— Wyskoczył z okna przez ten pieprz turecki.
Miss Wallace mówi, że jest on teraz zakładnikiem.
Co to znaczy „zakładnik“, babuniu?

Kiedy sześć lat temu słowo „babunia“ uderzyło
po raz pierwszy o uszy lady Valleys, pomyślała:

„O Boże, więc naprawdę jestem już babką“. Był to dla niej do pewnego stopnia cios, który zdawał się kończyć pewien okres jej życia. Lecz praktyczny heroizm kobiety, łatwiej godzącej się z koniecznością, niż mężczyzna, przyszedł jej z pomocą. I teraz, w przeciwieństwie do męża, nie wzruszała się tem zupełnie. Nie odpowiadała tylko dlatego, że przedewszystkiem odpowiedzi były zupełnie zbyteczne dla podtrzymania rozmowy z małą Anną, powtórę, była głęboko pograżona w myślach.

— Ten człowiek był ranny! Gościnność przedewszystkiem, tembardziej, że ich poddani popełnili gwałt! Jednakże przyjmować przyjaźnie kogoś, kto zboczył z własnej drogi, by przyjść tu i podburzać ludność przeciw jej synowi, było to prawie-że ponad jej siły! Oczywiście, mogło być jeszcze gorzej! Mógł on być jakimś „niemożliwym“ dyssydentem i radykałem! Pomimo wszystko Courtier był człowiekiem znanym i bardzo zajmującym, a przytem zupełnie jawnym przeciwnikiem! Musi postarać się o to, by czuł się jak w domu! Jeśli się go rozważnie wybada, bezwątpienia można się będzie niejednego dowiedzieć o „tej kobiecie“! Przytem, jeśli będzie jadł ich chleb, napewno zechce poskromić nieco swą szkodliwą dla nich działalność. Wątpliwem jest tylko, czy można się tego spodziewać po tego rodzaju ludziach, którzy zawsze posiadają coś z arabskiej etyki!

Jej umysł zdolnej rządczyni zastanawiał się nad wszystkimi dodatnimi stronami wypadku, który — choć niefortunny — nie był pozbawiony komicznej strony dla kogoś, kto potrafi znaleźć zabawę we wszystkiem, co nie jest w całkowitej sprzeczności z jego interesami i pojęciami. Głosik małej Anny przerwał jej rozmyślania:

— Teraz idę do cioci Barbary.

— Dobrze, ale naprzód pocałuj mnie.

Mała Anna wyciągnęła buzię tak gwałtownie, że jej wystający nosek znalazł się nagle pomiędzy pełnemi, miękko zarysowanemi wargami lady Valleys.

Tego samego popołudnia Courtier, wyszedłszy ze swego pokoju na taras, ujrzał trzy złociste pawie, idące powoli po trawniku w kierunku kamiennego posągu Diany. Ptaki poruszały się z niesłychaną godnością, jakgdyby nic w życiu nie zmuszało ich do pośpiechu. Zdawały się rozumieć, że z chwilą, kiedy dojdą do celu, nie pozostanie im nic innego, jak tylko zawrócić. Poza niemi, poprzez wielkie drzewa, ponad zacienionemi pagórkami, otaczającemi trzęsawiska, poza obiecaną ziemią różowawych pól, pastwisk i sadów, widać było perspektywę, sięgającą dalekiego morza. Żar, płynący z nieba, przesycał cały ten obraz jakimś opalowym blaskiem, stroił czarodziejską szatą, zmieniającą i upiększającą wszystko, tak, że cztery proste ściany i wysokie kominy odległej o kilka mil garniarni w dolinie wydawały się Courtierowi wizją starej włoskiej warowni. Nastrój jego, gdy znajdował się w tym przymusowym areszcie, był szczególny. Nigdy nie żywił nieprzyjaznych uczuć dla Miltoun'a, którego spotkał dwukrotnie u Mrs. Noel, mimo, że się z nim nie zgadzał. Natomiast rodzina jego była mu zupełnie obojętna. Wałęsając się po świecie i jedząc chleb z niejednego pieca od czasu opuszczenia Westminsterkiej Szkoły, nie odczuwał żadnych klasowych antypatyj. Żywienie uczuć wrogich względem arystokracji, dlatego jedynie, że była arystokracją, zdawało mu się czemś niepojętem, podobnie jak i uległość względem niej. Jego sympatje kształtowały się odpowiednio do dwóch najwybitniejszych skłonności jego charakteru: awanturniczości i nienawiści despotyzmu. Robotnik, który bił swoją żonę, kupiec nieuczciwy, duchowny niesumienny, nieludzki dziedzic—byli mu jednakowo wstrętni. Ludzi traktował tylko jako indywidualności i zupełnie przypadkowa była u niego kwalifikacja sfery wówczas, kiedy rzucił okna Mrs. Noel wyzwanie Miltoun'owi. Przyzwyczajony do rozmaitych środowisk, pewny siebie, żyjący chwilą, nie znał lęku ani rozdrażnienia, wypływającego z przeczulonych nerwów. Jego niefrasobliwa

uprzejmość maćło jedynie zetknięcie z uczuciem niskim lub tchórzostwem. W takich wypadkach, zresztą dość częstych, wyglądał jakby mu serce płonęło i puklerz stoicyzmu, który je osłaniał, nigdy całkowicie nie topniał. Rezultatem tej wewnętrznej walki był wyraz spokojnego, sardonicznego a jednocześnie zabawnego zdesperowania.

Głównem więc jego uczuciem, wobec uwięzienia w obozie nieprzyjacielskim, była ciekawość połączona z lekkim rozbawieniem. Zazwyczaj ludzie wyrażali się dobrze o Caradoc'ach, zdawało się więc nie zbywać na przyjaźni między nimi a ich poddanymi. Złe rządy ani ubóstwo nie panoszyły się w ich dobrach. Chociaż mieszkańcy doznawali poparcia w swym rozwoju kulturalnym, nie troszczono się jednak zbytnio o polepszenie ich bytu. Utrzymywali się jednak na pewnym poziomie, otaczani statym, niepozabawionym hojności, nadzorem. Jeśli strzecha wymagała świeżego pokrycia, zostawała pokryta, jeśli jakiś człowiek stawał się za stary do pracy, nie był zmuszony do szukania przytułku w Domu Robotniczym. W latach nieurodzaju na zboże lub wełnę, dawano farmerom daleko idące ulgi w płaceniu tenuty. To prawda, że lord Valleys, choć uważał się za stałego przeciwnika polityki wywłaszczeniowej, nie zdradzał jednak żadnej tendencji do zachęcania ludności, by osiedlała się na własnym gruncie. Wynikało to zapewne z przeświadczenia, że ziemi tej lepiej się dzieje w posiadaniu obszarnika. Przeświadczenie to było widocznie tak silne, że nierzadko spotkać można było jego agenta, skupującego jeszcze więcej tych obszarów.

Ale, że w życiu najczęściej zwraca się uwagę na to tylko, co bezpośrednio interesuje, wszystkie te plotki, zarówno pochlebne jak i nie, zaledwie się obijały o uszy bojownika pokoju podczas jego kampanji w Monkland. Był on bowiem, jak wiadomo, niezbyt wytrawnym politykiem i chodził zwykle swemi drogami, zapatrzony jedynie w cel swych zamierzeń.

Stojąc na tarasie i rozkoszując się widokiem, usłyszał nagle cienki głosik i ujrzał małą dziewczynkę w wielkim kapeluszu, mającym chronić ją od słońca, który jednak był tak daleko zesunięty z czoła, że bynajmniej nie rzucał cienia na jej twarzyczkę. Mała rączka wyciągnęła się ku niemu. Ujął tę rączkę i odpowiedział:

— Dziękuję, czuję się znakomicie. A ty?

Para otwartych, szczerych oczu badała uważnie jego nogę.

— Czy boli?

— Nie warto wcale mówić o tem.

— Noga mojego kuca obrzmiała, babunia przyjdzie go obejrzyć.

— Czy być może?

— Muszę już odejść, życzę panu polepszenia, do widzenia.

Następnie na miejscu małej dziewczynki ujrzał Courtier wysoką, tęgą kobietę, przyglądającą mu się z wyrazem lekko drwiącej powagi. Ubrana była w grubą suknię, która zdawała się być skrajana zbyt ciasno do jej masywnych bioder, tak, iż nie starczyła już na okrycie kolan. Nie nosiła kapelusza ani rękawiczek, z ozdób miała jedynie pierścionki na palcach i mały zegareczek w skórzanej bransoletce na rękę. Cała jej postać zdawała się wskazywać na jakieś prawie przesadne zaniedbanie wszelkiego wykwintu. Wyciągając rękę dużą, lecz zgrabną, przemówiła:

— Najmocniej pana przepraszam, Mr. Courtier.

— Ależ niema za co.

— Mam nadzieję, że jest panu wygodnie u nas.

Czy ma pan wszystko, co potrzeba?

— Więcej, niż wszystko.

— Był to naprawdę bardzo przykry wypadek, umożliwił nam jednak przyjemność zawarcia znajomości z panem. Naturalnie czytałam pańską książkę.

Courtierowi zdawało się, iż twarz pani przybrała wyraz, zdający się mówić: Tak, bardzo mądra i zabawna, interesująca nawet! Lecz te poglądy! Na pe-

wno wie pan sam, że nie mogą znaleźć zastosowania w życiu, a nawet wcale nie powinny.

— To bardzo ładnie z pani strony.

Lady Valleys odpowiedziała tonem szorstkim, jakby domyślając się, iż Courtier uśmiecha się wewnętrznie.

— Nie zgadzam się z pańskimi poglądami absolutnie. To, co jest nam potrzebne w dzisiejszych czasach, to pochwała wojny — tembardziej w ustach żołnierza.

— Zaręczam pani, lady Valleys, iż lepiej jest pozostawić zachwalanie wojny człowiekowi, który ma o niej mniej dokładne pojęcie.

Lady Valleys obrzuciła go szybkim, badawczym spojrzeniem i rzekła:

— Mimo wszystko jestem przekonana, że polityka nie interesuje pana zbyt. Pan zna Mrs. Noel, nieprawdaż? Nadzwyczajnie przystojna osoba!

Podczas gdy mówiła, Courtier ujrzał idącą tarasem młodą dziewczynę. Wracając zapewne z przejażdżki konnej, nosiła bowiem wysokie buty i krótką, szeroką spódnicę. Oczy miała niebieskie, a włosy — koloru liści bukowych jesienią, kiedy słońce przez nie prześwieca, — zwinięte były mocno pod małym, miękkim kapeluszem. Była wysoka i szła tym charakterystycznym, pięknym krokiem kobiet, obdarzonych długą, smukłą linią bioder. Radość życia i pogodna jasna moc były z jej twarzy i całej postaci.

Lady Valleys zawołała:

— Barbaro! Pan pozwoli, Mr. Courtier, moja córka Barbara.

Courtier wyciągnął rękę, uściśnął obciążone rękawiczką paluszki i usłyszał jej słowa:

— Miltoun pojechał do miasta, mamę; muszę udać się samochodem do Buklandbury z poleceniem, które mi zostawił. Po drodze mogę wstąpić na stację po babunię.

— Musisz zabrać Annę, inaczej zamęczy nas tutaj, i — być może — Mr. Courtier zechce się też prze-

jechać. Przypuszczam, że pańskie kolano pozwoli już na to?

Spoglądając na urocze zjawisko, Courtier odparł:
— Ach, naturalnie.

Od czasu, kiedy był siedmioletnim chłopcem nie był w stanie spoglądać na piękne kobiety bez uczucia ciepła i lekkiego podniecenia, a teraz, mając przed sobą najpiękniejszą kobietę, jaką kiedykolwiek w życiu zdarzyło mu się widzieć, pragnął być przy niej tak często, jak tylko to będzie możliwe. Było coś czarującego w jej uśmiechu, jakgdyby przejrzała jego myśli:

— A więc dobrze, — rzekła — pójdziemy tylko po Annę.

Po krótkich, lecz usilnych poszukiwaniach znaleziono małą Annę w samochodzie. Instynkt uprzedził ją o zamierzonym przedsięwzięciu, w którym obowiązkiem jej było wziąć udział. Niebawem wyruszyli. Mała siedziała między nimi, nie mówiąc ani słowa. Była zdolna do milczenia tylko wtedy, kiedy się czemś naprawdę przejmowała.

Trzęsawiska i ugory, leżące poza ukwieconą, zaoraną i zabudowaną posiadłością Monkland, robiły wrażenie zupełnie innego świata. Tuż za ostatnim budynkiem, leżącym na zachodniej granicy dóbr, rozciągał się nagle widok najbardziej chyba pogański w całej Anglii. Na tej dzikiej arenie chmury, skały, słońce i wiatry spotykały się i obradowały.

Człowiek z epoki kamiennej pozostawił tu jeszcze ślady swego istnienia między wielkimi głazami, przyczajonemi jak groźne bestje na wierzchołkach gór, nad którymi unosiły się białe obłoki i bracia ich, orapieżne sępy i jastrzębie. Nawet martwe skały ożywione były jakimś duchem. Zmieniały one z dnia na dzień kształt, kolor i charakter, jakby w wiecznym uwielbieniu czegoś nieoczekiwanego, nie chciały podlegać jarzmu prawa. Wiatry w swym pędzie zmieniały ustawicznie kierunek i szalały w szczelinach i roz-

padlinach górskich, przypominając wciąż jeszcze ludziom w ich schronieniach władzę dzikich bogów.

Cuda tego widoku zupełnie przepadały dla małej Anny, a i w części dla Courtiera, który był poważnie zajęty godzeniem dwóch sprzecznych uczuć: chęci poprawnego zachowania się i niepokonanej ochoty ustawicznego patrzenia na piękną swą sąsiadkę. Zastanawiał się też nad tem, o czem myśleć może w tej chwili ta dziewczyna dwudziestoletnia, której obojętność i swoboda przypominały raczej dojrzałą kobietę. Mała Anna pierwsza przerwała milczenie:

— Ten dom nie musiał być bardzo mocny, prawda, ciociu Barbaro?

Courtier spojrział w kierunku jej paluszka.

Obok starej figury kamiennej, przedstawiającej człowieka, który był zapewne panem tego wzgórza, jeszcze zanim nastali tu inni ludzie, stały szczątki niewielkiego domku; z jednej strony tej smutnej ruiny zwieszał się kawał dachu, poza tem stała ona otworem.

— Ten człowiek był bardzo niemądry, budując go, nieprawdaż Anno? Dlatego też przezwano ten domek „Szaleństwem Ashmana“.

— Czy on jeszcze żyje?

— O nie, to było akurat sto lat temu.

— Dlaczego budował tutaj?

— Nienawidził kobiet i... Dach zapadł się nad nim.

— Dlaczego nienawidził kobiet?

— Bo był dziwakiem.

— Co to jest „dziwak“?

— Spytaj Mr. Courtiera.

Wytrzymując spokojnie drwiący wzrok dziewczyny, Courtier starał się znaleźć odpowiedź na to pytanie.

— Dziwak — odparł powoli — to taki człowiek, jak ja.

Usłyszał uśmiech i zauważył badawcze, przelotne spojrzenie Anny.

— Czy wuj Eustachy jest również dziwakiem?

— Oh, Mr. Courtier, teraz pan już wie, co o panu sądzi Anna. Nieprawdaż, Anno, ty bardzo lubisz wuja Eustachego?

— Tak — odparła mała, — patrząc znów przed siebie.

Courtier spoglądał zukosa ponad jej gołą główką. Zadowolenie jego wzrastało z każdą chwilą. — Dziewczyna, siedząca obok niego, przypominała mu młodziutką klacz, którą widział kiedyś prowadzoną do pierwszego wyścigu na torze Ascott. Trzymała szyję wysoko. Słońce błyszczało na jej gładkiej, kasztanowatej skórze, a jej oczy, pełne ognia, tak pewnie były zwycięstwa, jak tego, że trawa wokół jest zielona.

Trudno było zaiste uwierzyć w to, że Barbara jest siostrą Miltoun'a, jak trudno zresztą było uwierzyć we wzajemne pokrewieństwo czworga młodych Caradoc'ów. Poważny, ascetyczny, uduchowiony Miltoun, łagodna, ograniczona kurka domowa, Agata, Bertie, skryty, bystry i nieugięty, i ta szczera, rozbijająca swą radością życia, Barbara, — różnorodność tych charakterów była doprawdy wielka. Automobil minął ugory i, zjeżdżając stromym pagórkiem, miał teraz małe wille, oraz szare domki robotnicze, stojące na przedmieściu miasteczka Buklandbury.

— Muszę wstąpić teraz z Anną do kwatery Miltoun'a. Czy mam pana podwieźć do obozu wrogów, Mr. Courtier? Zatrzymaj na chwilę, Frith.

Zanim Courtier zdążył zaprotestować, samochód podjechał przed dom, na którym widniał zamaszycie wypisany szyld: „Chilcox, Okręg Buklandbury”.

Kiedy Courtier wszedł, kulejąc, do przesiąkniętego świeżą farbą pokoju komitetowego Mr. Humphreya Chilcoxa, unosił ze sobą wspomnienie, przepojone zapachem młodości i ambry.

W pokoju, naokoło stołu, siedziało trzech mężczyzn. Najstarszy z nich, człowiek o małych, szarych oczkach i szorstkiej bródce, powstał natychmiast i podszedł do Courtiera.

— Mr. Courtier, o ile się nie mylę — rzekł. — Rad jestem, że pana widzę, niezmiernie przykro było mi słyszeć o wypadku, który spotkał pana — choć z drugiej strony do pewnego stopnia wyszedł on nam na dobre. Naprawdę: gwałt ten przeczy wszelkiej uczciwej taktyce wyborczej i nie będę się dziwił, jeżeli przysporzy nam kilkaset głosów. Widzę, że skutki znać jeszcze po panu.

Szczupły człowieczek, z przebiegłą miną i sterzącymi włosami, podszedł, trzymając w ręku gazetę.

— Wywołało to jeszcze jeden skutek i to dość niemiły, — rzekł — może zechce pan przeczytać.

„Napad na znakomitego gościa“.

„Wieczorna awantura lorda Miltoun'a“.

Courtier przeczytał artykuł.

Nastąpiło złowrózbnne milczenie. Przerwał je człowiek o małych oczkach.

— Ktoś z naszego obozu musiał widzieć całe zajście, wsiadł na motocykl i przywiózł tu dokładną opowieść, zanim jeszcze oddano gazetę do druku. Nie rzucają oni żadnych oszczerstw na tę panią, stwierdzają tylko fakty. Zupełnie wystarczające zresztą, — dodał złowrózbnie — aby pogrzebać naszego przeciwnika.

Przebiegły człowieczek wtrącił niespokojnie.

— Nie mogliśmy temu przeszkodzić, Mr. Courtier. Zupełnie nie wiem, co powinniśmy uczynić. Przyznaję, że nie podoba mi się to wszystko.

— Czy kandydat wasz widział ten artykuł? — spytał Courtier.

— Nie mógł widzieć jeszcze, — wmieszał się trzeci mężczyzna, obecny w pokoju — samiśmy dowiedzieli się zaledwie przed godziną.

— Nigdybym nie pozwolił na coś podobnego — rzekł człowiek o przebiegłej twarzy. — Nie mogę wybaczyć tego redaktorowi.

— Właściwie — mówił człowiek o małych oczkach — jest to tylko zwyczajna wiadomość. Jeśli wzbudzi poruszenie, nie będzie w tem naszej winy. Gazeta nic nie zarzuca, konstatuje tylko fakty. Nie-wyraźne stanowisko tej pani dokonało reszty. Nie mogę temu zapobiec i, mówiąc szczerze, nie chcę wcale. Nie będzie przynajmniej tutaj rozwiązłych obyczajów w życiu publicznem, dzięki Bogu.

Było szczere przekonanie w jego głosie, lecz uchwyciwszy spojrzenie Courtiera, dodał:

— Czy pan zna tę panią?

— Od dziecka i ktokolwiek źle się o niej wyraża, będzie miał ze mną do czynienia.

Przebiegły człowieczek rzekł poważnie:

— Niech mi pan wierzy, Mr. Courtier, że jest nam niesłychanie przykro. Ten artykuł nie pochodzi od nas. Jest to jeden z tych wypadków, z których korzysta się wbrew własnej woli.

— Było to bardzo niefortunne, że wyszła ona wtedy na łąkę z lordem Mitoun'em. Pan wie przecież, jacy są ludzie.

— Poprostu umieścili to, co mogło zainteresować publiczność — rzekł trzeci komitetowy.

— Wiem tylko jedno — przemówił z uporem człowiek o małych oczkach, — jeśli lord Miltoun chce spędzać wieczory u samotnych niewiast, nie może potem winić nikogo, prócz siebie.

Courtier spoglądał na nich po kolei.

— To ostatecznie kończy mój udział w akcji wy-borczej — rzekł. — Jaki jest adres redakcji?

Nie czekając na odpowiedź, wziął gazetę i uty-kając, wyszedł z pokoju. Zatrzymał się na chwilę, odczytując adres, następnie ruszył dalej.

ROZDZIAŁ VIII

Barbara siedziała obok małej Anny, zagłębiając się w poduszki auta. Pomimo tego, iż zdażyła już poznać tajniki życia wielkoświatowego, których zgłębienie przynosi pewną przedwczesną dojrzałość i zblazowanie, twarzyczka jej miała wyraz naiwnej świeżości, który umila buzie dziecięcej. Patrzyła jednak z pewną obojętnością na mieszkańców Buklandbury, zdając sobie do pewnego stopnia sprawę z dziwnej mieszaniny uczuć, właściwej jej współmieszkańcom, gdy znajdowali się w jej obecności. Mieli oni zabawny wyraz twarzy ludzi, którzy usiłują patrzeć obojętnie przed siebie, zerkając jednocześnie na bok. Tak, dojrzała już ona na tyle, by ocenić ten tajemniczy wyraz, właściwy jej rodakom, ujawniający wszystkie cechy ich charakteru, tego charakteru, który zbudował podwaliny wielkiego narodu i utrwalił je — który był wrogiem cynizmu i pesymizmu, oraz wszystkiego, co pochodzi z Francji lub Rosji, macierzą wszystkich narodowych zalet i błędów, opiekunem wszelkich poczynań i zabójcą wszelkiej spekulacji — znała już to spojrzenie, które kierowało się w górę lub w dół, lecz nigdy nie spoglądało niczemu prosto w oczy, wzrok silny, głęboki, dziwny, płynący zawsze z istotnego źródła współzawodnictwa. Otoczona temi spojrzeniami, Barbara, która była z usposobienia niemniej Angielką, niż ludzie wokół niej, zerkając ukradkiem, wypatrując, rychło się pojawił jej nowy znajomy. Ona również pragnęła posiadać jakiś przedmiot zainteresowania, który mogłaby lekceważyć. I ten cel, zdaje się, osiągnęła. Courtier był człowiekiem z innego świata. Spotykała w życiu wielu mężczyzn, lecz żaden nie był do niego podobny. Wielką przyjemność sprawiało jej obcowanie z tym mądrym człowiekiem, który wielu rzeczy dokazał na arenie publicznej i którego życie obfitowało w wiele awanturnicznych przeżyć. Ci wszyscy literaci, ta cała

cyganerja, którą dotychczas znała, byli to raczej „faworycy dworscy“, konieczni arystokracji dla zachowania kontaktu z ostatnimi kierunkami sztuki i literatury. Lecz Courtier był człowiekiem czynu, nie można się było odnosić do niego z tą tolerancyjną admiracją, z jaką traktowało się ludzi, wyróżniających się tylko przez swe idee i sposób, w jaki utrwalali je na płótnie lub papierze. Władał i potrafił władać mieczem, jeśli nawet używał go jedynie w sprawach Pokoju. Kochał i potrafił kochać, jak o nim powszechnie mówiono. Gdyby Barbara była młodą dziewczyną z innej sfery, prawdopodobnie nie słyszałaby o tem nigdy, a jeśliby słyszała — mogłoby ją to urazić lub zgorszyć, lecz będąc lady Barbarą, słuchała o jego przeżyciach, gdyż wiedziała już, że mężczyźni są tacy właśnie, a nie inni, a i kobiety zresztą czasami również.

Z pewnego rodzaju wzruszeniem zauważyła jak zbliżał się, kulejąc, w jej stronę. Kiedy wsiadł do samochodu, wydała polecenie szoferowi:

— Teraz na stację, Frith, tylko prędko proszę --- i zwróciła się do niego:

— Panu nie można ufać. Proszę się wylegitymować, co pan robił przez ten czas.

Courtier uśmiechnął się tylko milcząco i pośepnie.

Barbara, która w tej chwili, po raz pierwszy w życiu spotkała się z wyraźnem zignorowaniem, drgnęła, jak pod lekkim uderzeniem. Usta jej się zacisnęły, oczy poczęły ciskać błyskawice. „Ach tak? Dobrze, mój drogi“ pomyślała. Lecz spojrzawszy ukradkiem w bok, zauważyła tak dziwny wyraz na jego twarzy, iż momentalnie zapomniała, że czuje się urażona.

— Czy stało się coś złego, Mr. Courtier?

— Tak, lady Barbaro, bardzo wiele złego stało się przez podłe, nikczemne języki ludzkie.

Barbara posiadała intuicyjną świadomość tego, co jej w każdym wypadku czynić należy. Było to pewne umysłowe zrównoważenie, którego przykład

brała z ludzi obserwowanych i rozmów, słyszanych już od wczesnego dzieciństwa. Ufała tej intuicji. Porozumiewając się z Courtierem wzrokiem ponad ciemną główką Anny, spytała:

— Czy coś w związku z Mrs. N.?

Wyczytawszy odpowiedź potwierdzającą w jego oczach, dodała szybko:

— I z M.?

Courtier skinął głową.

— Wiedziałam, że tak będzie! Niech sobie gadają, kogoż to może obchodzić!

Pochwyciła jego pochwalające spojrzenie i szept:

— Doskonale.

Samochód podjeżdżał do stacji Buklandbury. Mała, szara figurka lady Casterley, wychodząca z drzwi budynku stacyjnego, zdradzała tylko nieznaczne ślady zmęczenia długą podróżą. Zatrzymała się przy aucie, patrząc bystro na siedzące w niem osoby.

— Jak się masz, Frith. Mr. Courtier, jeśli się nie mylę? Czytałam pańską książkę. Nie zgadzam się zupełnie z panem. Jest pan bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Dzień dobry panu. Muszę wziąć ze sobą te dwie walizki, resztę może zabrać platforma... Randle, usiądź z przodu i uważaj, żebyś się nie zakurzyła. Anno...

Lecz mała Anna znajdowała się już koło szofera, oddawna planując tę zmianę.

— Hm, a więc zranił pan nogę? Niech pan się nie rusza, zmieścimy się we trójkę. Teraz, moja droga, ucałuj mnie. Urosłaś, widzę, znowu.

Pocałunek lady Casterey, jeśli nim kogoś łaskawie obdarzyła, pozostawał czemś niezapomnianem, jak również i pocałunek Barbary, choć tak bardzo różniły się one. Oczy lady Casterley, starcze, błyszczące i badawcze, upatrywały miejsca, którego dotknąć miały jej wargi, następnie wyciągała spiczastą brodę, usta jej wahały się chwilę, jakby chcąc się upewnić, dotykały potem sucho i twardo policzka,

drgały leciutko, łagodząc trochę dotyk, wreszcie odskakiwały, jak z procy. Co do Barbary, to oczy jej nabierały ognia, dołeczek ukazywał się na brodzie, usta poddawały się lekko, unosiła się całym ciałem i wreszcie dawał się słyszeć lekki, słodki odgłos. — Ucałowawszy babkę, Barbara poprawiła się na miejscu i spojrzała na Courtiera. Siedząc „we trójkę”, zmuszony był jej dotykać i zdawało się jej, że mu to bynajmniej nie sprawia przykrości.

Od zachodu podniósł się wiatr i rozproszył chmury, tak, że ukazały się promienie słońca. Ostry głos kukulek gonił za pędzącym autem. Głęboki, słodki zapach łąk, zarosłych wrzosem i paprocią, płynął na skrzydłach wiatru. Lady Casterley ze swemi cienkimi, rozdętymi dla wdychania woni, nozdrzami, podobna była do drobnego, drapieżnego ptaka.

— Doskonałe powietrze macie tutaj — rzekła.

— Teraz, panie Courtier, zanim zapomnę, może zechce mnie pan objaśnić kim jest ta Mrs. Noel, o której ciągle słyszę.

Barbara nie mogła się powstrzymać od zerknięcia w bok na Courtiera. Jak zachowa się wobec babki? Oto nadeszła chwila, aby zobaczyć, jaki on jest właściwie. Babunia była naprawdę straszliwa.

— Mrs. Lees Noel jest wyjątkowo uroczą kobietą, lady Casterley.

— Wcale nie wątpię, lecz znudziło mi się słuchać o tem od wszystkich. Chciałabym się dowiedzieć o jej historii.

— A czy posiada ona jakąkolwiek?

— Ha — rzekła lady Casterley.

Bardzo, bardzo leciuteńko przycisnęła Barbara rękę swą do ramienia Courtiera. Co za nadzwyczajna rzecz być świadkiem porażki babuni!

— Może wobec tego dowiem się czegoś o jej przeszłości?

— Nie ode mnie, lady Casterley.

— Wszystko to jest nader tajemnicze, lecz potrafię sama dowiedzieć się tego, na czem mi zależy.

Ty znasz ją podobno, moja droga, musisz pójść ze mną do niej.

— Ależ babuniu, gdyby ludzie nie mieli przeszłości, nie mieliby również przyszłości.

Lady Casterley zacisnęła mocno drapieżną dłoń na ręce wnuczki.

— Nie mów głupstw i nie rozkładaj się tak, jesteś już za duża na to...

Tego wieczora przy obiedzie wszyscy już wiedzieli o ostatnich wypadkach. Sir William dowiedział się o nich od agenta z Staverton, gdzie wygłoszona przez lorda Harbingera mowę zakłócono kilkakrotnie ordynarnymi wystąpieniami. Geoffrey Winlow przyjechał z Winkleigh na swym aeroplanie, przywożąc kilka numerów tego obelżywego świstka. Jedyнным domownikiem, który nie słyszał o niczem, był lord Dennis Fitz-Harold, brat lady Casterley.

Przy obiedzie mówiono niewiele o sprawie Milton'a, lecz, gdy tylko panie usunęły się, lord Harbinger otwarcie i z porywczością, której trudno się było u niego spodziewać, sądząc po spokojnej i klasycznej twarzy — oznajmił, że jeśli się nie przedsięwzięmie zaraz ostrych środków zaradczych, kandydaturę Milton'a uważać można za przepadłą. Naprawdę, sprawa była poważna! Ci nędznicy wiedzą o tem i postarają się skorzystać! A Milton pojechał sobie do miasta tymczasem, niewiedomo zupełnie po co? Djabelnie przykra sprawa! W przemowie tego młodego człowieka dominował zawsze lekko drwiący ton, oraz pewność siebie, której nic nie zdołało zachwiać, prócz obawy śmieszności. W tym jedynym wypadku tracił grunt pod nogami.

Wypowiedziane trochę ironicznie słowa: — O co właściwie idzie, drogi przyjacielu? — powstrzymały natychmiast jego wywody.

Lord Dennis Fitz-Harold, brat lady Casterley, był przeciwieństwem, a zarazem jakgdyby uzupełnieniem swej siostry. Jego lekko-ironiczna ogłada przeczyła zupełnie jej porywczej stanowczości. Głos,

spojrzenie i zachowanie się, były podobne do miękkiej, aksamitnej kurtki, którą nosił, błyszczącej tu i owdzie białawym połyskiem, jakby od dotknięcia promieni księżycowych. Włosy jego posiadały również ten połysk. Delikatne rysy okolone były białym zarostem. Oczy brązowe, przejrzyste, patrzyły otwarcie z wyrazem trochę surowej dobroci. Jego twarz, chociaż bardzo delikatna, o cerze ani ogorzałej, ani zgrubiałej, miała jednak dziwne podobieństwo do twarzy starych marynarzy i rybaków, prowadzących proste, niewyszukane życie, podległe surowej tradycji. Była to twarz człowieka o stałych przekonaniach, niechętnie usposobionego dla wszystkich inowacyj, które już był zresztą przewidział, rozpatrzył i odrzucił kilkadziesiąt lat temu. Dawało się odczuć u niego to, że oderwane rozważania — niepozabawione zresztą subtelności, ani pewnych inklinacyj w kierunku estetyki — dawno już przestały wpływać na jego postępowanie, że zdolność kombinacyj umysłowych ustąpiła miejsca zdolności praktycznego sądzenia na podstawie zdobytego doświadczenia. Zawdzięczając zupełnej nieumiejętności reklamowania się — właściwej temu, który jest tak pewny swej wartości, iż nie dba o opinię — oraz przywiązaniu do pewnej nieżyjącej już teraz kobiety, przeszedł przez życie, usunięty w cień. Posiadał jednak pewien wpływ w towarzystwie. Wiadomem było bowiem ogólnie, że posiada zdolność jak najprostszego ujmowania spraw. Uważano go za ostatnią deskę ratunku. — Jest już tak źle? Hm, może się zwrócisz do starego Fitz-Harolda. Poradzić może ci i nie poradzi ale napewno powie coś, co może się przydać.

I teraz w sercu tego, do pewnego stopnia aroganckiego młodzieńca, jakim był Harbinger, zrodziła się obawa. Może wyraził się za swobodnie? Może powiedział coś nieodpowiedniego? Zapomniał jak na śmierć o tym staruszk! Traćając Huberta nogą, rekl:

— Zapomniałem, że pan jeszcze nic nie wie, lordzie Fitz-Harold. Bertie wytłumaczy panu wszystko.

Bertie, zaledwie otwierając swoje wąskie usta i patrząc w pół-przymkniętymi oczami na swego wujka, tłumaczył. W odnajętym domku w Monkland mieszka jedna pani — bardzo ładna zresztą — Mr. Courtier zna ją — Miltoun odwiedzał ją od czasu do czasu — tego wieczora był u niej trochę później, łotry skorzystały z tego — wyolbrzymiły sprawę, zarzucając różne rzeczy — może przepaść na wyborach, jeśli się jakoś nie zaradzi. Djabelnie przykra historja!

Jego zdaniem, Miltoun, aczkolwiek zawsze równoważony, tym razem okazał dziwną nieostrożność, pozwalając, by ta pani wyszła z nim razem na łękę, zdradzając się tem samem, gdzie był, nim pospieszył z pomocą Courtierowi. Nie należy afiszować się z kobietami, które nie posiadają określonego stanowiska, choćby były najbardziej pociągające.

Nastąpiło ogólne milczenie. Przerwał je Winlow: Co im teraz czynić wypada? Może należy zadesperzować po Miltoun'a? Tego rodzaju rzeczy roznoszą się lotem błyskawicy. Sir Wiliam, nieprzyzwyczajony do zwalczania jakichkolwiek trudności, wyraził obawę, że sprawa może mieć bardzo niepożądane następstwa. Zdaniem Harbingera należało obić redaktora pisma. Czy nikt nie wie, jak się zachował Courtier, gdy się o tem dowiedział? Gdzie się on podziewa obecnie, czy obiada w swoim pokoju? Bertie zauważył, że jeśli Miltoun znajduje się w Valleys House, to depesza może go jeszcze tam zastać. Cała sprawa musi być natychmiast zlikwidowana! Im dłużej zastanawiali się nad sytuacją, tem dokładniej zdawali sobie sprawę z zuchwałej bezczelności, tembardziej wzbierała w nich chęć dania czynnej nau czki łotrom, winnym zamieszania, — krewkość, właściwa młodym ludziom z wysokich sfer. Nagle rozbrzmiał głos starego lorda Dennisa:

— Zastanawiam się nad tą biedną kobietą!

Odwracając się gwałtownie w stronę, skąd dobiegał go miły, starczy głos i starając się odzy-

skąć nad sobą panowanie, które go rzadko zresztą opuszczało, lord Harbinger bąknął:

— Tak, oczywiście, lordzie Fitz-Harold — naturalnie!

ROZDZIAŁ IX

W mniejszej bawialni, używanej tylko wtedy, kiedy w domu przebywało niewiele osób, Mrs. Winlow zasiadła do fortepianu. Grała ona wyłącznie dla własnej przyjemności, gdyż lady Casterley, lady Valleys i jej obie córki skupiły się, omawiając ostatnie wypadki.

Było to najlepszem świadectwem dla Miltoun'a, że zarówno tutaj jak i w sali jadalnej nie panowała żadna wątpliwość co do czystości i prawości jego stosunku z Mrs. Lees Noel. Jednak, kiedy tam cała sprawa rozpatrywana była jedynie z punktu widzenia przyszłych wyborów, tutaj okoliczność ta była drugorzędna. Umysły kobiece, dochodzące z intuicyjną szybkością do jądra wszystkiego, co zagraża mężczyźnie do nich należącemu, zdawały sobie już doskonale sprawę z tego, że powstałe plotki jeszcze bardziej przykuć mogą człowieka o usposobieniu Miltoun'a do tej kobiety.

Rozporządzały one tak niewielką garstką faktów, poza któremi powstawała cała masa najróżnorodniejszych przypuszczeń, że w istocie wszelka dyskusja na ten temat stawała się boleśnie trudna. Nigdy przedtem zapewne nie zdawała sobie żadna z tych czterech kobiet tak jasno sprawy z tego, jak wielką rolę odgrywał Miltoun — ten dziwny i niezrozumiały wnuk, syn i brat — w ich egzystencji. Ich tłumione wzruszenie ujawniało się w rozmaity sposób: lady Casterley, siedząc wyprostowana w swem krześle, okazywała je przez jeszcze

większą arbitralność swej przemowy, przez ciągle nerwowe poruszanie ręką i zmarszczkę na zwykle gładkiem czole. Na twarzy lady Valleys widniało zdziwienie, jakgdyby niespodziankę sprawiał jej fakt, iż przejmuje się czemś na serjo. Agata zdawała się wyraźnie zaniepokojona. Ta spokojna kobieta odznaczała się w gruncie rzeczy bardzo silnym charakterem i obdarzona była wrodzonym pietyzmem, dzięki któremu przyjmowała bez zastrzeżeń raz ustalony porządek rzeczy w życiu i religji. Całym światem był dla niej dom i rodzina i odczuwała istotny, choć trochę opanowany strach przed wszystkim, co godzić mogło w jej ideał. Ludzie uważali ją za spokojną, nudną, ograniczoną kobietę, porównywali do kury, drepcącej wiecznie koło swych kurcząt. Być może, iż nie odznaczała się ona wybitnym charakterem, lecz to pewne, iż jej zmartwienie wobec sytuacji, w jakiej znajdował się brat, było szczere i niełatwe do pocieszenia. Widziała niebezpieczeństwo, które mu groziło z tej strony, z jakiej jedynie pojmowała mężczyznę — jako przyszłemu mężowi i ojcu i to jedynie przemawiało do jej serca, choć i z drugiej strony pobożność ostrzegała ją przed zagładą jego duszy, podzielała bowiem poglądy kościoła anglikańskiego na nierozzerwalność małżeństwa.

Co do Barbary, to stała ona koło kominka, oparłszy się białymi plecami o rzeźbiony marmur, z rękami wtył założenemi. Oczy miała spuszczone. Od czasu do czasu krzywiła usta, ściągała proste brwi, albo lekko wzdychała. Chwilami słaby uśmiezek, który natychmiast powściągała, wybiegał na jej usta. Ona jedyna milczała, — młodość krytykująca życie! Jej zapatrywania wyrażały się tylko przez równy, niczem niezmacony oddech, przez niecierpliwie chwilami marszczenie czoła, spojrzenie opuszczonych niebieskich oczu, pełnych spokojnego, nieugaszonego blasku.

Lady Valleys westchnęła.

— Gdyby tylko nie był takim dziwakiem! Jest zdolny do tego małżeństwa przez czystą przewrotność.

— Co takiego? — rzekła lady Casterley.

— Nie widziałaś jej nigdy, mamó. Nieszczęście chce, iż jest wyjątkowo interesująca — twarz ma prawdziwie piękną.

Agata wtrąciła spokojnie.

— Mama zapomina chyba, że mąż się z nią rozwiódł. Nie przypuszczam, żeby Eustachy w tym wypadku zechciał się z nią ożenić.

— Tak, oczywiście, — szepnęła lady Valleys, — być może, że to uratuje sytuację.

— Czy nie wiecie jaki był powód rozwodu? — spytała lady Casterley.

— Hm, wikary twierdzi, że to ona zażądała go, lecz wikary jest bardzo dobroduszny. Być może, że było tak, jak Agata przypuszcza.

— Nie znoszę niepewności. Dlaczego nikt nie zapytał się wprost tej kobiety?

— Powinnaś pójść ze mną, droga babuniu, i zapytać jej sama. Napewno uczynisz to ładnie i taktownie.

Lady Casterley podniosła wzrok na wnuczkę.

— Pomówimy jeszcze o tem, — odpowiedziała.

Wyniosłe i krytyczne spojrzenie jej oczu zła-godniało nieco. Narówni z innymi nie mogła się ona powstrzymać od pewnej pobłażliwości względem Barbary. Podziwiała ona nawet — chociaż niezwykle była nic nigdy podziwiać, tę potężną radość życia, promieniejącą od dziewczyny, jak od wspaniałej nimfy, rozbijającej wokół siebie fale nagiemi biodrami i odrzucającej ramionami pianę wód. Czuła, iż raczej w tej wnuczce, niż w dobrodusznej Agacie żyje duch partycjuszowski. Bezwątpienia i Agata posiadała swe zalety, przede wszystkim powagę i wzniosłe zasady, lecz jej ograniczony światopogląd i zbytńia anglikańskość przekonań, raziły trochę wielkopańskie usposobienie lady Casterley.

Barbara napewno nie zastanawiała się nad problemami moralności lub nad zagadnieniami, które nie miały istotnego znaczenia dla jej sfery. Być może sprzeciwiała się im nawet czasami, poprostu z przekory, właściwej jej bujnej naturze,—w myśl choćby tej zasady, którą śmiała dziewczyna wygłosiła: „Gdyby ludzie nie mieli przeszłości, nie mieliby również przyszłości”. A lady Casterley nie znosiła ludzi, którzy nie mieli przyszłości, była ambitna nie tą niską ambicją kogoś, kto stał się czemś z niczego, lecz tą wzniosłą ambicją ludzi, stojących u szczytu i pragnących nadal tam się utrzymać.

— A gdzież ty poznała tę... tę nieznaną panią? — zapytała.

Barbara odeszła od kominka i pochyliła się, obejmując babkę.

— O mnie się nie obawiaj, babuniu, mnie ta znajomość zaszkodzić nie może.

Z poza otaczających ją ramion wnuczki lady Casterley wychyliła twarz z wyrazem powątpiewania. Strofowała ją łagodnie:

— Już ja znam twoje wykręty, powiedz natychmiast gdzieś ją poznała.

— Spotykamy się czasami. Jest taka śliczna! Rozmawiamy ze sobą.

Agata odezwała się znowu:

— Moja droga Barbaro, uważam, że ta zażyłość jest przedwczesna.

— Dlaczego, moja droga Agato? Gdyby miała nawet czterech mężów, cóż mnie to może obchodzić?!

Agata przygryzła wargi. Lady Valleys szepnęła z uśmiechem:

— Doprawdy jesteś niemożliwa, Barbaro.

Muzyka Mrs. Winlow ucichła. Mężczyźni weszli do bawialni. Twarze wszystkich czterech kobiet przybrały nagle wyraz obojętny, jakgdyby nałożyły maski, gdyż, chociaż znajdowały się wśród rodziny,—Winlowowie byli kuzynami — każda z nich odczuwała na swój sposób, że temat nie nadaje się do

ogólnej dyskusji. Rozmowa potoczyła się teraz, przeskakując od afery wojennej — o której Winlow twierdził, że z pewnością w ciągu tygodnia, będzie zlikwidowana — do ostatniej mowy Brabrooka, zimitowanej natychmiast przez Harbingera. Następnie rozważano brawurowy lot aeroplanem, dokonany przez Winlowa, ostatni artykuł Andrzeja Granta w Partenonie i karykaturę lorda Harbingera, zamieszczoną w Cakler, zatytułowaną: „Nowy Torys, Lord H-ger przynosi swym przyjaciółom reformę socjalną”, która wyobrażała go, ukazującego nagie niemowlę całemu szeregowi starych, utytułowanych dam. Z kolei mówiono o modnym tancerzu, o nowej ustawie ubezpieczeniowej, potem znów o wojnie, o świeżo wydanej książce pisarza francuskiego, i znów o locie Winlowa. Wszystko wypowiedziano poprostu i otwarcie, jakgdyby każdy mówił właśnie to, co mu w danej chwili przyszło do głowy. Lecz we wszystkim dawało się odczuwać jakieś dziwne pomijanie głębszego znaczenia omawianych kwestyj, lub może tego znaczenia nikt nie umiał się dopatrzyć.

W drugim końcu pokoju siedział lord Dennis, przeglądając tekę ze sztychami. W pewnej chwili uczył lekkie dotknięcie, a poczuwszy specyficzny delikatny zapach, spytał, nie odwracając głowy:

— Śliczne ilustracje, nieprawdaż Barbaro?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, spojrział poza siebie. Rzeczywiście, pochyłona nad nim stała Barbara.

— Nienawidzę obgadywania po za czyjemiś plecami, — rzekła.

Istniała pomiędzy tym dwojgiem ludzi przyjaźń, datująca się już od czasu, kiedy Barbara, — urocza złotowłosa dziewczynka, siedząca po męsku na małym, szarym kucy, — towarzyszyła lordowi w jego codziennych konnych przejażdżkach. Teraz już oddawna nie uprawiał tego sportu, jak i zresztą wszystkich innych, prócz jednego rybołówstwa, któremu oddawał się z zaciętością człowieka, obdarzonego

dumną, wytrzymałą naturą, niemogącą się pogodzić z nieubłaganem piętnem czasu. Choć jednak przestał być jej towarzyszem, pozostał zawsze jeszcze powiernikiem, i teraz spoglądał na nią, gdy odchodziła ku oknu, z wyrazem zawiedzionego wyczekiwania.

Noc zapadła, jedna z tych ciemnych, a jednak promienistych nocy, kiedy zdaje się, że złe moce rozpętały się w niebiosach, kiedy gwiazdy, błyskające z poza chmur, wyglądają jak oczy, mrugające ku ludziom ze złowrobną złośliwością. Ponury nastrój przenikał wielkie, szumiące drzewa prócz może jednego ciemnego, krętego cyprysa, który stał tu już od trzystu pięćdziesięciu lat i którego wyniosły kształt zdawał się być wcieleniem najistotniejszego ducha tradycji. Nie szumiał on, ani łamał się jak inne drzewa. Zbyt delikatne miał nerwy, zbyt dumny był, by ugiął go dech natury. Dawał się słyszeć tylko suchy szelest; cyprys ten, wciąż jeszcze egzotyczny, mimo iż od wieków przebywał na tym gruncie, był prawie-że przerażający w swej ostrej, groźnej powadze, jakgdyby coś wyszło i wymarło w głębi jego duszy. Barbara odeszła od okna.

— Nie pozostaje nam, zdaje się, nic innego w życiu, jak zabawa w ryzyko,— rzekła.

Lord Dennis spytał sucho:

— Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć, moja droga.

— Pomyśl tylko o Courtierze — powiedziała,— życie jego jest o tyle ryzykowniejsze, niż życie którekolwiek z naszych mężczyzn. A jednak kpi sobie z niego.

— A właściwie cóż on takiego uczynił w życiu?

— Oh, bezwątpienia, nic wielkiego, ale w każdym razie stawia wszystko na jedną kartę, a tymczasem cóż ryzykuje taki Harbinger na przykład? Jeśli nawet jego reformy socjalne nie doprowadzą do niczego, pozostanie on zawsze lordem Harbingerem z pięćdziesięcioma tysiącami funtów rocznego dochodu.

Lord Dennis spojrział na nią z dziwnym wyrazem.
— Czy być może, iż tak mało przypisujesz mu wartości, Barbaro?

Barbara wzruszyła ramionami, szal zsunął się trochę, ukazując białe plecy.

— Właściwie jest to wszystko tylko zabawa, a on wie o tem najlepiej — wyczuwa się to w jego głosie. Oczywiście, że nie może zaradzić temu, iż go to niewiele obchodzi, — i z tego zdaje sobie równie dobrze sprawę.

— Słyszałem, że interesuje się tobą i że stara się o twoje względy. Czy to prawda?

— Starania jego nie uwieńczyone zostały jeszcze żadnym rezultatem.

— A czy zostaną?

Zamiast odpowiedzi Barbara znów wzruszyła ramionami i mimo jej dojrzałej, posągowej piękności, ruch ten przypominał małą dziewczynkę w szkolnym fartuszk.

— Powracając do Courtiera, — rzekł lord Dennis sucho — zdaje mi się, że ty się nim interesujesz.

— Interesuję się wszystkimi i wszystkim, wiesz przecież o tym, wuju.

— W jakim celu, moje dziecko?

— W celu — naturalnie tak, jak Eustachy... — urwała.

Harbinger stał tuż za nią, z wyrazem takiej uniżoności, jaką rzadko zdarzało mu się przybierać. Istotnie w spojrzeniu, jakim ją obrzucał, malowała się prawie że trwoga.

— Czy zechce pani zaśpiewać tę piosenkę, którą tak bardzo lubię, lady Barbaro?

Odeszli razem w stronę fortepianu. Lord Dennis, patrząc za tą wspaniałą młodą parą, gładził swą białą brodę z wyrazem powagi i głębokiego zadumania.

ROZDZIAŁ X

Nagła podróż Miltoun'a do Londynu podjęta była na zasadzie decyzji, którą powziął już w chwili, kiedy po raz pierwszy ujrzał Mrs. Lees Noel w przedsionku fermy Burracombe. Jeśli będzie mu przychylna — a od ostatniego wieczoru, z nią spędzonego, zdawało mu się, że będzie napewno — zdecydował się poślubić ją.

Życie jego, z wyjątkiem jedyne go przekroczenia przyjętych zasad, było bardzo surowe. Nie znaczyło to jednak, by natura jego odznaczała się chłodem. Przeciwnie, ogień, zazdrośnie ukrywany, nurtował głęboko w jego duszy przytłumionym płomieniem, którego nic nie podsycalo. Z chwilą, kiedy w sercu jego zapanowała miłość do tej kobiety, ogień rozgorzał gwałtownie. Była ona wcieleniem wszystkich jego pragnień. Jej włosy, oczy, postać cała, dołeczki w kąciakach ust, w tem miejscu, gdzie dziecko kładzie swój paluszek, jej sposób poruszania się, dźwięk radości w głosie, który nietyle pochodził z jej własnego zadowolenia, ile z głębokiego pragnienia uszczęśliwienia innych, przyrodzona, żywa inteligencja, która jest udziałem dobrych, współczujących, a którą rzadziej można znaleźć wśród ambitnych, żądnych władzy kobiet — wszystko to zapadło mu głęboko w serce. Nietylko marzył o niej, lecz pożądał jej, wierzył w nią. W myślach widział ją zawsze jako istotę niezdolną czynić źle, która, będąc żoną, będzie jego panią, a jednocześnie towarzyszką w każdej dziedzinie życia.

Nikt nigdy nie odważył się plotkować o kobietach w obecności Miltouna. Całą historję rozvodu Mrs. Noel sprowadzał jedynie do przekonania, że to ona była stroną pokrzywdzoną. Oprócz rozmowy z wikarym, raz tylko jeden zdarzyło mu się napomknąć o tej sprawie, a to w odpowiedzi na uwagę pewnej pani, która stała blisko spraw sądowych.

— Ach, tak, Mrs. Lees Noel, pamiętam ten wypadek doskonale. To ta biedna kobieta, która...

— Nie uczyniła tego z pewnością, lady Bonington — przerwał Milntoun.

Ton jego głosu wywołał czyjś uśmiech. Zmienił temat rozmowy.

Chociaż rozwody nie zgadzały się z jego przekonaniami, jednak przyznawał trochę niepewnie, że istnieją wypadki, kiedy odzyskanie wolności jest nieuniknioną koniecznością. Nie był człowiekiem, który domaga się zwierzeń, lub nawet czeka na nie. On sam nie dzielił się z nikim swymi duchowymi przeżyciami, a inne nieduchowe przeżycia nie interesowały go zupełnie. Był gotów w każdej chwili oddać swe życie w ofierze dla bóstwa, któremu wznosił ołtarz w swej duszy, tak jakby szczerze i prosto osłonił swem ciałem tę kobietę w razie jakiegoś niebezpieczeństwa.

To samo zaślepienie, które sprawiło, iż traktował swą miłość jako kwiat odosobniony, wyrosły sam przez się i bez względu na to, czy stosowny będzie wśród kwietników ogrodu społecznego, to zaślepienie było główną siłą, która kierowała nim w podróży do Londynu i skłoniła do wyjawienia swych zamierzeń ojcu, zanim jeszcze rozmówił się z Mrs. Lees Noel. Chciał to uczynić szczerze i otwarcie, gdyż posiadał odwagę cywilną, będącą udziałem ludzi, których życie zasklepiło w skorupie własnych dążeń. Być może nie była to tyle czynna odwaga, ile zupełna obojętność na to, co inni myślą lub czynią, płynąca z wrodzonego nieposzanowania czyichś uczuć. Specyficzny uśmiech starego kardynała z czasu Tudorów — który zawierał w sobie niezwykłą pewność siebie i rodzaj mądrej ironji — błąkał się po jego twarzy, gdy zastanawiał się nad wrażeniem, jakie wywołała ta nowina na jego ojcu; lecz niebawem przestał się tem wogóle interesować, zagłębiwszy się w pracy, którą brał był ze sobą na drogę. Posiadał on w wysokim stopniu rozwiniętą, a tak niezbędną w życiu publicz-

nem zdolność łatwego przerzucania uwagi z jednego tematu na drugi.

Przybywszy do Londynu, udał się natychmiast do Valleys-House.

W tym wielkim budynku, z długim przedsieniem, wspartem na szeregu arkad, wszystko zdawało się nosić na sobie wyraz zdziwienia, że w pełni sezonu nikt go jeszcze nie zamieszkuje. Trzech służących odebrało od Miltoun'a bagaż. Umył się, przebrał, a dowiedziawszy się, że ojciec będzie w domu dopiero na obiedzie, udał się spacerem w kierunku swego mieszkania w Temple. Jego wyniosła postać, trochę niedbale odziana, zwracała powszechną uwagę, której zresztą był jak zwykle nieświadomy. Idąc naprzód, rozmyślał o takim Londynie, o takiej Anglii, która różniłaby się od tej czczej wrzawy, od tego różnorakiego zbiorowiska, od niezgodnej symfonji krzyżyków i bemoli, o Londynie i Anglii szanującej się i poważnej, wolnej, oczyszczonej z zaułków, plutokracji, reklamy, szpetnych budowli, sensacji, wulgarności, grzechu i bezrobocia. Takiej Anglii, gdzie każdy człowiek będzie wiedział, gdzie jego miejsce, nie będzie dążył tam, gdzie nie należy, lecz na własnym stanowisku służyć będzie lojalnie swojej sferze; gdzie każdy człowiek od szlachetnie urodzonego do robotnika będzie despotą z przekonania, a gentlemanem w życiu, — Anglii, która będzie tak potężna i tak wpływowa, że sam jej widok wystarczy, by uczynić Pokój, — Anglii, której dusza będzie piękna i mężna pięknnością i stoicyzmem każdej poszczególniej duszy pośród miliona; gdzie i miasto i wieś spełnią właściwe im zadania, gdzie panować będzie ogólne zadowolenie i umilknie wszelki bunt na ulicach... I kiedy szedł tak po Strandzie, mały, oberwany gazeciarz przebiegł tuż koło niego. „Krwawe odkrycie w banku! Wielka sensacja!” Miltoun nie zwrócił uwagi na sens słów, jednak na sam dźwięk tego głosu, jakiś powiew, który znajduje się zawsze w zbiorowiskach ludzi żyjących, niedbały, cudowny, niczem niepohamowany powiew rozeгнаł

jego surowo kształtującą się wizję. Był to potężny wiew, złożony z miliardów dążeń mężczyzn i kobiet, z modlitw nieprzebranych tłumów, zanoszonych przed ołtarz bogini Sensacji, Fortuny i Wieczystej Odmiany. Dech, wędrujący od serca do serca, od ust do ust, podobnie jak na wiosnę czujne powietrze wędruje wśród lasu, powierzając każdemu drzewu, każdej gałązce tajemnicę nowego życia, namiętą dążność do rozkwitania, do stawania się — czemśkolwiek — wszystko jedno czem. Westchnienie tak wieczne, jak szmer morza, zbyt nieuchwytnie, by je stłumić, zdolne w każdej chwili wyolbrzymić do potężnego okrzyku.

Miltoun, lawirując wśród ruchu ulicznego, przyglądał się wszystkiemu dokoła, nie widząc tego, co było w istocie, lecz wpatrując się oczyma wiary w kształt, który widzieć pragnął.

Niedaleko katedry Świętego Pawła przystanął przed starą księgarnią. Poważna, szlachetna, bladawa twarz młodego lorda dobrze była znana właścicielowi sklepu Wiliamowi Rimall, natychmiast też dobył on z półki swój ostatni cenny nabytek „Utopję” Tomasza Moor’a. To wyjątkowe wydanie — zapewniał Miltoun’a, — było zupełnie wyczerpane, on sam sprzedał w swem życiu tylko jeden jedyny podobny egzemplarz, który już dosłownie się rozsypywał. Ten egzemplarz był w daleko lepszym stanie, mógł przetrwać z pewnością jeszcze ze dwadzieścia lat, był zupełnie oryginalny — prawdziwie cenna zdobycz.

Miltoun otworzył tomik, małej mól książkowy śpiący na słowie „Tranibore”, począł powoli pełzać po stronicy.

— Tak, widzę, że jest to oryginalny egzemplarz, — rzekł.

— Nie nadaje się bardzo do czytania — uprzedził go mały przekupień — samo przewracanie stronnic może je uszkodzić, lecz jak już zaznaczyłem, jest to mój najlepszy nabytek w ciągu całego tego roku. Naprawdę nie miałem nic lepszego.

— Przenikliwy stary marzyciel — zauważył Mil-
toun — teraz jeszcze nawet nie wyprzedzili go socja-
liści swemi poglądami.

Mały człowieczek zamrugał lękliwie oczyma,
jakby przepaszając za poglądy Tomasza Moor'a.

— Hm — rzekł — mam wrażenie, że był jednym
z nich. Nie przypominam sobie, czy jego lordowska
mość interesuje się polityką?

Miltoun uśmiechnął się.

— Chciałbym widzieć Anglję, drogi panie Rimall,
podobną do tej wyśnionej w marzeniach Moor'a, lecz
mój ustrój będzie inny. Ja rozpoczynam od wierz-
chołka.

Staruszek przytaknął.

— Tak, tak — rzekł — i do tego dojdziemy,
mam nadzieję.

— Musimy dojść, panie Rimall. — Miltoun po-
czął przerzucać stronicę.

Twarz starego księgarza skrzywiła się boleśnie.

— Mam wrażenie, że ta książka jest już za bardzo
zniszczona dla pana, milordzie, z pańskim zamiłowa-
niem do czytania. Tutaj mam jeszcze jeden bardzo cie-
kawny tomik — o świątyniach chińskich. Jest bardzo
rzadki, choć nieszczególnie stary. To może pan prze-
studjować gruntownie. Oto książka, którą można się
rozkoszować — doskonała dla „smakoszków“, jak ja
to nazywam. Na dziwnej zasadzie wznosili Chińczycy
te budowle — dodał, otwierając książkę na odpo-
wiedniej rycinie, — warstwami. My nie budujemy tak
w Anglji.

Miltoun spojrział bystro. Twarz staruszka nie
mówiła nic.

— Niestety, nie, panie Rimall — rzekł młodzie-
niec — lecz powinniśmy tak budować i będziemy.
Biorę tę książkę.

Wskazując palcem ilustrację, przedstawiającą
pagodę, dodał:

— Świetny symbol!

Oczy małego księgarza ześlizgnęły się po świątyni do znaczka z ceną, umieszczonego niewidocznie.

— Doskonale, milordzie — rzekł — byłem pewien, że przypadnie ona panu do gustu. Cena dla pana będzie dwadzieścia siedem szylingów i sześć pensów.

Zapłaciwszy, Miltoun wyszedł ze sklepu, udał się do Temple, pozostawił książkę w swem mieszkaniu i powracał brzegami matki Tamizy. Słońce, pieszcząc ją namiętnie tego popołudnia, rozcałowało w niej wszystko ciepło, blask i barwę. Wszystkie budynki na jej wybrzeżu, aż poza baszty Westminsteru zdawały się uśmiechać. Był to wspaniały widok dla zakochanego. I nowa wizja powstała w duszy Miltoun'a — wizja, wyobrażająca łagodnooką kobietę, o cichym, słodkim głosie, pochylającą się wśród kwiatów. Nic nie mogło być całkowite bez niej, żadna praca nie mogła wydać plonu, żadne zamierzenie osiąść pełnego znaczenia.

Przy obiedzie lord Valleys powitał swego syna przyjaźnie, choć nie bez zdziwienia.

— Cóż to, masz dzień swobodny, mój drogi? Czy też przyjechałeś posłuchać, jak Brabrook będzie nas szkalował? Tym razem spóźnił się on, sprawa samolotów jest zlikwidowana z wynikiem zadawalającym.

Przyglądał się Miltoun'owi swemi jasnymi, szaremi oczami, o wyrazie chłodnym i badawczym: skąd spodziewać się należało uderzenia? Napewno nie z tej strony, za którą zdawały się przemawiać okoliczności!

Odpowiedź Miltoun'a: „Przyjechałem, aby coś zakomunikować ci, ojcze, — zatrzymała spojrzenie, którem badał młodzieńca o sekundę dłużej, niż przyzwyczajono wymagała.

Nie byłoby prawdą twierdzić, że lord Valleys obawiał się swego syna. Lękliwość nie była cechą jego charakteru, lecz odnosił się do niego z jakąś poważaniem pełną ciekawością, która graniczyła z niepokojem. Despotyzm umysłu i przekonań politycz-

ných Miltoun'a przerażał go prawie, jego, który zarówno przez swoje usposobienie, jak i doświadczenie, wiedział, że nie należy nigdy zbyt ściągąć cugli. Rady tej udzielał często swym dżokejom przy ujeżdżaniu koni. I takiej samej rady chętnie udzieliliby nieraz swemu synowi. Pięćdziesięcioletnie doświadczenie było najlepszą rękojmią, iż nigdy nie będzie zmuszony do zmiany tej wygodnej polityki, a jego charakter zdawał się wskazywać na to, że nawet w prawdziwej ostateczności, narazi się raczej na najpoważniejszą przykrość, niż sprzeniewierzy się swej dotychczasowej taktyce. Był w stanie rozumieć młodzieńców tego pokroju co Harbinger — zmienny, trochę narwany, upojony niby mocnem winem swemi „reformami socjalnemi”. Trzeba go będzie od czasu do czasu poskromić, lecz nie będzie z nim poważnych trudności — lekki do prowadzenia młody ogier, który wymaga tylko umiejętnego pokierowania na zakrętach. Żąda tylko, aby go słuchano i dawano mu odczuć, iż czyni cośkolwiek. Wszystko jak należy i zupełnie jasne. Lecz z Miltoun'em (lord Valleys zdawał sobie sprawę, iż nie gra tu roli jedynie ojcowskie przeczulenie) rzecz przedstawiała się inaczej. Jego syn posuwał wszystko do ostateczności. Tymczasem był jeszcze niemowlęciem na gruncie polityki, lecz z chwilą kiedy zdobędzie stanowisko, siła jego przekonania wraz z jego pozycją socjalną i opanowanym, prawdziwym — nie jak u Harbingera, polegającym na czczej gadaninie, — darem oratorskim, sprawią, iż jednym posunięciem wybije się na czoło partji. A tymczasem jakie były jego przekonania? Lord Valleys napróżno starał się je zrozumieć! Jak dotychczas nie udawało mu się. Nie dziwiło go to zbyt, gdyż — jak sam się często wyrażał — przekonania polityczne nie były, choć się tak zdawać mogło, wynikami rozważań, lecz prostymi objawami usposobienia i charakteru. Nie mógł zrozumieć ich, gdyż nie zgadzały się z jego zapatrywaniami na sprawy publiczne, tak były niez-

ciowe i niezależne od prostych, praktycznych, codziennych okoliczności.

Lord Valleys nie był w gruncie rzeczy oportunistą, gdyż tkwiła w nim trwała lojalność dla tradycji tej sfery, która wielbi ponad wszystko dumę i odwagę, jednakże czuł, że Miltoun jest zbyt krańcowym arystokratą — nielepszym od fanatycznych socjalistów — ze swoim programem destrukcyjnym, ze swojemi poglądami wepchnięcia przemocą reform do gardła ludzkości i utrzymania ich tam żelazną ręką przemocy, jak również ze swym sposobem działania, opartym na zasadach. Ba, nawet przyznawał się, że działa w imię zasad. Na myśl o tem czuł lord Valleys wyraźne zaniepokojenie. Było to przecież nieomal niestosowne, — gorzej — śmieszne. Faktem niezbitym było, że syn jego, niestety, zastanawiał się głębiej, niż tego wymagała polityka. I tu tkwiło niebezpieczeństwo! Być może doświadczenie pomoże mu w przyszłości. I biorąc do pomocy swoje długoletnie doświadczenie, hrabia na Valleys starał się usilnie przypomnieć sobie któregośkolwiek z działaczy, którego praktyka polityczna nie wpłynęłaby na zmianę przekonań. Nie przypominał sobie takiego wypadku! Stanowiło to jednak dość wątpliwą pociechę. I ponad stołem jasne oczy ojca mierzyły z niepokojem syna. Co miał mu zamiar powiedzieć? Było to złowróżbne pytanie. Nie mógł sobie przypomnieć, aby kiedykolwiek Miltoun miał mu coś do powiedzenia.

Choć bowiem lord Valleys był prawdziwie łagodnym i pobłażliwym ojcem, jednakże stosunek jego do dzieci nie odznaczał się zbytnią zażyłością, jak to się często zdarza u ludzi, zajętych sprawami społecznymi i światowemi. Z wszystkich czworga jedynie Barbarę obdarzał cieplejszem uczuciem. Podziwiał ją, a w usposobieniu jego leżało to, iż niezdolny był kochać — nie podziwiając jednocześnie. Będąc dalekim od tego, by wywierać jakikolwiek nacisk lub zmuszać kogoś do zwierzeń, czekał na wiadomości, jakich mu miał udzielić syn, nie zdradzając najmniejszego niepo-

koju. Miltoun zdawał się nie spieszyć. Opisywał wypadek Courtiera, który zabawił ogromnie lorda Valleys.

— Samosąd wykonany pieprzem tureckim! Nie przypuszczałem, że są zdolni do czegoś podobnego, — mówił. — A więc przebywa teraz u nas? Czy Harbinger stale ci jeszcze pomaga?

— Tak, lecz mam wrażenie, że wyczerpie się niezadługo — nie posiada wytrwałości.

— Czy pod względem politycznym?

Miltoun potwierdził.

— Nie jestem wcale zachwycony, iż jest on naszym sprzymierzeńcem, mam wrażenie, iż raczej nam szkodzi. Czy widziałeś, ojcze, jego ostatnią karykaturę? Bardzo cięta. Nie mogłem jakoś znaleźć ciebie pośród tych starych dam.

Lord Valleys uśmiechnął się obojętnie.

— Bardzo sprytnie zrobiona, — rzekł. — Ale, prawda, czy wiesz, że mam nadzieję wygrania nagrody Eclipse?

W ten sposób naciągnięta rozmowa toczyła się aż do chwili, kiedy ostatni służący opuścił pokój.

Wtedy Miltoun, bez wszelkich przygotowań, patrząc wprost na ojca, przemówił:

— Pragnę poślubić Mrs. Noel, ojcze.

Lord Valleys wytrzymał to uderzenie z takim samym wyrazem, z jakim przyglądał się porażce swych koni na polu wyścigowym. Podniósł szklanekę z winem do ust i postawił ją nienaruszoną. To było jedyną oznaką pewnego wzruszenia i zmieszania.

— Czy postanowienie to nie jest zbyt nagłe?

Miltoun odpowiedział:

— Pragnąłem uczynić to już od chwili, kiedy ją poraz pierwszy ujrzałem.

Lord Valleys, który był prawie tak dobrym znawcą ludzi i sytuacji, jak koni lub wyźłów, pochylił się w krzesło i rzekł z lekkim sarkazmem:

— Bardzo ładnie z twej strony, żeś mnie uprzedził, choć, jeśli mam być szczerzy, jest to wiadomość, której wolałbym nie słyszeć.

Ciemny płomień przemknął po obliczu Miltoun'a. Niedocenił swego ojca widocznie. Ten człowiek umiał przecież zachować odwagę i zimną krew w chwilach decydujących.

— Czy mógłbym wiedzieć, jakie są twe zarzuty w tej sprawie, ojczy? — zapytał.

W tej chwili zauważył, że trzymany przez lorda Valleys biskop zlekka drży.

Odkrycie to nie wywołało w nim skruchy. Obrzucił tylko starszego mężczyznę płomiennem spojrzeniem, takim samem zapewne, jakiemby gromił stary kardynał- męczennik oprawcę swego, któryby zdradził oznakę słabości.

Lord Valleys, zauważywszy również drgający biskop, podniósł go do ust i zjadł.

— Jesteśmy ludźmi światowymi i zależy nam od naszego środowiska, — rzekł.

Miltoun odpowiedział:

— Ja nie.

Okazując po raz pierwszy oznakę zniecierpliwienia, lord Valleys odrzucił:

— Niech i tak będzie. Ja jestem.

— A więc? — spytał Miltoun.

— Eustachy!

Objąwszy kolana rękami, Miltoun siedział spokojnie, przyjmując okrzyk bez najłżejszego wzruszenia. Jego oczy, wlepione wciąż w twarz ojca, płonęły. Niepokój przeszył serce lorda Valleys. Jakaż siła uczuć tkwiła w tym młodzieńcu, jeśli mógł w taki sposób zachować się przy pierwszej oznace oporu! Wziął ze stołu pudełko cygar, wyciągnął je machinalnie w stronę syna i natychmiast cofnął.

— Zapomniałem, — rzekł, — że nie palisz.

Zapaliwszy cygaro, ciągnął dym z powagą, patrząc wprost przed siebie ze zmarszczką między brwiami. Powiedział wreszcie:

— Wygląda ona na kobietę z towarzystwa, nic więcej poza tem o niej nie wiem.

Uśmiech otoczył usta Miltoun'a.

— Cóż więcej chciałbyś o niej wiedzieć?

Lord Valleys wzruszył ramionami. Postanowienie jego okrzepło.

— Wiem tylko to jeszcze, — rzekł zimno, — iż wchodzi w grę kwestja rozwodu. Mam nadzieję, że zasięgnąłeś opinji kościoła w tej sprawie?

— Czy znaczy to, że znasz jej przeszłość?

— Nie.

Lord Valleys podniósł brwi z wyrazem ironji i zarazem lekkiego podziwu.

— Rycerskość jest najlepszą formą dyskrecji, nieprawdaż?

Miltoun odpowiedział:

— Zdaje mi się, że nie rozumiesz uczucia, jakie żywię dla Mrs. Noel, ojczy. Nie leży to w zakresie twego pojmowania. Jest to uczucie, z którym jedynie wstąpić mogę w związki małżeńskie, a nie zdaje mi się, ażebym kiedykolwiek jeszcze miał je żywić dla innej kobiety.

Lord Valleys znowu uświadomił sobie dziwne uczucie niepewności. Czy było to prawdą? I nagle zorjentował się. Tak, to było prawdą, bezwątpienia! Twarz syna, siedzącego naprzeciw niego, była twarzą człowieka, który raczej spłonie we własnym ogniu, aniżeli odstąpi od swych przekonań. Nagła świadomość niezwyklej powagi sytuacji ogłuszyła go całkowicie.

— Narazie nie mogę ci nic więcej powiedzieć — wyszeptał, powstając od stołu.

ROZDZIAŁ XI

Lady Casterley była zwolenniczką tej niedogodności, jaką jest wczesne wstawanie. Żadna z kobiet

w całej Anglii nie była zapewne lepszą znawczynią kobierców, utkanych z rosy porannej. W ciągu całego jej życia, natura rozkładała przed nią tysiące owych uroczych tkanin, gdzie wszystkie gwiazdy ubiegłej nocy, opadłe na ciemne tło ziemi, wyczekiwały, by wznieść się znów do niebios po promieniach słońca. W Ravensham wychodziła regularnie do swego ogrodu między godziną wpół do ósmej a ósmą, a jeśli gdzieś bawiła z wizytą, nie odstępowała od tej reguły, bez względu na to, jakie były miejscowe zwyczaje.

Kiedy więc jej pokojowa przyszła do garderobiany Barbary o siódmej rano i zakomunikowała: „Starsza pani prosi, żeby lady Barbara wstała” — ta nie zaniepokoiła się zbyt, będąc sama jeszcze w trakcie ubierania. Odparła więc tylko:

— Pójdę ją obudzić. Napewno nie będzie zadowolona.

W dziesięć minut później weszła do białego pokoiku, pachnącego goździkami — do świątyni uspio-nej słodczy — gdzie światło letnie wkradało się niepewnie przez kwieciste kretonowe zastony.

Barbara spała z policzkiem wspartym na ręce. Jej płowe włosy, odrzucone w tył, spływały po poduszce. Usta miała rozchylone i garderobiana patrząc na nią pomyślała: „Chciałabym mieć takie włosy i takie usta”. Nie mogła powstrzymać się od śmiechu zadowolenia. Lady Barbara była śliczna we śnie, ładniejsza może jeszcze niż zbudzona. Na widok tej wspaniałej istoty, śpiącej i uśmiechającej się przez sen, wszystkie przyziemne myśli, omraczające umysł tej, która służyła wiecznie w atmosferze, nieodpowiadającej jej naturalnemu rozwojowi, rozproszyły się. Prawdziwa piękność, w swej cudownej potędze oswobodzenia duszy z więzów i wszelkich egoistycznych dążeń, napelniła słodczyą oczy tej prostej dziewczyny, która stała nieporuszona, powstrzymując oddech.

Po chwili Barbara otworzyła oczy, a ujrawszy swą garderobianę, spytała:

— Czy już jest ósma, Stacey?

— Nie, ale lady Casterley prosi, żeby jaśnie panienka towarzyszyła jej na przechadzce.

— Oh, co za utrapienie! Właśnie miałam taki cudowny sen.

— Tak. Jaśnie panienka uśmiechała się we śnie.

— Śniło mi się, że umiałam fruwać.

— A to dopiero przywidzenie!

— Widziałam ziemię, roztaczającą się pode mną tak dokładnie, jak widzę ciebie teraz. Unosiłam się wysoko, jak orzeł. Czułam, że w każdej chwili mogę się opuścić, gdzie zechcę. To było cudowne. Miałam nieograniczoną władzę.

I, odrzucając wtył głowę, przymknęła znów oczy. Promienie słońca padały wprost na nią, poprzez zapuszczone do połowy firanki. Nagły, dziwny impuls, aby wyciągnąć dłoń i dotknąć tej białej, pełnej szyi, zrodził się w umyśle Stacey.

— Aeroplany są głupstwem, — szepnęła Barbara — cały urok polega na tem, by samemu mieć skrzydła.

— Widzę już lady Casterley w ogrodzie, — rzekła Stacey.

Barbara wyskoczyła z łóżka i wyrzała przez okno. Tuż przy kamiennym posągu Diany widoczna była mała, szara figurka lady Casterley, pochylona nad kwiatami. Barbara westchnęła. We śnie jej wraz z nią był jeszcze jeden orzeł i teraz uczuwała rodzaj zdziwienia i nieznanego dotychczas zadowolenie, które przenikało ją dreszczem, podczas kiedy się kąpała i ubierała.

W pośpiechu nie wzięła ze sobą kapelusza i kończąc jeszcze zapinanie batystowej sukienki, biegła schodami i długim krużgankiem w kierunku ogrodu. Przy końcu korytarza wpadła niemal w objęcia Cour-tiera.

Zbudziwszy się tego poranka, rozmyślał on najpierw o Audrey Noel i grożącym jej skandalu, potem przypomniał sobie wczorajszą towarzyszkę, tę piękną

młodą istotę, której obraz zagnała opanował go i przykuł do siebie. Pograżył się w rozkoszy wspomnień. Była ona dla niego uosobieniem młodości, doskonałością w swoim rodzaju — młodą dziewczyną bez żadnej maniery.

I pierwsze jego słowa teraz, kiedy wpadła na niego były:

— Uskrzydłone zwycięstwo!

Odpowiedź Barbary była również symboliczna:

— Orzeł! Wie pan, śniłam, że fruwałam razem!

Courtier odpowiedział poważnie:

— Gdybyż bogowie mnie dali taki sen!...

Od drzwi, prowadzących do ogrodu, Barbara odwróciła główkę, uśmiechnęła się i wybiegła.

Lady Casterley w towarzystwie małej Anny, która zrozumiała natychmiast, iż było to niepowszedniością znajdować się o tej porze w ogrodzie, badała jakąś nową, nieznaną sobie odmianę kwiatów. Gdy spostrzegła swą wnuczkę, spytała natychmiast:

— Co to właściwie za roślina?

— Nemezja.

— Nigdy o niej nie słyszałam.

— Jest teraz ogromnie modna, babuniu.

— Nemezja? — powtórzyła lady Casterley, — cóż może mieć bogini Nemezis za związek z temi kwiatami? Już nie mam doprawdy cierpliwości do tych ogrodników z ich idjotycznymi nazwami. Dlaczego jesteś bez kapelusza? Podoba mi się ten żółtawy odcień twojej sukienki. Masz jeden guzik niezapięty

Wyciągając swą małą, żylastą rękę, dziwnie pewną, jeśli się wzięło pod uwagę wiek lady Casterley, zapięła przedostatni guziczek stanika Barbary.

— Wyglądasz bardzo dobrze, moja droga, — rzekła. — Czy daleko jest do domku tej kobiety? Chciałabym pójść tam teraz.

— Nie wiem, czy już wstała — odpowiedziała Barbara.

Oczy lady Casterley zabłysły złośliwie.

— Twierdzisz, że to kobieta do rzeczy, a żadna kobieta zdrowa i do rzeczy nie leży w łóżku po wpół do ósmej. Jaka jest najkrótsza droga? Nie, Anno, nie możemy ciebie zabrać.

Mała Anna, przyjrząwszy się pilnie swojej prababce, odpowiedziała:

— Nawet nie mogłabym z wami pójść, bo muszę odejść.

— Doskonale — odpowiedziała lady Casterley, — więc idź sobie.

Mała Anna, zaciąwszy usteczka, odeszła w kierunku najbliższej grupy nemezji i pochyliła się nad kwiatami z wyrazem skupienia, które wskazywało jasno, iż znalazła coś bardziej interesującego, niż wszystko dotychczas.

— Hm, — mruknęła lady Casterley i skierowała swe spieszne kroki ku drodze.

Po drodze rozprawiała o hodowli drzew, przypatrując się bystro niektórym okazom, rosnącym po obu stronach alei. Leśnictwo, mówiła, tak samo jak budownictwo, lub inne zamierzenia, wymagające cierpliwej działalności i wiary w przyszłość, było sztuką zupełnie zaniedbaną w tym wieku tandety. Ona sama namówiła dziadka Barbary, by kształcił się w tej dziedzinie, tak, że teraz w Catton (jej posiadłości wiejskiej, i nawet w Ravensham drzewa były godne widzenia. Tutaj, w Monkland, haniebnie je zaniedbywano. Posiadać piękny włoski cyprys, naprzykład, i nie troszczyć się o niego, było poprostu czemś skandalicznym.

Barbara słuchała, uśmiechając się leniwie. Babunia była tak zabawna z tą swoją energją i małostkowością, że sposobem mówienia, tak stanowczym i pewnym siebie, jak gdyby uważała, że może sobie na wszystko pozwolić. Dla dziewczyny, którą wciąż jeszcze prześladowało wspomnienie pięknego snu, upojonej słodyczą letniego poranka, było śmiesznem, iż ktoś wogóle mógł być takim. W tej samej chwili ujrzała przez mgnienie oka twarz babki zmienioną,

zneruchomiała nagle, nieopanowaną, ponurą w swem bolesnem zastanowieniu nad zbliżającą się bezsilnością. W nagłym przeblysku intuicji, który nawiedzić może nawet młodą i pełną życia kobietę, jaką była Barbara, poczuła ból i przerażenie, jakby ujrzała blade widmo, nigdy jeszcze dotąd niewidziane. „Biedactwo kochane, — pomyślała sobie, — jakaż to straszna rzecz — starość”.

Doszły teraz do ścieżki, przecinającej trzy łąki, która wiodła do domku Mrs. Noel. Było tu tak złoście słodko pośród tysiąca drobnych kaczeńców, oszronionych drżącymi kroplami rosy: lipy i jesiony rozstaczały wspaniałe gałęzie, unosił się delikatny zapach późnych konwalij, na każdym drzewie ćwierkały ptaki. Patrząc na te cuda, trudno było długo się smucić.

Na pierwszej łące w oddaleniu pasła się kasztanowata klacz, nastawiając uszu na jakiś odgłos, którego echo ona jedynie chwyciła. Na widok intruzów stuliła je znowu i krnąbny wyraz zabłysnął w kąciakach jej oczu. Minęły ją i weszły na drugą łąkę. W połowie drogi Barbara rzekła spokojnie:

— Tam stoi byk, babuniu.

Potężny byk stał poza grupą krzaków. Powoli posuwał się w kierunku obu kobiet, wciąż jeszcze oddalony o jakieś dwieście kroków. Wielka bestja z potężnym karkiem i grzbietem, zwierzę, które ze wszystkich żyjących istot jest najwłaściwszym symbolem brutalnej siły.

Lady Casterley przyglądała mu się surowo.

— Nie mogę znieść byków, — rzekła, — będę musiała zawrócić.

— To niemożliwe, jest zbyt stromo.

— Ten byk nie powinien się tu znajdować — rzekła znów starszka. — Czyja to wina? Będę musiała o tem pomówić. Stój spokojnie i patrz na niego. Nie możemy dopuścić, by zbliżył się do nas.

Stały spokojnie i spoglądały na byka, który podchodził coraz bliżej.

— To go nie zatrzymuje — rzekła lady Casterley. — Nie należy zwracać na niego uwagi. Podaj mi ramię, idę niezupełnie pewnie.

Barbara otoczyła ramieniem drobną postać. Ruszyły znowu.

— Odzwyczałam się ostatnio od widoku byków — rzekła lady Casterley.

Zwierzę przybliżyło się znowu.

— Babuniu, — powiedziała Barbara — musisz dojść spokojnie do ogrodzenia, kiedy je miniesz, wtedy ja pójde również.

— W żadnym razie — odparła lady Casterley. — Pójdziemy razem. Nie zwracaj na niego uwagi. Wierzę bardzo, że to pomoże.

— Babuniu droga, zrób, proszę, tak jak mówię. Ja znam tego byka, należy do nas... Jest złośliwy.

Na te złowróżbne słowa lady Casterley spojrzała bystro na wnuczkę.

— Nie zrobię tego — rzekła. — Czuję już zupełną pewność w nogach. Możemy pobiec, jeśli będzie trzeba.

— Byk też umie biegać.

— Nie zostawię cię tutaj. Jeśli okaże się krnąbrny, przemówię do niego, mnie nie dotknie. Ty możesz biec prędzej ode mnie, więc niema o czem mówić.

— Ależ to nie ma sensu — odpowiedziała Barbara. — Przecież ja się nie boję byków.

Lady Casterley obrzuciła ją trochę drwiącem spojrzeniem.

— Czuję dokładnie — powiedziała, — że drżysz tak samo jak ja.

Byk znajdował się teraz o jakieś siedemdziesiąt kroków, a od ogrodzenia dzieliło je przeszło sto.

— Babuniu — rzekła Barbara, — jeśli nie zrobisz, jak mówiłam, zostawię cię i pójde mu na spotkanie. Nie bądź uparta.

Miast odpowiedzi, lady Casterley otoczyła ramieniem wnuczkę, nerwowa siła jej ręki była istotnie zadziwiająca.

— Nie uczynisz nic podobnego — rzekła. — Wogóle nie chcę mieć już nic do czynienia z tym bykiem, poprostu przestanę się nim wogóle interesować.

Byk począł znów z wolna posuwać się w ich kierunku.

— Nie zwracaj uwagi, — rzekła lady Casterley, idąc szybciej, niż kiedykolwiek w życiu.

— Tu grunt jest już równy, — powiedziała Barbara. — Czy możesz biec?

— Tak sędzę — wyszeptała lady Casterley.

I nagle poczuła, że ktoś poderwał ją z nad ziemi i unosi w kierunku ogrodzenia. Usłyszała za sobą hałas, a potem głos Barbary:

— Musimy zatrzymać się, jest tuż koło nas. Stań za mną.

Uczuła, jak pochwyciły ją i skrępowwały dwie ręce, które zdawały się wyrastać od tyłu. Instynkt powiedział jej, że plecami odwrócona jest do pleców swej wnuczki.

— Puść mnie — szepnęła, — puść mnie.

I nagle poczuła, że ręce kierują ją w stronę ogrodzenia.

— Precz, precz! — zawołała, chcąc spłoszyć rozjuszone zwierzę.

— Przestań, babuniu — doszedł ją spokojny, choć zdyszany głos Barbary — tylko go jeszcze rozdrażniasz. Czy jesteśmy daleko od ogrodzenia?

— O kilka kroków — wyjąkała staruszka.

— Uważaj więc.

Owionęło ją coś ciepłego, uczuła podrzucenie, dźwignięcie i znalazła się poza płotem. Barbara i zwierzę znajdowali się po drugiej stronie. Dzielili ich od siebie najwyżej dwa kroki. Lady Casterley podniosła chusteczkę i zaczęła nią powiewać. Byk spojrział w tę stronę. Barbara, chwytając się rękami i nogami, przeszła przez ogrodzenie. Nie tracąc ani chwili, lady Casterley przechyliła się i przemówiła do zwierzęcia:

— Wstrętny brutalu, każę cię dobrze oćwiczyć.

Byk węszył, rozgrzebując ziemię.

— Czy nie stało ci się nic złego, moje dziecko?

— Nic a nic — odpowiedziała Barbara pogodnym, choć wciąż jeszcze zdyszczanym głosem.

Lady Casterley wyciągnęła dłonie, biorąc w nie twarzyczkę dziewczyny.

— Masz doskonałe nogi — rzekła. — Pocałuj mnie.

Otrzymawszy mocny, trochę drżący pocałunek, ruszyła naprzód, wspierając się silnie na ramieniu wnuczki.

— Cóż za brutal, — mruzczała, — żeby napadać kobiety.

Barbara spojrzała na nią.

— Czy czujesz się zupełnie dobrze, babuniu?— spytała.

Lady Casterley zacięła mocno usta, powstrzymując ich drżenie.

— Zzz... zupełnie dobrze.

— Czy może chcesz wrócić natychmiast do domu? Inną drogą, oczywiście.

— Naturalnie, że nie. Już chyba niema więcej byków pomiędzy tą kobietą a nami.

— Lecz czy jesteś w stanie zobaczyć się z nią teraz?

Lady Casterley znowu przesunęła chusteczkę po wargach, chąc ukryć ich drżenie.

— Najzupełniej, — odparła.

— Więc stój chwilkę spokojnie. Otrzepię cię tylko z kurzu.

Udały się w dalszą drogę w kierunku domku Mrs. Noel.

Kiedy ukazał on się już woddali, lady Casterley przemówiła:

— Już ja postaram się przeszkodzić ich zamiarom, uważam to bowiem za rzecz niemożliwą dla człowieka z przyszłością Miltoun'a. Chcę widzieć mego wnuka w przyszłości bodaj prezesem ministrów.

Słyszając, że Barbara mruczy coś pod nosem, przerwała:

— Co mówisz, moja droga?

— Powiedziałam: Cóż nam z tego, że jesteśmy tem, czem jesteśmy, jeśli nie możemy kochać tych, których chcemy.

— Miłość? — spytała lady Casterley. — Ja mówiłam wszak o małżeństwie.

— Bardzo się cieszę, że rozróżniasz to, babuniu.

— Lubisz ironizować, — powiedziała lady Casterley. — Posłuchaj mnie. Jest największym nonsensem mniemać, że ludzie naszej sfery mogą postępować, jak chcą. Im wcześniej to zrozumiesz, tem lepiej. Mówię zupełnie poważnie. Zachowanie stanowiska naszej sfery zależy najzupełniej od przestrzegania pewnej obyczajności. Cóż przypuszczasz, stałoby się z rodziną królewską, gdyby mieli wstępować w związki małżeńskie z byle kim. Wszystkie te małżeństwa z chórzystkami, milionerkami amerykańskimi z ludźmi niepewnymi, z literatami i t. p. są w wysokim stopniu zgubne. I tak jest ich już za dużo i należy temu położyć kres. Można je tolerować u kupców, półgłówek lub tych „nowoczesnych“ kobiet, lecz dla Eustachego, — lady Casterley przerwała znowu i palce jej zacisnęły się na ramieniu Barbary, — lub dla ciebie jest możliwy tylko jeden rodzaj małżeństwa. Co do Eustachego, to pomówię z tą panią i postaram się, by go dalej nie wciągała.

Zaabsorbowana ważnością swego posłannictwa, nie zwróciła uwagi na dziwny uśmieszek, błakający się na ustach Barbary.

— Wobec tego przemów również do natury, babuniu.

Lady Casterley przystanęła i spojrzała w oczy swej wnuczce.

— Co przez to rozumiesz? — rzekła. — Powiedz mi.

Zauważywszy, że wargi Barbary zacięły się mocno, znowu zacisnęła silnie, choć może nieświadomie, palce wokół jej ramienia i ruszyła dalej.

ROZDZIAŁ XII

Napoły złośliwa uwaga lady Casterley okazała się jednak słuszna. Audrey Noel już wstała i była w swym ogrodzie, kiedy Barbara i jej babka ukazały się przy furtce. Będąc zajęta lipą, rosnącą na przeciwległym końcu ogrodu, nie słyszała żywej pogawędki, jaką między sobą wiodły.

— Będziesz dla niej dobra, babuniu?

— To zależy.

— Przynajmniej przecież.

— Hm, zobaczymy.

Lady Casterley na pewno nie mogłaby znaleźć nikogo lepszego do towarzyszenia sobie, niż właśnie Barbarę. Mrs. Noel patrzyła zawsze na młodą dziewczynę z przyjemnością, odczuwaną na widok kogoś, kto uosabia radość życia, której jej samej los poskąpił.

Podeszła bliżej z głową trochę pochyloną w bok, co stanowiło pewien wdzięk, całkiem zresztą nieafektowany i przystanęła, oczekując gości. Niezmieszana niczem Barbara rozpoczęła natychmiast:

— Miałyśmy nieprzyjemną przygodę z bykiem. To jest moja babka, lady Casterley.

Sposób zachowania się starszej pani w obliczu tej wyjątkowo ślicznej istoty był odrobinę mniej despotyczny i raptowny, niż zazwyczaj. Jej bystre oczy spostrzegły natychmiast, że nie ma tutaj do czynienia ze zwykłą awanturką. Była również dostatecznie światowa, by zrozumieć że urodzenie nie było już tem, czem zwykło być za jej młodości, że nawet pieniądze nie stanowiły wiele i że uroda, zachowanie, znajomość sztuki, literatury, muzyki (a ta kobieta zdawała się posiadać to wszystko) teraz często uznawano w świecie za bardziej wartościowe.

— Dzień dobry pani, — rzekła. — Słyszałam wiele o pani. Czy możemy spocząć na chwilę w ogrodzie? Ten byk był niegodziwy.

Kiedy mówiła, zdawała sobie sprawę z tego, że jasne oczy Mrs. Noel wiedziały doskonale po co właściwie przyszła do niej. Ich spojrzenie było nieomal cyniczne i, mimo jej ubolewania nad wypadkiem, zdawała się jakoś niezupełnie wierzyć, iż wogóle miał miejsce. To psuło najzupełniej szyki. Czemu Barbara wspomniała o tym brutalu? Lady Casterley postanowiła ująć go za rogi.

— Barbaro, — rzekła, — idź do zajazdu i postaraj się o bryczkę. Będę musiała pojechać zpowrotem, gdyż czuję się osłabiona.

A kiedy Mrs. Noel zaofiarowała się, iż pośle swą służącą, dodała:

— Nie, nie, dziękuję, moja wnuczka to załatwi.

Barbara odeszła z miną trochę drwiącą, zaś lady Casterley, wskazując ławkę, rzekła:

— Proszę, niech pani siądzie koło mnie. Muszę z panią o czemś pomówić.

Mrs. Noel usłuchała. W tej samej chwili staruszka zorjentowała się, że ma przed sobą bardzo trudne zadanie do spełnienia. Nie spodziewała się zastać tu kobiety, z którą nie będzie sobie można pozwolić na ton swobodny. Te pogodne, ciemne oczy, te łagodne, wdzięczne, doskonałe maniery! Zdawało się, że osobie tak uprzejmej będzie można powiedzieć wszystko, a w istocie nie można było tego uczynić! Sytuacja w wysokim stopniu krępująca! Nagle zauważyła, że Mrs. Noel siedzi prosto, tak prosto, lub prościej może, niż ona sama. Był to zły znak — bardzo zły znak. Wyjmując chusteczkę, przyłożyła ją do ust.

— Mam wrażenie, — rzekła, — iż pani przypuszcza, żeśmy nie były wcale napadnięte przez byka.

— Ależ jestem przekonana, że tak było.

— Naprawdę? Tak, lecz jest jeszcze coś innego o czem chcę z panią pomówić.

Twarz Mrs. Noel drgnęła, jak drga kwiat, kiedy ma być zerwany. I znów lady Casterley podniosła do ust chusteczkę. Tym razem otarła je mocno. Nic

nie mogło z tego wyniknąć, wobec tego czynność ta sprawiła jej satysfakcję.

— Jestem starą kobietą, — rzekła, — nie weźmie mi pani za złe tego, co jej powiem.

Mrs. Noel nie odpowiedziała, lecz patrzyła wprost na swego gościa. Lady Casterley zdawało się nagle, iż ktoś inny przed nią siedzi. Było coś dziwnego w tych oczach, wpatrujących się w nią. W straszliwy sposób przypominała twarzyczkę dziecka, któremu zrobiono krzywdę — z temi wielkimi oczami, miękkimi włosami i temi usteczkami, zaciętymi w jedną, prostą linię. Jakby pod wpływem czyjegoś nakazu, rzekła:

— Ja nie chcę cię dotknąć, moje dziecko. Chodzi o mego wnuka, naturalnie.

Mrs. Noel nie zrobiła żadnego poruszenia i uczucie irytacji, które tak łatwo nawiedza starych ludzi, gdy stają w obliczu czegoś niespodziewanego, przyszło lady Casterley z pomocą.

— Nazwisko pani, — rzekła, — łączą z jego nazwiskiem w sposób, który może mu bardzo zaszkodzić. Pani nie chce jego krzywdy, jestem tego pewna.

Mrs. Noel zaprzeczyła ruchem głowy, a staruszka ciągnęła dalej:

— Mówią najrozmaitsze rzeczy od tego wieczora, kiedy to Mr. Courtier wywichnął nogę. Miltoun był wtedy bardzo nierozsądny. Być może, że pani nie orjentuje się w tem.

Odpowiedź Mrs. Noel była boleśnie jasna:

— Nie miałam pojęcia, że ludzie interesują się tak bardzo mojem postępowaniem.

Lady Casterley wykonała gest oburzenia.

— Wielki Boże, — rzekła, — każdy przeciętny człowiek interesuje się kobietą, której stanowisko jest anormalne. Żyjąc samotnie, a nie będąc wdową, dajesz podstawę do najrozmaitszych podejrzeń dla każdego. Szczególnie tu na wsi.

Ukośne spojrzenie Mrs. Noel, jasne i ironiczne, zdawało się mówić:

— Czy i dla ciebie również?

— Nie jestem upoważniona, by pytać o przeszłość pani, — ciągnęła dalej lady Casterley, — lecz jeśli trzymasz ją w tajemnicy, musisz być przygotowana, iż będą ją rozmaicie komentować. Mój wnuk jest człowiekiem najwznioślejszych zasad. Nie patrzy na rzeczy oczami przeciętnego człowieka i dlatego powinna pani była być podwójnie ostrożna, by nie skompromitować go właśnie teraz.

Mrs. Noel uśmiechnęła się. Uśmiech ten zauważyła lady Casterley, zdawał się bowiem, ukrywając wszystko, okazywać głębię siły woli i przebiegłości. Czy ta kobieta nie zdemaskuje się nigdy?

— Oczywiście nic poważnego nie wchodzi w grę? — rzekła porywczo.

— Najzupełniej.

Słowo to, które z wszystkich wypowiedzianych zdawało się być jedynym odpowiedniem, było powiedziane tak, iż lady Casterley nie wiedziała, co właściwie sądzić. Chociaż sama czasem ironizowała, nienawidziła ironji u innych. Żadna kobieta nie powinna była używać tej broni. Lecz w czasach, kiedy ważyły się nawet na to, by żądać praw wyborczych, nie można było nigdy przewidzieć do czego są zdolne! Choć właśnie ta kobieta nie była podobna do innych! Była kobieca — bardzo kobieca. Należała do tego rodzaju istot, które psują mężczyzn tem jedynie, że są zbyt urocze dla nich. I chociaż staruszka przyszła tu z postanowieniem wywiedzenia się wszystkiego i zakończenia sprawy, z dziwną ulgą ujrzała Barbarę, wchodzącą przez furtkę ogrodową.

— Teraz już jestem w stanie powrócić do domu, — rzekła.

I wstając z miejsca, skinęła lekko głową w stronę Mrs. Noel.

— Dziękuję pani za wypoczynek. Podaj mi ramię, dziecko.

Barbara podała jej ramię, rzucając jednocześnie Mrs. Noel krótki uśmiech. Lecz nie otrzymała odpo-

wiedzi, gdyż Audrey stała, patrząc spokojnie za niemi oczyma niesłuchanie rozszerzonymi i pociemniałemi.

Lady Casterley szła przez łąkę, przeżywając milcząco swe wzruszenia.

— Co będzie z bryczką, babuniu?

— Z jaką bryczką?

— Z tą, którą kazałaś mi zamówić.

— Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że wzięłaś mój rozkaz na serjo?

— Nie.

— Hm.

Uszły znowu kawałek drogi, kiedy lady Casterley odezwała się nagle:

— Ona jest skryta.

— I mądra, — dodała Barbara. — Obawiam się babuniu, żeś nic nie wskórała.

Lady Casterley spojrzała na nią zukosa.

— Nie znoszę tego zwyczaju wśród młodzieży, — rzekła, — że nie biorą niczego na serjo. Nawet byków — dodała z kwaśnym uśmiechem.

Barbara odrzuciła głowę i westchnęła:

— Ani bryczek, — rzekła.

Lady Casterley zobaczyła, że Barbara przyknęła powieki i rozchyliła usta. Pomyślała: — „Jest wyjątkowo piękna. Nie miałam pojęcia, że jest tak piękna, cokolwiek może za duża”. Głośno rzekła:

— Proszę cię, bądź cicho, jeśli nie chcesz oberwać czego.

Nie mówiły nic więcej. Kiedy weszły w aleję, lady Casterley spytała ostro:

— Któż to idzie od strony podjazdu?

— Mam wrażenie, że to Mr. Courtier.

— Cóż on sobie myśli, spacerując tak z chorą nogą.

— Idzie zapewne pomówić z tobą, babuniu.

Lady Casterley przystanęła.

— Jesteś obrzydliwie złośliwa, — rzekła. — Zapamiętaj, że nie życzę sobie tego.

— Dobrze kochanie, — szepnęła Barbara, — postaram się uwolnić cię od niego.

— Cóż twoja matka sobie myśli, — jęknęła lady Casterley — wychowując cię w podobny sposób? Jesteś tak samo niemożliwa, jak ona, kiedy była w twoim wieku.

— Daleko gorsza, — rzekła Barbara. — Zeszłej nocy śniło mi się, że umiem fruwać.

— Jeśli będziesz tego próbować, — powiedziała lady Casterley ponuro, — napewno zdarzy się coś złego.

— Dzień dobry panu, powinien pan leżeć jeszcze w łóżku.

Courtier uchylił kapelusza.

— Z pewnością nie, jeśli pani już wstała.

Poczem dodał chmurnie:

— Afera wojenna została zlikwidowana.

— O, — rzekła lady Casterley, — wobec tego działalność pańska skończona. Przypuszczam, że powróci pan teraz do Londynu.

Spojrzała nagle na Barbarę i zauważyła, że uśmiechała się ona z w półprzymkniętymi oczami. Zdało się także lady Casterley, a może było to tylko przywidzenie — że potrząsnęła przecząco główką.

ROZDZIAŁ XIII

Dzięki lady Valleys, która była opiekunką wszystkich ptaków, żadnej sowy nie zabito nigdy na terytorjum dóbr Monkland. Hukały więc i polowały swobodnie te miękkoskrzydłe duchy mroku ku uciezce wszystkich z wyjątkiem różnych małych stworzeń, będących ofiarą ich żarłoczności. Obok każdego domu, farmy i pola przefruwały one niewidzialnie, rozbijając skrzydłami ciemne powietrze. Ich podróże, obfitujące w przygody i odkrycia, sięgały

aż na ugory, do kamiennej figury, której pochodzenie z pewnością znały. Naokoło domku Audrey Noel unosiły się chmurami, gdyż miały tam dwa siedliska w starym, zmurszałym murze. Zdawało się, że czuwają nad panią tej siedziby, tak nieustanny był ich lot wokół niej, tak łagodne i przeciągłe sygnały i nawoływania. Teraz, kiedy pogoda była ciepła i radość życia wstąpiła we wszystkie żyjące stworzenia, dziwnie zasmakowały w różnych drobnych, soczystych żyjątkach i wyprowadzały na żer całe rodziny swoje, składające się z małych, szczególnie udatnych sówek, bardzo poważnych, o wielkich głowach, błyszczących oczach i skrzydłach, które narazie służyć mogły jedynie do fruwania tuż ponad ziemią. Nie było prawie godziny we dnie, od południa aż do zmroku, żeby która z nich nie przyfrunęła zajrzeć, co robi ten wielki, spokojny, bezskrzydły ptak, który poruszał się we dnie w ogrodzie, a wieczorem i rankiem ukazywał swe białe, czasami niebieskie lub szare pióra, w wielkim kwadratowym otworze, umieszczonym wysoko we frontowej ścianie. Nie mogły zrozumieć, czemu nie potrafi fruwać, ani nie odpowiada na ich przeciągłe, łagodne hukanie.

Dnia tego, w którym Audrey Noel zaszczycona została wczesną wizytą, wkrótce po zapadnięciu mroku wybiegła ona w pole owinięta długim, ciemnym płaszczem, z czarną koronką na ciemnych włosach. Zdawało się, że chce się połączyć z tymi poważnymi, uskrzydłonymi niewidzialnymi łowcami nocy. Odległe, przeciągłe nawoływania, które na wsi długo jeszcze dają się słyszeć po zachodzie słońca, umilkły właśnie w powietrzu, z którego biła woń majowa, tak, jak unosi się zapach perfum z szat kobiety. Tylko jakieś spóźnione szczekanie psa, sykanie świerszcza, lub śpiew strumyka głośzyły słodki oddech wieczornej ciszy. Nie było żadnego światła, przy którym możnaby było rozpoznać oblicze nocy. Było ono ukryte, nieodgadnione. Czasem lampa z którejś chaty rzuciła blask na przeciwległą stronę drogi, wtedy wyglądało to, jakgdyby jakiś wędrowny malarz, wymalo-

wał na ciemnem tle obraz, otoczył go ramami z szafiru i pozostawił zawieszony w powietrzu. Gdyby można było przetrząsnąć tę czarną noc, okazałoby się, iż nurtują w niej takie same namiętności i żywioły, jakie nurtowały w duszy kobiety, która wędrowała wśród jej cienia, chowając się przed wzrokiem przechodniów, zatrzymując się czasami, by ochłodzić rozpaloną twarz, biegnąc prędko, by uciszyć tętniące serce. Nieodgadniona noc, szukająca swego symbolu, znalazłaby jego najlepsze uosobienie w tej błakającej się postaci, najlepsze wyrażenie swych głębokich pragnień i ukrytego, namiętnego buntu przeciw własnej tajemniczości.

W Monkland Court wszyscy, z wyjątkiem małej Anny, przepędzili poranek w poważnem skupieniu. Każdy czuł, że należy coś przedsięwziąć, lecz nikt nie wiedział co takiego. Podczas lunch'u jedyną aluzją do sytuacji było zapytanie Harbingera: Kiedy powraca Miltoun? Okazało się, że depeszował, iż przyjeżdża samochodem tej nocy jeszcze.

— Im prędzej, tem lepiej, — bąknął sir Wiliam. — Mamy jeszcze przed sobą dwa tygodnie.

Wszyscy wyczuli po tonie, jakim to powiedział, jak groźnie przedstawia sobie sytuację ten doświadczony działacz.

Teraz, kiegy groźba wojny przeminęła i kiedy na domiar złego rozeszły się plotki w związku z Mrs. Noel, powód do alarmu stawał się rzeczywiście aktualny.

Południowa poczta przyniosła od lorda Valleys list, wysłany expresse. Lady Valleys otworzyła go z lekką zmarszczką między brwiami, która pogłębiła się w miarę czytania. Jej piękna, czerstwa twarz przybrała wyraz smutku, zrzadka tylko na niej goszczącego. Przyjęła przykre nowiny z prawdziwą godnością.

„Eustachy wyjawiał mi zamiar ożenienia się z Mrs. Noel, — brzmiał list jej męża, — nie widzę, niestety, możliwości przeszkodzenia mu. Jeśli będziesz mogła po-

myśleć o jakimś sposobie wyperswadowania, musisz go użyć. Jest to djabelnie przykra historia, moja droga“.

W istocie było to djabelnie przykrą historją, gdyż jeśli Miltoun zdecydował się na ten ożenek, nie wiedząc nic jeszcze o złośliwych plotkach, jakże niezachwianem będzie teraz jego postanowienie! Kobieta światowa ocknęła się w lady Valleys. Małżeństwu temu należała przeszkodzić. Było ono przeciwne wszystkim jej instyktom, jej naturze praktycznej nie tylko z usposobienia, lecz i przez wychowanie i tryb życia. Jej gorąca, namiętna natura sympatyzowała raczej z wszelkimi objawami miłości i życia i gdyby nie była tak zrównoważona, mogłaby to uważać za stronę ujemną swego życia, polegającego na ciągłym, jawnym kontakcie ze światem. Świadomość takiego niebezpieczeństwa, grożącego jej samej pozwalała jej ocenić należycie całe ryzyko nieodpowiedniego stosunku — głównie małżeństwa — dla każdego społecznego działacza. Jednocześnie poruszyło się w niej serce matki. Nie kochała nigdy Eustachego tak silnie jak Huberta, jednakże był jej pierworodnym i w obliczu tej wiadomości, która znaczyła, iż traci go na zawsze, czuła dziwną zazdrość wobec kobiety, co pozyskała miłość jej syna, której jej nigdy nie udało się zdobyć. Ból ten nadał jej twarzy jakiś prawie że uduchowiony wyraz, który przeszedł natychmiast potem w zniecierpliwienie. Dlaczego ma się z nią żenić, właściwie? Można się przecież urządzić inaczej. I tak ludzie mówią już o nielegalnym związku, niechaj znajdą potwierdzenie swych domysłów. Wszystko lepsze niż to małżeństwo, które będzie mu zawadą w życiu! Czy rzeczywiście zawadą? Pomiń wszystko uroda znaczy bardzo wiele! Gdyby tylko jej przeszłość nie była tak bardzo podejrzana. Lecz jakaż właściwie była ta przeszłość? Naprawdę niedbalstwem było nie dowiedzieć się nic o tem! To jest właśnie najgorsze, gdy się ma do czynienia z ludźmi, nienależącymi do towarzystwa, że tak trudno jest do-

wiedzieć się o nich czegośkolwiek! Ocknęła się w niej jakaś gwałtowna nienawiść, która dojrzewała szybko w ludziach, od młodości otaczanych wiarą w to, że tylko oni i jedynie oni są wszystkim na świecie.

Podawała list swym córkom, przeczytały go i oddały Hubertowi, a ten w milczeniu zwrócił znów matce.

Tego wieczora, używszy manewru w celu zostania sam na sam w bilardowym pokoju z Courtierem, Barbara Caradoc spytała:

— Zastanawiam się, czy odpowie mi pan na jedno pytanie, mr. Courtier?

— Jeśli tylko będę umiał i mógł.

W głęboko dekoltowanej sukni z tkaniny ciemnozielonej, przerabianej nitką złotawą, wpadającą w odcień jej włosów, wyglądała jak porywający obraz olśniewającej bieli, złota i głębokiej ciemności. Stała spokojnie, opierając się o stół bilardowy tak silnie, że jej białe gładkie ręce zlekka drżały.

— Doszła nas wiadomość, że Miltoun chce się ożenić z mrs. Noel. Ludzie naogół nie otaczają się tajemniczością bez powodu. Chciałabym, żeby mi pan powiedział kim ona właściwie jest?

— Zdaje mi się, że niezupełnie dobrze zrozumiałem — wyszeptał Courtier. — Pani mówiła — ożenić się?

Widząc, że wyciąga ręce jakby z prośbą o powiedzenie prawdy, dodał:

— Jak może brat pani żenić się z nią, kiedy ona jest mężatką?

— Ach!

— Nie miałem pojęcia, że nie wie pani o tem.

— Myśmy przypuszczali, że jest rozwiedziona.

Dziwny, płomiennie - spokojny, sardonicznie - wesoły wyraz ukazał się na twarzy Courtiera:

— Pobici swoją własną bronią. Zwykła rzecz. Niech tylko ładna kobieta zamieszka sama, złośliwe języki męskie dokonają reszty.

— Nie było tak źle, jak pan przypuszcza, — powiedziała sucho Barbara, — mówiono, że to ona zażądała rozwodu.

Courtier przygryzł wargi.

— Wobec tego niech pani posłucha jej historii. Ojciec jej, pastor wiejski, był przyjacielem mego ojca, tak że znam ją od dziecka. Stefan Lees Noel był wikarym w tej samej parafii. Wyszła za niego nagłona prośbami ojca. Miała zaledwie dwadzieścia lat i nie spotykała przedtem innych mężczyzn. Ojciec był ciężko chory i chciał przed swoją śmiercią widzieć ją zabezpieczoną. Bardzo prędko po ślubie spostrzegła, że popełniła straszny błąd.

Barbara przysunęła się bliżej.

— Co to był za człowiek?

— Niezły być może, lecz jeden z tych ograniczonych, małostkowych, upartych mężczyzn, którzy, będąc z gruntu egoistami, są najdokuczliwsi w pożyciu małżeńskim. Duchowny tego pokroju nie może liczyć na zaufanie. Każde żyjące stworzenie, z którym ma do czynienia, przyczynia się jeszcze do rozwinięcia w nim najgorszych skłonności. Żona takiego człowieka jest niewolnicą. Pod brzemieniem takiego życia poczęła się wkońcu uginać, choć należy do tego rodzaju kobiet, które dźwigają swój ciężar do chwili, aż upadną. Po czterech latach dopiero począł orientować się w sytuacji. Wtedy nasunęło się pytanie, co im teraz czynić należy? Jest anglikaninem w całym tego słowa znaczeniu, z wszystkimi przekonaniemami o nierozzerwalności małżeństwa, lecz tym razem szczęśliwie został dotknięty w swej dumie. Koniec końców rzeszli się dwa lata temu. I oto jest teraz tutaj, bez celu i oparcia. Ludzie mówią, że to jej wina. Powinna była zastanowić się nad swym krokiem — mając lat dwadzieścia! Lub powinna była ukryć swe cierpienie i wytrwać. Przekłęte niech będą ich gruboskórne, miłosierne dusze! Cóż mogą wiedzieć oni o tem, jak cierpi wrażliwa kobieta? Przepraszam panią, lady Barbaro, uniosłem się. — Umilkł, lecz widząc jej oczy, zwrócone

na siebie, ciągnął dalej. — Matka umarła przy jej urodzeniu, ojciec krótko po jej małżeństwie. — Szczęściem ma dosyć pieniędzy, by żyć spokojnie. Co do niego, zmienił parafję i mieszka teraz gdzieś daleko w Szkocji. Żal tego biedaka również. Nigdy się nie widują i, o ile mogą sądzić, nie korespondują ze sobą. Oto, lady Barbaro, jej tak bardzo prosta historia.

Barbara rzekła:

— Dziękuję panu — i odwróciła się. Usłyszał jej szept: — Jakie to okropne!

Nie wiedział jednak, co wywołało te słowa, czy los mrs. Noel, czy jej męża, czy też myśl o Mil-toun'ie.

Dziwiła go swą prawie-że surową umiejętno-ścią panowania nad sobą i swemi uczuciami. Jaka cudowną stałaby się kobieta, gdyby uchronić ją od przekleństwa wysokich sfer, które zabije w niej wszelkie porywy, spaczy ją i uczyni z niej bezduszną lalkę. Gdyby pozwolić, by entuzjizm przenikał i użyźniał jej duszę! Przypominała mu wielką, czarną lilję, marzyła mu się jako wizja tego kwiatu, uwolnionego z więzów korzeni i z pokładu kultuwujących nawozów,—unoszącego się w wolnem powietrzu. Jakże szlachetną i pełną wzniosłych zapałów staćby się mogła! Jaki blask i jaką woń rozaczałaby wkoło. Duch Fleur de Lys. Siostra wszystkich szlachetnych kwiatów światła, istniejących we wszechświecie.

Zagłębiony we framugę okna patrzył w tajemniczą noc. Słyszał hukanie sów i czuł bicie czyjegós serca tam w ciemnościach, lecz nie znajdował odpowiedzi na zew swych marzeń. Czy zapomni kiedykolwiek ta dziewczyna-lilja o swoim otoczeniu, nie pozornie tylko, lecz całą duszą, czy stanie się *tylko* kobietą, kochającą, czującą, cierpiącą, umiejącą cieszyć się szczęściem innych? Czy będzie kiedyś w stanie zespolić się z tem niewielkiem bractwem wielkich serc, wydziedziczonych z przywilejów i korzyści. Cour-tier nie był w kościele już od lat dwudziestu, czując, że nie może przestąpić progów świątyń swego kraju,

nie wyzbywszy się uprzednio godła wolności, — lecz czytał z zamiłowaniem biblję, uważając ją za potężny poemat. I stare słowa przyszły mu na myśli: „Zaprawdę, mówię wam, łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niżli bogaczowi wstąpić do raję.” I teraz, patrząc w czarną noc, której otchłań zdawała się odpowiadać na wszystkie zagadki, próbował odczytać tajemnicę przyszłości tej dziewczyny, z której istnieniem zdawało się splatać wielkie zagadnienie ducha, wyswabdzającego się z więzów, które przykuwają go do jego powłoki i otoczenia.

Noc przemówiła nagle, i na horyzoncie, jakgdyby wynurzając się morza, wzeszedł nagle księżyc. Zrzucił z siebie bladawą szatę świetlną i rozbłysnął jasny i nagi na ciemnej kurtynie nieba. Zdawało się że noc nie jest już nieprzenikniona. W mrocznym ogrodzie wyłoniła się powoli przed Courtierem kamienna statua Diany, a poza nią, jakgdyby jej mroczna świątynia, wznosił się w ciemnościach wysoki i kręty cyprys.

ROZDZIAŁ XIV

Egzemplarz gazety Buklandbury News z opisem awantury doszedł do rąk Miltoun'a dopiero wtedy, kiedy gotował się on do powrotnej podróży. Przyszedł, zakreślony błękitnym ołówkiem wraz z małą kartką:

Drogi Eustachy!

Załączony artykuł, — chociaż bezczelny i niezasadniony — jednakże wymaga zastanowienia. Nie możemy przedsięwziąć żadnych kroków, zanim nie przyjedziesz. Szczerze oddany.

Wiliam Shropton.

Wrażenie, jakie sprawiła wiadomość ta na Miltoun'ie, byłoby inne, gdyby nie był on już tak całko-

wicie zdecydowany poślubić Mrs. Noel,—lecz w jakichkolwiek okolicznościach by go doszła, jest wątpliwem czy wywołałaby u niego coś więcej, niż lekceważący uśmiech i podarcie gazety w kawałki. Tego rodzaju sprawy nie były w możności dotknąć go lub wzruszyć, nie pojmował nawet zupełnie jak mogą dotknąć i wzruszyć kogokolwiek. Jeśli artykuł ten miał jakikolwiek wpływ na tych, co go czytali — tem gorzej dla nich. Czuł rzeczywisty, choć nieujawniony wstręt do wszelkiej kołtunerji w jakiejkolwiek sferze miałyby miejsce, i ani na krok nie odstąpiłby od sposobu swego postępowania, by zadośćuczynić jej wymaganiom. Również nie przychodziło mu wcale na myśl, aby Mrs. Noel mogła się czuć dotknięta podłością ludzi. Z obydwu przysłanych dokumentów liścik Shroptona był tym, który sprawił mu więcej przykrości. Było to tak w stylu jego szwagra wyolbrzymiać każdą drobnostkę.

Nie spał zupełnie podczas swej krótkiej podróży przez uśpioną okolicę, a przybywszy do Monkland późną nocą, nie udał się również na spoczynek. Miał cudowne, podniosłe uczucie, iż znajduje się u progu jakiegoś przełomowego wydarzenia. Jego dusza i zmysły płonęły, — gdyż właśnie zasługą tej kobiety było, iż wszystko w nim powołała do życia.

Wypił herbatę i wyszedł, kierując się w stronę ugorów. Dochodziła już ósma rano, kiedy dotarł do wierzchołka najbliższego wzgórza. Tutaj, pod nim, nad nim i wokoło, roztaczała się ziemia i niebo, których potężny widok harmonizował wspaniale z jego podniosłym nastrojem. Były one jak symfonia potężnej muzyki lub szlachetność wielkiego umysłu odkrytego dla ludzkiego oka. Wyczuwało się tu obecność Boga we wszystkich przejawach. Błękitna, niepokalana cisza roztaczała się na niebiosach, tylko na wschodzie trzy wielkie chmury, jak myśli, błędzące szlakiem przeznaczenia, płynęły spokojnie w kierunku morza, a cień ich padał na odległe doliny. Ziemia, rozpostarta pod błękitną kopułą nieba, błyszczała

i mieniała się wszystkimi kolorami, jakby opromieniona boskim uśmiechem. Wiatr, idący z północy, gdzie gonił białe ptaki obłoków, nie mącił swym głosem ciszy, unosił się bowiem zbyt wysoko, swobodny i wolny. Przed Miltoun'em, zwróconym w stronę tego wiatru, leżała szachownica nizin, mglista zieleń, różowawa rdza i brunatność pól, białe i szare centki domków i wież kościelnych, rozplywających się w błękitnym woalu przestrzeni, otoczone daleką ścianą gór. Poza nim nie było nic, prócz nieskończonej powierzchni sinawo-bronзовych, ugorów. Na tem nieograniczonym morzu ponurej dzikości nie było ani jednej łodzi, prócz odcinającego się na dalekim horyzoncie groźnego, potężnego budynku, warowni Dartmoor. Nie słysząc było żadnego głosu, nie unosiła się żadna woń i zdawało się Miltoun'owi, że duch jego opuścił ciało i połączył się z majestatem Boga. A jednak, gdy stał tutaj z głową obnażoną, dziwny uśmieszek, błakający mu się zawsze na ustach, w chwilach podniosłych i głębokich przeżyć, wskazywał, iż duch jego nie poddał się Wszechpotędze, przeciwnie umocnił się we własnej sile i to było tajemnym źródłem jego zadowolenia. Położył się w zagłębieniu między kamieniami. Słońce dochodziło tu, lecz złomy skalne chroniły go od powiewów. Otaczała go cisza, przesiąknięta suchym, słodkim zapachem młodego wrzosu. Ciepło i woń przeniknęły jego ducha i rozeszły się po krwi.

Płomienne obrazy wstawały przed jego oczyma, wizja niekończącego się uścisku ramion. Z uścisku tego powstawało życie, a potem uczyniony został Wszechświat, z jego niezliczonymi kształtami i bogactwem natur, wśród których nie znajdziesz dwóch jednakich! Ze związku jego z tą kobietą powstaną istnienia, które zajmą przeznaczone im miejsce w wielkim planie życia! To będzie związek piękny i właściwy, gdyż istoty te będą z pewnością godne, by służyć wielkim zasadom, którym on hołdował. I nagle ogarnęła go obłądna fala pożądania, przeciw któ-

remu tak często walczył i z wielkim trudem pokonywał. Powstał i począł biec ze wzgórza, potykając się o kamienie i gęste kępy wrzосу.

Audrey Noel wstała tego rana również bardzo wczesnie pomimo, iż późno położyła się spać. Ubierała się powoli i bardzo starannie, gdyż była jedną z tych kobiet, które zbroją się przeciw losowi. Są zbyt dumne i nie mogą znieść myśli, że cierpienie ich może sprawić przykrość innym. Zewnętrzny ich wygląd jest dla nich świętością, bo dała im go natura w tej wierze, iż będzie wzbudzał zachwyt. Kiedy skończyła się ubierać, przejrzała się w lustrze bardziej badawczo, niż kiedykolwiek.

Była ona, jak lady Csaterley słusznie zauważyła, kobietą, która psuje mężczyźn tem, że jest dla nich zbyt urocza. Była bezużyteczną dla tych, którzy walczą o zrównanie praw kobiety, posiadała pewien bierny stoicyzm, wysoce dezorientujący, gdyż obdarzona małą dozą, czy też pozbawiona zupełnie, inicjatywy, przeprowadzała jednak wszystkie swe zamierzenia, z wielką siłą i skrupulatnością. Niezdolna prosić o nic nikogo, wymagała miłości, jak roślina wymaga wody, mogła oddawać się najzupełniej, pozostając jednocześnie dziwnie nietkniętą, nietykalaną i najczęściej kochana przez tych, którzy ją za taką uważali.

W naturze jej, łączącej w sobie wszystkie cechy słodkiej i łagodnej kobiety, tkwił jeszcze pewien rys cynizmu. „Widziała“ z dziwną jasnością i przejrzyistością. Kochała blask, barwę i ciepło. Mistycyzm jej był omal że nie pogański. Przytem nie miała wielkich wymagań — wystarczyły jej rzeczy takie, jakimi się wydawały.

Tego poranka, uporawszy się z wszystkimi drobnymi zabiegami, które dodają uroku nawet najpiękniejszej kobiecie, zeszła na dół do swej małej jadalni, zapaliła maszynkę spirytusową i z gazetą w ręce stanęła, oczekując, aż się zagotuje woda na herbatę.

Była to jej najulubiejsza godzina dnia. Choć przeznaczenie starło świeżość rosy porannej z jej egzystencji, znajdowała ją ona każdego poranka na obliczu natury i na słodkich twarzyczkach kwiatów. Badała z rozkoszą jak spała każda z tych małych istotek w jej ogrodzie, ile nowych dziełek przyszło na świat od świtu, komu dolegało coś i kto wymagał opieki. Budziło się w niej to uczucie, które odzywa się co poranka u ludzi, żyjących samotnie, przeświadczenie, że nie są zupełnie samotni. Uczucie to jest niestety, krótkotrwałe, gdyż istnieje tylko do czasu, kiedy bieg dnia znowu przekonywa ich o samotności. Nie była bezczynna, zajmowała się pracą, którą jej dostarczał Courtier, polegającą na zasilaniu muzycznego działu pewnego pisma kobiecego. To, jej własna muzyka, kwiaty i sprawy kilku rodzin włościańskich, któremi się opiekowała — wypełniały całkowicie jej czas. Nie pragnęła lepszego losu, byleby każda minuta dnia była zajęta, gdyż lubiła pracę, niewymagającą inicjatywy, co jest zwykłym u ludzi, obdarzonych niezbyt aktywnym umysłem.

Odrzuciła nagle gazetę, podeszła do wazonu, stojącego na stole, wyjęła umieszczone w nim dwie gałązki lawendy i, trzymając je zdaleka od siebie, wyszła do ogrodu i wyrzuciła je poza mur. To dziwne unicestwienie dwóch biednych roślinek, wykwitłych tak wcześnie, które zerwała i postawiła dla niej w najlepszych chęciach służąca, było czynem, którego najmniej się można było spodziewać po niej, tak zważającej zawsze na to, by nie dotknąć czyjegoś uczucia, której oczy rozjaśniały się zawsze na widok kwiatów. W rzeczywistości zapach lawendy — woń, przenikająca zawsze ubranie i chustki jej męża — raził ją tak bardzo, iż nie mogła przebywać tam, gdzie się unosił. Bardziej niż cokolwiek innego, zapach ten przypominał jej człowieka, z którym pożycie było dla niej torturą. Pod wpływem tego nawałnica wspomnień otoczyła ją. Wspomnienie tych trzech lat, kiedy trwała, zacisnąwszy zęby, w straszliwym przeświad-

czeniu, że przykuta jest do nieszczęścia na przeciąg całego życia. Wspomnienie nagłego zerwania i odsunięcia się od świata w poszukiwaniu wypoczynku dla starganych nerwów. Przypominała sobie, jak to dwukrotnie podczas pierwszego roku swobody, która nie była jednak wolnością, zmieniała miejsce pobytu, by uciec przed swoją przeszłością, nie dlatego, że się jej wstydziła, lecz, że przypominała jej całe nieszczęście i niedolę, jak to przybyła do Monkland, gdzie pod wpływem spokojnego życia odzyskała powoli równowagę ducha. A potem spotkanie z Miltoun'em! Nie spodziewane źródło radości, płynące z tej przyjaźni. To szczerze, ciche zadowolenie czterech pierwszych miesięcy. Przypomniła sobie swoją spokojną radość, tajemne utożsamianie czyjegoś życia z jej własnym, zanim jeszcze podejrzewała, że rodzi się miłość. Akurat trzy tygodnie temu, kiedy pomagał przy wiazaniu krzaków róż, dotknął przypadkiem jej ręki, i wtedy otworzyły się jej oczy. Nawet wówczas, aż do dnia, kiedy Courtier uległ przypadkowi, nie śmiała uświadomić sobie otwarcie swego szczęścia.

Zainteresowana teraz bardziej dobrem Miltoun'a niż swoim własnym, po tysiącakrotnie pytała sumienia, czy niema w tem jej winy, że pozwoliła mu zakochać się w niej, stojącej poza nawiasem prawa, w umarłej kobiecie! Niewybaczalny grzech! Oczywiście, zależało wiele od tego, co zamierza mu dać. Była szczerze przygotowana, dać mu wszystko, nie żądając nic wzamian. Znał jej sytuację, powiedział przecież, że zna, miłość do niego uszlachetni ją, będzie cierpieć za tę miłość bez żalu. Miltoun miał rację sądząc, że plotki prasy nie są w stanie dotknąć Audrey, chociaż powód tej nietykalności był inny, niż przypuszczał. Nie była tak jak on odporna na insynuacje, tyżące życia prywatnego, dlatego jedynie, że oszczerstwa te były nędzne, niskie i niegodne uwagi. Jak dotychczas nie zastanawiała się nad nimi z ogólnego punktu widzenia. Nie dotykały jej natomiast tylko dlatego, że duchowo tak dalece była

związana z Miltoun'em, iż czuła się nieledwie szczęśliwa, gdy uważano resztę jej istoty za należącą do niego. Tylko i jedynie ze względu na Miltoun'a czuła się wzburzona do głębi duszy. Zaćmiła blask jego tarczy w oczach ludzi, (gdyż, będąc z natury praktyczną, jasno zdawała sobie sprawę z sytuacji) być może cofnęła jego karierę o wiele lat wstecz.

Zasiadła do herbaty. Z natury nie była skłonna do łez, cierpiała więc w milczeniu. Wiedziała, że Miltoun przyjdzie do niej, nie miała pojęcia co mu powie, kiedy go zobaczy. Nie mógł kochać jej tak silnie, jak ona jego. Był mężczyzną, a mężczyźni zapominają szybko! Tak, lecz on nie był wszak podobny do innych mężczyzn! Po oczach jego poznać można było, iż potrafi czuć głęboko.

W całej sprawie nie obchodziła jej zupełnie własna opinia. Życie i jasny pogląd na świat zakorzeniły w niej przeświadczenie, że dla kobiety cenność jej opinii jest fikcją, stworzoną przez mężczyznę tylko dla jego korzyści; tandetny fetysz, podstępnie i nieuchronnie wysuwany przez mężczyznę do uwielbiania w powieści, sztuce i przed kratkami sądu. Czuła instynktownie, że żaden mężczyzna nie byłby pewny posiadania swej kobiety, gdyby nie wierzył, że kobieta ta przykładą niesłychaną wagę do swej reputacji. W to, co chcieli wierzyć, w to wierzyli! Lecz Audrey wiedziała, że jest inaczej. Wielkoduszne kobiety, które spotykała, lub o których czytała, robiły na niej wrażenie, że nie chodzi im głównie o ocenę ich moralności, ale o faktyczną wartość ich duszy i umysłu. Własne doświadczenie przekonało ją, że dla zwykłej kobiety najcenniejsza jest opinia w oczach tego, którego kocha. U kobiet światowych zauważyła, że reputacja nie przedstawia wartości rzetelnej, lecz tylko pozorną korzyść handlową, nie była dla nich koroną godności, lecz zyskownym dobrem. Nie obawiała się zupełnie tego, co ludzie będą mówić o jej przyjaźni z Miltoun'em, jak również nie uważała, żeby więzy małżeńskie mogły zabronić jej kochać go.

W głębi ducha czuła się wolna od tej chwili, kiedy uświadomiła sobie, że nigdy prawdziwie nie kochała swego męża. Spełniała tylko swe obowiązki, aż do czasu separacji, gdyż była z natury bierna i nie lubiła robić nikomu przykrości. Człowiek, który był kiedyś jej mężem, nie istniał dla niej zupełnie. Nie mogła wyjść za mąż, to prawda, lecz mogła kochać i kochała. Jeśli miłość ta nie znajdzie odpowiedzi i umrze, nie stanie się to napewno z powodu jakichś moralnych skrupułów. Otworzyła powoli gazetę i pierwsze słowa, które rzuciły jej się w oczy, pod nagłówkiem „Echa Wyborów”, były:

„W związku z wypadkiem Mr. Courtiera, udało nam się stwierdzić, że dama, która towarzyszyła lordowi Miltoun w niesieniu pomocy, była to Mrs. Lees Noel, żona wielbnego Stefana Lees Noel, wikarego parafji Clathamton, w Warwickshire“.

Wzmianka ta wywołała tylko smutny uśmiech na jej usta. Zostawiła niedopitą herbatę i wyszła na powietrze. Przy furtce spostrzegła Miltoun'a, idącego w jej kierunku. Serce jej zabiło, lecz poszła spokojnie naprzeciw niego i powitała go z napół spuszczonej oczami, jakgdyby nic nie zaszło.

ROZDZIAŁ XV

Podniosły nastrój nie opuścił jeszcze Miltoun'a. Jego zwykle blada twarz płonęła, oczy błyszcząły i Audrey Noel, która łatwiej niż wiele innych kobiet umiała czytać wrażenia, wykryte na twarzy ludzkiej, zauważyła blask tych oczu z radością cmy, dążącej do światła lampy. Przemówiła jednak głosem, niezdradzającym wzruszenia:

— Przyszedł pan na śniadanie? Bardzo to ładnie z pańskiej strony.

Nie leżało w naturze Miltoun'a, by przestrzegać zbytecznych formalności przed atakiem. Gdyby stawał do pojedynku, z pewnością nie ścierpiałby żadnego wstępu, wystarczyłoby spojrzenie, ukłon i szable by się skrzyżowały. Tak też uczynił w swej pierwszej potyczce o duszę kobiety. Nie siadł, ani też czekał aż Audrey spocznie, stał i patrząc intensywnie w jej oczy, rzekł:

— Kocham panią.

Teraz, gdy to już nastąpiło z tak oszałamiającą szybkością, czuła się dziwnie spokojna i niez mieszana. Urok pewności, że jest kochaną rozproszył, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, wszystkie dreszcze niepokoju, zamieniając je w słodkie uczucie. Z chwilą, kiedy nic niezdolne było odebrać jej tej świadomości, zdawało jej się, że już nigdy w życiu nie może być zupełnie nieszczęśliwa. Jej natura, nierozważnie a z głębokim przekonaniem odrzucająca doniosłość innych wartości prócz miłości, triumfowała potajemnie, znalazłszy oparcie. On ją kochał! I ona jego! Boże wielki! I nagle, opanowana strachem, że może cofnąć te słowa, wyciągnęła rękę i dotykając jego piersi, szepnęła:

— I ja kocham pana.

Ramiona jego otoczyły ją. Moc i uniesienie tej chwili były tak potężne, iż zamarła w niej wszelka myśl. Stała, spoglądając w jego twarz, z ustami rozchyłonymi i oczyma pociemniałymi głębią miłości, o jakiej nie marzyła. Milczał, owładnięty szaleństwem swego uczucia. I trwali tak pochłonięci sobą, nie wiedząc o niczem, nie troszcząc się o nic. Było bardzo cicho w pokoju. Róże i goździki w kryształowej wazie, zdając się wiedzieć, że pani ich błądzi w raju, rozchyliły kielichy i napełniły wonią każdy atom powietrza. Złotawa pszczoła krążyła koło głów kochanków, wyczuwając, zda się, słodycz, goszczącą w kielichach ich serc.

Twarz Miltoun'a, zazwyczaj prawie ładna, stała się dla Audrey Noel w tej chwili, kiedy oczy jego były

tak blisko jej oczu, a usta dotykały jej ust, uosobieniem wszelkiego piękna. A ona z sercem bijącym blisko jego piersi, z oczami w pół przymkniętymi w upojeniu, z włosami przesiąkniętymi słodką wonią, z twarzą pobladłą ze wzruszenia i ramionami omdlałymi ze szczęścia, niezdolnymi do uścisku, — była wcielenie wizji, która ukazuje się jeno w marzeniach sennych.

Tak minęła chwila. Kres jej położyła złotawa pszczoła. Zniecierpliwiona kwiatami, które ukrywały słodycz tak głęboko, krążąc coraz bliżej ich głów, zaplątała się we włosy Audrey. W tej chwili, zauważyła ona, że słowa, złowróżbne słowa, powstają na ustach ukochanego. Próbowała unicestwić je pocałunkiem, lecz pojawiły się:

— Kiedy zostaniesz moją żoną?

Coś się zachwiało! Coś pękło! Z błyskawiczną szybkością obraz sytuacji pojawił się przed Audrey. Wejrzała z nadprzyrodzoną przenikliwością we wszystkie jej zakątki i zakamarki. Coś, co powiedział do niej raz, kiedy rozmawiali o pogładzie kościoła na śluby i rozwody, rozjaśniło jej nagle wszystko. Więc w rzeczywistości nigdy nie znał całej prawdy! W tym momencie straszliwej słabości uchronił ją od zemdlenia jedynie zmysł humoru — jej cynizm. Niepozostawiające jej w spokoju języki ludzkie rozwiodły ją, a on wierzył temu! Szczytem ironji było to, że pragnął ją poślubić, kiedy ona czuła się tak najzupełniej, święcie należąca do niego, gotowa zrobić wszystko co zechce bez wszelkich formalności i ceremonij. Fala gorzkiej nienawiści do człowieka, który stał między nią a Miltoun'em, omal że nie wywołała okrzyku na jej usta. Ten człowiek uwięził—związał ją zanim jeszcze zdołała poznać własną duszę. I oto była przykuta do niego aż do czasu, kiedy jakiś łaskawy przypadek sprawi, że wyda ostatnie tchnienie, wtedy, kiedy jej włosy będą już siwe, oczy stracą blask, a policzki nie będą bladły pod żarem pocałunków, kiedy mrok zapadnie, kwiaty powiędną i złote pszczoły odfruną od niej.

Uczucie to, nagły ból zrozpaczonego więźnia sprawił, iż wyciągnęła dłoń, uchwyciła porywczo gazetę i pokazała ją Miltoun'owi.

Przeczytał wzmiankę. Nastąpiła jedna z tych wieczności, które trwają zaledwie minutę. Spytał wkońcu:

— Czy to prawda?

A na jej milczenie, dodał:

— Proszę mi wybaczyć.

Te dziwnie suche słowa były o tyle straszniejsze od okrzyku, że stała pozbawiona nawet możności oddychania, z oczami wlepionymi w jego twarz.

Uśmiech starego kardynała pojawił się na jego ustach i zdał jej się żywym oskarżeniem. Wydało się dziwnem, że brzęczenie pszczoł i much, łagodny szelest lipy, trwał ciągle na dworze, wskazując uparcie, że istnieje świat, poruszający się i oddychający, obojętny na jej nieszczęście. Potem odwaga wróciła jej, a z nią niema władza kobieca. Oblekła spokojem jej twarz, zaciśnięte, zmysłowe usta i oczy ciemne, nieomal buntownicze pod łukami brwi. Stała, przyciągając go milczeniem i pięknnością. Rzekł:

— Zdaje się, że popełniłem szaloną omyłkę. Wierzyłem, że jesteś wolna.

Jej usta już poruszyły się, by powiedzieć: „Myślałam, że wiesz. Nigdy nie śniłam, że chcesz mnie poślubić“. Zdawało się jej całkiem naturalne, że myślał jedynie o sobie, lecz wiedzona jakimś najsubtelniejszym instynktem odsłoniła nagle całą tragedję swego istnienia.

— Ja już przyzwyczaiałam się do świadomości tego, że jestem umarła.

— Czy niema sposobu zerwania więzów?

— Żadnego. Żadne z nas nie uczyniło nic złego, poza tem małżeństwo z nim jest na wieki.

— Boże Wielki!

Wywołała przedtem jego uśmiech, okrutny mimo woli, a teraz sama z uśmiechem okrutnym rzekła.

— Nie przypuszczałam również, żebyś ty wierzył, iż więzy takie zerwać można.

I nagle twarz jej zadrgała, jakby raniąc jego, raniła siebie jednocześnie.

Patrzył na nią, uświadomiwszy sobie, że i ona cierpi. Czuli, że wytrzyma całą siłę woli, by nie chwycić jej znów w ramiona, więc pobladłe jej usta poczerwieniały i blask rozświetlił oczy, przykryte powiekami. Choć stała tak dumnie milcząca, jakaś siła magnetyczna płynęła od niej. Dłonie, ramiona i twarz Miltoun'a drżały jak w febrze. Ta walka niema i bolesna zdawała się trwać wieczność całą w małym, białym pokoju, zaciemnionym przez dach werandy, przesyconym słodkim zapachem goździków i płonących polan. Wreszcie, nie mówiąc ani słowa, Miltoun odwrócił się i wyszedł. Usłyszała trzask ogrodowej furtki. Odszedł!

ROZDZIAŁ XVI

Lord Dennis łowił ryby. W słońcu woda była tak przejrzysta, iż widać było jak małe pstrągi, uwijając się po płytkim, wiecznie szemrzającym strumyku, omijały przynętę, rzuconą w ich kierunku. Niepowodzenie zniechęciło staruszka. Długą wędką szukał każdego zakamarka ich wodnej drogi. W prostym, grubym ubraniu i zniszczonym kapeluszu, gramolił się pomiędzy krzakami tarniny i leszczyny, czując się najzupełniej szczęśliwy. Jak stary wyżeł, który niegdyś celował w tropieniu zajęcy, królików i innej zwierzyny jest teraz zadowolony, jeśli mu ktoś rzuci choć kawałek drzewa do aportowania, tak i on, będąc niegdyś mistrzem w łowieniu ryb, plondrującym wody Szkocji, Norwegii, Islandji i Florydy, — teraz zadawała się prześladowaniem małych pstrągów, niewiększych od sardynek. Blask

tysiąca wspomnień opromieniał mu te godziny, spędzane nad przejrzystą wodą. Łowił powoli, z namaszczeniem, jak pobożny katolik, przesuwający na różańcu jeszcze jeden paciorek. Każda złowiona rybka przynosiła mu uroczyste zadowolenie.

Był rad, gdyby Barbara towarzyszyła mu tego poranka, nie zaproponował jej tego jednak, przyjrzał jej się tylko nieznacznie po śniadaniu i, uśmiechając się lekko, wyruszył sam. Powietrze było spokojne, ciepłe i przejmujące jednocześnie. Gałęzie drzew łączyły się ponad wodą, z której sterczały głazy kamienne, formując małe zatoczki i wstrzymując bieg wody, tak że zarzucenie przynęty wymagało wielkiej przebiegłości.

Strumień w parowie biegł kilka mil u podnóża gór. Ptaki koczowały gęsto wśród drzew, rosnących na brzegu. Ludzkich istot nie było tu wcale, prócz jednej staruszki, wdowy po farmerze, której domek, zapadnięty głęboko w ziemię, stał w parowie. Starowina zarabiała na życie, wskazując drogę turystom, co czyniła z taką znajomością rzeczy, że zazwyczaj po ujściu kilku kroków, wracali oni czempędzej do niej na herbatę.

Lord Dennis zarzucił właśnie wędkę w kierunku odległej, ciemnej plamy zatoczki, uformowanej między kamieniami, gdy usłyszał nagle hałas i trzeszczenie, wywołane przez czyjeś szybkie kroki. Zmarszczył się trochę, nie chcąc płoszyć biednych rybek. Intruzem był Miltoun, rozgorączkowany, blady, z rozwianym włosiem, z dziwnym, bolesnym wyrazem twarzy. Ujrawszy swego wuja, przystanął i natychmiast przybrał maskę uśmiechu.

Lord Dennis nie był człowiekiem, który widzi to, co nie jest dla niego przeznaczone. Zapytał więc poprostu: „Jak się masz, Eustachy“ takim tonem jakby przemówił, spotykając swego siostrzeńca

w hall'u jakiegoś londyńskiego klubu. Miltoun, niemięcej uprzejmy, rzekł:

— Mam nadzieję, że nie spłoszyłem wujowi ryb?

Lord Dennis potrząsnął głową i, odkładając wędkę na brzeg, powiedział:

— Usiądź tu obok, porozmawiamy trochę. Zdaje mi się, że ciebie nie zajmuje rybołówstwo?

Nie przeoczył cierpienia, wrytego na twarzy Miltoun'a, poza maską obojętności. Oczy jego były jeszcze bystre, poza tem posiadał doświadczenie dwudziestu lat własnych przeżyć. Historia ta, już teraz przebrzmiała, uczyniła z niego człowieka szczególnie wrażliwego na oznaki cierpienia u innych.

Miltoun nie posłuchałby zaproszenia, gdyby pochodziło od kogoś innego, lecz było coś dziwnego w lordzie Dennisie, coś, czemu trudno się było oprzeć. Jego siła leżała w jakimś lekko ironicznym wdzięku, który mógł przekonywać ludzi, że nieuprzejmość jest cechą zbyt nowoczesną, zbyt surową jeszcze, by można ją było tolerować.

Zasiedli obok siebie na pniach drzew. Z początku rozmawiali o ptakach, potem siedzieli cicho, tak cicho, że różne niedostrzegalne istoty, ukryte w lesie, poczęły śmiało w głos się nawoływać. Lord Dennis pierwszy przerwał milczenie:

— To miejsce — rzekł — przypomina mi zawsze opowiadanie Marka Twaina. Nie wiem dlaczego, może przez swoją wieczystą zieloność i młodość. Lubię tych wiecznie młodych filozofów Twaina i Mereditha. Zbawienie nasze leży w męstwie i silnej woli, choć coprawda nigdy nie mogłem znieść tych „silnych ludzi“, sterników swych dusz: Henley'a, Nietzsche'go i im podobnych. Są wbrew moim zapatrywaniom. Co mówisz, Eustachy?

— Mieli dobre zamiary — odpowiedział, — lecz krytykowali zbyt wiele.

Lord Dennis potwierdził.

— Być sternikiem własnej duszy! — ciągnął dalej Miltoun — to piękny frazes. —

— Bardzo piękny — wyszeptał lord Dennis.
Miltoun spojrział na niego.

— I zdaje się, można go zastosować do ciebie,
wuju.

— O nie, mój drogi, — odparł porywczy lord
Dennis — daleko mi jeszcze do tego, dziękować
Bogu!

Oczy jego wlepione były z uporem w dużego
pstrąga, krążącego wśród brunatnej wody. Znał tego
łotra oddawna, na oko ocenił go na pół funta wagi.
Myśli staruszka zaczęły zatrzymywać się nad różnymi
właściwościami przynęty z much. Palce śwędziły
go, by uchwycić wędkę, lecz nie uczynił ani ruchu,
aż wielki jesion, pod którym siedział, zaszumiał nad
nim współczująco.

— Niech wuj spojrzy na tego sępa — rzekł nagle
Miltoun.

Na wysokości, sięgającej wierzchołka wzgórz,
wprost ponad nimi, w błękitie zawisł wielki sęp. Za-
ciekawiony nieruchomością ludzi tam wdole, przy-
glądał im się, badając, czy nie są dla niego odpowied-
nim żerem. Wystrzępione końce skrzydeł poruszyły
się dwukrotnie, wskazując, iż jest on żyjącą częścią
powietrznych przestworzy, — symbolem swobody
dla przykutych do ziemi ludzi.

Lord Dennis spojrział na swego siostrzeńca. Ten
młodzieniec cierpiał bardzo — ogromnie! Był z ro-
dzaju ludzi, którzy znoszą swój ból do czasu aż pa-
dną. Najgorsze natury, jeśli chce im się pomóc. Ludzie,
stworzeni do cierpień, trawią w sobie tak długo ból,
aż ich zmoże! Przed oczami starca zjawił się nagle
obraz Prometeusza, pożeranego przez sępa. Mit ten
należał do jego najulubieńszych, czytał go często po
grecku, pomagając sobie starym słownikiem przy
niektórych wyrazach, których znaczenie ulotniło mu
się już z pamięci.

Tak, Eustachy był człowiekiem, stworzonym
dla wyżyn i głębi!

Powiedział spokojnie:

— Mam wrażenie, że nie masz ochoty do rozmowy.

Miltoun skinął głową i znów zapanowało milczenie.

Sęp, ujrawszy, iż ludzie wdole poruszają się, zatrzepotał skrzydłami i odfrunął. Mała raszka, siedząca w ciepłe omszonego kamienia, przyglądała im się teraz. Znowu dał się słyszeć plusk w wodzie. Lord Dennis zauważył szeptem:

— Ten pstrąg dwukrotnie się wynurzył. Mam wrażenie, że połknął przynętę. —

Dobytając ostatnią muchę z puszek i uwiązując ją na haczyku, począł delikatnie zarzucać wędkę.

— Jeszcze dziś go złapię — zamruczał.

Lecz Miltoun'a już nie było — wymknął się cichaczem.

Dalsze szczegóły o Mrs. Noel, szczegóły, które znała Barbara i które poruszyła również gazeta Bucklandbury News, doszły do wiadomości mieszkańców pałacu dopiero po śniadaniu, kiedy lord Dennis wyruszył już na połów.

W związku z wiadomością, iż Miltoun przyjechał i udał się dokądś bez śniadania, nowiny te spotkały się z rozmaitemi komentarzami. Bertie, Harbinger i Shropton po krótkiej naradzie zdecydowali, że, biorąc pod uwagę dobro wyborów, jest może lepiej, że Mrs. Noel nie jest rozwódką. Skłonni byli mniemać, że niema czasu do stracenia i że należy coś przedsięwziąć, — co jednak — nie byli w stanie określić. Przy niemożliwości przesądzenia tego, jak człowiek, tego rodzaju co Miltoun, zapatrywać się będzie na sprawę, przyjaciele jego stali w obliczu niesłychanie drażliwej sytuacji, o której można było tylko przypuszczać, że im mniej się będzie mówić, a prędsiej działać — tem lepiej. Stali wobec przerażającego faktu, wobec potęgi skandalu. Skonstatowanie prostych faktów, bez komentarzy, (coś, czemu nie można było nic legalnie zarzucić) przedłożone zostało przed forum publiczne, jako zwykła, interesująca

wzmianka, lub, w najgorszym razie, jako wiadomość, zamieszczona w dobrej wierze, bo przecież społeczeństwo nie powinno na ślepo wybierać swych reprezentantów, jeśli ich życie prywatne nie może być ujawnione. Cóż mogło być bardziej lojalne! Jednakże stronnicy Miltoun'a zdawali sobie doskonale sprawę z tego, że proste stwierdzenie, gdzie przepędza on wieczory, jest niebezpieczne przez swą siłę poruszenia tej strony ludzkiej wyobraźni, którą najłatwiej podniecić. Wiedzieli aż zbyt dobrze, jak silna bywa pokusa, szczególnie w tych małomiasteczkowych środowiskach, ulegania czemuś zakazanemu, jak strasznie trudno przychodzi tym ludziom oprzeć się jej, jak interesujące i podniecające jest każde przyłapanie bliźniego na błędzie, jak surowo karana słabość.

Zdawali sobie sprawę z tego, jaką uciechę mieć będą z plotek ludzkie, obdarzeni specjalnie drażliwym sumieniem, jak purytanie skorzystają z okazji, by napiętnować winnych. Wiedzieli, jak frapującym będzie dla każdego połączenie nazwiska członka sfery, przez tradycję uznanej za posiadającą wszystko, po co zechce dłoń wyciągnąć, z nazwiskiem tej samotnej kobiety. Rzeczywiście. Była to, jak się wyraził Harbinger, djabelnie niefortunna sprawa. Jakiegokolwiek zainteresowanie się z ich strony wzmocni tylko podejrzenie tych ludzi. A widzieli, że muszą one istnieć, gdyż sami nie byliby od nich wolni, gdyby nie to, że byli tak pewni Miltoun'a. Pozostawiali decyzję w zawieszeniu, oczekując w każdej chwili powrotu Eustachego.

Lady Valleys przyjęła nowinę z westchnieniem ulgi, odnosząc się do niej nieufnie. Kiedy Barbara potwierdziła tę wiadomość, lady Valleys rzekła tylko: „Biedny Eustachy” i natychmiast wystosowała list do męża z wiadomością, iż nieznamoma pani jest mężatką i tem samem uniknie się katastrofy.

Miltoun pojawił się na lunch'u. Z wyrazu jego twarzy i zachowania nie można było nic wywnio-

skować, był tylko odrobinę rozmowniejszy niż za-
zwyczaj. Rozprowiał o mowie Brabrooka, której frag-
menty słyszał. Patrzył znacząco w stronę Courtiera,
a po skończonym posiłku, zwrócił się do niego:

— Czy nie zechciałby pan udać się na chwilę
do mnie?

Pokój Miltoun'a, dawna bawialnia, znajdująca się
w skrzydle zamku o stylu elżbietańskim, komnata,
którą zdobiły niegdyś obicia, hafty i makaty, tkane
rękami wyniosłych dam, dziś zapełniony był książ-
kami, broszurami, rapierami, fajkami i wyłożony do
połowy ciemną dębową boazerją. Na jednej ścianie
znajdowała się kolekcja broni i ozdób indyjskich,
które przywiózł Miltoun ze swej podróży do Sta-
nów Zjednoczonych. Wysoko ponad tym zbiorem
wisiała wykonana w bronzie maska pośmiertna
słynnego wodza czerwonoskórych, odlana z orygina-
łu, który zjął profesor w Yale, w przekonaniu, iż
typ ten był znakomitym okazem zanikającej rasy.
Oblicze to, posiadające pewne podobieństwo do ry-
sów Dantego, królowało nad pokojem, z wyrazem
tragicznego i okrutnego stoicyzmu. Nie można było
patrzeć nań bez uświadomienia sobie, że w isto-
cie tej wola ludzka rozwinięta była do ostatecznych
granic. Widząc ją poraz pierwszy, Courtier rzekł:

— Doskonała rzecz, tylko brak temu duszy.

Miltoun potwierdził.

— Proszę, usiądź pan — rzekł.

Nastąpiło milczenie, jedno z tych, podczas któ-
rych ludzie o duszach odrębnych, lecz posiadających
pewne wzniosłe cechy wspólne, wiele sobie powie-
dzieć mogą. Wkońcu przemówił Miltoun:

— Zdaje mi się, że żyłem dotychczas w obło-
kach. Pan jest jej dobrym przyjacielem. Najważniej-
sze jest teraz zagadnienie, w jaki sposób złagodzić
konieczność przeciwstawienia się tym podłym
obelgom.

Courtier odpowiedział:

— Nie należy zwracać na nie uwagi. Niechaj się plotkarze zadławiają własnym jadem. Ona na pewno nic sobie z nich nie robi.

Miltoun słuchał. Ani jeden muskuł nie drgnął w jego twarzy.

— Przyjaciele pańscy tutaj — ciągnął Courtier z odrobiną wzgardy, — zdają się być ogromnie przejęci. Niech pan im zabroni robić cośkolwiek w tej sprawie. Nie powinni pisać ani słowa. Trzeba potraktować tę rzecz tak, jak na to zasługuje. Sama się skończy.

Miltoun uśmiechnął się:

— Nie jestem pewien, czy konsekwencje będą takie, jak pan przewiduje, jednakże zastosuję się do pańskich rad.

— Co do kandydatury pańskiej, to zapewniam pana, że każdy człowiek z cieniem szlachetności w duszy będzie głosował za panem właśnie dlatego.

— Najpewniej — rzekł Miltoun, — przepadnę na wyborach pomimo wszystko.

W tej chwili, uświadomiwszy sobie, że ich ostatnie słowa najdobitniej zobrazowały różnicę przekonań i usposobień, spojrzeli bystro na siebie.

— Nie, — rzekł Courtier, — nigdy nie mogę uwierzyć, by ludzie mogli być aż tak podli.

— Do chwili, kiedy się okaże, że są takimi.

— Widzę, że choć różnymi drogami dochodzimy do konkluzji, w rezultacie zgadzamy się.

Miltoun oparł łokieć na gzymsie boazerji i, zasłaniając twarz ręką, spytał:

— Pan zna jej smutne położenie. Czy jest jakieś wyjście?

Na twarzy Courtiera pojawił się wyraz, który przybierał on często wtedy, gdy przemawiał za jakąś przegraną sprawą.

— Tylko jedno wyjście, które obrałbym, będąc na miejscu pana.

— Jakie?

— Ujęcie prawa we własne dłonie.

Wzrok Miltoun'a zdawał się powracać z wielkiej odległości, zanim zatrzymał się na twarzy Courtiera.

ROZDZIAŁ XVII

Tej nocy, kiedy wszystko już leżało pogrążone we śnie, Barbara, w szlafroku i z włosami rozpuszczonemi, wymknęła się cichutko ze swego pokoju do ciemnego korytarza. Nagiemi nóżkami, wsuniętymi w miękkie, futrem wykładane, pantofle ranne, sunęła cicho wzdłuż szeregu drzwi. Przez wysokie gotyckie okno, nieosłonięte firanką, wpadało łagodne światło księżyca.

Barbara przystanęła pod drzwiami, na które padał wprost blask księżyca, i zastukała. Nie było odpowiedzi.

Uchyliła więc drzwi i szepnęła:

— Czy śpisz już, Eustachy?

Nie otrzymała znów odpowiedzi, więc wsunęła się do pokoju. Firanki były zasunięte, lecz promień księżyca, wpadający przez szczelinę, oświetlał łóżko. Było puste. Barbara stała niepewnie, nad słuchując. Wśród ciemności dawał się słyszeć niewyraźny odgłos, jakby stłumione echo, jakiś dziwny rodzaj wibracji, jakby języki płomieni bezszelestnie lizały powietrze.

Dziewczyna przyłożyła rękę do serca, które biło tak mocno, jakby lada chwila miało przebić cienkie, jedwabne przykrycie. Z którego kąta pokoju dobiewał się ten niemy dreszcz?

Przysunęła się do okna i, odchylając firankę, spozjrzała znów w głąb pokoju. W głębi, na ziemi, z głową otoczoną ramionami, z twarzą, zwróconą ku ścianie, leżał Miltoun. Barbara opuściła firankę

i stała bez tchu, przeniknięta dziwnem, nigdy dotąd nieznanem, uczuciem. Zdawało jej się, że coś świętego znieważono, że pogwałcono jej dumę. Uczucie to minęło prawie natychmiast, ustępując miejsca litości.

Postąpiła szybko kilka kroków naprzód w ciemności. Strach ją nagle ogarnął i przystanąła. Miltoun zdawał się być tego wieczora spokojny, trochę rozmowniejszy, bardziej może zgryźliwy, niż zazwyczaj. A teraz zastała go w stanie takiego przygnębienia.

Barbara nie żywiła zbyt wielkiego szacunku dla nikogo, lecz jeśli już kogoś obdarzała tem uczuciem, to z pewnością w pierwszym rzędzie najstarszego swego brata. Wywierał na nią wpływ już od dzieciństwa przez swą odrębność. Była dumna, że pozwala jej całować się, podczas gdy nie pozwalał na to nikomu innemu. Kochała go tak, jak się kocha ludzi, z których jesteśmy dumni. Otaczała go również jakimś rodzajem macierzyńskiej opieki, jak mała dziewczynka, kochająca lalkę, która nie żyje w zgodzie z innymi zabawkami. Żywiła jednak pewną bojaźń, jaką się odczuwa przed czemś nieodgadnionem. Czy odważy się teraz mieszać do jego osobistej tragedji? Czy sama zniosłaby, gdyby ktoś widział ją w takim upadku? Nie słyszał przecież jak weszła. Próbowwała cicho wysunąć się z pokoju. Podłoga zaskrzypiała. Usłyszała, jak Miltoun poruszył się i, odrzucając nagle obawę, zawołała:

— To ja, Barbara!

Podbiegła i uknęła obok niego. Gdyby nie było tak przeraźliwie ciemno, nie odważyłaby się nigdy na to. Próbowwała ująć głowę jego w swe dłonie, lecz nie widziała nic i niezupełnie jej się to udawało. Gładziła tylko bezustannie jego ręce, rozmyślając, czy też nie znienawidzi jej od tego dnia. Błogosławiła ciemność, w której zasłonie wszystko zdawało się nierealne, a jednak było bardziej przejmujące, niż gdyby istniało. Nagle poczuła, iż Miltoun wymyka się z jej ramion i, powstając, wysunęła się za drzwi.

Po ciemnościach, panujących w pokoju, wielki korytarz zdawał się być przesiąknięty mglistem, szarawym światłem, jakgdyby czarodziejskie pająki zasnuły przestrzeń od ściany do ściany pajęczyną, w której sieci szamotały się niezliczone ilości drobnych, białych owadów. W powietrzu drżały jakieś szepty. Nagłe przerażenie i tęsknota za ciepłem, światłem, barwą nawiedziła Barbarę. Uciekła do swego pokoju, lecz nie mogła zasnąć. Straszliwa, niema, niewidzialna wibracja w ciemnym pokoju, jak bezszelestne języki płomieni w cichym powietrzu dotyk ręki Miltoun'a, gorącej jak ogień, na jej szyi i policzku, wspomnienie tego ponurego epizodu przenikało ją nawskroś.

W taki to sposób dziwaczna siła miłości ukazała jej się w całej potędze. Pod pierwszym wrażeniem tego czerwonego kwiatu namiętności, policzki płonęły jej, ciało, otulone chłodną bielizną, drżało, jak w febrze. Leżała, wpatrując się szeroko rozwartymi zrenicami w sufit. Myślała o kobiecie, która była tak mocno kochana i zastanawiała się, czy i ona w tej chwili leży bezsennie, rozciągnięta na nagiej podłodze, starając się ochłodzić czoło i usta zimną powierzchnią ściany.

Długie godziny jeszcze nie mogła zasnąć, a gdy nad ranem zdrzemnęła się, śniła, iż pędzi w obłąkaniu przez pola, porośłe smukłemi, ostremi złocieniami, uciekając od siebie samej.

Zbudziwszy się zrana, obawiała się zejść na dół. Czy będzie w stanie spojrzeć w oczy Miltoun'owi, teraz, kiedy zna jego namiętność, a on wie o tem?

Kazała podać sobie śniadanie na górę. Zanim skończyła je, Miltoun zjawił się u niej. Zdawał się więcej, niż kiedykolwiek pewny siebie, trochę ironicznie nastrojony. Powiedział:

— Jeśli wyjeżdżasz konno, może zechcesz wziąć ze sobą ten liścik do starego Halidaya Wippincott.

Poczuła, że swem przyjściem i obojętnem zachowaniem powiedział wszystko, co kiedykolwiek miał zamiar powiedzieć o całym tem nocnym zajściu. Najzupełniej zgadzając się z tą powściągliwością, którą uważała za jedyne wyjście dla nich obojga, spojrzała tylko na niego z wdzięcznością i odpowiedziała:

— Bardzo chętnie załatwię to.

Poczem Miltoun, rozejrzawszy się po pokoju, wyszedł.

Pozostawił ją zaniepokojoną, wytraconą z równowagi, z tysiącem niezaspokojonych pytań na ustach, gotową ujrzeć olbrzymie skrzydła życia, zataczające kręgi nad jej głową i usłyszeć ich spieszny łopot. Rozmowy z ludźmi irytowały ją tego poranka. Były one skierowane i związane z faktami teraźniejszości, tyczyły się życia codziennego i spraw świata, takich, jakimi były w istocie. Starła się uniknąć towarzystwa, chciała bowiem, by mówiono jej o rzeczach, które się jeszcze nie stały, ale stać się mogły. Chciała uchylić rąbek zasłony i ujrzeć ducha wydarzeń, przeżyć i niedoli ludzkiej, uwolnionego z więzów. Było to wszystko niezwykle u Barbary, doskonałej fizycznie, o naturze zbyt zdrowej, by nie korzystać z chwili i nie radować się przyjemnościami, jakie jej dzień przynosił. Sama zdawała sobie sprawę z tego niezwyklego nastroju. Powróciwszy z przejażdżki konnej, nie zeszła na lunch, lecz udała się na przechadzkę w pole. Około godziny drugiej uczuła głód. Wstąpiła do pobliskiej farmy i poprosiła o mleko. W chacie, w kuchni, jak kawki z otwartymi dziobkami, siedzieli rzędem na ławce pod kominem trzej chłopcy. Spożywali chleb z serem. Ponad ich głowami wisiała strzelba, nad kominem wędziły się w dymie dwie szynki. U nóg czarnowłosej dziewczynki, zajętej siekaniem cebuli, leżał, z pyskiem opartym na wyciągniętych łapach, pies tak stary, iż w jego niebieskich oczach zdawał się widnieć blask zbliżającej się śmierci. Wszyscy wpa-

trywali się w Barbarę. Jeden z chłopców, na którego twarzy widniał wyraz, świadczący, że traci świadomość wszystkiego z wyjątkiem tego na co w danej chwili patrzy, uśmiechnął się i trwał z tym uśmiechem zadowolenia. Barbara wypła mleko i powędrowała dalej. Minęła ogrodzenie i u stóp skalistego, stromeego wzgórka usiadła na wygrzonym przez słońce kamieniu. Promienie słoneczne opadły ją łakomie, jak niewidzialne, szybkie ręce, dotykając jej wszędzie, a w szczególności pieszcząc twarz i szyję. Leciutki powiew wiatru, który dolatywał z poza wierzchołków wzgórz i błakał się pośród młodych paproci, otulił ją swem tchnieniem, przesiąkniętem soczystą wonią ziół.

Ciepło było i cicho. Tylko kukułki na dalekiej tarninie ostrym głosem mąciły spokój. Słodycz i łagodność dnia nie zdołały ukoić Barbary. Nie była w stanie określić swego nastroju. To jedno wiedziała, iż jest czemś zaniepokojona i nie odczuwa nic, prócz jakiegoś bolesnego zniecierpliwienia i oczekiwania czegoś. Czego — sama nie wiedziała. Ogarnęło ją to straszliwe uczucie, że coś wymyka się jej i nie jest w stanie tego schwytać. Uczucie to było dla niej czemś zupełnie nowem, gdyż rzadko można było spotkać młodą dziewczynę, mniej podlegającą nastrojom i zmiennym humorom, niż właśnie ona. Budził się w niej wstręt do tego słabego i prawie-że sentymentalnego uczucia, jakie ją ogarniało. Chcąc je zmóc, zaciskała usta i ganiła się wewnątrz. Była usposobiona nieufnie i sarkastycznie do nastroju, który był przeciwny jej ideałowi „nieugiętości“, ideałowi, który od dzieciństwa uczono ją czcić: nie uznawać żadnych sentymentów ani słabości u siebie i innych, nie łamać się nigdy — było pierwszym hasłem tej wiary. Było to czemś straszliwym dla Barbary, że tak potrafiła się ugiąć, jednak nie udawało jej się przemóc. Nagle, nie bacząc już na nic, poddała się całkowicie swemu zniecierpliwieniu. Zdjęła szal z ramion, pozwalając, by powiew

muskał jej nagie ramiona i kark. Wyciągnęła ręce, jakby chcąc przygarnąć słońce i wiatr do siebie, poczem z ciężkiem westchnieniem wstała i poszła dalej. Zaczęła znów myśleć o Audrey Noel. Zastanawiała się nad jej losem. Sama myśl, że kobieta młoda i piękna może być wyrzucona poza nawias życia, budziła w Barbarze oburzenie. Gdyby coś podobnego jej się zdarzyło, pokazałaby wtedy ludziom co potrafi. Pomimo swej szczepionej nieugiętości, Barbara była bardzo czuła na cierpienia innych. Odwiedzając szpitale, gdzie lady Valleys była opiekunką, ochronę dla ułomnych dzieci, lub biorąc udział w dorocznym koncercie w przytułku, nie mogła się nigdy pozbyć uczucia straszliwej litości, które ścisnęło ją za gardło. Razu pewnego, gdy śpiewała dla tych biedaków, widok ich wybladłych, napiętnowanych cierpieniem twarzy podziałał na nią w ten sposób, że urwała w połowie taktu, zapominając słów i melodji i zakończyła uśmiechem, który trafił do serc jej słuchaczy bezwątpienia lepiej, niż niedokończona pieśń. Wracała zawsze od tych widoków z uczuciem buntu, przechodzącym prawie we wściekłość. Chodziła tam nadal tylko dlatego, że wiedziała, iż jej sfery towarzyskie wymagają, by nie odwracała się od tych rzeczy. Jednak nie takie uczucie kierowało nią teraz, gdy kazało jej zażyć się przed domkiem Mrs. Noel. Nie była to także ciekawość. Była to prosta chęć uściśnięcia ręki tej kobiety.

Audrey zносиła swój smutek tak, jak znoszą go kobiety, które na pewno nie ubiegają się o zrównanie praw. Czyniła wszystko z takim samym spokojem, jak gdyby się nic nie stało. Była tylko może odrobinę bledsza niż zazwyczaj, z ustami mocniej zaciśniętymi. Obie kobiety stały chwilę naprzeciw siebie, nie mówiąc ani słowa, nie patrząc sobie w oczy. Wreszcie Barbara, kierowana nagłym impulsem, postąpiła naprzód i ucałowała młodą kobietę, poczem, jak dwoje dzieci, które najpierw się

całują, a potem dopiero zawierają znajomość, stały obok siebie, milcząc i uśmiechając się niepewnie. Zamieniły pocałunki z prawdziwą słodyczą i przyjaźnią w imię kobiecości, przeciwstawiającej się podłemu światu, lecz w następstwie uczuły się obie trochę zmieszane. Czy zamieniłyby ten pocałunek w innych okolicznościach, gdyby los był pomyslniejszy? Czy nie było to tylko dowodem słabości? Tak zdawał się mówić uśmiech Mrs. Noel, a uśmiech Barbary niechętnie przytakiwał. Następnie, orientując się, że jeżeli chcą mówić, muszą poruszać rzeczy najzwyczajniejsze, zaczęły gawędzić o muzyce, o kwiatkach i pszczołach. Przez cały jednak czas Barbara podświadomie badała swemi uśmiechniętymi oczami te drobne poruszenia i gesty, które wskazują jasno jednej kobiecie, co przeżywa druga. Widziała leciutkie drżenie kącików ust, oczy nagle rozszerzające się i ciemniejące, lekki jedwab bluzki, który wznosił się i opadał na piersiach. Wyobraźnia jej, podniecona przeżyciami ubiegłej nocy, ujrziała tę kobietę, oddającą się w myślach wspomnieniom swej miłości. Na myśl o tem uczuła młoda dziewczyna pewien rodzaj zniecierpliwienia, jaki odczuwają zwycięzcy dla biernych, a jednocześnie pewien nieuchwytny cień zazdrości zrodził się w jej sercu. Ta kobieta bezwątpienia przyjmie wszystko, cokolwiek postanowi Miltoun. Pomimo, że rezygnacja taka znakomicie ułatwiała sprawę, oburzała jednak Barbarę, która zawsze buntowała się przeciw bierności, nie uznawała żadnych rozkazów, choćby pochodzić miały od jej ukochanego brata.

Powiedziała nagle:

— Czy pani nic nie przedsięwzięmie? Czy pani nie spróbuje wyswobodzić się? Gdybym była na pani miejscu, nie spoczęłabym póki by mnie nie uwolniono z więzów.

Lecz Mrs. Noel nie odpowiedziała nic i Barbara, obrzuciwszy wzrokiem jej postać, od korony ciemnych włosów aż do drobnych stóp, dodała:

— A więc tak dalece wierzy pani w przeznaczenie?

Niezadługo potem, nie wiedząc już doprawdy o czym mówić, udała się do domu. Szła poprzez pola, gdzie lato mieniło się ciepłem i barwą, gdzie czerwone krowy pasły się, siejąc zniszczenie wśród kaczeńców i mleczków. Barbara przeżywała w duszy bolesne wspomnienie tej siły bierności, uległości i słodyczy, jaką tamta kobieta przed nią odkryła. Zdawało się jej, że ujrzała w białej postaci Audrey Noel i usłyszała w dźwięku jej głosu coś z zaświatów, coś symbolicznego, niezrozumiałego, a jednak tak bardzo prawdziwego.

ROZDZIAŁ XVIII

Kiedy groźba wojny minęła, lord Valleys, nie naglony już oficjalnymi sprawami, powrócił do Monkland na dłuższy wypoczynek. Wielki ciężar spadł mu z serca, kiedy dowiedział się, że Mrs. Noel nie była wolna. Pojęcia jego, o ile chodziło o mieszanie sfer, nie były tak przestarzałe jak pojęcia jego teściowej, choć był zawsze gotów twierdzić, że ekskluzywność była już czemś przebrzmiałem, choć, nauczony doświadczeniem, wskazywał nieraz niebezpieczeństwo, płynące ze zbyt wielkiej rasowości, jednak, jeśli chodziło o jego własną rodzinę, miał inne zapamiętania. Był on cokolwiek dotknięty małżeństwem Agaty, gdyż Shropton, pod każdym względem wzorowy i ogromnie bogaty, był zaledwie trzecim z rzędu, noszącym tytuł barona, tytuł, który uzyskała jego rodzina, dorobiwszy się majątku na rudzie żelaznej. Lord Valleys uważał, że nie było wskazaniem wychodzić poza obręb swej sfery, jeśli nie zmuszała do tego jakaś materialna konieczność. Sam przecież nie uczynił tego również. Nadto należało mieć pewien sentyment, broniący odstępstwa.

Następnego ranka po przybyciu zwiedził swe psiarnie. Stał, rozmawiając z zarządzającym i pieścił ręką wilgotne nosy swych dwóch ulubionych wyźłów z dziwnem uczuciem uczniaka, który wypuszczony został ze szkół na ferje świąteczne. Te miłe stworzenia, łaszące się koło jego nóg i wznoszące ku niemu żółte, skosne oczy, napełniały go uczuciem ciepła i spokoju, jakie nawiedza zawsze ludzi w obecności ich faworytów. Ta para wyźłów była zupełnie okazowa. Płynęła w nich najczystsza krew kilkunastu rasowych pokoleń. Teraz było dla niego poważnem zagadnieniem, czy można będzie zaryzykować jeszcze jedno skrzyżowanie tej pary, by wyeliminować już ostatecznie pozostałość sinawego koloru ich łat. Było to wielkie ryzyko i dlatego właśnie tak bardzo interesujące.

Cienki głosik odwrócił uwagę lorda Valleys. Obejrzał się, poza nim stała mała Anna. Poprzedniego wieczora, kiedy powrócił, leżała już w łóżeczku, dlatego przedstawiał dla niej dzisiaj najnowszy, najbardziej zajmujący obiekt. Trzymała w objęciach małą świnkę morską i natychmiast rozpoczęła:

— Dziaduniu, babcia ma ci coś do powiedzenia. Prosi, żebyś przyszedł. Jest na tarasie, rozmawia z Mr. Courtierem. Bardzo go lubię. Strasznie dobry. Czy myślisz, że jeśli puszczę moją świnkę, psy ją pogryzą? Biedactwo! Chyba nie zrobią jej nic złego. Jest zachwycająca, prawda?

Lord Valleys, muskając wąsy, przyglądał się śwince bez szczególnej sympatji. Nie znosił tego rodzaju głupich stworzeń. Przyciskając świnkę rączkami, tak jakby to była harmonja ręczna, Anna wywijala nią ponad wyźłami, które marszczyły straszliwie nosy i przyglądały się jej z zachwytem.

— Pocziwe pieski! Chcą się z nią bawić. Dziadku!

— Co takiego?

— Czy przypuszczasz, że następne szczenięta będą już całe w łatki?

*Waug. oryg. co jest
niejako
jest proco
"tak"*

— Myślę, że nie jest to nieprawdopodobne.

— Dlaczego zależy ci na tem, żeby miał akurat takie łatki? O patrz! One liżą małą Sambo! Muszę już iść.

Lord Valleys podążył za nią. Kiedy zbliżał się do tarasu, żona jego wyszła mu naprzeciw. Miała wypieki na policzkach i wyraz twarzy, dumniejszy i bardziej rezolutny, niż zazwyczaj, co było oznaką, że jej się ktoś sprzeciwiał.

W istocie poróżniła się z Courtierem. Courtier bowiem z tytułu tego, iż był pierwszym, który zdradził właściwe stanowisko Mrs. Noel, poczuwał się do obowiązku dalszych konfidencyj w tym przedmiocie. Spór rozpoczął się od uwagi, którą lady Valleys uważała za naturalną i wcale nieprzesadzoną. Uznała mianowicie, że wszystkiemu jest winna Mrs. Noel, gdyż powinna była od samego początku i zupełnie szczerze przedstawić Miltoun'owi sytuację, w jakiej się znajduje. Courtier odrazu się zaperzył.

— Jest bardzo łatwo obwiniać samotną kobietę tym, którzy nigdy nie znajdowali się w jej sytuacji.

Lady Valleys, nieprzyzwyczajona do tego, by jej się ktoś sprzeciwiał, przyglądała mu się ze zdziwieniem.

— Na pewno nie należę do ludzi, którzy rzucają kamieniem na kobietę z powodu jej prowadzenia się, lub niewyraźnego stanowiska, lecz uważam, że w tym wypadku Mrs. Noel okazała brak charakteru.

Odpowiedź Courtiera brzmiała prawie-że niegrzecznie:

— Nie wszystkie rośliny są jednakowo krzepkie i odporne, lady Valleys. Niektóre, jak wiemy, są jednakże trochę wrażliwe.

Odpowiedziała stanowczo:

— Niesłusznie użył pan tego wyrażenia tu, gdzie należałoby powiedzieć zwyczajnie *łabe*.

Przybrał wyraz bardzo surowy i, przygryzając wąsy, odpowiedział:

— Jakież zbrodnie popełnia się pod przykrywką hasła: „Silni zwycięzcami“, które głosicie wy, uprzywilejowani!

Lady Valleys, chełpiąca się swą powściągliwością, odpowiedziała tylko:

— Oh, o tym należałoby jeszcze pomówić. Z pozorów słowa pańskie nie brzmią bardzo filozoficznie.

Spojrzał na nią z dziwnie niemiłym uśmiechem. Poczwała w tej chwili gniew i jakieś niezadowolenie. Było bardzo przyjemnie bawić się obserwowaniem tego rodzaju ludzi, istniały jednakże pewne granice. Przypomniła sobie, że był jej gościem, więc rzekła tylko:

— Być może, że mimo wszystko rozsądniej będzie nie mówić zupełnie o tem.

Zabierając się do odejścia, usłyszała jeszcze jego słowa:

— Jakkolwiekby było jestem pewien, że Audrey Noel umyślnie nie ukrywała niczego przed pańskim synem. Jest na to zbyt dumna.

Chociaż wzburzona, nie mogła się oprzeć jednak uczuciu sympatji. Spodobał jej się upór, z jakim Courtier bronił tej kobiety. Rzuciła więc na odchodnym:

— My dwoje, Mr. Courtier, musimy jeszcze kogoś dnia stoczyć walkę.

Szła teraz naprzeciw męża, uświadamiając sobie pewne uczucie zadowolenia, które zawsze budziła w niej każda potyczka.

Stanowili z mężem doskonałą parę przyjaciół. Małżeństwo ich zawarte było z miłości. Pozostawało dotychczas solidnym i doskonałym związkiem. Zajmowali oboje wybitne stanowiska w życiu towarzyskim i społecznym i wobec tego chwile, które spędzali razem, choć bardzo nieliczne, obfitowały zawsze we wzajemne porozumienie i harmonję. Dotychczas jeszcze nie mieli czasu porozmawiać o sprawach ich najstarszego syna, więc teraz lady Valleys, ujmując pod rękę męża i uprowadzając go od domu, zaczęła:

— Chciałam pomówić z tobą o Miltoun'ie, Geofrey'u.

— W istocie — rzekł lord Valleys — wygląda bardzo wyczerpany i przygnębiony. Gdyby już te wybory minęły wreszcie!...

— Jeśli przypadnie, a nie znajdzie innego poważnego zajęcia, by skupić na niem swą uwagę, zagryzie się z żalu za tą kobietą.

Lord Valleys pomyślał chwilę zanim odpowiedział:

— Nie przypuszczam tego, Gertrudo. Posiada przecież bardzo dużo energii.

— Naturalnie, lecz miłość do tej kobiety jest prawdziwą i szczerą namiętnością, a Miltoun należy do tego rodzaju mężczyzn, którzy nie potrafią zastąpić prawdziwego uczucia czemś pierwszym lepszym.

— Żal mi tej kobiety, — bąknął lord Valleys — prawdziwie mi jej żal.

— Plotki prawdopodobnie wyrządziły wiele złego.

— Wpływy nasze bezwątpienia będą silniejsze.

— Chciałabym tylko wiedzieć, co zamierza Miltoun teraz czynić. Czy zechcesz go zapytać?

— Uważam, że ty jesteś jedyną osobą, która powinna z nim pomówić. Ja nie nadaję się do tego rodzaju rzeczy.

Lady Valleys szepnęła z prawdziwym zakłopotaniem:

— Mój drogi, wiesz przecież, jak nie umiem postępować z Eustachym. Jak tylko przybiera ten swój ironiczny uśmieszek, natychmiast zbija mnie z tropu.

— W każdym razie jest to sprawa, którą powinna załatwić kobieta i nikt inny, jak właśnie matka.

— Gdyby to któreś inne z dzieci — bąknęła lady Valleys. — Eustachy dziwnie umie dać odczuć, jak jest się niezręcznym i nieporadnym.

Lord Valleys spojrział na nią pytająco. Jego wytrawny smak, poruszony często jednym słowem,

zmuszał go do krytyki. Czyż była rzeczywiście niezręczna i nieporadna? Dotychczas nigdy mu to na myśl nie przyszło.

— Ha, będąc zmuszona z nim się rozmówić — westchnęła lady Valleys.—Jeśli już niema innej rady.

Po śniadaniu udała się do pokoju Miltoun'a. Zastała go zajętego przymocowywaniem ostróg do butów, wybierał się właśnie na przejażdżkę konną do miasteczka.

Pod maską indyjskiego wodza stał Bertie, bardziej nieposzlakowany i układny niż zazwyczaj. Krawat miał starannie związany, bez zarzutu też były skrajane jego breczesy.

Ludzi, mających do czynienia z Miltoun'em, głównie mieszało to, iż prędzej, czy później przekonywali się, że nigdy nie mogą być pewni, jak zareaguje on na poszczególne fakty. Była w jego umyśle, jak również i w twarzy, pewna regularność, która w jakimś nieoczekiwanym momencie rozpręgała się, ustępując miejsca czemuś nieprzewidzianemu. Cecha ta była zapewne odziedziczona po przodkach, których stanowcza, wybitna indywidualność wysuwała zawsze na czoło współczesności. W Miltoun'ie płynęła nie tylko krew Caradoc'ów i Fitz Haroldów, lecz wielu innych przodujących rodów Anglii, które w czasach, kiedy jeszcze pieniądz nie odgrywał głównej roli, zdobywały przywileje przez swoje osobiste zalety, niezawsze może wzniosłe, lecz zawsze silne i wybitne.

I choć lady Valleys odznaczała się zawsze śmiałością i niełatwo dawała się zbić z tropu, tym razem rozpoczęła przezornie rozmowę od spraw polityki w nadziei, że syn jej pierwszy da impuls do właściwego tematu. Tak się jednak nie stało i matka poczęła się niecierpliwic. Wreszcie, zbrojąc się w odwagę, powiedziała:

— Ogromnie mi jest przykro, mój drogi. Postaraj się nie brać sobie zbyt tego do serca.

Miltoun nie odpowiedział. Zaległo milczenie, którego najbardziej obawiała się lady Valleys. Chcąc je przerwać za wszelką cenę, brnęła dalej. Usiłowała przedstawić synowi całe zajście ze swego punktu widzenia i zakończyła słowami:

— Na pewno wszystko nie jest warte tego, by się tak przejmować.

Miltoun słuchał jej z dziwnym wyrazem człowieka, wyglądającego z poza maski. Wkońcu, uśmiechając się, rzekł:

— Dziękuję mamie — i otworzył drzwi.

Lady Valleys, nie zdając sobie sprawy z tego, czy chce, żeby wyszła, wogóle nie orientując się w niczem w tej chwili, wysunęła się za drzwi, a Miltoun przymknął je za nią.

W dziesięć minut później wraz z Bertie jechał konno w kierunku miasteczka.

ROZDZIAŁ XIX

Tego popołudnia wiatr, który od rana systematycznie się wzmacniał, napędził nawałnicę chmur z południowo-zachodniej strony. Zrodzone w sercu Atlantyku płynęły z początku prędkie i postrzępione, jak białe szalupy wielkiej floty w zapasach, poczem stłoczoną masą przysłoniły słońce. Około godziny czwartej spadł deszcz, pędzony przez wiatr pionowo, z zimnym, przejmującym szmerem. Jak młodość i marzenie zamiera pod zimnem uderzeniem deszczu życia, tak zamarła jasność i piękno pól i ugorów. Wzgórza, które wydawały się przedtem wyniosłemi, dzikimi zamczyskami, teraz zamieniły się w szare, bezkształtne narośle. Perspektywę zasłoniła sina mgła. Kukułki zmilkły. W krajobrazie nie było jednak nic z tej piękności, która tkwi w majestacie śmierci. Nie było nic z jej tragicznej potęgi. Wszystko zdawało

się monotonne i rozplakane. Około godziny siódmej słońce znów się przedarło przez zasłone chmur i rozbłysło złościście. Jak ogromna gwiazda, której promienie sięgały dołem linii horyzontu, górą najwyższego szczytu bezkresnej przestrzeni powietrza, jaśniało oślepiającym, mrocznym blaskiem. Chmury, rozszczepione gdzie niegdzie ostremi dzidami płomieni, skupiły się, jak w podziwie. Pod dusznym ciepłem słońca mokry wrzós począł parować, a blask jego drobniotkich, wilgotnych, zamkniętych dzwoneczków przypominał niezliczone, malutkie, dymiące ogniki.

Obaj bracia, przemoczeni do nitki, wracali w milczeniu do domu. Będąc zawsze w doskonałej przyjaźni, nie mieli nigdy wiele sobie do powiedzenia, gdyż Miltoun uświadamiał sobie doskonale, że myśli jego będą innym torem, niż myśli Bertie, a Bertie ukrywał przed swym bratem wszystko, co absorboowało jego umysł, tak, jak ukrywał zawsze wszystkie swe przekonania polityczne, sekrety tajni, oraz wszystkie inne cenne wiadomości, o których sądził, że z chwilą, kiedy przestaną być wyłącznie jego tajemnicą, osłabiają władzę, jaką posiadał nad życiem. Nie zdradzał ich, przypuszczając, że obniżyłoby to wartość jego poczucia samowystarczalności i zraniłoby jego dumę, ukrytą w najtajniejszej głębi duszy, lecz chociaż mówił niewiele, posiadał zdolność obserwowania, rozważania i zastanawiania się, często spotykane u ludzi o statecznym charakterze, obdarzonych pewną tendencją do złośliwości. Razu pewnego, bawiąc na polowaniu w Nepalu, przepędził samotnie cały miesiąc w towarzystwie jedyne go służącego tubylca, który nawet nie rozumiał po angielsku. Gdy pytano go potem, czy nie nudził się straszliwie, odpowiedział:

— Ani trochę, myślałem dużo i zastanawiałem się nad wieloma rzeczami.

Do przejść Miltoun'a odnosił się teraz ze współczuciem braterskim, zabarwionem jednak wrodzoną nietolerancją zatwardziałego kawalera. Nie uzna-

wał kobiet. W głębi duszy nie ufał istotom, które posiadały tak jawną władzę wyzyskiwania mężczyzn. Był jednak z tych, w których kobieta obudzi może kiedyś szczere i wzniosłe uczucie. Do tego czasu jednak zajmować będzie w stosunku do całej płci pięknej stanowisko nawskroś męskie, a i potem zapatrywania jego zmieniają się tylko dla jednej wybranej. Do kobiet odnosił się podobnie jak do życia. Były to istoty, na które należało uważać, w miarę stykać się z nimi i odpowiednio korzystać z ich usług. Jedyna aluzja, na jaką się zdobył w związku z całą sprawą Miltoun'a, brzmiała nieco szorstko:

— Mam nadzieję, mój stary, że prędko przebolejesz tę stratę.

Słowa jego nie wywołały żadnej odpowiedzi. Zapanowało niezmaćone milczenie. Gdy jednak przejeżdżali koło domku mrs. Noel, Miltoun odezwał się:

— Przytrzymaj mego konia, muszę wstąpić tutaj...

Siedziała przy pianinie z rękami opuszczonymi leniwie na kolana. Wpatrywała się w nuty. Siedziała już tak od dłuższej chwili, nie uderzając w klawisze. Kiedy cień wchodzącego Miltoun'a przysłonił światło, przy którym widziała i tak niewiele, drgnęła lekko i powstała, lecz nie zbliżyła się do niego, ani nie przemówiła. On również bez słowa wszedł do środka i stanął koło kominka, patrząc w puste palenisko. Płowy kot, któremu wejście Miltoun'a przeszkodziło w śledzeniu przefruwających jaskółek, zsunął się z okna i przycupnął za krzesłem. Milczenie, wśród którego zagadnienie przyszłości miało się rozstrzygnąć, zdawało się trwać nieskończenie. Jednak żadne z nich niezdolne było przerwać ciszy. Wreszcie, dotykając zlekka rękawa Miltoun'a, rzekła:

— Przemókl pan zupełnie.

Drgnął. Zabolał go ten pokorny znak posiadania. I znów stali pogrążeni w ciszy, którą przerywał tylko kot, myjący łapy. Jednak jej zdolność milcze-

nia była silniejsza, jemu też przypadło w udziale rozpoczęcie rozmowy.

— Przebacz mi, że przyszedłem. Coś jednak należy postanowić. Te plotki...

— Ach to, — przerwała — czy jest coś co mogłabym uczynić, by nie dopuścić do konsekwencji zgubnych dla pana?

Usta Miltoun'a skrzywiły się boleśnie.

— Mój Boże, nie, niech sobie gadają.

Oczy ich spotkały się teraz i niezdolne były się rozstać. Mrs. Noel przemówiła wreszcie:

— Czy będzie pan mógł przebaczyć mi kiedykolwiek?

— Co? Przecież to ja jestem winien.

— Nie. Powinnam była lepiej znać pana.

Głębia ukrytego znaczenia tych słów, subtelne, straszliwe przyznanie się do tego, co gotowa była zrobić dla niego, beznadziejna świadomość, że nie był on ani teraz ani nigdy zdolny do takiego poświęcenia, wszystko to poruszyło do głębi Miltoun'a. Wyrwało mu się:

— To nie tchórzostwo, wierz choć w to!

— Wierzę.

Nastąpiła znów długa cisza. Chociaż stali tak blisko siebie, że niemal się dotykali, nie patrzyli sobie w oczy. Potem powiedział Miltoun:

— Teraz więc nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć ci — żegnaj!

Na te spokojne słowa, wypowiedziane ustami, które choć uśmiechały się, nie potrafiły jednak ukryć całej niedoli, twarz Audrey Noel stała się nagle biała, tak biała jak jej suknia, a oczy jej, rozszerzając się niezmiernie tak, że zdawało się, iż wchłonęły w braku innej barwy całą jej siłę i żywotność, — zdawały się być żywym, bolesnym i dumnym wyrzutem. Drżąc i ściskając dłonie, odszedł Miltoun ku oknu. Z głębi pokoju nie dochodził żaden szmer. Po chwili odwrócił się i spojrzął ku niej. Wodziła za nim

wszędzie oczami. Zasłonił twarz rękami i wyszedł szybko z pokoju.

Mrs. Noel stała chwilę na miejscu, w którym ją pozostawił, poczem podeszła do pianina, osunęła się na krzesło i znów poczęła się wpatrywać uparcie w linje nut. Kot przemknął znów na swe miejsce przy oknie, śledząc jaskółki. Promienie słońca zamierały powoli na najwyższych gałązkach lipy. Mżył drobny deszczyk.

ROZDZIAŁ XX

Klaudjusz Fresney wicehrabia Harbinger, mając lat trzydzieści jeden, był najmniej może zadłużonym arystokratą w całej Anglii. Dzięki jednemu ze swych przodków, który zdobył ziemię sto trzydzieści lat przed wybudowaniem na niej miasta Nettlefold, oraz swemu ojcu, który umarł, kiedy Klaudjusz był jeszcze dzieckiem, sprzedawszy przedtem wspomniane miasto za wielką sumę, posiadał ogromne dochody, niezależnie od swoich majątków ziemskich. Wysoki, dobrze zbudowany, z twarzą przystojną o rysach stanowczych, sprawiał na pierwszy rzut oka wrażenie siły, które zacierało się trochę, kiedy zaczynał mówić. Przyczyna tego nie leżała w samym sposobie mówienia, zabarwionym dziwacznym żargonem i obracającym wszystko w żart. Słuchając go, miało się wrażenie, że mózg jego nie wysiła się zbyt i idzie po drodze najmniejszego oporu. Był w istocie jedną z tych osobistości, które, zajmując miejsce dość wybitne w polityce i życiu społecznym, zawdzięczają je jedynie swemu zewnętrznemu wyglądowi, stanowisku, pewności siebie i pewnej energii, napoły rzeczywistej, napoły wypływającej z tego właśnie wrodzonego upodobania do najprostszej, najłatwiejszej drogi. Bezwątpienia nie był leni-

wy, napisał książkę, podróżował, był kapitanem gwardji królewskiej, sędzią pokoju, doskonałym sportsmanem i niewyczerpanym, biegłym mówcą. Nie byłoby słusznie nazwać jego entuzjazm dla reformy społecznej nieszczerem. Był rzeczywiście prawdziwy i świadczył o pewnym polocie i dobroci serca. Cała jego działalność była skrępowana przyzwyczajeniami, zaszczerpionemi przez wychowanie w szkołach, przyzwyczajeniami nawskrość angielskiemi, tak silnemi i wpływowemi, że stają się drugą naturą i podciągają wszystko na świecie pod sztandar i przesady jednej klasy. Wobec tego, że wszyscy jego towarzysze podlegali temu przesądowi, nie mógł sobie uświadomić własnego postępowania. W rzeczywistości niczego tak bardzo nie lekcewał w polityce jak ograniczonych i nietolerancyjnych zapatrywań, których przykłady obserwował u stronników partji pracy i u nonkonformistów. Nigdy nie przypuszczał ani przez chwilę, że dla niego pewne drzwi zostały zamknięte w dniu jego urodzenia, zaopatrzone podwójnym zamkiem w chwili wstąpienia do Eton i zabarykadowane, kiedy udał się do Cambridge. Niktby nie zaprzeczył, że było wiele cennych zalet w jego hasłach i przekonaniach: wysoki poziom uczciwości, prawość, dżentelmanerja, szczerść przekonań, niezależność i wstręt do wszelkiego okrucieństwa, jeśli ono było oficjalnie za okrucieństwo uznane. Posiadał również silnie rozwinięty zmysł obowiązku służenia państwu, lecz powinien był mieć o wiele silniej rozwiniętą indywidualność, by móc spojrzeć na życie z innego punktu widzenia, niż mu kazało jego urodzenie i wychowanie. Ażeby dokładnie zrozumieć Harbingera należałoby, odrzuciwszy z oczu i z uszu zasłonę wszelkiego przesądu, uczestniczyć w jednym z tych wielkich zawodów cricketowych, w których odznaczał się tak wybitnie jako mały chłopiec. Należałoby z jakiegoś wysokiego, odległego, bezpartyjnego miejsca przyglądać się temu polu, które w godzinach przedpołudniowych pokrywały

od ogrodzenia do ogrodzenia, od trybuny do trybuny zdumiewające tłumy ludzi, złożone z osobników, poruszających się zupełnie jednakowo, z zupełnie jednakowym wyrazem twarzy, pod identycznymi kapeluszami. Tłumy te stanowiły największą, najbardziej zdumiewającą jedność haseł, dążeń, wiary i zwyczajów, jaka kiedykolwiek znana była od początku świata. Nie, otoczenie jego nie sprzyjało rozwojowi oryginalności i indywidualności. Przysięgł był bardzo żywy, niezbyt głęboki i życie nieczęsto pozwalało mu zastanawiać się nad samym sobą. Stykając się od rana do nocy z ludźmi, dla których polityka stanowiła tylko przepędzenie czasu, nie podlegając żadnemu przymusowi, ani dyscyplinie, był i tak bardziej poważny, niż się tego należało spodziewać. Nie kochał się nigdy aż do zeszłego roku, kiedy Barbara, podczas swego pierwszego sezonu w świecie, „pograżyła go najzupełniej”. Choć był bardzo zakochany, dotychczas jednak nie prosił o jej rękę. Nie miał na to czasu, lub może odwagi, czy też przekonania, że powinien to uczynić. Kiedy znajdował się w obecności Barbary, niepewność jej przychylności zdawała mu się nie do zniesienia. Kiedy oddalał się od niej, było to dla niego prawie że ulgą, gdyż miał zawsze wiele do zrobienia i powiedzenia, a mało czasu, by to wykonać i powiedzieć. Teraz jednak, podczas tych dwóch tygodni, które poświęcił dla sprawy Miltoun'a, jego uczucie spotęgowało się do tego stopnia, iż przeszło granice równowagi i wewnętrznej spokoju. Nie przyznawał się nawet przed samym sobą, że powodem pewnego niepokoju był Courtier, gdyż pomimo wszystko był on przecież niczem — intruzem. Jednakże ilekroć jego oczy zatrzymywały się na tej spokojnej, ironicznej twarzy, zawsze tlił w nich błysk jakiejś zimnej badawczości, często zaćmiewany przez cień niepokoju. Spotykali się rzadko, gdyż większą część dnia spędzał Harbinger na rozjazdach autem po okolicy i na przemówieniach, zaś Courtier czytał i jeździł konno, gdyż

noża jego była za słaba do pieszych spacerów. Raz, czy też dwa, późnym wieczorem w palarni wszczął Harbinger dyskusję z tym bojownikiem przegranej sprawy i przy takich okazjach źle ukrywane zniecierpliwienie dawało się odczuć w jego głosie. Było dla niego czemś niepojętem, w jakim celu człowiek traci czas, walcząc z wiatrakami podczas tej podróży na księżyc. Fakt pozostawał przecież faktem, natura ludzka nie będzie nigdy niczem innym, jak tylko naturą ludzką. Irytował go zwłaszcza błysk oczu Courtiera i ton jego głosu, który przy takich okazjach zdawał się mówić: „Mój młody przyjacielu, napróżno tracisz swój drogi czas, chcąc mnie przekonać“.

Pewnego rana po takiej sprzeczce, Harbinger, ujrawszy Barbarę, wybierającą się na konną przejażdżkę, poprosił o pozwolenie towarzyszenia jej do stajen. Udali się razem. Młody człowiek milczał wbrew przyzwyczajeniu, dziwne uczucie ścisnęło mu serce: przełykał co chwila ślinę przez zaschnięte gardło.

Stajnie Monkland Court były tak wielkie, jak niektóre dwory wiejskie. Urządzone na trzydzieści koni, teraz mieściły tylko dwadzieścia jeden, łącznie z kucem małej Anny. Wysokie, doskonale oświetlone, czyste i przewietrzane nie miały równych sobie w całym hrabstwie. Zdawało się niemożliwością, by jakiś koń w takiej stajni pamiętać mógł o tem, że jest tylko koniem. Każdego rana ustawiano przy głównym wejściu kobiałkę z marchwią, jabłkami i cukrem dla tych, którzy, odwiedzając stajnie, pragnęliby nakarmić jej rozpieszczonych mieszkańców.

Konie, uwiązane do mosiężnych kół, umieszczonych po obu stronach każdej przegrody, zwrócone głowami do drzwi, utrzymane bez zarzutu, stały z podniesionymi szyjami, nastawionymi uszami, błyszczącą skórą, dumając o tem i owem, napominane lekkim sykaniem wiecznie czujnych groomów, gotowe w każdej chwili witać uprzejmem rżeniem

wchodzącego. W wysokiej, obszernej przegrodzie, leżącej w północnem skrzydle, stał doskonale rasy, kasztanowaty hunter, ulubieniec Barbary. Usłyszawszy kroki swej pani, stanął spokojnie z odwróconą głową. Znalazł właśnie jabłko w swym żłobie i łakomstwo jego walczyło ze smakowitym zapachem tego delikatesu a świadomością odgłosu kroków, które wróżyły mu bezsprzecznie marchew. Kiedy Barbara odemknęła drzwiczki i zawołała: „Hal!”, odwrócił się do żłobu, chcąc zaznaczyć swą niezależność, lecz kiedy rzekła: „A więc dobrze!”, — zawrócił i zbliżył się do niej. Oczy jego wielkie, błyszczące pod grubemi, kasztanowatemi rzęsami, obszukiwały ją badawczo. Nie znalazłszy marchewki, wyciągnął szyję, nozdrzami błdził wzdłuż jej kibici i dotykał wargami ręki, poczem, stąpając ostrożnie, by nie nadeptać jej na nogę, odsunął ją tak zręcznie, iż znalazł się poza nią i obwąchiwał z kolei jej kark. Lecz i tu nie wyczuł ukrytej marchwi. Przyłożył więc głowę poprzez jej ramię do policzka i zarżał zlekka. Marchew ukazała się w rękach Barbary na poziomie pasa. Wyciągając szyję, koń starał się dostać ją i, czując smaczny kęs tak blisko, znów począł rzeć i uderzył Barbarę leciuteńko zgiętem kolanem. Nie mogąc wciąż jeszcze dostać się do marchwi, podniósł głowę i odsunął się, udając obojętność. Nagle poczuł dwoje ramion wokół szyi i coś miękkiego, tulącego się do jego nozdrzy. Stał spokojnie, kładąc uszy po sobie, lekki oddech łaskotał go. Nastawiwszy uszu parsknął silniej i natychmiast miękka buzia jego pani odsunęła się. Zauważył wtedy, że włożyła mu do pyska marchew.

Harbinger stał, opierając się o ścianę przegrody, i przyglądał się całej scenie z dziwnie pobladłą twarzą. Kiedy Barbara odeszła od konia przemówił:

— Lady Barbaro!

Ton jego głosu musiał być szczególny, gdyż Barbara odwróciła się gwałtownie.

— Co takiego?

— Jak długo mam jeszcze znosić to wszystko?

Nie spuściła oczu, nie zaczerwieniła się ani pobladła. Przyglądała mu się tylko z badawczym zainteresowaniem. Nie było to spojrzenie okrutne, nie zawierało w sobie ani cienia złośliwości lub ironji, a jednak przerażyło go nieodgadniętym spokojem i pogodą. Niepodobieństwem było dowiedzieć się, co tkwiło poza tem spojrzeniem. Ujął jej rękę, pochylił się nad nią i rzekł cichym głosem:

— Pani wie przecież co ja czuję... Nie bądź okrutna dla mnie...

Nie usunęła ręki. Zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi na to, że ją przytrzymał.

— Nie jestem wcale okrutna dla pana.

Podniósł oczy i zobaczył, że uśmiecha się.

— A więc, Barbaro!

Twarz jego dotykała prawie jej twarzy, lecz Barbara nie odsunęła się. Potrząsnęła tylko przecząco głową. Harbinger zaczerwienił się.

— Dlaczego? — spytał.

Jakgdyby ta straszna niesprawiedliwość przeczącego gestu dotknęła go nagle, puścił jej rękę.

— Dlaczego? — powtórzył szorstko.

Lecz ciszę przerywał tylko świergot wróbli poza okragłem oknem, oraz mlaskanie Hala, pozerającego ostatni kęs marchwi.

Harbinger chłonał nozdrzami słodko-cierpki, przejmujący zapach stajenny, zmieszany z wonią włosów i sukien Barbary. Trochę niepewnie spytał po raz trzeci:

— Dlaczego?

Splatając poza sobą ręce, odparła łagodnie:

— Mój drogi, skądżeż ja mogę wiedzieć dlaczego?

Była zupełnie spokojna, przygotowana na jego uścisk, gdyby tylko się na to był odważył, lecz nie uczynił tego i usunął się znów pod ścianę. Przygryzając usta, patrzył na nią ponuro. Głaskała szyję ko-

nia. Jakaś tępa wściekłość wezbrała w jego sercu. Odrzuciła jego, Harbingera! Nie zdawał sobie wcale sprawy przedtem, jak strasznie jej pragnął. Czy mogła istnieć dla niego inna kobieta, dopóki to młode, spokojne, słodko uśmiechnięte stworzenie żyło, przyprawiało go o zawrót głowy, rozpalając zmysły i napełniając jego serce tęsknotą i pożądaniem? Zdawało mu się w tej chwili, że jest najnieszczęśliwszy z ludzi.

— Nie wyrzeknę się ciebie! — wyszeptał.

Odpowiedzią Barbary był uśmiech odrobinę litościwy, zabarwiony pewną ciekawością, a jednocześnie prawie-że wdzięczny.

Zdawał się mówić: „Dziękuję ci... Kiedyś... może... kto wie”... A potem, prędko wracając w kierunku domu, oddaleni od siebie o kilka kroków, rozmawiali o koniach.

Około południa Barbara wyjechała konno w towarzystwie Courtiera. Trzydniowa niepogoda ustąpiła teraz miejsca promiennej ciszy. Wystarczyło tylko żyć, by odczuć cudowny nastrój całej natury. Przy małym strumyku, biegnącym koło ugoru, pod kamienną figurą zatrzymali jeźdźcy swe konie, by usłyszeć rytm dnia i oddychać jego wonią. Daleki odgłos chóru życia tętniał najdelikatniejszym rytmem. Ani jeden z drobnych odgłosów strumyka, łagodnego powietrza, zwierząt, ludzi, ptaków i owadów nie wybijał się zbyt ostro w tej symfonii tonów, płynącej ponad ziemią. Było południe — najcichszy moment dnia, lecz ten hymn zgody, wznoszony do słońca po jego długiej nieobecności, nie milkł ani na chwilę. Ziemia obleczona była w szatę woni, delikatnie tkaną z soków młodych paproci, z pączków wrzosu, z modrzewiu, brunatnego jałowca, dymu smolnych szczap i oddechu głogu. Tę podwójną osłonę ziemi, złożoną z woni i tonów, otaczała niebieska szarfa powietrza, bezkresna przestrzeń, wymierzona tylko skrzydłami swobody.

Nasyciwszy się dowolnie oddechem dnia, ruszyli jeźdźcy w milczeniu, kierując się na sam wierzchołek wzgórza. Tutaj znów przystanęli i przyglądali się widokom, jakie się roztaczały przed nimi. Daleko, w stronie południowo-zachodniej widniało morze, wyraźnie, jak na dłoni. Dwa niewielkie stada dzikich koni pasły się na zboczu wzgórz, zbliżając się powoli ku sobie.

— Oto chcę zasiąść tu i śpiewać, trzymając miłość mą w ramionach, i patrzeć, jak dwa nasze stada łączą się, a przed nami roztaczać będzie swe fale dalekie, boskie, modre morze...

A potem, po długim milczeniu, patrząc badawczo w oczy Barbary, dodał:

— Lady Barbaro, obawiam się, że jest to po raz ostatni, kiedy się znajdujemy sami razem. Korzystam z okazji, by złożyć pani mój hołd. Pozostanie pani zawsze moją gwiazdą przewodnią, którą będę wielbił, lecz promienie twe są zbyt jasne dla mnie. Będę cię wielbił zoddali; z twego siódmego nieba. Spójrz na mnie przyjaznymi oczami i nie zapominaj mnie.

Słuchając tej przemowy, złożonej tak dziwacznie z ironji i żarliwości, siedziała Barbara w milczeniu z płonąca twarzą.

— Tak, — rzekł Courtier — tylko nieśmiertelny może zdobyć boginię. Przed progiem potęgi uklękne i korzyć się będę trzy razy dziennie.

Lecz Barbara nie odpowiadała.

— Wczesnym rankiem — ciągnął dalej Courtier, — opuszczając mroczne i posępne siedliska wolności, spoglądać będę do świątyni możnych i oczami wiary ujrzę cię.

Przerwał, gdyż usta Barbary poruszyły się:

— Proszę, przestań pan. To boli...

Courtier pochylił się, ujął jej rękę i podniósł do ust.

— Pojedziemy teraz dalej...

Tego wieczora przy obiedzie lord Dennis, siedzący naprzeciw swej siostrzenicy, uderzony został jej urodą.

— Jaka ona piękna — pomyślał. — Najbardziej urocze, młode stworzenie.

Siedziała między Courtierem a Harbingerem i zawsze jeszcze bystre oczy starca pilnie badały obu mężczyzn.

Chociaż byli bardzo grzeczni dla swych sąsiadek po drugiej stronie, jednakże obaj kącikiem oka stale obserwowali Barbarę i siebie nawzajem. Te manewry nie uszły uwagi lorda Dennisa i uśmiech otoczył jego poważne usta, okolone białymi wąsami i szpiczastą bródką. Czekał, kierowany instynktem rybołówcy, który mu nakazywał nie zaniedbywać ani skrawka terenu. Popatrzył z kolei na Barbarę, cichą i zamysloną, i czekał uważnie, co dalej będzie. Chociaż spokojnie jadła, oczy jej ukradkiem zwracały się w stronę Courtiera. Te szybkie spojrzenia zdawały się lordowi Dennisowi trochę niepewne, jakgdyby coś ją nurtowało. Potem przemówił Harbinger. Zwróciła się do niego, by mu odpowiedzieć. Twarzyczka jej była spokojna, lekko uśmiechnięta, o wyrazie trochę prowokującym i popędliwym. Lord Dennis przypomniał sobie własną młodość. Jakżeż cudowną parę tworzyłaby Barbara z Harbingerem, gdyby się pobrali. W całej Anglii nie znalazłoby się chyba piękniejszej. Oczy staruszka powędrowały do Courtiera: Bardzo męski! Nazywano go niebezpiecznym! Zdawały się w nim nurtować szalone namiętności, umiejętnie maskowane! Być może, iż typ taki jest zajmujący dla młodej dziewczyny, lecz dla wskroś praktycznego i zrównoważonego umysłu lorda Dennisa, człowiek, podobny do Courtiera, był zawsze zagadką. Zdawał mu się nawet sympatyczny napozór, lecz nie ufał jego ironicznemu wyrazowi oczu i objawom zbytnej krewkości. Człowiek, bezwątpienia, przepełniony ideami humanitarnymi. Dla lorda Dennisa ludzie tego pokroju byli zawsze dziwakami trochę

niezrozumiałymi. Nie odpowiadali jego dokładnemu
poczuciu kształtu i formy. Zawsze szukali we wszyst-
kiem niesprawiedliwości i okrucieństwa. Zdawali
się być prawdziwie zadowoleni, jeśli je znaleźli, —
rosli z uciechy, jeśli je gdzieś odkryli, a że zła wiele
jest na świecie, nigdy prawie nie powracali do zupeł-
nie normalnego wzrostu. Ludzie, żyjący dla idei, byli
dla niego, któremu wstarczała tylko rzeczywistość,
bardzo irytującym objawem.

Lekkie poruszenie Barbary znowu zwróciło na
nią uwagę staruszka.

Czy być może, żeby ta kobieta o uroczych wło-
sach, boskich ramionach, była tą jego małą Bar-
barą, która towarzyszyła mu niegdyś w poran-
nych przejażdżkach konnych? Jak djabelnie prędko
upływał czas.

Oczy jej szukały czegoś. Idąc w kierunku jej
wzroku, lord Dennis spostrzegł, że patrzy ona na
Miltoun'a. Jakże różnili się ci dwoje! Oboje byli je-
dnak bezwątpienia w wielkiej rozterce duchowej. Lord
Dennis wiedział z doświadczenia, że takie rozterki,
choć są udziałem młodości, pozostawiają czasem
niezatarte piętno do późnego wieku. Dziwnem spoj-
rzeniem obrzucała Barbara brata. Zdawała się pro-
sić go o radę i pomoc. Lord Dennis widział w swem
życiu młodych, którzy, opuściwszy spokojne schronie-
nie swobody, przestąpili dobrowolnie próg domu
Wielkiego Hazardu. Wielu wyciągnęło białą gałkę
i życie ich opromieniło ciepło i blask, oczy wielu
jednak zgasły poza ciemnymi kratami tego domu,
gdyż wyciągnęli czarną gałkę niedoli. Myśl, że
jego mała Barbara mogłaby przestąpić podwoje
tego nieubłaganego siedliska, napełniła go bolesnym
smutkiem, a widok tych dwóch mężczyzn, śledzą-
cych ją i czyhających na nią, jak myśliwi na zwie-
rzynę, był mu wstrętny. Jakkolwiekby być miało,
niech na miłość boską, nie zapędza się tak daleko,
by mógł ją pochwycić ten podstarzały rudowłosy,
który bezwątpienia posiada ideały, lecz brak mu

rodowodu. Niech pozostanie przy młodości i swojej sferze. Niech wyjdzie za tego młodzieńca, który wygląda, do djaska! jak grecki bóg, urodzony w nieodpowiednim czasie. Przypomniał sobie jej zdanie, wypowiedziane poprzedniego wieczora o tych dwu ludziach i różnicy życia, jakie prowadzą. Jakieś romantyczne mrzonki, któremi nabiła sobie głowę. Znow spozrzał na Courtiera. Typ Don Quichota, rodzaj zawadzaki. Bardzo to piękne, lecz nie dla jego małej Barbary. Nie była wcale podobna do słynnej Anity Garibaldiego. Charakterystycznym dla lorda Dennisa, jak zresztą dla wielu innych ludzi, było, że cenił daleko więcej zmarłych bojowników wolności, niżeli żywych. Tak, Barbara będzie wymagała więcej, — lub też, być może, było to mniej — aniżeli życie we śnie, w cieniu gwiazd, przyświecających człowiekowi, którego kochała i sprawie, dla której człowiek ten walczył. Będzie żądała rozkoszy, przyjemności, wysiłku i czasem trochę władzy. Nie wystarczy jej echo sławy kobiety, która przecierpiała wiele, lecz będzie pragnęła sławy rzeczywistej, władzy piękności i autorytetu towarzyskiego.

Teraźniejsze jej urojenia nie były niczem innym, jak romantyzmem młodej dziewczyny. Czy dla przemijającego cienia warto poświęcić trwałą rzeczywistość? Bezwzględnie nie!

I znow oczy lorda Dennisa spojrzwały bystro w twarz swej siostrzenicy. Co za uśmiech, co za oczy! Tak! Musi wyrosnąć z tych urojeń i pojąć tego greckiego boga, czy też umierającego galijszczyka, czemkolwiek zresztą był ten młodzieniec.

ROZDZIAŁ XXI

Courtier opuścił Monkland Court zrana, w dzień wyborów. Już od pewnego czasu odczuwał wyrzuty sumienia, gdyż kolano jego było zupełnie wyleczone

i zdawał sobie sprawę, że jedynie tylko obecność Barbary zatrzymuje go jeszcze w Monkland. Atmosfera tego wielkiego domu z całą armją służby, uniemożliwiająca wykonanie samemu jakiejś czynności, uczucie beznadziejnego odcięcia od żywotnych i pożytecznych stron życia, wszystko to dokuczało mu ogromnie. Czuł szczerą litość dla tych ludzi, którzy zdawali się wieść egzystencję, przytłumioną doniosłością ich społecznego stanowiska. Nie było w tem ich winy. Rozumiał, że czynili wszystko, co było w ich mocy. Byli, naprawdę, wzorowemi okazami swego rodzaju, nie zniewieścili ani rozpustni, jak się to często zdarza w tem zdegenerowanem i szalonym stuleciu. Starali się w swem zachowaniu o widoczną prostotę i te usiłowania podnosiły jeszcze w oczach Courtiera patetyczność ich życia. Los był dla nich zbyt łaskawy. Jakaż dusza ludzka mogła pozostać nieopętana i niespaczona we władzy przywilejów materialnych! Przed oczami Courtiera zdawała się rozgrywać jakaś subtelna, straszliwa tragedia, której główną bohaterką była ta dziewczyna, wywierająca na nim tak kolosalne wrażenie. Każdego wieczora, kiedy powracał do swego obszernego pokoju, gdzie wszystko było nieostentacyjnie a tak doskonale przygotowane dla jego wygody, myślał:

— Mój Boże, jutro już będzie po wszystkim!

Każdego ranka, kiedy spotykał ją przy śniadaniu, prześladowała go ta sama myśl i chwilami zastanawiał się: „Czy ja również podlegać zaczynam czarowi tej egzystencji? Czy ja też staję się słaby?”

Pojmował, teraz lepiej niż kiedykolwiek, że ta dziwna, sztuczna oschłość wśród arystokratów była tylko jakąś konserwującą substancją, w której kazał się im pogrążyć ich instynkt samozachowawczy, by nie dopuścić do zepsucia przedelikaconych tkanek. Zauważył nawet u Barbary jakiś rodzaj puklerza, zabezpieczającego przed wszelkiem wzruszeniem, brak zaufania emocji i sentymentom, pogardę dla uczuć romantycznych, współczucia i tkliwości. I z dniem

każdym rosła w nim chęć, by zerwać z niej tę osłonę i przekonać się, czy nie mógłby rozniecić w niej zarzewia, by ogarnął ją płomień miłości i ideału. Pomimo jej męczącego zrównoważenia, spostrzegł kilkakrotnie, iż czuje ona tę chęć, wzbierającą w nim i wtedy dostrzegał w niej jakby cień bezbronności, którą zdawała się go wabić.

A jednak tego wieczora, kiedy żegnał się z nią przed wyjazdem, nie mógł powiedzieć sobie szczerze, że rozkrzesał bodaj jedną iskrę w jej duszy. Bez wątpienia nie dała mu możności przekonania się o tem podczas tego pożegnania, stojąc spokojna i uśmiechnięta wśród innych kobiet, jakby zdecydowana nie dać już powtórnie okazji do ironicznego wyznania.

Następnego rana wstał bardzo wczesnie. Chciał wyjechać, nie widząc się z nikim.

W samochodzie, oddanym na jego usługi, zastał małą istotkę, w holenderskiej sukience, wsuniętą w poduszki tak głęboko, że jej stopki w sandałach, wycelowane były wprost w plecy kierowcy. Była to mała Anna, która, w wiecznym poszukiwaniu czegoś zajmującego, odkryła z radością samochód, stojący przed domem. Jej cienki, prędko głosik uspakał Courtiera tonem przyjaznym, lecz niezbyt poufałym.

— Pan odjeżdża? Mogę odprowadzić pana aż do bramy.

— To bardzo szczęśliwie się składa.

— Tak, czy to wszystko pański bagaż?

— Zdaje mi się, że tak.

-- Ach, to naprawdę ogromnie dużo!

— Akurat tyle, na ile zasługuję.

-- Naturalnie, nie zabiera pan ze sobą świnek morskich?

— Nie, z zasady nie zabieram.

— Ja zawsze biorę. Oto prababunią.

W istocie, niedaleko podjazdu stała lady Casterley, wydając wysokiemu ogrodnikowi polecenia, jak należy postępować ze starym dębem.

Courtier wysiadł i zbliżył się do niej, by się pożegnać. Powitała go z pewną ponurą uprzejmością.

— A więc wyjeżdża pan. Bardzo się z tego cieszę, choć domyśla się pan naturalnie, że osobiście bardzo lubię pana.

— Oczywiście.

Oczy jej zabłyśły złośliwie.

— Mężczyźni tego rodzaju, co pan, są niebezpieczni. Mówiłam to już kiedyś panu. — Poczem z wielką powagą dodała: — Moja wnuczka poślubi lorda Harbingera. Wzmiankuje o tem dla pańskiego spokoju. Jest pan gentlemanem i pozostanie to między nami.

Courtier, pochylając się nad jej ręką, odparł:

— Będzie to dla niego wielkiem szczęściem.

Mała staruszka przyglądała mu się bez zmruczenia powiek.

— Naturalnie, że będzie, panie. Dowidzenia.

Courtier, uśmiechając się, uchylił kapelusza. Twarz mu płonęła. Kiedy wsiadł zpowrotem do auta, odwrócił się raz jeszcze. Lady Casterley znów była zajęta pouczeniem ogrodnika. Głosik małej Anny przerwał po chwili jego rozmyślanie:

— Mam nadzieję, że wróci pan jeszcze tutaj. Bo ja przyjadę tu pewnie na Boże Narodzenie i moi bracia będą wtedy także. To znaczy tylko Jack i Teddy, Krzysztof nie, gdyż jest za mały. Już muszę wysiąść. Dowidzenia panu. Hallo, Zuziu!

Courtier ujrzał, jak zeskoczyła z samochodu i zbliżyła się do małej, bladej córeczki odźwiernego. Samochód wjechał na drogę, biegnącą wśród pól.

Gdyby nawet lady Casterley uczyniła to wyznanie z premedytacją, czego w tym wypadku nie było, gdyż impuls dał jej dopiero widok uśmiechu Courtiera, nie mogłaby wymyśleć nic bardziej skutecznego. Była w duszy Courtiera głęboko zakorzeniona nieufność, przechodząca prawie w odrazę, nieufność człowieka bezdomnego, włóczęgi do tych wszystkich ludzi, zabezpieczonych i na stanowisku pewnym i trwałym,

jakimi są arystokraci i burżuazja. Wszelki stosunek do Barbary, nie mający na celu małżeństwa, nie wchodził w rachubę u niego, gdyż, choć nie posiadał zmysłu konwencjonalnej moralności, nie zatracił był jednak szacunku dla siebie samego. Potajemne usiłowania, by ubiec Harbingera nie przypadają również do gustu temu człowiekowi, który uważał się za równego innym i nie zniósłby małżeństwa, w którym odgrywaćby miał rolę intruza.

Polecił szoferowi zboczyć na drogę, wiodącą do domku mrs. Noel. Nie mógł się pogodzić z myślą odjazdu bez słowa pociechy dla tej istoty w rozterce. Wyszła do niego na werandę. Z uścisku jej dłoni, szczupłych i opalonych — dłoni kobiety, która nigdy nie pracowała, wyczuł Courtier, że Audrey wierzy, że ją rozumie i współczuje jej. A nic nie budziło w nim tak wzniosłych uczuć, jak taka niema prośba o pomoc. Powiedział łagodnie:

— Nie dawaj im poznać po sobie, że cię to zła mało. — Ściskając silnie jej rękę, dodał: — Dlaczego masz się tak marnować? Przecież to grzech i wstyd...

Urwał, gdyż zauważył, że odezwał się niezręcznie. Powiedział mu to wyraz jej twarzy, wymowniej-szy niż jego słowa: on protestował ze stanowiska cywilizowanego człowieka, jej twarz była protestem natury, bezsłownym protestem piękna, marnowanego wbrew woli, piękna, które było stworzone przez życie do uścisku, dającego z kolei narodziny nowemu życiu.

— Ja odchodzę stąd, — rzekł. — Ani ty, ani ja nie jesteśmy stworzeni dla tych ludzi. Nie uznają oni wolności.

Uściskawszy rękę Courtiera, weszła zpowrotem do domku, pozostawiając go wpatrzonego w miejsce, gdzie przed chwilą widniała jej biała postać. Zawsze żywił dla Audrey Noel jakieś życzliwe, opiekuńcze uczucie, które mogłoby przejść w coś żywszego, gdyby znalazł zachętę i oddźwięk, lecz wobec tego, że zajmowała ona tak anormalne stanowisko,

za nic na świecie nie zamaćliby jej wiary w to, że może mu bezgranicznie ufać. A teraz, kiedy jego wzrok był skierowany gdzie indziej, a ją dotknęło to ciężkie strapienie, odczuwał za nią żal do całego świata, jak brat za swą siostrę, kiedy sprawiedliwość i litość zmovią się, by naigrawać się z nich. Głos kierowcy Frith'a wyrwał go z ponurej zadumy.

— Lady Barbara, panie.

Patrząc w kierunku, który mu wskazywał, Courtier ujrzał na tle horyzontu, na wzgórzu, ponad domkiem, zwanym „Szaleństwem Ashmana” sylwetkę kobiety na koniu. Kazał zatrzymać samochód i wysiadł. Spotkał ją przy ruinach, zasłoniętą niemi, jak parawanem, dzięki jakiemuś boskiemu przypadkowi, który przychodzi z pomocą człowiekowi wtedy, kiedy się sam o to postara. Nie mógł się zorientować, czy wie o tem, że podchodzi w jej kierunku i dałby wszystko, co posiadał, co zresztą było niewiele, by mógł dojrzeć poprzez sztywne, szare sukno jej okrycia delikatną biel jej ciała, dowiedzieć się, co się dzieje w tajemniczym wnętrzu jej serca. Gdyby mógł być w tej chwili tym Ashmanem, który zerwał ze światem i wszelkiem dobrem ziemskim i żył czystym życiem, gdzie niema przeszkód i barjer pomiędzy kobietą i mężczyzną. Uśmiech jej onieśmielał go. Uśmiech ten wykwitł na jej ustach, jak pierwszy kwiat, przebijający powłokę ziemską, by zadrwić z zimnych powiewów wiosny. Jakże można było zgłębić co oznacza! A jednak szczylił się przecież znajomością kobiet, z którymi w życiu tyle miał do czynienia. Mimo to, wszystko, co w tej chwili mógł powiedzieć, było:

— Rad jestem ogromnie z tego przypadku. —

Spojrzał na nią nagle i dostrzegł, że jest dziwnie blada i drży. —

— Zobaczymy się w Londynie, — powiedziała.

Dotknęła konia szpicrutą i, nie oglądając się poza siebie, odjechała.

Courtier powrócił do samochodu i, wsiadając, mruknął:

— Prędziej proszę, Frith.

ROZDZIAŁ XXII

Kiedy Courtier przybył do Bucklandbury, akcja wyborcza wrzała już w całej pełni. Zainteresowany był jej rezultatem i podświadomie wierzył, że jakiś przypadek pozwoli mu ujrzeć raz jeszcze Barbarę. Udał się więc do hotelu, zdecydowawszy pozostać aż do czasu ogłoszenia wyniku wyborów. Pozostawił swój багаż i, wyszedłszy na główną ulicę, obserwował nastrój dnia.

Jego, który znał cały świat prawie, nie ponosiły już skrzydła wiary w święte zadanie i posłannictwo polityki. Widział już zbyt wiele prawdziwie żywotnych barw, by mógł jeszcze szczególną wagę przywiązywać do mdłych i niepewnych odcieni żółtych i niebieskich. Wzbudzały w nim raczej ochotę do zimnego i krytycznego rozumowania. Dnia tego jednak nie mógł od nich uciec. Cały świat zdawał się być żółty i niebieski. Trzeci dominujący kolor, czerwony, który w równej mierze przyjęły obie przeciwne sobie partie, nie dawał również gwarancji, że jedna z nich oceni zalety drugiej. Zdawał się raczej symbolizować pragnienie widoku płynącej krwi przeciwników. Niebawem Courtier zaobserwował ze spojrzeń, zatrzymujących się na jego znudzonym i trochę sarkastycznym obliczu, że bardziej jeszcze niż ich antagoniści znieawidzony jest przez obie strony człowiek, który mierzy walkę krytycznym, obojętnym okiem. Z tą swoją djabelną bezstronnością, swoim zwyczajem przenikania do sedna rzeczy, by ujrzeć co tkwi w niej naprawdę, wyczuwał, iż uważają go za prawdziwego przeciwnika, za wiecznego wroga tych wszyst-

kich drobnych, napuszonych „faktów“, które, przybrane niebiesko lub żółto, paradowały, wymyślając sobie, podbijając wzajemnie oczy i rozkrwawiając nosy. Te małe, poważne, zabawne kreatury, tak bardzo powierzchowne, nienawidziły krytycznego spojrzenia, które miało zwyczaj kierować się nietylko przed siebie, lecz i sprawdzać nieraz, co się dzieje w głębi. Te zapamiętałe niebieskie i zapamiętałe żółte figurki małych, awanturniczych wojowników, noszących blaszane szabelki u boku i blaszane trąbki przy ustach, występowały w każdym oknie i na każdej ścianie i zapewniały każdego obywatela, że tylko oni i jedynie oni potrafią go godnie reprezentować w parlamencie. Nie mieli wielkich trudności z wyborcami, którzy, nie znosząc niepewności, szukali zapewnienia, że państwo zostanie natychmiast uratowane właśnie przez niebieskich albo żółtych, zależnie od ich poszczególnych sympatyj — z wyborcami, którzy mieli wiele powodów, by być stronnikami jednej partji lub drugiej: naprzykład dlatego, iż ich ojcowie byli już przed nimi tymi lub owymi stronnikami, że ich chleb był posmarowany masłem na niebiesko lub żółto, że pomyśleli nad tem i doszli do takiego, a nie innego wniosku, że znajdowali się po tej stronie podczas wyborów, że posiadali niewinną niebieską krew, lub naiwne żółte piwo w sobie, że ich lordowska mość była kandydatem, lub że podobały im się słowa „Chilcox for Bucklandbury“ i, co najważniejsza, ten jedyny, godny pochwały powód, że — jak daleko mogli w danej chwili sięgnąć rozumem i uczuciem, — prawda była albo niebieska albo żółta.

Wąskie, ciasne uliczki przepełnione były wyborcami. Wysoki policjant, utrzymujący jakoby porządek, w istocie nie miał tu nic do powiedzenia. Pewność każdego, że właśnie jego partja wygra, wprowadzała wszystkich w dobry humor. Jak dotychczas nie zachodziła potrzeba pobicia kogokolwiek, lecz mimo, że uważnie baczyli, czy nie zauważą gdzie obojętnego spojrzenia, poza Courtierem, dostrzec je mogli jedy-

nie w wózkach dziecięcych i u staruszka, który przejeżdżał właśnie na rowerze i zatrzymał się, by zapytać policjanta, co się właściwie dzieje. Obojętnie zachowywali się także dwaj malcy, których czynność polegała na rozłożeniu czapek, wypełnionych żółtymi i niebieskimi kartkami.

Courtier przyglądał się wszystkiemu sceptycznie, jednakże mile uderzała go gorliwość, z jaką odnosili się ludzie do całej ceremonji. Zdawało się, że oddają się temu z przejęciem i prawdziwym upodobaniem. Oczekiwali na wybory już długie miesiące i długo jeszcze potem będzie to dla nich tematem rozmów. Był to dla nich jakiś wprost religijny ceremonjał, skupiający najwznioślejsze uczucia. I to wszystko zdawało się Courtierowi, który sam był przecież człowiekiem czynu, zupełnie oczywiste, być może trochę patetyczne, lecz bezwątpienia niezastępujące na wzgardę.

Przed samym wieczorem ukazał się na głównej ulicy długi szereg „sandwichmanów“, obnoszących wielkie plakaty, na których wypisane były pięknymi granatowemi literami na blade-niebieskiem tle słowa:

**NOWE GROŻNE KOMPLIKACJE!
NIEBEZPIECZEŃSTWO NIE MINEŁO JESZCZE!
GŁOSUJCIE NA MILTOUN'A I RZĄD!
Ratujcie ojczyznę!**

Courtier przystanął, by przeczytać ogłoszenia. Ogarnęło go oburzenie. Nietylko bowiem te plakaty i napisy godziły w jego ukochaną ideę pokoju, lecz widział w nich jeszcze wiele cech, które były mu wstrętne. Były dla niego jakby symbolem całej lichoty i tandety życia narodowego, epitaforum na grobie wszelkiej szlachetności, czemś niewymownie smutnem. Jednakże z punktu widzenia partji walczącej nic nie mogło być bardziej naturalnego. Czyż nie było rzeczą najważniejszą, by wszystkie zmysły niebieskiej partji wysilały się na to, aby jeszcze przed nocą

zółta partja zzieleniała bodaj ze złości? Czyż nie było najoczywistszą prawdą zresztą, że państwo może być uratowane tylko przez głosowanie na niebieską listę? Czyż mogli wreszcie powstrzymać się od wydrukowania słów: „Nowe groźne komplikacje!” Było to zupełnie zgodne z prawdą. Sam zresztą czytał o tem rano w pismach. Tak samo przecież nie powstrzymywali się żółci od wydrukowania w swej gazecie: „Nocna przygoda lorda Miltoun'a”. Jedynym ich celem była wygrana i to uświęcało wszystkie środki. Wszak i partja żółtych nie używała prawomyślnych sposobów w swej walce, a najmniej prawomyślną ich taktyką było oskarżenie niebieskich, że walczą nikczemnymi środkami — oskarżenie, zakrawające na śmieszność. Gdzie była prawda? To, co pomagało światu, by się stał niebieskim, było jawną prawdą, — to, co przeszkadzało — nie było nią. Kompromis nie istniał wogóle. Człowiek, który nie widział świata z punktu widzenia któregośkolwiek z tych kolorów, był kretynem i nie mógł być dobrym obywatelem.

O tem wszystkiem wiedział Courtier, jednakże reklamy wydawały mu się wstrętne. Nie mógł się powstrzymać od uderzenia laską w jeden z plakatów. Silny odgłos spłoszył małego kuca rzeźnika, stojącego przy trotuarze. Poniósł, pociągając za sobą Courtiera, który chciał go wstrzymać i zdążył uchwycić zwisające lejce. Jakiś pies przebiegł wpoprzek drogi. Courtier potknął się i upadł. Kuc, chcąc się oswobodzić wierzgnął i uderzył go kopytem w głowę. Przez chwilę Courtier leżał nieprzytomny. Kiedy go ocuciono, odrzucił dalszą pomoc i sam udał się do hotelu. Był bardzo odurzony, obwiązał ranę na głowie i położył się na łóżku. Miltoun, wracający z wystąpień publicznych, które są głównem urozmaiceniem akcji wyborczej, znalazł czas, by wstąpić do niego.

— Te ostatnie plakaty pańskie... — rozpoczął Courtier natychmiast.

— Kazałem je wycofać.

Podstęp udał się. Winszuję, teraz na pewno pan wygra.

— Zrobiono to bez mojej wiedzy.

— Mój drogi przyjacielu, ani przez chwilę nie przypuszczałem, że jest inaczej.

— Słuchaj, Courtier. Jeśli pustynia dzieli człowieka od świętego miejsca, nie zawraca on ze swej pielgrzymki dlatego tylko, że wypada mu po drodze myć się w mętnej wodzie. Ten motłoch!... Boże, jak ja ich nienawidzę!

Była taka siła nienawiści w jego głosie, że zdumiała nawet Courtiera, choć przecież i jego życie upływało wiecznie na utarczkach i konfliktach z motłochem.

— Nienawidzę ich niskich, nikczemnych głupstw! Nienawidzę dźwięku ich głosów, wyrazu ich twarzy. Takie to brzydkie, małe... Przechodzę piekielne męki na myśl, że dopnę celu dzięki głosom tych ludzi. To grzech posługiwać się temi kreaturami, a ja ten grzech popełniam.

Courtier nie odpowiadał początkowo na ten dziwny wybuch młodzieńca.

— Pracował pan za dużo — rzekł wkońcu. — Jesteś przemęczony i podrażniony. Pomimo wszystko „motłoch” ten składa się z takich samych ludzi, jak pan i ja.

— Nie, ten motłoch nie składa się z takich samych ludzi, jak my. Gdyby tak było, nie stanowiliby motłochu.

— Zdaje mi się, — rzekł Courtier poważnie — że nie powinien pan mieć nic wspólnego z pańskim przyszłym zawodem. Ja sam zawsze możliwie unikałem go.

— Pan idzie za głosem swego uczucia. Ja nie jestem w tak szczęśliwym położeniu. — To mówiąc, zwrócił się Miltoun ku drzwiom.

Courtier ciągnął dalej surowo:

— Porzuć politykę, o ile w ten sposób rozumu-

jesz. Nie marnuj życia w imię czegoś — cokolwiekby to było. Nie marnuj swego ani jej życia.

Lecz Miltoun nie odpowiedział.

Była cudowna, cicha noc, kiedy kilka minut przed dwunastą Courtier, z głową obandażowaną pod kapełuszem, udał się do gmachu szkoły, aby dowiedzieć się o wyniku wyborów. Jakiś odgłos, niby oddech olbrzyma wiódł go aż do miejsca, gdzie, wychodząc z wąskiej, spadzistej uliczki, ujrzał rynek, pokryty falującym tłumem, jak wielkim, ciemnym dywanem, usianym plamami świateł lamp.

Wysoko, na niewielkiej szpiczastej wieży szkolnej, jasno oświetlona twarz zegara górowała ponad tłumem. A nad temi namiętными dążeniami i nadzieją tysiąca serc, ściśniętych niepewnością, roztaczało się niebo. Żadna chmurka nie błąkała się pomiędzy ziemią a szafirową, bezkresną przestrzenią.

Courtierowi, zstępującemu powoli w kierunku skweru, zdawały się te blade twarze, zwrócone wszystkie w jedną stronę, kielichami olbrzymich, dzikich kwiatów na ciemnym polu, poruszanemi chłodnym wiatrem. Noc rozproszyła swym czarem wszelkie żółte i niebieskie różnice i napełniła ten tłum jednakim duchem wzruszenia i emocji. Courtier pojął całą piękność i znaczenie tego obrazu — drgających mocy, których wieczysty przyływ, miarkowany zmysłem równowagi, jest duszą świata. Tysiące serc, które zatraciły wszelką myśl o sobie w jednym, wspólnym, przeogromnym podnieceniu.

Staruszek, o długiej siwej brodzie, stojący tuż koło niego, wyszeptał:

— Mój Boże, cóż za wyczekiwanie, ale nie zamieniłbym tego na nic w świecie.

— Wspaniała rzecz, ech? — zapytał Courtier.

— Ho, ho — odparł staruszek. — Nie widziałem nic podobnego od pamiętnego roku czterdziestego ósmego. Oto są tam — arystokraci!

Patrząc w kierunku jego kościstej dłoni, ujrzał Courtier lorda i lady Valleys, stojących obok siebie

na balkonie i spoglądających bystro w tłum. Tam również, oparta o parapet okna stała Barbara, mówiąc do kogoś, wychylającego się z poza niej. Starszek mruczał coś jeszcze i Courtier ujrzał, że oczy jego napełniły się nagle blaskiem, cała twarz nabrała zdecydowanie wrogiego wyrazu. Uczuł sympatię dla tego starca, wzruszonego do głębi duszy. Wtem ujrzał, że Barbara patrzy na niego, trzymając rękę przy skroni, jakby chciała mu pokazać, że widzi jego bandaże. Miał tyle przytomności umysłu, że nie uchylił kapelusza. Starzec u jego boku przemówił znowu:

— Pan nie może pamiętać czterdziestego ósmego roku. Za młody pan jeszcze. Wtedy był duch w narodzie! Życie gotowi byli oddać za sprawę. Ja mam osiemdziesiąt cztery lata — podniósł rękę do piersi, — lecz ten duch żyje jeszcze tutaj. Boże, spraw, by partja radykałów zwyciężyła!

Powiał od niego jakiś zapach, jakby ziemniaków.

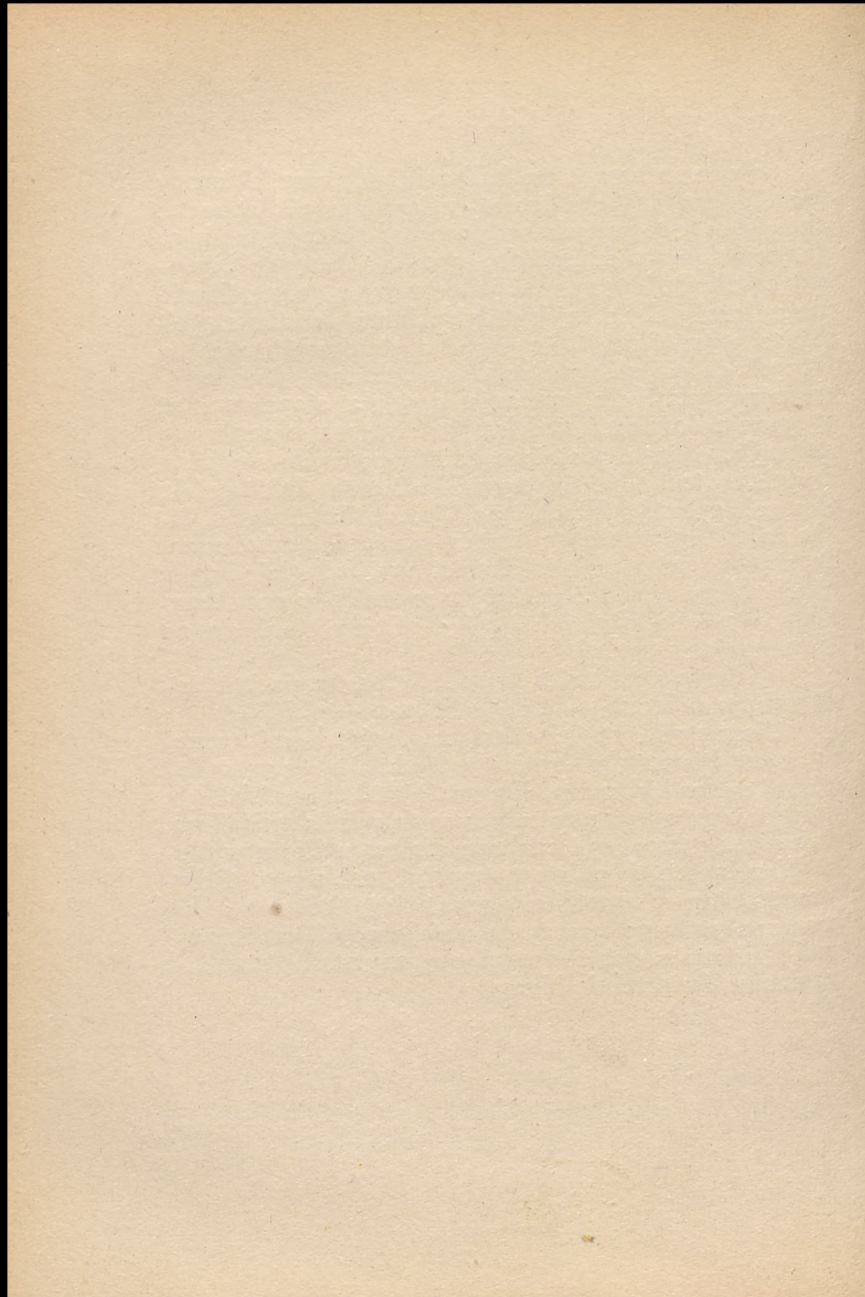
Daleko, na samych krańcach tego wielkiego tłumy, pojedyncze głosy zaintonowały pieśń: „Nad brzegami rzeki Swanii“. Tępy płynęły, milkły, podniosły się raz jeszcze i ucichły zupełnie, poczem, w samym środku cizby, jakiś potężny baryton zaintonował inną pieśń: „Nie zapominajmy starych przyjaciół..“ Pieśń ta brzmiała coraz mocniej, aż wreszcie wszystkie głosy śpiewały ją, od cienkiego dyszkantu do chwicznego basu starego chartrysty. Tu i tam tłum poruszał się, wtórując sobie poruszaniem złączonych rąk. Courtier poczuł, iż dłoń jego obejmują z prawej strony miękkie palce jakiejś kobiety, z lewej sucha, starcza ręka. Śpiewał głośno razem z nimi. Poważna, bezdźwięczna melodia podnosiła się pod niebiosa, roztaczała szeroko i gubiła wśród wierzchołków wzgórz. Kiedy ~~z~~ milkła, ten sam potężny baryton zaintonował z kolei hymn narodowy: „Boże, zbaw króla“. Tłum cały nagle jakby urósł o kilka stóp w górę, a pod baldachimem wzniesionych kapeluszy rozbrzmiewał potężny chór.

— To — pomyślał Courtier — jest dla nich świętością i religią.

Spiewano nawet na balkonie. W świetle lampy dojrzał Courtier usta lorda Valleys nawpół otwarte, jakby głos jego wstydził się trochę, że rozlega się w chórze innych, oraz Barbarę, opartą o framugę i śpiewającą z całej duszy. Ani jedne usta w całym tłumie nie milczały. Było to, jakgdyby dusza narodu angielskiego wyzwalala się z więzów powściągliwości na skrzydłach pieśni. Lecz nagle, jak raniony ptak, opuszczający skrzydła, melodia opadała stopniowo aż przypadła do ziemi. Pod kręgiem zegara ukazała się szczupła, ciemna postać, poza nią pojawiło się kilka innych postaci. Courtier ujrzał Miltoun'a. Jakiś daleki głos zakrzyknął: „Niech żyje Chilcox!“ Potężne: „Cicho tam!“ zgłuszyło go. Potem nastąpiła taka cisza, że słycać było turkot lokomotywy, odległej o milę może. Ciemna postać postąpiła naprzód, w rękę trzymała niewielki skrawek papieru, który bielił się na tle ubrania.

— Panie i panowie! Rezultat głosowania jest następujący: Miltoun — 4.898, Chilcox — 4.802.

Cisza prysła nagle w tysiące głosów. Wśród wrzawy, okrzyków przyjaznych i wrogich, Courtier przedostawał się w kierunku balkonu. Ujrzał lorda Valleys, pochylającego się z uśmiechem na ustach, lady Valleys, opierającą ręką oczy i Barbarę, stojącą z dłonią w dłoni Harbingera i patrzącą wprost na niego. Przystanął. Stary trzymał się wciąż jego boku, wielkie łzy kapały mu po twarzy na siwą brodę. Courtier ujrzał Miltoun'a, jak wysunął się naprzód i stał bez uśmiechu, śmiertelnie blady.



CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ I

O godzinie trzeciej po południu, dziewiętnastego lipca mała Anna Shropton wchodziła mozolnie po głównych schodach Valleys-House w Londynie. Wspinała się powoli w samym środku — malutka, biała kropeczka na szerokich, lśniących stopniach. Idąc, liczyła je głośno. Liczba stopni wypadła jej codzień inaczej, było to więc czemś ogromnie zajmującym dla niej, dla której wszelka nowość była solą życia.

Doszedłszy do miejsca, w którym schody rozchodziły się, przystanęła. Zaczęła się zastanawiać, przez które z dwóch skrzydeł przechodziła ostatnio, a nie mogąc sobie tej ważnej rzeczy przypomnieć, przysiadła. Szła z ważnym poleceniem. Polecenie to było jeszcze zupełnie świeże, kiedy ruszyła w drogę, lecz teraz stało się już stosunkowo przebrzmiałe i wkrótce mogło przestać być aktualne i ciekawe, wobec tego, że w perspektywie miała Anna plan przejścia całej długiej galerji z obrazami. Teraz właśnie, kiedy siedziała, rozważając ten plan, promienie słońca, wpadające przez wielkie okno, oblekły jasnym blaskiem szerokie, lśniące stopnie z drzewa i marmuru, które przed chwilą przebyła. Mała Anna z natury nie odnosiła się przyjaźnie do wszystkich nadprzyro-

dzonych i fantastycznych zdarzeń, znajdowała, że są zbyt mało namacalne, brakło im dostatecznej realności. I ten blask prawie nieziemski w swej wędrującej glorii, który przeszedł nad jej małą główką i muskał teraz kolumny hallu, nie pobudził w niej żadnej fantazji, ani sentymentu. Zamiar zbadania, co właściwie znajduje się na końcu galerji, całkowicie absorbował jej bystry, nawskroś praktyczny umysł. Zdecydowała się wreszcie przejść lewem skrzydłem schodów i po chwili przestąpiła próg niesłychanie długiej, wąskiej i, z powodu zapuszczonych sztor, prawie ciemnej komnaty.

Malutka stąpała ostrożnie, gdyż posadzka była bardzo śliska. Na twarzyczce jej malował się wyraz powagi, w części zawdzięczanej panującym ciemnościom, a w części widokowi ponurych obrazów. W mrocznem oświetleniu zdawali się istotnie groźni ci starzy Caradoc'owie. Szerniałe, uzbrojone postacie spoglądały groźnie z płomienną, ponurą chciwością na małą, białą figurkę swojej pra-pra-wnuczki. Lecz mała Anna wiedziała przecież, że są to tylko obrazy, podążała więc swoją drogą pewnie, tu i owdzie tylko przed portretem, który wydawał się jej brzydszy od innych, marszczyła swój wydatny nosek. Przy końcu galerji ukazały się drzwi. Otworzyła je i wyszła do przedsionka. Znajdowały się tu schody w jednym rożu, oraz dwoje drzwi. Pyloby bardzo wskazanem wejść na te schody, lecz również niemniej wskazanem było otworzyć drzwi. Podeszła i z pewnem drżeniem nacisnęła klamkę najbliższych drzwi. Okazał się jeden z tych pokoików, koniecznych w każdym domu, których nie obdarzała wielką sympatją. Zamknęła drzwi z trzaskiem i otworzyła następne. Znalazła się w pokoju, niepodobnym zupełnie do dolnych, wysokich i pięknie umeblowanych. Przypominał raczej jej pokój szkolny, niewysoki, zastawiony skórczanemi fotelami i zapełniony książkami. Z głębi pokoju, której nie mogła dojrzeć, dobiegł ją odgłos jakby pocałunku i natychmiast, wiedzona instynktem, chciała zawró-

cić. W tej samej chwili z ust wyrwało jej się słowo: „Hallo!” i ujrzała babkę i dziadka, stojących przy kominku. Nie była zupełnie pewna, czy radzi są z jej widoku. Postąpiła naprzód i natychmiast rozpoczęła:

— Ach, to tutaj przebywasz najczęściej, dziaduniu.

— Tutaj.

— Tu jest bardzo ładnie, nieprawdaż babuniu? Dokąd wiodą te kamienne schody?

— Na szczyt wieży, Anno.

— Ach, idę właśnie z pewnem poleceniem, więc muszę już odejść.

— Bardzo nam przykro, że nas już opuszczasz.

— Hm, co robić — Dowidzenia.

Kiedy zamknęła za sobą drzwi, lord i lady Valleys spojrzeli na siebie z niepewnym uśmiechem. Lord Valleys, przyzwyczajony chronić się do tego spokojnego, zaciszego pokoju, w którym nie był, jak w swoim biurze, narażony na ciągłe ataki sekretarzy, przyszedł tu dzisiaj po lunch'u, by wypalić cygaro i roztrząsać w spokoju pewne, dość przykre zagadnienie. Sprawa tyczyła się jego dóbr Pendridny w Cornwall i już długo absorbowwała jego i jego agentów, aż teraz nastąpił czas ostatecznej decyzji. Zagadnienie tyczyło dwóch niewielkich osad, leżących na północ od Pendridny, których mieszkańcy zatrudnieni byli w wielkiej kamieniołomni. Przedsiębiorstwo to jednak wykazywało od pewnego czasu deficyt.

Lord Valleys był dobrym człowiekiem i niechętnie odnosił się do wszelkich zamierzeń, które mogły zaszkodzić jego poddanym, tembardziej w wypadkach, kiedy między nim a nimi nie zachodziło żadne nieporozumienie ani różnica zdań. Lecz tym razem w ostatecznej swej formie sprawa przedstawiała się następująco: niezależnie od wspomnianego przedsiębiorstwa, dochody z dóbr Pendridny nie tylko były wystarczające na utrzymanie samego Pendridny, lecz jeszcze stanowiły poważny zasilek w budżecie Valleys-House, oraz stajen wyścigowych w New-Market.

Teraz, gdyby kamieniołomnia była jeszcze czynna, wystarczyłoby zaledwie na utrzymanie Pendridny, oraz na emeryturę dla zasłużonych pracowników, — o innych dochodach mowy już być nie mogło.

Siedząc więc tego popołudnia i paląc fajkę, hrabia na Valleys zadecydował, że nie pozostaje mu nic innego, jak zlikwidować przedsiębiorstwo. Decyzja ta nie przyszła mu z łatwością. I tu trzeba mu oddać sprawiedliwość, iż świadomość wywołania protestu w prasie dodawała mu raczej bodźca niż odstraszała od powzięcia postanowienia. Miał wrażenie, że ktoś mu dyktuje zgóry co ma czynić, a nie znosił żadnych rozkazów. Wiedział, że jest zmuszony pozbawić utrzymania tych biednych ludzi i myśl ta była dla niego dużo przykrzejsza niż dla tych, którzy będą głośno protestować. Jego sumienie było czyste i przyszła wrzawę mógł uważać za zwykłą partyjną zaczepkę. Bardzo sumiennie zbadał całą sprawę i doszedł wkońcu do następującego wniosku: jeżeli pozostawi w ruchu to przedsiębiorstwo, stanie w istocie na gruncie zasad pauperyzacji, gdyż dotychczas dobra jego prowadzone były w ten sposób, by dochody z każdego z nich dawały możliwość utrzymania domu, gruntów, terenów polowania, oraz opłacały utrzymanie pałacu londyńskiego i stajen wyścigowych. Prowadzenie przedsiębiorstwa, które nie opłaca się w ogólnym budżecie, oznacza wspieranie i tem samem, pauperyzowanie jednych poddanych kosztem innych, — jest fałszywym pojmowaniem gospodarowania i wkracza w dziedzinę doktryn socjalistycznych. Następnie, jeśli będzie tak nadal konsekwentnie postępował, doprowadzić to może do ruiny, a zgoda na to, niezależnie od jakichkolwiek interesów osobistych, będzie dowodem, iż nie uznaje, że przez zalety odziedziczonych tradycji i wychowania, jest najdoskonalszą maszynerją, którą jedynie państwo skłonić może do pracy nad dobrem narodu...

Kiedy doszedł do tego punktu swych rozważań, jego rozum, lub raczej jakaś wewnętrzna częśćka jego istoty, poruszyła się i zaprotestowała...

— ... a to jest absurdem.

Rozumowanie nieosobiste było w modzie i w zasadzie lord Valleys stosował się do tego. Były jednakże granice, kiedy możliwość takiego rozumowania kończyła się z obawy oszukania siebie samego, swego stanowiska i ojczyzny. A na argument, który wolał sam sobie postawić, niż pozwolić, by mu go inni podsunęli, mianowicie, że nie było sprawiedliwości w tem, by człowiek mógł jednym pociągnięciem pióra decydować o życiu setek, których zmysły i uczucia były mu współrzędne, odpowiedział sobie:

— Jeśli ja tego nie uczynię, uczyni to ktoś inny, jakiś plutokrata, towarzystwo akcyjne, lub — co gorsza jeszcze, — państwo.

Uważał wszelkie kooperatywy za obce duchowi kraju, to też nie widział innego wyjścia. Fakty pozostawały faktami i nic nie można było na to poradzić.

Niezależnie od rozważań, konieczność tego postanowienia była mu przykra, gdyż pomimo, że nie posiadał zmysłu współmierności, był jednakże ludzki.

Wciąż jeszcze palił fajkę i wpatrywał się uparcie w arkusik papieru, pokryty cyframi, gdy żona jego weszła do pokoju. Choć przyszła tu, by zasięgnąć jego rady w zupełnie innej sprawie, natychmiast zauważyła, że jest zakłopotany, spytała więc:

— Co się stało, Geoffrey'u?

Lord Valleys powstał, podszedł do kominka, wytrząsnął uważnie popiół z fajki, następnie podał żonie arkusz papieru i rzekł:

— To sprawa kamieniołomni. Nie mogę nic poradzić, trzeba będzie ją zamknąć.

Na twarzy lady Valleys pojawił się wyraz troski.

— Ach, nie rób tego. Przecież to znaczy pograć w niedolę setki ludzi.

Lord Valleys przyglądał się uważnie paznokciom.

— A jednak tamuje mi to cały normalny bieg gospodarki, — powiedział.

— Wiem o tem, lecz jak będziemy mogli spojrzeć w oczy tym ludziom? Nigdy nie będę miała od-

wagi tam się udać. Większość z nich ma przecież liczne rodziny.

Widząc, że lord Valleys nadal uparcie wpatruje się w swe paznokcie poważnym, zastanowienia pełnym, wrokiem, ciągnęła dalej:

— Wolałabym uczynić jakieś poświęcenie. Wypuścić choćby Pendridny w dzierżawę, niż pozostawić tych wszystkich ludzi bez pracy. Przypuszczam, że znalazłby się dzierżawca.

— Wydzierżawić? Najlepszą bażanciarnię świata?

Lady Valleys, idąc za biegiem swych myśli, mówiła dalej:

— Zczasem mogliby ci ludzie znaleźć inne zajęcie. Czy radziłeś się już Miltoun'a?

— Nie, — odparł krótko lord Valleys — i nie mam wcale zamiaru. Jest zbyt niepraktyczny.

— Zdaje się zawsze wiedzieć bardzo dokładnie, czego chce.

— Mówię ci — powtórzył lord Valleys, — że rady Miltoun'a nie nadają się w podobnych kwestjach. Zarówno on, jak jego przekonania sięgają średniowiecza.

Lady Valleys podeszła bliżej i ujęła męża za wyłogi marynarki.

— Geoffrey'u, proszę cię, zrób to dla mnie. Załatw tę sprawę inaczej.

Lord Valleys zmarszczył brwi. Przyglądał jej się przez chwilę, wkońcu odpowiedział:

— Hm, dla ciebie — pozostawię chyba w zawieszeniu całą tę sprawę jeszcze przez jeden rok.

— Czy przypuszczasz, że to będzie lepsze, niż wydzierżawienie?

— Cierpię na myśl, że jakiś intruz tam się dostanie. Jeszcze będzie zawsze czas na to, jeśli okoliczności przyprą nas do muru. Uważaj takie załatwienie sprawy, jako mój podarunek gwiazdkowy.

Lady Valleys, trochę zarumieniona, pochyliła się i pocałowała męża. Stało się to właśnie w tej samej chwili, kiedy mała Anna weszła do pokoju. Po jej

wyjściu małżonkowie zamienili powątpiewający uśmiech i lady Valleys powiedziała:

— Przyszłam właściwie w tym celu, żeby pomówić z tobą o Barbarze. Od czasu jak przyjechaliśmy tutaj, nie wiem właściwie co o niej sądzić. Zachowuje się tak dziwnie obojętnie w stosunku do wszystkiego.

Lord Valleys odparł kwaśno:

— To zapewne upał — lub może jest zaabsorbowana Harbingerem.

Pomimo, że jego stosunek ojcowski do dzieci był dość obojętny, niemiła mu była myśl, że może tak prędko utracić swoją najukochańszą córkę.

— O, — powiedziała lady Valleys powoli — nie jestem tego wcale pewna.

— Co przez to rozumiesz?

— Jest coś dziwnego w całym jej zachowaniu. Nie jestem pewna, czy nie obdarza jakimś uczuciem tego Courtiera.

— Co takiego?! — zapytał lord Valleys, czerwieniąc się gwałtownie.

— To, co słyszysz.

— To być nie może, Gertrudo. Już chyba sprawa Miltoun'a wystarczy nam na jeden rok.

— Nawet na dwadzieścia — mruknęła lady Valley. — Obserwuję ją uważnie. Zresztą mówią, że wyjeżdża do Persji.

— I już tam pozostanie do śmierci! — zawołał lord Valleys. — Doprawdy, tego już za wiele. Mam wrażenie, żeście wszyscy powarjowali.

Lady Valleys uniosła brwi. Rzeczywiście, mężczyźni dziwnie przyjmowali tego rodzaju rzeczy, bardzo dziwnie, przytem trudno było liczyć na ich pomoc.

— Teraz — rzekła — idę na moje zebranie. Zabiorę Barbarę ze sobą, może mi się uda coś z niej wydostać.

Było to inauguracyjne posiedzenie ligi przeciwdziałania wyludnieniu, na którem przyrzekła przyzdawać. Od początku zapaliła się do tej idei, odpo-

wiadającej jej bujnej, szerokiej naturze. Figurowanie w wielu instytucjach, którym nie mogła odmówić swego poparcia i nazwiska, nie sprawiało jej dużej satysfakcji i było, doprawdy, objawem bardzo pochlebnym, że mogła teraz odnosić się do niewielkiego zakresu swej społecznej pracy z pewną dozą entuzjazmu. Nie można było powiedzieć, by w swem życiu prywatnem, pośród przyjaciółek odnosiła się do kwestji licznego potomstwa z jakąś niezachwianą stałością, w żadnym razie nie głosiła zasad dogmatycznych, dotyczących obowiązku każdej małżonki obdarzania swego męża liczną rodziną. Patrzyła na tę sprawę z punktu widzenia dobra państwa i absolutnie bez bigoterji: liczne, zdrowe rodziny w zasadzie — z wyjątkiem poszczególnych wypadków. Zasadniczą ideą jej zapatrywań była ekspansja narodowa, jej motto brzmiało — i pragnęła również, by stało się to mottem ligi: — „*De l'audace et encore de l'audace*“. Było to zagadnienie całej przyszłości narodu. Miała szczerą i cokolwiek wzruszającą wiarę w to hasło, bez względu na to, co pod niem się kryć miało. To był jej idealizm.

— Możecie mówić, co wam się podoba o tem, — zwykła była głosić, — że życie narodowe musi być kierowane zgodnie z socjalnem prawodawstwem. Co obchodzi społeczeństwo prawo socjalne. Tu w grę wchodzi rzecz, zakrojone na szerszą miarę — kwestja uczucia. Musimy się ekspansować.

W drodze na posiedzenie, lady Valleys, zajęta w myślach przygotowaniem mowy wstępnej, nie próbowała wciągnąć Barbary do rozmowy. Z tem musi jeszcze poczekać. Młoda dziewczyna, mimo że blada i znużona, wyglądała tak uroczo, iż było prawdziwą radością mieć ją u swego boku, walcząc o tak wzniosłe cele.

W małym, ciemnym pokoiku, poza salą posiedzeń, znajdował się już cały komitet, w pełnym składzie. Udano się więc natychmiast na trybunę.

ROZDZIAŁ II

Barbara zajęła miejsce na trybunie, zatopiona w ponurych myślach, nie zwracając zupełnie uwagi na natarczywe spojrzenia audytorjum. Przez trzy tygodnie, które upłynęły od czasu wyborów, była tak dalece zaabsorbowana rozmaitemi czynnościami, że nie miała czasu ani energii zastanowić się nad swojemi sprawami. Harbinger, od czasu tego poranka w stajni, zdawał się żyć wyłącznie poto, aby znajdować się blisko niej. Świadomość jego silnego uczucia napełniała ją drażniącą radością. Jeździła z nim konno, tańczyła i chwilami omal że nie błogosławiła tego stanu rzeczy. Od czasu do czasu czuła — podobnie jak wtedy, kiedy to siedziała na rozgrzanym słońcem kamieniu ugornym — jakieś dziwne niezadowolenie, jakąś tęsknotę za czemś, znajdującem się poza ramami tego świata, gdzie musiała wyobrazić sobie cierpienie głodu i szarość powszedniości, aby móc wogóle poważnie się zastanowić nad życiem.

Z Courtierem widziała się trzy razy. Raz, gdy przyszedł do nich na obiad na skutek zaproszenia, które wystosowała do niego lady Valleys z tem jej właściwem uroczem wyrafinowaniem stylu, używanem zawsze, gdy zwracała się do ludzi niższych sferą, lecz równych jej inteligencją; po raz drugi — na zabawie ogrodowej w pałacu Valleys i następnego dnia, gdyż powiedziała mu o której godzinie zwykle wyjeżdża konno. Spotkała go w parku, nie na koniu, lecz stojącego koło barjery w miejscu, którędy musiała przejechać. Stał z sobie tylko właściwym wyrazem twarzy, napoły uniżony, napoły ironiczny i pewny siebie. Powiedział jej, że opuszcza Anglję, a na jej zapytanie, dokąd jedzie i poco, wzruszył tylko ramionami.

Siedząc teraz na tem zakurzonem podniesieniu, w dusznej sali, przyglądała się tłumowi, znajdującemu się naprzeciw niej i słuchała przemówień, — zbyt leniwa i zajęta sobą, by rozumieć ich sens i znacze-

nie. Mieszanina zdań, słów, twarzy wokół niej, dźwięk głosu mówcy, wszystko to tworzyło jakiś koszmar, wśród którego rozeznawała dokładnie tylko linię karku swej matki pod wielkim czarnym kapeluszem i wyraz twarzy jednego z komitetowych panów, który ogryzał paznokcie pod osłoną niebieskiego arkusza papieru, na którym miał notować. Zdawała sobie sprawę, że ktoś z pośród publiczności przemawia, rzucając jakby przed siebie ostre, małe wiązki słów. Ujrzała mówcę. Był to człowiek ubrany czarno, poruszający się rytmicznie w takt swych słów. „Uważam, że jest okropnością...— usłyszała, jak mówił — bluźnierstwem, że chcemy się mieszać do takich spraw i staramy się forsować największą, najpotężniejszą siłę, jaka porusza świat. Jest to dla mnie czemś straszny. Nie jestem w stanie przysłuchiwać się temu“. Ujrzała, jak usiadł i zobaczyła matkę swą, wstającą, by mu odpowiedzieć.

— Winniśmy wszyscy odnosić się przyjaźnie do szczerych uczuć i intencji szanownego przedmówcy, lecz musimy postawić sobie pytanie: Czy mamy prawo pozwolić sobie na luksus osobistych naszych zapatrywań w obliczu zagadnienia, które dotyczy ogólnonarodowej wydajności i siły? Nie możemy ulegać sentymentom. Mój przedmówca mówił, — niech mi wybaczy, że się tak wyrażę, — raczej jak poeta, aniżeli reformator społeczny. Obawiam się, że jeżeli zagłębiać się będziemy w marzenia poetyckie, wzrost liczby urodzeń pozostanie również tylko marzeniem, a do tego nie wolno nam dopuścić. Wniosek, który właśnie chciałam przedstawić, kiedy szanowny mój przedmówca — — —

Uwaga Barbary znów wróciła do jej własnych spraw i kłopotów, skąd wyrwał ją przedtem tak nagle mały, czarno ubrany człowieczek. Zorientowała się wreszcie, że posiedzenie dobiegło końca i usłyszała słowa matki:

— A teraz, moja droga, musimy udać się do szpi-

tała. Dziś przypada nasz dyżur, pozostaje jeszcze dość czasu.

Kiedy znalazły się w samochodzie, oparła się o poduszki i siedziała milcząca, obserwując ruch uliczny. Lady Valleys przyglądała jej się z ukosa.

— Cóż za niespodziankę urządził nam ten czupurny osobnik! — rzekła. — Musiał się dostać na zebranie chyba przez pomyłkę. Wiesz, słyszałam, że Mr. Coutier dostał zaproszenie na dzisiejszy bal do Heleny Gloucester.

— Żal mi go.

— Ty będziesz tam przecież, — rzekła sucho lady Valleys.

Barbara wsunęła się w kąt samochodu.

— Ach, nie dokuczaj mi, mamó.

Na twarzy lady Valleys ukazał się wyraz skruchy. Ujęła dłoń Barbary, lecz leniwie zwisająca ręka córki nie odpowiedziała na jej uścisk.

— Rozumiem twój nastrój terazniejszy, dziecko. Wymaga on skoncentrowania całej siły woli, by się zeń otrząsnąć. Nie pozwól, by cię ogarnął całkowicie. Może pojedziesz jutro na parę dni do wuja Denisa?

Barbara westchnęła.

— Chciałabym, żeby już było jutro

Samochód przystanął. Lady Valleys spytała:

— Czy chcesz wstąpić ze mną, czy też może jesteś zmęczona? Ci biedacy zawsze cieszą się ogromnie, jak ciebie widzą.

— Ty jesteś na pewno daleko bardziej zmęczona ode mnie, mamó. Oczywiście, że wstąpię.

Zjawienie się obu pań na sali szpitalnej wywołało natychmiast lekkie poruszenie wśród chorych. Lady Valleys, której miła, dobrotliwa powierzchowność wzbudzała swą pogodą otuchę i zaufanie, podszła do jakiegoś łóżka i usiadła obok. Barbara stała niezdecydowanie w słabym blasku promienia lipcowego słońca, pośród bladych twarzy, zwróconych w jej stronę. Ci biedacy robili wrażenie tak zmęczo-

nych, pokornych, smutnych. Na jednym łóżku leżała nawznak młoda kobieta, która nawet nie uniosła głowy by zobaczyć, kto przyszedł. Jej uśpiona, blada twarz, o wystających kościach policzkowych, była tak delikatna, że zdawało się, iż lada dotyk lub tchnienie może ją zabołec. Promień czarnych włosów, delikatnych, jak jedwab, opadał jej na czoło. Przymknięte oczy wpadły głęboko w oczodoły, jedna ręka, spracowana i szorstka, spoczywała na piersi. Oddech dobywał się słabo z bardzo białych warg. Było coś dziwnie pięknego w jej uśpieniu. Barbarę ogarnęło wzruszenie. Śpiąca kobieta zdawała się być tak daleka od wszystkiego wkoło, tak nie licowała z tą sztywną, formalną salą szpitalną. Widok jej rozproszył w sercu młodej dziewczyny uczucie pustki i lenistwa, z jakimi tu przyszła. Przez dziwną asocjację przypominały jej się dalekie ugory w Monkland, gdzie wiatr dał gniewnie a świat stał naży, potężny i straszliwy. Było coś pierwotnego w tym cichym śnie chorej. Na łóżku obok siedziała mała staruszka, o opalonej, pomarszczonej twarzy i czarnych, błyszczących, pełnych życia oczach. Była omal, że wulgarna w porównaniu z tą niezmaconą ciszą. Opowiadała głośno Barbarze, że mały pęczek wrzосу, stojący w połamanej mydelniczce na oknie, pochodzi z Walji, gdyż — jak mówiła — „Matka moja pochodzi z Stirling, kochaneczko, więc ja dziwnie lubię wrzos, choć sama nigdy nie byłam nigdzie poza Bathnal Green“. W kilka chwil później, kiedy Barbara przechodziła tamtędy, śpiąca kobieta, rozbudzona teraz, siedziała na łóżku i wyglądała zupełnie biednie i zwyczajnie. Jej delikatna piękność zniknęła.

Z prawdziwą ulgą przyjęła Barbara słowa lady Valleys:

— A teraz, moja droga, jest już w pół do szóstej. Muszę jeszcze udać się na kiermasz marynarki, ty wróć do domu i połóż się, by wypocząć przed balem. Obiadujemy u Plessey'ów.

Bal u księżnej Gloucester był okazją, której nikt

nie pominął. W tym roku naznaczony został tak późno, gdyż księżna wyjawiała zamiar przedłużenia sezonu towarzyskiego i tem samem powiększenia zarobków biednych dorożkarzy. I choć wszyscy bardzo życzliwie się do tego projektu odnosili, uważali, że będzie jednak prościej wyjechać na wieś, wpaść samochodem tylko na dzień balu do miasta i powrócić następnego dnia samochodem zpowrotem. To też przez cały tydzień przedłużenia sezonu stali dorożkarze na stacjach kolejowych i na swych posterunkach długimi rzędami, oczekując na pasażerów z cierpliwością swych własnych koni, nieświadomi zupełnie tego, co dla nich czyniono.

Ponieważ każdy z gości chciał skorzystać z okazji, rezultat był taki, że salony pałacu Gloucester zajęły się tłumnie wytworną i doborową publicznością.

W wielkiej sali balowej, ponad tłumem wirujących par, umieszczono ogromne punkahs, mające odświeżać duszne powietrze. Te wielkie wachlarze, poruszające się powoli, słały delikatny, orzeźwiający powiew wdół na morze głów, odkrytych ramion i sztywnych gorsów frakowych, z którym spletała się woń niezliczonej ilości kwiatów.

Późno w nocy, około wielkiej grupy kwiatów, ustawionych w rogu sali, stał Bertie Caradoc, zatopiony w rozmowie z bardzo piękną młodą kobietą. Była to jego kuzynka, Lily Malvezin, siostra Geofrey'a Winlow, żona lorda Malvezina, członka partji liberalnej. Było to śliczne stworzenie, obdarzone różowemi policzkami, błyszczącemi oczami i zgrabną figurką, zawsze ożywione i wesołe. Mówiąc, zerkała kokieteryjnie na swego towarzysza, starając się swym wdziękiem przełamać puklerz chłodu tego zrównoważonego młodzieńca.

— O nie, mój drogi — mówiła trochę drwiącym tonem — nigdy mnie nie przekonasz, że Miltoun kiedykolwiek stanie się popularny — *intransigent*. Ach, oto Barbara!

Barbara przemknęła w tańcu obok nich. Usta jej były rozchylone, oczy obojętnie rozglądały się wokoło. Jej ramiona były prawie tak białe, jak jej biała suknia, pod ciężką masą płowych włosów twarz blada, nacechowana jakimś cierpieniem. Cała postać zdawała się za każdym obrotem walca popadać w omdlenie, z którego dźwigały ją ramiona tancerza.

Nieporuszając prawie ustami — umiejętność, którą nabywa każdy więzień towarzyskiego świata — spytała Lily Malvezin:

— Kto jest ten, co z nią tańczy? Czy ma jakieś szanse u niej?

Wargami równie nieruchomemi odpowiedział Bertie:

— Najmniejszych nawet.

Badawcze, błyszczące oczy młodej kobiety śledziły wciąż Barbarę, unoszącą się w tańcu, jak wielka wodna lilja, schwytana w wir młyńskiego odmetu. Przemknęło jej przez głowę:

— Jest najwidoczniej w niej zadurzony. To doprawdy brzydko ze strony Barbary, że się o to postarała.

Następnie ujrzała kogoś, kto, oparty o kolumnę, również śledził tańczącą parę i pomyślała:

— Hm, biedny Kludjusz. Teraz nie dziwię się, że tak wygląda. Oj ta Barbara!

Tymczasem Barbara i jej partner przystanęli na tarasie i patrzyli w ogród, gdzie drzewa, niezszepecone, jak to zwykle bywa podczas podobnych uroczystości, lampjonami, roztaczały prawdziwy urok swej ciszy i powagi. Barbara, spowita w czar bladej melancholji, oddychająca szybko po tańcu, zdawała się Courtierowi uosobieniem słodyczy i wdzięku.

W jakim celu ma przemówić zwykły śmiertelnik do zjawiska? Była przecież wcieleniem piękności, wizją powietrzną, która rozplynie się w mgłę za najlżejszym dotknięciem, jak czarodziejskie duchy, które pojawiają się nagle ludziom wśród błękitnych, gwiazdzystych śniegów nocy górskiej, lub wśród gaju

brzozowego, rozzłoconego promieniami słońca. Słowa byłyby profanacją. Poza tem, cóż miał do powiedzenia jej, która należała do świata dziwnego, zdumiewającego, odrębnego świata, przypominającego zabarykadowany, wielki, oddzielny budynek, w którym każde okno było zamknięte szczelnie i zasłonięte okiennicą. Nie przyjmowano tu nikogo, kto nie za-przyśiągł wiary w życie i tylko to życie, poza którym znajdowały się jedynie ruiny i zgliszcza. Był to świat wysokich sfer, po którym krążył Courtier, jak samotny podróżny po pustyni, złąkniony widoku bliźniego.

Poza nimi odezwał się głos Harbingera:

— Lady Barbaro...

Jeszcze długo w noc wielkie punkahs powiewały ponad tym wielobarwnym wirum zabawy, a głosy skrzypiec śpiewały i zawodziły aż do rana. Poczem szybko zmiłkł gwar, jak krople rosy, znikające z trawy, kiedy słońce wszędzie. W wielkich salonach pozostali tylko czerwono odziani lokaje, którzy poruszali się na błyszczących posadzkach, jak wielkie, krwiste fiamingi o wschodzie słońca nad jeziorem.

ROZDZIAŁ III

W rodzinnym pałacu Fitz Haroldów, położonym poza obrębem małego nadmorskiego miasteczka Nettelfold, wiódł spokojny żywot lord Dennis. Wśród południowego morskiego powietrza, najzdrowszego w całej Anglji, czuł się staruszek doskonale, starzejąc się bardzo powoli, nie myśląc bynajmniej o śmierci i czerpiąc z życia dużo spokojnych uciech. Podobnie jak wysoki, stary budynek, z długimi oknami i szerokimi kominami, staruszek żył samotnie, zadowolony i wystarczający sam sobie. Miał swoje książki, studjował czasy starożytne i zamierzchłe kultury i cywilizacje, o których pisywał od czasu do czasu artykuły

suche i niezbyt krytyczne, pojawiające się w pewnym staroświeckim piśmie. Miał swój mikroskop, przez który badał pierwotniaki, wreszcie rybacką łódź, należącą do przyjaciela jego, Johna Bogle. Przyjaciel ten już oddawna zdążył się przekonać, że najgrubszą rybą, jaką kiedykolwiek złowił, był właśnie lord Dennis. Wszystkie te przyjemności wraz z częstymi odwiedzinami gości i przejażdżkami do Londynu i okolic, wypełniały mu życie, które — choć nieszczęśliwie urozmaicone — było przyjemne i nikomu nie zawadzało.

Przez właściwą mu dziwną prostotę miał pewien negatywny wpływ na swoje otoczenie, oraz na stosunki i wpływ tej sfery na cały naród. Było ogólnym mniemaniem w Nettlefold, że lord Dennis jest gentlemanem i że, jeśli inni są jemu podobni, na pewno nie jest prawdą to, co mówią o lordach wogóle. Drobni sklepikarze i właściciele lotnisk doskonale rozumieli, że interes ich ogółu o wiele jest pewniejszy, jeśli pozostaje w rękach lorda Dennisa, aniżeli w rękach tych, którzy pragnęli mieszać się do wszystkiego, rzekomo dla dobra biednych, pragnących jedynie, by ich pozostawiono w spokoju. Człowiek, który do tego stopnia zapomniał, iż jest synem księcia, choć inni nigdy nie byli w stanie tego zapomnieć — z pewnością zasługiwał na zaufanie. Coprawda nigdy nie zabierał głosu w sprawach publicznych, lecz nie zwracano na to uwagi. Przecież gdyby chciał, w każdej chwili mógł to uczynić, a fakt, że nie chciał tego, jeszcze bardziej pogłębiał ogólne przekonanie, że jest gentlemanem.

Podobnie jak on był jedyną osobistością w całym miasteczku, której nikt nic nie miał do zarzucenia, tak i jego pałacyk był jedynym domem mieszkalnym, który wytrzymał wszelką krytykę. Długocześnie zabiegi uczyniły go najzupełniej wygodnym. Późółkłe mury, szerniały dach, porosły miejscami mchem, spokojne łąki wokoło, sięgające aż do dalekiego morza, łąki, na których pasły się konie i krowy, wszystko to tchnęło spokojem i dostatkiem. W isto-

cie inne domki w mieście wydawały się tandetą przy tym pałacyku, który stał w odosobnieniu, jak ich pan i władca, oddalony w trochę może zbyt wytworny sposób od codziennych, powszednich warunków życia.

Lord Dennis nie miał w pobliżu sąsiadów, z którymi by się komunikował, z wyjątkiem młodego Harbingera, którego widywał od czasu do czasu, gdyż jego posiadłość Whitwater oddalona była zaledwie o trzy mile. Osamotnienie to nie dawało się jednak starszskowi we znaki, nigdy nie nudził się, przestając na własnym towarzystwie. Zajmował się trochę filantropją i hojność jego, szczególnie dla rybaków, którzy w zimowe miesiące pozbawieni byli zarobków, graniczyła nieomal z rozrzutnością, gdy brało pod uwagę, że dochody jego nie były zbyt wielkie. W życiu politycznym, prócz tego, że zajmował czołowe stanowisko w pewnej miejskiej instytucji, nie brał zupełnie udziału. Jego przekonania konserwatywne były bardzo umiarkowane, wierzył, że odrodzenie ojczyzny może nastąpić tylko za sprawą przyjaznego porozumienia i współdziałania klas. Kiedy go zapytywano, jak wyobraża sobie wprowadzenie tego w czyn, odpowiadał z jemu tylko właściwym, suchym, lekko złośliwym wdziękiem, że jeśli się dotknie patykiem gniazda szerszeni, to szerszenie się porusza. Sam nie był obszarnikiem, więc powstrzymywał się zazwyczaj od wyrażania opinii w tej drażliwej sprawie, lecz czasem, przyparty do muru, dawał folę swym przekonaniom: „Oczywiście, że w zasadzie jest najlepiej, gdy ziemia pozostaje w naszych rękach, lecz posiadamy zbyt wiele drobnych, zawistnych piesków naokoło nas”.

Jak należało członkowi jego sfery, żywił głębokie, opiekuńcze uczucie dla ziemi i nie mógł ścierpieć myśli, że może ona podlegać opiece tak obojętnej matki, jaką jest państwo. Śmieszni wydawały mu się przekonania socjalistów i radykałów, lecz nie znośli, kiedy lżono ich poza plecami. Trzeba przyznać, że jeżeli spotykał się z odmiennym zdaniem, umacniał

jeszcze swe sceptyczne przekonania. Odsunięty od możliwości narzucania w publicznem życiu swych przekonań innym, siłą rzeczy zmuszony był znajdować ujście dla przyrodzonego mu rasowego despotyzmu.

Rok rocznie w końcu lipca oddawał swój pałac do dyspozycji lordowi Valleys, który uczestniczył w wyścigach Goodwood i uważał tę siedzibę za najdogodniejszy punkt dla siebie.

Nazajutrz rano po balu u księżny Gloucester, lord Dennis otrzymał liścik następujące treści:

Valleys-House

Drogi Wuju!

Czy mogę przyjechać do ciebie wcześniej niż za zwyczaj, aby wypocząć trochę? W Londynie jest tak straszliwie gorąco. Mama ma jeszcze obowiązki, które ją zatrzymują w mieście. Ja również będę musiała wrócić, by wziąć udział w naszym ostatnim w tym sezonie politycznym przyjęciu, więc nie opłaca mi się jechać tak daleko aż do Monkland, wszędzie indziej zaś, prócz u ciebie, jest zbyt hałaśliwie dla mnie Eustachy wygląda bardzo niedobrze. Spróbuję, może uda mi się namówić go, aby przyjechał wraz ze mną. Babunia miewa się doskonale.

*Najserdeczniejsze pozdrowienia od Twojej
Barbary*

Przyjechała tego samego popołudnia bez Mil-toun'a. Drogę od stacji przebyła najętą bryczką. Lord Dennis wyszedł naprzeciw niej aż do ogrodzenia. Ucałowawszy Barbarę, przyjrzał jej się trochę niespokojnie. Nigdy jeszcze nie widział Barbary źle wyglądającej, od chwili, kiedy zabrał ją na przejażdżkę łódką Johna Bogle. Wyglądała teraz rzeczywiście bardzo blado, zmieniła również uczesanie.

Zmiana wyglądu zaniepokoiła staruszką, który nie zdawał sobie sprawy z czego pochodzi. Ujął Barbarę pod ramię i wyprowadził poza ogrodzenie na łąkę, porośłą kaczeńcami. Paś się tu stary, biały kuc,

ten sam, na którym jeździła Barbara, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Pocziwie zwierzę podeszło natychmiast do niej i ocierało się pyskiem o jej ramię. W tej chwili wzbudziło się w staruszkę nieprzyjemne i dziwaczne podejrzenie, że chociaż jego siostrzenica nie rozplacze się, potrzebuje jednak trochę czasu, by opanować łzy. Odsunął się tedy aż do ogrodzenia i stanął, patrząc w morze.

Wiatr od morza przynosił woń roślin morskich i suchy szelest drobnych fal, które podływały prawie do stóp lorda Dennisa. Woddali, opromieniona słońcem, rozciągała się biała przestrzeń wód, rozdrganych i tajemniczych, spowitych lipcową mgłą. Widok ten napełnił go dziwnym uczuciem: nawiedzały go czasem momenty poetycznego sentymentu, słabości, zasadniczo umiał się jednak opanować i wiedział, co sądzić o tem morzu. Mimo wszystko był to przecież tylko kanał angielski, a jako dobry Anglik wiedział przecież, że jeśli choć raz pozwoli sobie na fantazjowanie, oraz na to, by jakiś przedmiot zatracił swą właściwą nazwę, wtedy przestanie być dla niego rzeczywistością, a kiedy przestanie nią być, wtedy — wtedy staje się najgorszym niebezpieczeństwem.

W istocie nie zastanawiał się w tej chwili nad urokiem morza, lecz myślał o Barbarze. Jasnym było, że trapiła się czemś. Sama myśl, że Barbarę może spotkać jakieś strapienie wydawała mu się dziwaczna, gdyż zdawał sobie sprawę, jak wielką musiała być siła tego strapienia, jeśli przeniknąć zdołała niezliczone zasłony luksusu, który otaczał tę młodą, ze wszech miar szczęśliwą istotę. Jeśli nie była to śmierć, musiała to być miłość. I natychmiast przypomniał się lordowi Dennisowi osobnik o rudych włosach.

Ideały były czemś zupełnie naturalnem i nikt nie miał nic przeciwko nim tak długo, dopóki poruszano je na właściwem miejscu — przy stole obiadowym naprzykład, lecz miłość dla człowieka, który nietylko posiadał ideały, lecz zdradzał inklinacje, by żyć wy-

łącznie dla nich i za nie, to wydawało się lordowi Dennisowi cokolwiek *outré*.

Barbara podeszła do niego. Przyjrzał jej się nieufnie i rzekł:

— Chcesz wypocząć w falach Lety? Ale, ale, czyś widziała naszego przyjaciela Courtiera w Londynie? Bardzo interesujący typ — podobna donkiszoterja w życiu!...

Gdy mówił, głos jego — jak zresztą głos wielu subtelnych ludzi, którzy zaniechali umysłowych spekulacji — posiadał trójbrzmiałe zabarwienie: drwił z ideałów, ośmieszał siebie za to wykpiwanie ideałów i jednocześnie ukazywał jasno, że w istocie czyni to tylko dlatego, że byłoby gruboskórnością postępować inaczej.

Barbara nie odpowiedziała na jego uwagę. Zaczęła mówić o czemś zupełnie innym. Przez całe popołudnie i wieczór mówiła o różnych rzeczach lekko i obojętnie. Lord Dennis zawdzięczał, iż nie został wyprowadzony w pole, swemu czujnemu i subtelnemu instynktowi.

Kiedy Barbara udała się wieczorem do swego pokoju, mogła odłożyć wreszcie męczącą maskę śmiechu. Siedziała przy oknie w świetle księżyca, „tego srebrzystego motyla nocy, który powoli pełza po niebie“ i patrzyła z bolesną ciekawością w mroki, jakgdyby widziała jakąś wielką tajemnicę, której serce chciała przeniknąć. Od czasu do czasu gładziła ręką ciało, jakgdyby sprawiało jej to ulgę i ukojenie, żywiła bowiem tę starą, nieszczęsną wiarę, że istota jej składa się z dwóch części. Słodka noc, przepełniona spokojnym szmerem morza, zbudziła w niej straszliwą tęsknotę, by połączyć się w jedność nierozzerwalną z kimś, lub z czemś, znajdującem się poza nią. Ubiegłej nocy na balu znów ogarnęło ją pragnienie fruwania i odczuwała je teraz jeszcze. Wpływ Courtiera, ta „*cacoethes volandi*“, uczucie jakby jej podcięto skrzydła, bolało ją, cierpiała, jak cierpi dziecko, któremu czegoś zabraniają.

Przypomniała sobie oswojoną srokę, która należała do klucznicy w Monkland. Ptak schronił się razu pewnego przed swym prześladowcą do oranżerii. Kiedy osądzono, że jest już dostatecznie oswojony, puszczono go, by się przekonać, czy powróci. Całymi godzinami przesiadywał na wysokiem drzewie, wkońcu zawsze wracał do klatki. Opiekunka jego w obawie, że go wrony napadną, jeśli raz jeszcze wyruszy na wycieczkę, podcięła mu skrzydła. Sroka, chociaż żyła sobie zupełnie wesoło, skacząc w klatce i po tarasie, służącym jej za miejsce przechadzek, siadała czasem przerażona i smutna, poruszając skrzydłami, jakby udając, że fruwa. Zdawała się cierpieć, że jest przykuta do ziemi.

Tak też Barbara, siedząc teraz przy oknie, poruszała w wyobraźni swemi podciętemi skrzydłami. A kiedy udała się wkońcu do łóżka, leżała bezsennie, wzdychając i przewracając się z boku na bok. Zegar wydzwonił trzecią. Ogarnęło ją niesłychane zniecierpliwienie. Wstała, pochwyciła płaszcz samochodowy, narzuciła go na nocną koszulę, wsunęła stopy w pantofle i wymknęła się na kurytarz. W całym domu panowała cisza. Zeszła na dół, starając się stąpać jak najlżej. Przeszła przez hall, zamieszkiwany przez duchy przedświtu, i, otworzywszy drzwi z łańcucha, wybiegła. Biegając po rosie nie sprawiała więcej hałasu, niż ptak, bujający w powietrzu. Dwa pasące się kuce, które poczuły jej bliskość w ciemnościach, zaczęły obwąchiwać zamknięte na noc kielichy kaczęńców, rżąc z przestachu. Przeszła przez ogrodzenie i znalazła się na wybrzeżu. Biegła z zamiarem zanurzenia się w morzu, by się ochłodzić, lecz było ono zbyt czarne z wąskiem jedynie, białem obrzeżeniem, niebo było też ciemne, ogołocoone z wszelkiego światła w oczekiwaniu dnia. Stała i patrzyła. Niepokój jej, drżenie i pulsowanie ciała i duszy zamierało powoli wśród tej ciemnej samotności, gdzie ciszę mąciło jedynie nieustanne załamywanie się drobnych fal o brzeg. Barbara była przyzwyczajona do tych póź-

nych, umarłych godzin. Zaledwie nocy ubiegłej, o tym samym czasie, ręka Harbingera obejmowała jej kibić w ostatnim walcu, lecz tutaj te ciche, umarłe godziny posiadały inne zupełnie oblicze: uroczyście, poważne, baczne. I nagle zdawało się Barbarze, wpatrującej się w przestrzeń, że ta otchłań ciemna widzi i przenika głębię jej serca, tak, że zamierało ono w jej piersi. Zadrżała, otulając się swym, ciepłym futrem podbitym, płaszczem, jakby przerażona nagle odkryciem, że jest tak zdumiewająco mała i mierna wobec tego czarnego nieba i morza, które zdawały się jednym, przepotężnym ogromem. Skuliła się na ziemi i oczekiwała świtu.

Przyszedł wreszcie, przynosząc na swych skrzydłach wiew zimnego powietrza. Wraz z przyjściem świtu odwaga znów wstąpiła w serce Barbary. Rozebrała się i weszła w ciemną wodę, bielejącą teraz gwałtownie. Fale przykryły ją zazdrośnie. Zaczęła pływać. Woda była cieplejsza niż powietrze. Barbara leżała nawznak, pluskając rękami i nogami i obserwując niebo, które powoli zachodziło rumieńcem. Ta kąpiel w półmroku, bez mokrych trykotów, przylegających do ciała, z włosami rozpuszczonemi swobodnie, napełniała ją uciechą psocącego dziecka.

Kiedy słońce weszło już na niebie, wyszła z wody, narzuciła na siebie koszulę i płaszcz, przeszła przez ogrodzenie i pobiegła do domu. Jej przygnębienie i gorączkowa niepewność minęły. Była odświeżona, rzeźka, okrutnie głodna. Wślizgnęła się pocichutku do ciemnej jadalni i poczęła szperać, szukając czegoś do zjedzenia. Znalazła biszkopty i zajadała je właśnie, gdy w otwartych drzwiach ukazał się lord Dennis z rewolwerem w jednej ręce i zapaloną świecą w drugiej. Odziany w stary niebieski szlafrok, z twarzą o rysach subtelnych i wyrazistych, wywierał staruszek dziwne wrażenie. Był w tej chwili bardzo podobny do lady Casterley — zdawało się, że niebezpieczeństwo opancerzyło go stalą.

— Więc ty to nazywasz wypoczynkiem? — spytał surowo.

Potem, spojrzawszy na jej zmoczone włosy, dodał:

— Widzę że utopiłeś już swe strapienia w wodach Lety.

Bez odpowiedzi zniknęła Barbara w mrocznym hallu, zdążając ku schodom.

ROZDZIAŁ IV

Podczas gdy Barbara płynęła na spotkanie świtu, Miltoun nurzał się w potokach słodyczy i prawdy, płynących wśród ścian angielskiej Izby Gmin. W długiej debacie nad kwestją obszarnictwa, na którą oczekiwał, by po raz pierwszy zabrać głos, już dziewięciokrotnie podnosił się i nie udawało mu się zwrócić uwagi przewodniczącego na siebie. Powoli ogarnęło go jakieś uczucie zatracenia rzeczywistości. Bez wątpienia ta wielka izba, gdzie nieustannie rozlegał się dźwięk głosu ludzkiego i dziwne, automatyczne wybuchy aprobaty lub niezadowolenia, nie istniała w rzeczywistości. Była tylko jakimś gigantycznym przywidzeniem. Wszystkie te postacie były urojeniami jego mózgu! A kiedy wkońcu zacznie przemawiać sam, mówić będzie jedynie dla siebie samego! Duszne powietrze, przesycone oddechami mnóstwa ludzi, nieruchome spojrzenia niezliczonych światła, długie rzędy ławek, dziwne w oddaleniu, blade, zasłuchane twarze ludzkie tam w górze, wszystko to miało w nim swe źródło, było jego tworem. Nawet ta ciżba, krążąca po kuluarach, składała się tylko z drobnych, upartych cząstek jego samego, przychodzących i odchodzących, a w głębi tego tytanicznego tworu jego wyobraźni szemrał szept jego własnej, niewypowiedzianej jeszcze mowy. Szept, który zdmuchiwał mydlane bańki słów,

wyrzucanych przez daleki, cichy, ciągle zmieniający się głos. Nagle, całe jego senne przywidzenie pierzchnęło. Wstał i z bijącym sercem począł mówić.

Bardzo prędko opanował niepokój. Uświadamiał sobie tylko, że słowa jego brzmią obco i uczuł jakąś dziwną, mrozącą krew, satysfakcję, że rozlegają się wśród takiej ciszy. Miał wrażenie, że wokół niego niema ludzi, tylko same usta i oczy, i radowało go dziwnie to, że swemi słowami utrzymuje te zgłodniałe oczy i usta w nieruchomości i niemocie. Potem uświadomił sobie, że oto dobiegł do końca tego, co miał do powiedzenia, więc usiadł, pozostając niewzruszony w centrum różnorodnej wrzawy, patrząc uparcie na tył jakiejś głowy tuż przed nim i obejmując rękami kolana. Niebawem, kiedy znów podniósł się jakiś cichy, daleki głos, ciągnący dalej, wziął kapelusz i, nie patrząc ani w prawo ani w lewo, wyszedł z sali.

Miał uczucia ulgi i szalonej dumy, która napęłnia zazwyczaj serca ludzi, gdy uczynili już pierwszy, poważny krok w życiu, w ponurej, głębokiej otchłani duszy Miltoun'a panowała jeno gorycz. W istocie, kiedy pozbył się już teraz tej mowy, utracił coś; co było jedynem antidotum na jego cierpienia. Mógł tylko raz jeszcze ostatecznie stwierdzić, jak mało znacząca była dla niego jego karjera z chwilą, kiedy nie mógł jej dzielić z Audrey Noel. Szedł powoli ku Temple brzegiem rzeki, gdzie blask lamp zamierał powoli w obliczu codziennego, wzniosłego, boskiego momentu — spotkania się dnia z mrokiem.

Idąc tak ku domowi, wyglądał niemniej nędznie, niż wielu z bezdomnych biedaków, którzy śpią nocą nad rzeką, jakgdyby zdając sobie sprawę z tego, że jeśli będą leżeć tak blisko otchłani, która w każdej chwili gotowa jest im dać zapomnienie, to jedynie świadomość tego będzie ich mogła uchronić od chwycenia się tej ostateczności naprawdę. Był może bardziej jeszcze nieszczęśliwy od nich, gdyż umysł ich pod ciosami życia zatracił zdolność odczuwania i przestał im już dokuczać.

Teraz, kiedy Audrey Noel była już dla niego na wieki stracona, jej urok i nieokreślony wdzięk, czyniący ją pożądaną godną, powstał w całej okazałości przed nim, jak dręczące mamidła, kwiaty piękności, których nigdy nie zerwie, lecz które mógłby zerwać, gdyby tylko chciał! To właśnie było duszą i płomieniem jego cierpienia. Mógłby je zerwać, gdyby tylko chciał! Dolegała mu również fizycznie gorączka, której się nabawił na dzień przed ostatnim widzeniem się z nią, kiedy to tak bardzo przemókł na deszczu. A przez trawiącą go gorączkę wszystkie uczucia, wszystkie rzeczy, podobnie jak urojenia na sali przed mową, zdawały mu się jakby zgłuszone, jakby poza zasłoną. Zdawało mu się, że wszystko przychodzi do niego w nieprzenikliwej osłonie z flaneli. Jednocześnie zdawało mu się, że w nim samym ścierają się dwaj ludzie w śmiertelnej walce: człowiek wiary w boskie posłannictwo i autorytet, te dwie rzeczy, na których opierały się wszystkie jego dotychczasowe przekonania, oraz inny zrozpaczony, zgłodniały, o płomiennej krwi. Był bardzo nieszczęśliwy, pragnął kogoś, ktoby zrozumiał jego uczucia, a dzięki temu, że przez długie lata był zamknięty w sobie, nie lubił zwierzeń, nie szukał powierników, nie potrafił teraz zadośćuczynić swemu pragnieniu.

Świtało już, kiedy znalazł się w swem mieszkaniu. Wiedział doskonale, że nie będzie mógł zasnąć, nie położył się więc do łóżka, przebrał się tylko, zgotował sobie filiżankę kawy i usiadł przy oknie, które wychodziło na podwórze z ogródkiem. W sali Middle Temple odbywał się bal. Miltoun ujrzał jakiegoś młodzieńca i dziewczynę, którzy poza osłoną starej, kamiennej fontanny, odpoczywali podczas ostatniego tańca. Główka dziewczyny oparta była na ramieniu tancerza, usta ich złączyły się. Przez okno dolatywał zapach heljotropu i tony walca. Ta para, cichaczem złączona, blask ich oczu, zwróconych ku sobie, szept ust, osłaniająca ich kamienna nisza,

w ogroju którego nie wspomina

poza którą ćwierkały wróble, to był świat, którego pożądał. Spojrzał znowu przez okno: nie było już nikogo — zniknęli jak zjawisko. Muzyka ucichła, pierzchła również woń heljotropu. W kamiennej niszy przycupnął jakiś kot-włóczęga i śledził ćwierkające wróble. Miltoun wyszedł z mieszkania i, kierując się pustem wybrzeżem, szedł bez celu. Około godziny piątej nad ranem znalazł się na moście Putney. Tu przystanął, oparł się o balustradę i patrzył w szarą wodę. Słońce przedzierało się już przez mgłę świtu, wczesne platformy przejeżdżały, i ludzie spieszyli do pracy. W jakim celu, do jakiego kresu dążyła wieczyste ta rzeka? W jakim celu płynęła fala ludzi tam i zpowrotem ponad nią? W jakim celu, jak długo cierpieć mają ci wszyscy mężczyźni i kobiety? Miltoun nie umiał się dopatrzeć w tym prądzie życia wyższego celu, niż u kołujących wczesnym rankiem mew.

Opuścił most i skierował się w stronę Barnes Commun. Noc rozpościerała się tu jeszcze na krzakach janowca, osrebrzonych pajęczyną i gwiazdzistą rosą. Minał jakąś rodzinę włóczęgów, którzy spali, przytuleni do siebie. Nawet ci bezdomni leżeli, złączeni uściskiem!

Z Commun wyszedł na drogę, prowadzącą do pobliskiego Ravensham. Skierował się tam i przedostał do sadu, gdzie usiadł na ławeczce koło krzaków malin. Owoce były zabezpieczone przed złodziejami, lecz mimo to, kiedy Miltoun się zbliżył, dwa kosy wymknęły się z poza siatki ochronnej i odrunęły.

Postać Miltoun'a, siedzącego nieruchomo, zwróciła uwagę jednego z ogrodników, który natychmiast podzielił się tą nowiną z innymi. Wiadomość, że młody lord znajduje się w sadzie, doszła do uszu Cliftona, który wyszedł sam do ogrodu, by się przekonać, co by to miało znaczyć. Cicho przystanął naprzeciw Miltoun'a i spytał:

— Pan przybył do nas na śniadanie, mylordzie?

— Jeśli moja babka zechce mnie przyjąć, Cliftonie.

— Zdawało mi się, że jego lordowska mość miała przemawiać w parlamencie zeszłego wieczoru?

— Przemawiałem, Cliftonie.

— Mam nadzieję, iż posiedzenie w Izbie Gmin nie zawiodło twoich oczekiwań?

— Tak, owszem. Dziękuję ci, Cliftonie.

— Przypuszczam wprawdzie, że nie są już takimi, jakimi były za pamiętnych czasów twego dziadka. Dziadek twój był o nich bardzo dobrego mniemania. Zmieniło się już wiele.

— Tempora mutantur...

— Otóż to, zupełnie odmienny duch teraz panuje w stosunku do spraw publicznych. Ta brukowa prasa terazniejsza! Trzeba się z tem pogodzić, lecz trudno pochwalać. Jestem bardzo ciekaw pańskiej mowy, mylordzie. Mówią, iż pierwsza mowa wymaga wielkiego wysiłku.

— O, tak.

— Lecz pan nie ma się czego obawiać, mylordzie. Jestem pewien, że była przepiękna.

Miltoun zauważył, że wychudłe, blade policzki starca pokryły się ceglastym rumieńcem ponad śnieżno-białymi faworytami.

— Oczekiwałem tej chwili — wyszeptał Clifton — od czasu, jak znam waszą lordowską mość — dwadzieścia osiem lat. Ten dzień zapoczątkowuje wszystko.

— Lub kończy, Cliftonie...

Twarz starca zmieniła się: oblekł ją wyraz głębokiego i stroskanego zdziwienia.

— Nie, nie — zawołał — z tradycją pańskiej rodziny — nigdy!

Miltoun ujął go za rękę.

— Przepraszam, Cliftonie, nie chciałem cię dotknąć.

Milczeli przez parę chwil, patrząc na swe złączone dłonie, jakgdyby zdziwieni.

— Czy jego lordowska mość życzy sobie kąpiel? Śniadanie jest dopiero o 8-ej. Czy mam przygotować przyrządy do golenia?

Kiedy Miltoun wszedł do jadalnego pokoju, zastał tam już babkę. Trzymała w ręce numer „Timesa”. Przed nią stały winogrona i biszkopty, stanowiące jej posiłek poranny. Wygląd staruszki niezupełnie odpowiadał zapewnieniom Barbary, że „babunia miewa się doskonale”. Wyglądała trochę blado, jak-gdyby upał dawał jej się we znaki, lecz nie brakło ożywienia w jej małych, stalowych oczkach, ani też stanowczości i zdecydowania w jej zachowaniu się.

— Widzę — rzekła, — że postępujesz według własnego programu, Eustachy. Nie mam temu nic do zarzucenia, przeciwnie: pochwalam nawet, lecz zapamiętaj to sobie, mój drogi, że jakkolwiekby się zmieniły twe zapatrywania, nie wolno ci okazać chwiejności. Jedno jedyne postępowanie liczy się tam — zawsze bić na to samo i zawsze temi samemi argumentami. Wyglądasz bardzo mizernie. Czy źle się czujesz?

Miltoun, pochylając się, by ją ucałować, szepnął:

— Dziękuję, babuniu. Czuję się zupełnie dobrze.

— Głupstwa mówisz, — przerwała lady Casterley — nie doglądają cię widocznie w domu. Czy matka twoja była wczoraj w parlamencie?

— Zdaje mi się, że nie.

— Naturalnie! A gdzie podziewa się Barbara? Powinna się tobą zająć.

— Barbara pojechała do wuja Dennisa.

Lady Casterley zacisnęła usta. Potem, bystro przyglądając się swemu wnukowi, rzekła:

— Pojedziesz tam ze mną. Dzisiaj jeszcze. Co mówisz, Cliftonie?

— Jego lordowska mość wygląda bardzo źle.

— Przygotuj powóz. Pojedziemy ze stacji Clapham Junction. Tomasz może udać się do miasta i przywieźć ci potrzebne ubranie, lub lepiej jeszcze:

zatelefonuj do swej matki po samochód, choć w gruncie rzeczy nie lubię tego, jest jednak za gorąco na jazdę pociągiem. Proszę załatw wszystko, Cliftonie.

Miltoun nie sprzeciwiał się temu projektowi. Przez cały czas podróży pozostawał pogrążony w stanie obojętności i znużenia, który wydawał się lady Casterley w wysokim stopniu złowróźbny, gdyż wszelkie znużenie było w jej pojęciu stanem najdziwniejszym i niewybaczalnym. Ta mała wielka dama przeniknięta była do szpiku kości instynktem sztucznej energii i żywotnej mocy, którą muszą rozwijać w sobie ludzie, stojący u samego szczytu i nie mający żadnych nadziei, na wzniesienie się jeszcze wyżej w przyszłości. Muszą rozwijać poto, aby nie zmarnieć i nie być zmuszonymi znowu rozpoczynać mozolnej wędrówki wzwyż. Dokuczała jej chęć dania surowej reprimendy swemu wnukowi, aby go choć trochę ożywić, gdyż знаła przecież powód jego smutku i irytowało ją, że to właśnie może być przyczyną jego upadku. Gdyby miała do czynienia z którym innym ze swych wnuków, nie wahałaby się ani chwili, lecz było coś w usposobieniu Miltoun'a, co poskramiało nawet lady Casterley i tylko raz jeden podczas czterogodzinnej podróży pokusiła się, by rozbroić jego powściągliwość. Uczyniła to w sposób bardzo łagodny, jak na nią, gdyż Miltoun był przecież z wszystkich żyjących istot jedyną dumą i nadzieją jej serca. Wsuwając swą drobną, szczupłą dłoń pod jego ramię, rzekła spokojnie:

— Mój drogi, przestań już rozpaczać nad przeszłością, — to i tak się przecież na nic nie przyda.

Lecz Miltoun usunął delikatnie jej dłoń, kładąc ją spokojnie na pledzie, okrywającym ich kolana. Nie odpowiedział, ani nie dał wogóle poznać po sobie, że słyszał. Lady Casterley, dotknięta głęboko, zacisnęła mocno swe zwiędłe usta i rzekła ostro:

— Zwolnij trochę szybkość, Frith.

ROZDZIAŁ V

Leżąc tego popołudnia pod osłoną sitowia i patrząc wdał na odpływ morza, wyjawiał Miltoun Barbarze strapienie, toczące mu duszę. Nigdyby prawdopodobnie nie uczynił tego, gdyby nie było między nimi tej przypadkowej rewelacji pamiętnej nocy w Monkland, mimo, że zawsze wyczuwał w swej młodszej siostrze tę siłę żywotną, której mocy tak dotkliwie mu brakło. W sprawach miłości była bezwątpienia bardziej doświadczona od niego, gdyż oprócz owego macierzyńskiego przeczucia, właściwego wielu kobietom, posiadała jeszcze wrodzone obycie światowe i doświadczenie, którego należało się spodziewać po córce lady i lorda Valleys. Jeżeli ona samą nie umiała się zorientować w stanie swych uczuć, przyczyna tego nie tkwiła, jak u Miltoun'a, w zmysłach i sercu, poprostu nie umiała zrozumieć ciekawości i zainteresowania, jakie obudził w niej Courtier. Troszczyła się bardzo sprawą Miltoun'a, bolała ją myśl o mrs. Noel, która musiała przecież cierpieć w swej samotnej siedzibie. Agata, ta dobra i poważna siostra, inspirowała zawsze w Barbarze pewną buntowniczość przeciw zasadom moralności, a pobożnością swą zniechęcała ją całkowicie do religji. W tej chwili była przeświadczona, że jeśli ci dwoje nie mogą być szczęśliwi zdala od siebie, winni połączyć się razem w imię radości, jaką można czerpać z życia.

Podczas gdy Miltoun leżał twarzą do nieba pod cieniem sitowia, Barbara rozmyślała nad sposobem pocieszenia go, mając jednocześnie świadomość, że nigdy nie zdoła zrozumieć jego zapatrywań.

Ponad łąkami skowronki wznosiły hymn nadziei na cześć niedojrzałych jeszcze zbóż. Wybrzeże mieniło się wszystkimi kolorami od głębokiej zieleni do różanych tonów. Na skraju niebieskiego morza drobne, czarne sylwetki ludzkie pochylały się, zbierając trawę morską. W cieniu sitowia słodko pachnia-

ło powietrze. Panował niezakłócony spokój. Barbara, leżąc omotana siatką promieni słonecznych, rozmyślała nad cierpieniem, które tak łatwo było złagodzić. Wkońcu zaryzykowała:

— Życie jest tak krótkie, Eustachy.

Przestraszyła ją jego odpowiedź. Wygłosił ją bez poruszenia:

— Przekonaj mnie, że tak jest w istocie, Barbaro, a będę cię błogosławił. Że ten śpiew skowronków nic nie oznacza, że ten błękit tam w górze jest tylko otchłanią naszej wyobraźni, że tylko pełzamy po ziemi, nie osiągając nic, że życie nasze jest bezcelowe. Przekonaj mnie o tem, Barbaro, na miłość boską!

Barbara, nagle wzruszona do głębi, wyciągnęła dłoń do brata i rzekła:

— Och, nie bierz wszystkiego tak tragicznie!

— Jeśli twierdzisz, że życie jest tak krótkie, — szepnął Miltoun ze swym charakterystycznym uśmiechem na ustach — czemu zakłócasz je sobie, dając się unosić uczuciu litości? W zamierzchłych czasach brano nas na tortury za nasze przekonania, dzisiaj potrafimy znieść — mam nadzieję — drobną, potajemną mękę serca. Czy też może całkowicie straciliśmy już naszą dawną siłę i odporność...

Barbara, dotknięta jego tonem, odpowiedziała sucho:

— To, co musimy znieść, przypuszczam, że potrafimy. Lecz poco mamy stwarzać sobie zmartwienia? To jest właśnie to, z czem nie mogę się pogodzić.

— O, głęboka rozwago!

Barbara zaczerwieniła się.

— Ja kocham życie — rzekła.

Galery zachodzącego słońca piły już szeroką, ognistą flotą ponad wybrzeżem, gdzie małe, czarne sylwetki ludzkie pochylały się wciąż jeszcze w znojnym trudzie. Skowronki śpiewały jeszcze swoją pieśń ponad niedojrzałemi łąkami.

Młody Harbinger, jadąc drogą między Whitwater a Sea House, spotkał milczącą parę rodzeństwa w drodze do domu na obiad.

Nie byłoby prawdą przypuszczać, że młodzieniec ten łatwo się orjentował w nastrojach ludzi i sytuacji, lecz na jego usprawiedliwienie przemawia fakt, że od czasu jego urodzenia wszystko się zawsze składało na to, żeby temperaturę jego otoczenia utrzymywać stale na wysokości sześćdziesięciu stopni w cieniu. Fakt, że jego własna umysłowa temperatura doszła teraz do takiego stanu, że groziła rozerwaniem kulki rtęciowej, sprawiał, że trudniej niż kiedykolwiek przychodziło mu zastanawiać się nad tem, co się dzieje w duszach innych ludzi.

Zauważył jednakże, że Barbara wygląda blado i bardziej uroczo niż kiedykolwiek. Towarzystwo Miltoun'a zawsze zbijało młodego Harbingera z tropu: nigdyby się na to nie zdobył, by zlekceważyć całkowicie jakiś odrębny i buntowniczy umysł, jeśli należał do człowieka z jego własnego środowiska, lecz, niemniej niż inni, nie umiał się pogodzić ze zgryźliwą, maskowaną pogardą Miltoun'a dla wszystkiego, co było mniej lub więcej banalne lub powszednie. Harbinger posiadał przytem szaloną pewność siebie, zwykłą u ludzi, obdarzonych doskonałą powierzchownością, których warunki życiowe tak się układają, że pewność ta nigdy, lub prawie nigdy, nie może być zachwiana. Wszystko to sprawiało, iż nie znosił świadomości, że ktokolwiek patrzy na niego trochę zgóry. Uczuł prawdziwą ulgę, kiedy Miltoun, pod pozorem konieczności zakupienia jakiegoś pisma, udał się do miasta.

Harbinger, zarówno jak Miltoun i Barbara, przepędził bezsennie i niespokojnie noc. Widok smukłej i bladej postaci dziewczęcej z rozchylonemi ustami, wirującej w objęciach Courtiera, nie opuszczał jego wyobraźni od czasu balu. Tańcząc z nią ostatni tańiec, milczał prawie-że zawzięcie, siłą woli tylko wstrzymując się od zgryźliwych uwag o „pyszałkowa-

tym rudowłosym osobniku", jak w głębi duszy nazywał bojownika przegranej sprawy. Uczucia jego w dniu owym, podobnie jak i potem, były dla niego istną rewelacją, lub byłyby nią, gdyby mógł, stojąc z boku, zastanowić się nad niemi. Przez cały ten czas nie opuszczało go napozór jego zwykłe, chłodne, pogardliwe usposobienie, gdyż, oczywiście, wiedział, że nie należy zdradzać się przed ludźmi, lecz w głębi targał nim ból i wściekłość, zazdrość i pożądanie tak silne, że mogły budzić prawdziwą litość. Ludziom, obdarzonym jego silną, gwałtowną naturą, zazwyczaj przychodzi najtrudniej opanować cierpliwością swe uczucia. Powracając z balu, powziął postanowienie udania się za Barbarą nad morze. Po drugiej nocy, spędzonej bezsennie, nie wahał się już więcej. Musi ją ujrzeć. Ostatecznie wolno każdemu człowiekowi jechać do swej własnej posiadłości wtedy, kiedy mu się podoba. Nawet, jeśli się to wyda podejrzanem. Im więcej da do myślenia, tem lepiej! Począł w nim wzbierać jakiś brzydki upór zwierzęcej determinacji. Nie wymknie mu się!

Teraz, kiedy kroczył u jej boku, cała determinacja i pewność siebie zniknęły. Pozostało uczucie zakłopotania i upokorzenia. Szedł, przytrzymując konia, z głową pochyloną, z uczuciem bólu, iż znajduje się tak blisko niej, a jednocześnie tak daleko — zły na swą niezręczność i uparte milczenie, zły bodajże na nią za jej urok i mękę, jaką przeżywał. Kiedy doszli do domu, Barbara zostawiła go na dziedzińcu, a sama udała się do ogrodu po kwiaty. Harbinger niecierpliwie pociągnął konia za uzdę, klnąc, iż zbyt powolnie zmierza do stajni. Obawiał się, że nie zdoła pójść za Barbarą do ogrodu, a jednocześnie lękał się, że ją tam jeszcze spotka. Zastał ją zrywającą goździki, rosnące przy bocznej ścianie oranżerii. Kiedy podniosła się z ponad klombów, Harbinger, nie zastanawiając się co czyni, pochwyił ją w objęcia i, trzymając silnie, począł bez pamięci całować.

Zdawała się nie stawiać oporu. Jej gładkie policzki rozpały się, usta poczęły się poddawać, lecz nagle Harbinger cofnął się, serce przestało mu bić na myśl o szalonym czynie. Co on zrobił! Ujrzał ją, opartą o ścianę oranżerji i usłyszał, jak spytała z drwiącym odcieniem w głosie:

— No i cóż?

Byłby się rzucił przed nią na kolana, prosząc o przebaczenie, gdyby nie powstrzymała go myśl, że ktoś może nadejść. Wyszeptał chrapliwie:

— Mój Boże, byłem szalony...

Stał ponuro, miotany sprzecznymi uczuciami strachu i nagłego przyływu odwagi.

Usłyszał, jak powiedziała spokojnie:

— Tak, rzeczywiście, był pan szalony.

Kiedy ujrzał, że dotknęła ręką ust, jakgdyby pocałunki jego ból jej sprawiły, szepnął złamanym głosem:

— Wybacz mi, Barbaro...

Całą minutę trwało milczenie. Harbinger stał, nie śmiejąc spojrzeć na nią, pokonany całkowicie wzruszeniem. Nagle, ku szalonemu zdziwieniu, usłyszał jej słowa:

— Wybaczam ci — tym razem...

Spojrzał na nią. Czyż mogła go pokochać, mówiąc to tak chłodno? Czyż mogła mu wybaczyć, nie kochając go?! Przesuwała rękami po twarzy, szyi i włosach, poprawiając uczesanie, chcąc zatrzeć ślady jego pocałunków.

— Czy wrócimy teraz do domu? — spytała.

— Tak bardzo cię kocham... W twoje ręce złożę całe życie, a ty możesz je odrzucić...

Na słowa te, których istotnego znaczenia sam nie rozumiał, Barbara uśmiechnęła się:

— Jeśli pozwolę ci zbliżyć się do mnie na trzy kroki, czy będziesz się zachowywał grzecznie?

Skłonił się. Poszli w milczeniu ku domowi.

W dziwnie krępującym nastroju przeszedł obiad tego wieczora, lecz rozgrywająca się komedja, zbyt subtelna dla Miltoon'a i lorda Dennisa, nie uszła uwagi lady Casterley. Kiedy Harbinger odjechał,

staruszka wzięła swój lichtarz i jednocześnie zaproponowała Barbarze udanie się na spoczynek. Odprowadziła wnuczkę do jej apartamentu, specjalnie dla niej zarezerwowanego i umeblowanego według jej gustu tylko niezbędnymi sprzętami. Usiadła naprzeciw tej młodej, dorodnej, doskonale zbudowanej postaci dziewczęcej, przyglądała jej się bystro, jakby chcąc przeniknąć do głębi duszy, wreszcie rzekła:

— A więc chociaż ty powróciłaś do zdrowych zmysłów — nareszcie. Pocałuj mnie.

Barbara, pochylając się, by zodośćuczynić jej żądaniu, ujrzała łzę, staczającą się wzdłuż jej cienkiego nosa. Wiedziała, iż najłżejsza oznaka, że zauważyła to, byłaby okropnością. Wyprostowała się więc i odeszła do okna. Stała tu długą chwilę, spoglądając wdal poprzez ciemne pola aż do ciemnego morza, brzegiem którego jechał pewnie teraz Harbinger. Podniosła rękę do ust i pomyślała po raz setny: „Ach, więc to jest to właśnie!”

ROZDZIAŁ VI

W trzy dni po swoim pierwszym i, jak to sobie teraz postanowił, ostatnim zebraniu towarzyskiem, Courtier otrzymał kartkę od Audrey Noel. Pisała, iż chwilowo opuściła Monkland i przeniosła się do małego mieszkanka nad brzegiem rzeki, nieopodal Westminster. Kiedy Courtier przechodził tędy tego lipcowego popołudnia, gmach parlamentu tonął w blaskach słońca, które rozgrzewało swem ciepłem surowe tchnienie, emanujące z uroczystych, świetnych obrad.

Courtiera ogarnęło zwątpienie. Zazwyczaj w obliczu tego gmachu uczucia jego były dziwnie pogmatwane: zbyt mało miał w sobie z poety, by nie widzieć nic oprócz malowniczych linii wież na horyzoncie, lecz było w nim dosyć z poety, by odczuwać zawsze jakieś pragnienie odepchnięcia, odrzucenia

czegoś. W takim nastroju kierował teraz swe kroki biegiem rzeki. Nie zastał mrs. Noel w domu. Służąca poinformowała go, że pani zaraz powróci. Usiadł tedy i czekał.

Mieszkanie Audrey, położone na pierwszym piętrze, miało widok na rzekę. Wynajęte widocznie już z meblami, nosiło wrażenie cechy niedawnej walki ze stylem Edwarda, który, zatriumfowawszy nad epoką wiktoriańską, zapełnił pokoje zabytkami wczesnego okresu Jerzego. W niszy pod oknem, utrzymanej w tonie różowym, bardzo wygodnej i zupełnie nowej, będącej jedynym definitywnym śladem tego zwycięstwa, zasiadł Courtier, przygotowany do czekania i bezczynności, z rezygnacją starego żołnierza.

Do uczucia opiekuńczego, jakie żywił kiedyś dla grzecznego, ciemnowłosego dziecka, dołączył teraz jeszcze rycerską litość człowieka, o gorącym sercu wobec kobiety w niedoli, oraz niezadowolenie tego, który, nie umiejąc się podporządkować nakazowi z zewnątrz, buntuje się również przeciw tyranji, która dotyka kogokolwiek.

Widok z okna na stare wieżycy i mury, wśród których zasiadał Miltoun i jego ojciec, ranił dotkliwie Courtiera, symbolizował bowiem autorytet — wroga jego nieśmiertelnej pani, słodkiej, niepokonanej, przegranej sprawy niezależności. Po chwili jednak rzeka, przynosząca swym prądem nieokiełzane fale, które omywały wszystkie brzegi, dotykały wszystkich piasków i widziały wschód i zachód wszystkich istniejących gwiazd — ta rzeka swym bezsłownym hymnem na cześć wolności ukołysała go tak, iż kiedy Audrey Noel weszła po chwili, niosąc naręcze kwiatów, zastała go śpiącego mocno z silnie zacisniętymi ustami.

Cichutko złożyła kwiaty i czekała na przebudzenie Courtiera. Jego czerwona twarz z wystającym podbródkiem, płomiennymi wąsami i brwiami, uformowanymi w kształcie litery V ponad zamkniętymi oczami, nacechowana była jakąś jowialną wytrwa-

łością nawet we śnie. Nie było może w całym Londynie twarzy, któraby była takim przeciwieństwem twarzyczki tej ciemnej, miękko włoskiej kobiety, delikatnej, biernej, rozedrganej radością na widok tego jedyne go człowieka na świecie, od którego mogłaby się dowiedzieć czegoś o Miltoun'ie, nie uwłaczając jednocześnie swej godności.

Obudził się wreszcie i, nie okazując zmieszania, rzekł:

— To w zupełności wygląda na ciebie, żeś mnie zbudziła. *W oryg.: To sup. podobne do Ciebie, że mnie*

Przez dłuższą chwilę siedzieli, rozmawiając. Szum i ruch na rzece ospale wtórował ich głosom. Kwiaty napełniały pokój ociężałym zapachem. Kiedy Courtier wyszedł wreszcie, serce miał przepelnione goryczą. Audrey nie mówiła o sobie. Prawie cały czas rozmawiała o Barbarze, chwalać jej piękność i rozum. Raz czy też dwa pobladła. Z potajemną chciwością piła każde słowo, które miało jakiś związek z Miltoun'em. Jasne było, iż uczucia jej nie zmieniły się, choć ich nie okazywała. Litość, jaką żywił dla niej Courtier, wzrosła gwałtownie. *N. obe*

W nastroju tym, z którym łączyły się jeszcze inne, zupełnie odrębne uczucia, przebrał się i podążył na ostatnie w tym sezonie zebranie w Valleys House. Przyjęcie to, wydane prawie-że przy końcu lipca, miało charakter nawskroś polityczny. Wchodząc po szerokich, błyszczących stopniach, których mnogość tak często niweczyła arytmetyczne usiłowania małej Anny, Courtier mimowoli przypomniał sobie obrazek, zatytułowany „Stopnie do Raju”, który zdobił ścianę jego dzieciennego pokoju trzydzieści kilka lat temu. U szczytu schodów pomiędzy wieloma znajomymi natknął się również na Harbingera, który skłonił się zimno. Piękna twarz młodzieńca wydawała się zawistnym oczom Courtiera bardziej zwycięska i pewna siebie niż kiedykolwiek. Przeszedł obok niego z sardonicznym wyrazem twarzy i torował sobie drogę w kierunku lady Valleys. Dojrzał ją,

stojącą na posterunku na niewielkiem wolnem miejscu, skąd w jedną i w drugą stronę przyływały i odpływały ~~czere~~ ~~dy~~ ~~ludzi~~, jak promienie wokół gwiazdy. Wyglądała wspaniale, gdyż zawsze doskonale harmonizowała z wielkimi, wysokimi, bogatymi wnętrzami. Przywitała Courtiera ze specyficzną serdecznością, która zawierała w sobie obok uprzejmości dla obcego w tem środowisku przybysza, jeszcze trochę dyplomacji — zdawało się, że chce ostrzec go przed czemś, a równocześnie obawia się dotknąć go, by nie stał się zbyt niebezpieczny. Oznajmiła, że słyszała o jego zamiarze udania się do Persji i ma nadzieję, że nie zechce tamtejszych spraw jeszcze pogorszyć, wreszcie, kończąc słowami: „To ładnie z pańskiej strony, że pan o nas nie zapomniał”, znowu powróciła na swój posterunek, stając się ośrodkiem pola bitwy. Courtier, widząc, że z nim skończyła, odsunął się, oparł o ścianę i zaczął obserwować. Tak odosobniony podobny był do samotnej kukułki, która kontempluje krażenie wielkiego stada kruków. Zainteresowania tych ludzi zdawały się bezsensowne i bezcelowe dla niego, któremu obce były świętości i hasła Westminsteru. Słyszał, jak dysputowali nad mową Miltoun'a, z której znaczenia — dopiero teraz widać — zaczęli zdawać sobie sprawę. Słowa „doktryner“, „krańcówść“ dobiegały jego uszu wraz z powiedzeniem „świeża potęga“. Ludzie ci byli widocznie zaskoczeni, zaniepokojeni, niezadowoleni, jakgdyby jakaś nowa gwiazda, na której pojawienie się nie liczone, nagle zabłysła pomiędzy normalnemi, odwiecznemi konstelacjami.

Courtier'a, szukającego wśród tłumu Barbary, opanowało uczucie wstydu. Czy miał on prawo wdziierać się do tego środowiska jedynie po to, by ujrzeć tę dziewczynę? Jakże wogóle miał prawo dążyć za nią, zdając sobie sprawę w głębi duszy, że nie mógłby znieść przez tydzień nawet otaczającej ją atmosfery, że była ona całkowicie nieprzygotowana dla atmosfery, którą on mógł jej zaofiarować, nie mówiąc już

o tem, że niepodobieństwem było wywołać żywsze uczucie u dziewczyny, o połowę młodziej od niego. Jakiś głos odezwał się za nim:

— Mr. Courtier...

Odwrócił się i ujrzał Barbarę.

— Chciałabym z panem pomówić o czemś bardzo ważnem. Proszę, niech pan ze mną pójdzie do galerji obrazów.

Kiedy znaleźli się tam, pod jakimś zbiorowym portretem Caradoc'ów z epoki Jerzego, oddzieleni od tłumów dostatecznie, by móc pomówić swobodnie, Barbara zaczęła:

— Miltoun jest tak strasznie nieszczęśliwy. Nie wiem zupełnie co zrobić. Obawiam się, że wpadnie w chorobę.

Podniosła nagle główkę i spojrzała Courtierowi w oczy. Wydała mu się w tej chwili bardzo młodziutka i budząca litość. Oczy jej wyrażały ufność i wiarę, jak oczy dziecka, jakgdyby polegała na nim, że potrafi rozwikłać ten trudny węzeł, że powie jej nietylko o strapieniu Miltoun'a, lecz o całym życiu, o jego znaczeniu i o tajemnicy szczęścia. Powiedział łagodnie:

— Cóż mogę zrobić? Mrs. Noel jest w mieście, lecz to nie jest dobrze, chyba że...

Nie wiedząc, jak zakończyć zdanie, umilkł.

— Ach, gdybym ja była na miejscu Miltoun'a -- wyszeptała.

Słyszając to, Courtier użył całej siły woli, by nie pochwycić jej rąk w swoje dłonie. Ten błysk buntu poruszył w nim krew. Zdawało się, iż zauważyła jego wzruszenie, gdyż odezwała się chłodno:

— To na nic się nie zda. To niemądrze z mojej strony, że pana tem nudzę.

— To zupełnie niemożliwe, aby mnie pani nudziła czemkolwiek.

Oczy jej nagle podniosły się z rękawiczki, w którą się wpatrywała, i spojrzały prosto w jej oczy.

— Czy pan naprawdę jedzie do Persji?

— Tak.

— Ale ja nie chcę, żeby pan jechał. Nie teraz jeszcze.

Odwróciła się nagle i odeszła. Courtier stał bez ruchu, dziwnie wzruszony. Machinalnie przyglądał się poważnym spojrzeniom Caradoc'ów na zbiorowym portrecie. Jakiś głos odezwał się:

— Doskonały obraz, nieprawdaż?

Za nim stał lord Harbinger. Znowu przypomniały się Courtierowi pełne znaczenia słowa lady Casterley i obraz dwojga młodych ludzi ze złączonymi dłońmi na balkonie, ponad tłumem wyborców. Znowu nawiedziło go uczucie zazdrości o tego pięknego młodzieńca wraz z uczuciem wstrętu do tego, który zawsze umie przeczuć, gdzie ma walczyć, by zwyciężyć. Obudziła się w nim świadomość własnej przegranej sprawy i zwątpienie, czy słusznem było wogóle walczyć dalej. Wszystko to poruszyło jego umysł. Miał odpowiedzieć — patrzył uparcie na Harbingera. Na twarzy młodego człowieka pojawił się wyraz upartej wściekłości, dobywający się powoli z wzburzonej głębi duszy.

— Powiedziałem: To dobry obraz. Prawda mr. Courtier?

— Słyszałem.

— I był pan łaskaw odpowiedzieć?

— Nic.

— Oczywiście, z uprzejmością, jakiej należało się spodziewać po panu.

Courtier odpowiedział z chłodną pogardą:

— Jeśli chce pan przemawiać w podobny sposób, proszę wybrać miejsce, gdzie mógłbym panu odpowiedzieć.

Odwrócił się raptownie i wyszedł. Wychodząc z pałacu na ulicę, zacisnął silnie zęby.

W Hyde Parku trawa była sucha i spalona, na niebie gwiazdy zamglone przez gorąco i mgłę burzy. Nigdy jeszcze Courtier nie odczuwał tak braku ukonjenia, płynącego z nieba — tego błogosławionego

uczucia nicości w obliczu ciemnego piękna nocy, która, niwecząc wszelkie złe instynkty — czyniła człowieka częścią swego majestatu i podnosiła go do wielkości i mocy.

ROZDZIAŁ VII

Następnego dnia, około godziny czwartej, Barbara wyruszyła pieszo z domu. W bardzo skromnej jasnobronzowej sukni przyciągała jednak oczy wszystkich przechodniów. Oddaliwszy się trochę od domu, wsiadła w taxi i pojechała do Temple. Kazała przystanąć przy wejściu od strony Strandu. Wsiadła i udała się wąską uliczką do centrum królestwa Prawa. Kapłani tego przybytku, spiesząc z sal sądu, wychodzili gromadnie ze swych kancelaryj, udając się na herbatę, lub pędząc do stadjonów sportowych, albo Hyde Parku, — młodzi adepci, niezwiązani jeszcze urokiem własnej sławy, lub wysokiego honorarjum.

Każdy z nich, przechodząc i widząc Barbarę, uczuwał nieprzewzyciężoną chęć uchylecia przed nią kapelusza, zdając sobie sprawę, że to właśnie jest Ona. Po całym dniu, spędzonym między precedensami a praktyką, po wielogodzinnych dociekaniach, jakie szanse posiada A w dochodzeniu swych praw, lub jakie możliwości posiada B, by mu w tem przeszkodzić, nie sposób było odczuwać inaczej pojawienia się tego słodkiego, spokojnego zjawiska, tej dziewczyny, która mijała ich, smukła, jak złocista brzoza. Jeden z nich, którego spytała o wskazanie drogi do Miltonoun'a poprowadził ją z pokornym ceremonjałem, a kiedy mu znikła w głębi zakurzonych schodów, długą chwilę pozostawał na miejscu w nadziei, że może nie zastanie w mieszkaniu nikogo i powróci znów, pytając o powrotną drogę. Nie powróciła jed-

nak, więc odszedł ze smutkiem, zmartwiony do głębi duszy.

W mieszkaniu Miltoun'a nikt nie odpowiedział na pukanie Barbary. Przeszła przez przedpokój obok pokoiku aplikanta, teraz zamienionego na kuchenkę, aż do saloniku. Tu nie zastała również nikogo. Nigdy przedtem nie była w mieszkaniu brata, to też rozglądała się po nim z ciekawością. Miltoun nie praktykował, więc nie było też tu odpowiedniego urzędu. Pokój wyłożony był zniszczonym dywanem, stało w nim kilka starych krzesół, od podłogi do sufitu piętrzyły się stosy książek. Ścianę pomiędzy oknami zajmowała olbrzymia mapa Anglii, poznaczona cyframi i odnośnikami. Przed tą mapą stał wielki pulpit, zarzucony plikami arkuszy, zapisanych porządkiem, trochę ostrem pismem Miltoun'a. Wiedziała, że brat jej pracuje nad książką, traktującą o problemach obszarnictwa, nigdy jednak nie zdawała sobie sprawy z tego, że jedna książka wymaga tyle pisaniny. Obok na dużym biurku leżały również papiery i książki, oraz stały dwa brązowe popiersia Ajschylosa i Dantego. „Cóż za niemiłe pomieszczenie!” — pomyślała Barbara. Istotnie, cały pokój przesiąknięty był atmosferą i nastrojem, który przygniatał ją. Ujrzała trochę kwiatów na dziedzińcu wdole i ogarnęła ją chęć, by zejść do nich. W tej chwili usłyszała za sobą szmer rozmowy, chociaż w pokoju nie było nikogo. Wrażenie tego nagłego monologu, który dobywał się niewiadomo skąd, było tak niesamowite, że młoda dziewczyna cofnęła się do drzwi. Szmer rozmowy, brzmiący jakby dwa duchy mówiły jednym głosem, wzmagał się. Machinalnie spojrzała na popiersia z brązu — nie wzbudzały żadnych podejrzeń! Jakkolwiek szmer zdawał się być poza nią, kiedy stała przy oknie, teraz, kiedy stała przy drzwiach, dochodził znów z poza jej pleców. Zorientowała się nagle, że dobywa się on z za półki z książkami, stojącej na środkowej ścianie. Barbara miała żelazne nerwy swego ojca. Podeszła do półki i ujrzała, że zasłania ona ukryte, niezupełnie

domknięte, drzwiczki. Popchnęła je i przeszła przez próg. Na środku niesprzątniętego pokoju sypialnego, Miltoun, nawpół rozebrany, chodził nerwowo tam i zpowrotem. Był boso. Głowę i włosy miał zmoczone wodą, wyraz jego szczupłej, ciemnej twarzy wzruszył Barbarę. Podbiegła i ujęła go za rękę. Dłoń była rozpalona, lecz zdawało się, że widok siostry zmroził nagle jego oczy i język. Kontrast tej gorącej dłoni i nagłej, chłodnej ciszy, przeraził dziewczynę. Mimo-wolnym ruchem przyłożyła mu rękę do czoła. Było również rozpalone.

— Co sprowadza cię tutaj? — spytał.

Zdołała wyszeptać:

— Och, Eustachy, czy ty jesteś chory?

Miltoun ujął ją za rękę.

— To nic. Pracowałem za wiele. Mam trochę gorączki.

— Tak, czuję to — szepnęła Barbara. — Powinieneś leżeć w łóżku. Choć ze mną do domu.

Miltoun uśmiechnął się.

— To nie jest choroba, którą można uleczyć pijawkami.

Uśmiech jego, ton głosu wywołał u niej dreszcze.

— Nie mogę zostawić cię tu samego!

Uścisk rąk Miltoun'a wokół jej dłoni wzmocnił się.

— Moja droga Barbaro, uczynisz to, co ci powiem. Idź do domu, nie mów nic nikomu. Zostaw mnie tutaj, bym przecierpiał sam w spokoju.

Barbara wytrzymała bolesny uścisk bez zmrużenia oczu. Cały jej spokój powrócił.

— Musisz pójść ze mną. Przecież nie masz tutaj nic, nawet chłodzącego napoju.

— Mój Boże, kwiat lipowy!!

Pogarda, jaką zamknął w tych słowach, była bardziej niwecząca niż cała filipika przeciw wszelkim lekom, wymyślonym przez ludzkość, by nieść ulgę. Barbara odczuła boleśnie to szyderstwo i zaci-

snęła usta. Miltoun puścił jej ręce i znów rozpoczął wędrówkę po pokoju. Nagle przystanął:

— Zniknęły gwiazdy, księżyc i promienie słońca.

Wokół bezmiar pustyni, bezgranicznie wielki,

Nie zostało nic jada, ni wody kropelki,

Wokół ciemna pustynia bez granic, bez końca. —

— Powinnaś przeczytać Blake'a, Audrey.

Barbara odwróciła się spieszenie i wybiegła przestraszona z pokoju. Przeszła przez salonik i przedpokój na schody.

— Jest chory! Majaczy!

Gorączka w żyłach Miltoun'a zdawała się teraz udzielać i jej, przeszedłszy z jego rąk w jej krew. Twarz jej płonęła, myśli mąciły się, oddychała nierówno. Czują się chora i jednocześnie bardzo nieszczęśliwa. Nagle zbudziło się w niej burzliwe wspomnienie pocałunku Harbingera.

Zbiegła ze schodów, zawróciła instynktownie wdół ulicy i niebawem znalazła się na wybrzeżu Tamizy, poczem, z wrodzoną zdolnością szybkiej decyzji, zatrzymała nagle przejeżdżającą dorożkę i kazała się wieźć do najbliższej stacji telefonicznej.

ROZDZIAŁ VIII

Dla kobiety takiej, jak Audrey Noel, która stworzona była poto, by być uzupełnieniem i przeciwieństwem kogoś, czyje wysiłki, zajęcia i cele były zasadniczo różne od jej własnych gorliwych i upartych celów i zamysłów — dla kobiety takiej, przeniesienie na inny grunt, któremu się sama dobrowolnie poddała, było nielada przejściem.

Pozbawiona widoku kwiatów, przyjaznego poszumy lipy, zainteresowania się potrzebami okolicznych biedaków, pozbawiona pracowitej monotonji

drobnych spraw małego gospodarstwa, wszystkiego, co było ostoją i pociechą samotnej kobiety, — czuła się najzupełniej wytracona z równowagi. Nie mieszkała dotąd nigdy w Londynie, nie mogła więc odwiedzać dawnych, ulubionych miejsc, ani odnowić dawnych przyzwyczajęń, zaś stworzenie sobie nowych wymagało nastroju, któryby pozwolił jej zainteresować się czemkolwiek. W takim jednak nastroju obecnie nie była. Wkońcu, kiedy jako tako rozłokowała się w swem mieszkaniu i ułożyła godziny dnia, poczuła się tak osamotniona, jak więzień wypuszczony z długoletniej niewoli. Nie miała nawet tej ogromnej ulgi, jaką jest konieczność ukrywania swych uczuć z obawy, że mogą komuś przeszkadzać. I oto żyła w tem ukryciu wraz z bólem i tęsknotą, nie mając nic, ani nikogo, ktoby oderwał ją choć na chwilę od niej samej. Z własnej woli zastosowała tę zmianę w swem życiu i teraz starała się wytrwać, czując, iż jej obecne stanowisko jest łatwiejsze do zniesienia, niż pozostawanie w Monkland, gdzie popełniła ten nieprzebaczalny błąd — gdzie pokochała.

Zarówno miłość ta, tak jak i jej małżeństwo z mr. Noel, były to błędy, które popełniła ona, zdolna do odczuwania szczęścia i do rozsiewania wokół siebie radości, tylko przez swą zbytnią gotowość do poświęceń i podporządkowywania się innym. Zdawanie sobie sprawy, że tylko to, że chciała kochać i być kochaną, dwukrotnie już w życiu zadało jej cios śmiertelny, — było dla niej znikomą pociechą. Jakiemikolwiek były te uczucia, które skierowały dwudziestoletnią dziewczynę do małżeństwa, pewne było, że jej obecna miłość dla Miltoun'a nie była jedynie biernem poddaniem się. Płonął w tem uczuciu szlachetny płomień całkowitego samozaparcia i zupełnego wyrzeczenia się własnego dobra. Pragnęła uczynić dla niego wszystko, co było w jej mocy, a tymczasem nie znajdowała nawet pociechy w tej świadomości, że może poświęcić się dla niego. Wszystko jej odebrano,

a z właściwym sobie fatalizmem nie buntowała się. Gdyby nawet zmuszona była pokutować przez długie lata bezowocnie za pierwszy błąd miłości, zawsze jeszcze uczucie buntu byłoby jej dalekie. Gdyby się zbuntowała, to jedynie czynem. Zasady ogólne nie miały dla niej znaczenia, nie traciła sił nad zastanawianiem się, czy los był sprawiedliwy, stwarzając jej taką sytuację. Starła się tylko pokonać trudności.

Następnego dnia po wizycie Courtiera, długi czas przepędziła w National Galery, której mury wydawały się jej jedynymi w Londynie, mogącymi zapewnić jej przytułek i opiekę. Błądząc pośród sal galerji, natrafiła na portret pędzla jakiegoś włoskiego mistrza. Twarz na tym portrecie przypominała jej Miltoun'a, siedziała więc przed nim długie chwile, ściągając na siebie niecierpliwe spojrzenie dozorca. Spokojna postać młodej kobiety, o pięknej, pociągłej twarzy wzbudziła w nim zaciekawienie i pewne moralne obawy. Bezwątpienia czekała na ukochanego. O ile pamiętał z doświadczenia, żadna kobieta nie siedziała nigdy tak długo przed jednym obrazem, nie mając jakichś głębszych motywów. Dozorca baczył pilnie, jakie też będą te motywy. Było dla niego nieomal przykrą niespodzianką, kiedy, przechodząc raz jeszcze przez salę, nie ujrzał już nikogo, widocznie para mu się wymknęła i odeszła zanim zdołał im się przyjrzeć. Będąc zmęczony całodzienną krętaniną, usiadł na miejscu, na którym czekała kilka godzin młoda kobieta, i mimowoli począł przyglądać się obrazowi, który ona przedtem studjowała. Twarz na portrecie wydała mu się zastanawiająca, jak twarz człowieka, storturowanego wewnątrz. Dozorca siedział już dłuższą chwilę, kiedy zauważył nagle, że młoda kobieta stoi znowu przy obrazie, a usta portretu jakby poruszają się. Wydało mu się to sprzeczne z przepisami obowiązującymi, powstał natychmiast i podszedł bliżej, lecz czyniąc to, przeko-

nał się, że oczy ma zamknięte, więc rozwarł je czemprędzej i przetarł. W sali nie było nikogo.

Z National Galery udała się Audrey na herbatę, a następnie do domu. Przed domem stał samochód. Weszła na górę i tu służąca przyjęła ją wiadomością, że lady Caradoc oczekuje w salonie.

Barbara stała w środku pokoju z wyrazem twarzy, przypominającym dziwnie wyraz twarzy lorda Valleys na polu wyścigowym, podczas polowania, lub na jakimś burzliwym posiedzeniu gabinetu — wyraz ostry i rezolutny.

Powiedziała natychmiast:

— Dostałem adres pani od mr. Courtiera. Brat mój jest chory. Obawiam się, że jest to zapalenie mózgu. Myślę, że dobrze będzie, jeśli pójdzie pani do niego natychmiast. Jest w mieszkaniu swem w Temple. Niema czasu do stracenia.

Pokój zawirował przed oczami Audrey. Mimo to jednak zmysły jej zaostrzyły się nagle w zadziwiający sposób, zupełnie wyraźnie poczuła zapach mułu, jaki wydawała rzeka przy odpływie. Powiedziała, drżąc:

— Już idę. Tak jest, idę natychmiast.

— Jest zupełnie sam. Nie mówił, żeby pani przyszła, lecz sądzę, że przyjdzie pani będzie jedynym ratunkiem. Kiedy mówiłam z nim, myślał, że to pani. Wspominała mi pani, że potrafi pielęgnować chorych.

— Tak.

Pokój przestał wirować, lecz przenikliwość zmysłów ustała nagle i Audrey uczuła, że myśli jej się mącą. Usłyszała słowa Barbary: — Zawiozę panią moim samochodem. — Szepnęła: — Zaraz będę gotowa — i poszła do swej sypialni.

Przez chwilę była tak kompletnie oszołomiona, iż stała beczynną. Potem wszystkie inne myśli zatoneły nagle w słodkim, prawie bolesnym zadowoleniu, jak-gdyby jakiś nowy zmysł zrodził się w niej nagle.

Prędko, lecz przytomnie, poczęła pakować. Włożyła do walizki toaletowe przybory, następnie ciepłe chustki, watę, wodę kolońską, szale, termometr, wszystko, co mogło służyć choremu. Przebrała się w skromną sukienkę i, ujawszy walizkę, powróciła do Barbary. Wyszły razem i wsiadły do auta. Pojazd ruszył, wioząc Audrey w kierunku przeznaczenia, tak straszliwego i jednocześnie tak pożądanego. Uczuła nagle szaloną obawę. Przybladła i siedziała milcząco, wsunięta w kątek samochodu. Usłyszała, jak Barbara powiedziała do kierowcy: — Proszę jechać przez Strand i stanąć koło sklepu z drobiem. Musimy kupić lodu. — Kiedy worek z lodem znalazł się już w samochodzie, dodała: — Przywiozę pani wszystko, co będzie potrzebne — w razie gdyby się doprawdy poważnie rozchorował.

Auto zatrzymało się. Audrey ujrzała otwartą bramę — odważyła się powrócić. Poczowała uścisk ciepłej dziewczęcej dłoni na swej ręce, pochwyciła walizkę, worek z lodem i wbiegła na schody

ROZDZIAŁ IX

Opuściwszy Nettlefold, Miltoun udał się wprost do swego mieszkania w Londynie i natychmiast zabrał się do pracy nad swoją książką. Pracował całą noc, — trzecią bezsennością noc z rzędu i cały następny dzień. Wieczorem, czując dziwny ból głowy, wyszedł na przechadzkę na wybrzeże. Powróciwszy, bojąc się bezsenności, nie położył się do łóżka, lecz usiadł w fotelu. Niebawem zasnął w pozycji siedzącej. Męczyły go straszliwe sny, obudził się zupełnie wyczerpany. Po kąpieli wypił kawę i znów zmusił się do pracy. W południe uczuł zawrót głowy, wyczerpanie i zupełny brak apetytu. Wyszedł na rozgrzaną słoń-

cem ulicę, zakupił kilka potrzebnych książek, wstąpił na kawę, i, powróciwszy do domu, znów zabrał się do pracy. Około godziny czwartej zauważył, że z trudnością rozróżnia znaczenie słów, — czoło miał rozpalone, wszedł więc do sypialni, by ochłodzić je zimną wodą. Począł chodzić po pokoju, nie zdając sobie już z niczego sprawy. W tym stanie zastała go Barbara. Kiedy odeszła, poczuł, że jest najzupełniej wyczerpany. Mały krucyfiks wisiał nad jego łóżkiem, rzucił się na kolana przed nim i pozostawał nieruchomo z głową zatopioną w pościeli, z rękami wyciągniętymi w kierunku ściany. Nie modlił się, szukał tylko ukojenia nerwów. W jego nawpół omroczonej świadomości, błąkały się przebłytki rozpalonej wyobraźni. Chwilami czuł zupełny upadek sił, to znów wola jego buntowała się przeciwko temu. Postanowił nie dać opanować się chorobie, by nie być śmiesznym, bezwładnym ciężarem dla pielęgnujących go kobiet. Chwile słabości przychodziły jednak częstsze i dłuższe niż poprzednio. Chcąc je przemóc, podniósł się i począł chodzić tam i zpowrotem, nagle dostał zawrotu głowy i musiał usiąść na łóżku, by nie stracić równowagi. Rozpalone czoło poczęły przeszywać lodowate dreszcze, musiał otulić się kołdrą. Dreszcze przeszły niebawem i płomień gorączki palił go znowu, lecz, wiedziony instynktem chorego, nie odrzucał teraz przykrycia i leżał bez ruchu. Zdawało mu się, że cały pokój zmienił się w ciężką, białawą substancję, podobną do chmury, w pośrodku której leżał bezwładny, nie będąc w stanie poruszyć ręką ani nogą. Zmysły węchu i dotyku zaostrzyły się nadmiernie: czuł zapach dalekiej ulicy, kwiatów, kurzu, oprawnych w skórę książek, nawet perfum, które pozostawiły suknie Barbary, i dziwną woń mułu rzecznoego. Zegar wybił szóstą, liczył każde uderzenie i nagle cały świat wypełnił się odgłosami bijących zegarów, uderzeń końskich kopyt o bruk, dzwonekórowerowych i kroków ludzkich. Wyobraźnia jego była zaabsorbowana uświadamianiem sobie białawej chmury, wśród której uno-

sił się ponad ziemią, pośród tępego, nieustannego łoskotu.

Na powierzchni chmury ujrzał formujące się małe, złote punkty, które powoli jeły się poruszać. Spostrzegł po chwili, że były to ropuchy. Nagle, ponad niemi, ukształtowała się wielka twarz ludzka, bardzo ciemna, jakgdyby z bronzu odlana, z płonącymi oczami, których spojrzenie przepalało mu mózg. Im bardziej starał się oprzeć sile tych spojrzeń, tem bardziej wżerały mu się pod czaszkę i paliły go. Chciał krzyknąć i nie mógł dobyć głosu. Nagle twarz przesunęła się ponad nim i zniknęła.

Gdy oprzytomniał, poczuł, że głowę ma wilgotną od wody chłodnej, ściekającej z przedmiotu, który przytrzymuje mu na czole osoba, nad nim pochylona. Podniósł rękę i dotknął czyjegoś policzka, usłyszał łkanie, natychmiast stłumione, i westchnął. Ktoś ujął jego rękę i całował.

W pokoju było ciemno, tak, że z trudnością mógł dostrzec jej twarz — zresztą wzrok miał również zamglony. Słyszał jednak jej oddech i każdy najdrobniejszy szmer jej sukni i ruchów. Zdawało mu się, że zapach jej rąk i włosów otacza go i wśród przejmującego cierpienia uczuł ulgę, jakgdyby wśród gorączki obręcz, otaczająca jego mózg, rozluźniła się nagle. Nie pytał, jak długo jest już przy nim, lecz leżał spokojnie, starając się nie spuszczać z niej oczu, w obawie, żeby straszliwe oblicze z bronzu, unoszące się ponad nim w przestrzeni, znów go nie nawiedziło. Poczuł nagle, iż nie będzie mógł uchronić się przed zmorą, skinał więc na nią, chwycił kurczowo jej ręce, starając się osłonić jej ciałem przed niebezpieczeństwem. Tym razem omdlenie jego nie było tak długotrwałe. Majaczył, odzyskując przytomność wtedy tylko, kiedy uświadamiał sobie jej obecność, kiedy widział ją w cieniu przyćmionej lampy, odzianą w białą szatę, krzątającą się koło niego, lub siedzącą spokojnie z jego dłonią w swoich. Czuł nawet miły chłód i ulgę, jaką mu sprawiał okład z lodu, oraz zapach wody ko-

łońskiej. Potem znów tracił przytomność i świadomość jej istnienia i pogrążał się w zagmatwany świat wizyj gorączkowych, wśród których krucyfiks, wiszący nad łóżkiem, rozrastał się do wielkich rozmiarów i zdawał się spadać na niego. Odczuwał nieokiełzaną chęć, by zerwać go ze ściany, chęć, która wzmagąca się tak, że aż nie mógł się jej oprzeć i, wznosząc się z wysiłkiem na łóżku, zerwał go. Jednakże poczucie obecności Audrey przenikało nawet najciemniejsze jego podróże po tym dziwnym kraju i raz zdawała się towarzyszyć mu w krainie, gdzie dziwaczne światło opromieniało pola i lasy, ciemną linię dalekich ugorów i jasne morze, błyszczące i spienione łagodnymi falami.

Gdy już świtało, odzyskał na dłuższą chwilę całkowitą przytomność i zdawało się, że zdziwiła go jej obecność. Siedziała bez tchu w fotelu przy łóżku w luźnej białej sukni, blada, z oczyma nieruchomo utkwionymi w jego twarzy. Usta zaciśnięte drżały za każdym jego najlżejszym poruszeniem. Oczami pił rozpaczliwie słodycz jej twarzyczki, z której zniknęła wszelka myśl o sobie samej.

ROZDZIAŁ X

Barbara nie powiedziała nikomu o chorobie brata. Zdrowy rozsądek doradzał jej, że powinna zapobiec niepokojeniu chorego. Z własnej inicjatywy sprowadziła doktora i przychodziła dwa razy dziennie, by dowiadywać się o stanie jego zdrowia.

Rodzice Barbary udali się do lorda Dennisa, by uczestniczyć w wyścigach Goodwood i z trudnością przyszło jej upozorować swą nieobecność podczas tej ulubionej uroczystości. Wpadła wkońcu na wymówkę niedaleką prawdy, że Miltoun domaga się jej obecności w mieście, a ponieważ lord i lady Valleys wciąż

jeszcze nie otrząsnęli się z niepokoju o swego syna, pretekst, podany przez Barbarę, był wystarczający. Dopiero szóstego dnia, kiedy minęło już przesilenie w chorobie i Miltoun nie miał prawie wcale gorączki, pojechała Barbara do Nettlefold. Po przybyciu udała się natychmiast do matki. Zastała ją wypoczywającą w sypialni. W Goodwood podczas wyścigów panował ogromny upał.

Barbara nie obawiała się matki, nie obawiała się nikogo, oprócz Miltoun'a i może trochę Courtiera, lecz teraz, kiedy pokojowa odeszła i zostawiła ją sam na sam z lady Valleys, nieodrazu rozpoczęła swe opowiadanie. Lady Valleys, która właśnie usłyszała w Goodwood o pewnym głośnym skandalu towarzyskim, zaczęła opowiadać swej córce pewne szczegóły, pieczołowicie wybrane i zastosowane do jej młodych uszu, czuła bowiem, że musi się tą plotką podzielić z kimkolwiek.

— Mamo, — przerwała jej nagle Barbara — Eustachy był chory. Teraz już niebezpieczeństwo minęło i następuje ciągła poprawa.

Potem, patrząc na zdumioną kobietę, dodała:

— Mrs. Noel pielęgnuje go.

Na lady Valleys choroba syna, jako należąca już do przeszłości, nie zrobiła wielkiego wrażenia, natomiast ostatnie słowa córki poruszyły ją ogromnie. Miał podzielić się wiadomością o skandalu innych, musiała wysłuchać o skandalu we własnej rodzinie, co nie jest rzeczą bardzo przyjemną. Kobieta nie pielęgnuje przecież mężczyzny w takich warunkach, nie będąc dla niego wszystkim w oczach świata.

Córka ciągnęła dalej:

— To ja sprowadziłam ją do niego. Był to jedyny ratunek, gdyż przecież tylko przez nią zachorował. Nikt nie wie, oczywiście, oprócz doktora i — Stacey.

— Wielkie nieba! — jęknęła lady Valleys.

— To go uratowało.

Instynkt macierzyński napełnił nagle lady Valleys przerażeniem.

— Czy mówisz prawdę, Barbaro? Czy niebezpieczeństwo minęło już na pewno? Jakże źle zrobiłaś nie dając mi znać!

Barbara przyjęła zarzut bez drgnienia. Lady Valleys pograżyła się w rozmyślaniu.

— Stacey jest obrzydliwie złośliwa — powiedziała nagle.

W szczegółach skandalu, o którym opowiadała właśnie córce, grała również pewną rolę nieodzowna pokojowa. Lady Valleys nie mogła dostrzec nic wesołego w tym zbiegu okoliczności. Widząc więc uśmiech Barbary, rzekła cierpko:

— Nie widzę powodu do radości.

— Tylko ten, iż przypuszczałam, że rozweseli cię pomysł wmieszania Stacey do tej całej sprawy, — mateczko.

— Co takiego? Więc ona o niczem nie wie?

— Ani słowa nawet.

Lady Valleys uśmiechnęła się:

— Jesteś niepoprawnym stworzeniem, Barbaro. — Potem dodała: — Klaudjusz wraz z matką przybędą tu z Withwater, przyjedzie również Bertie i Lily Malvezin. Idź do siebie i przebierz się.

Oczy jej badawczo przyglądały się córce tak, że lekki rumieniec okraślił twarz dziewczyny.

Kiedy odeszła, lady Valleys zadzwoniła na swą pokojową i podczas ubierania znowu pograżyła się w medytacji. Pierwszą jej myślą było powiedzenie wszystkiego mężowi, następnie uświadomiła sobie, że tajemnica jest siłą, i, że jeżeli nikt prócz Barbary o niczem nie wie, znacznie lepiej będzie, jeśli i nadal nikt się nie dowie.

Przebiegła i doświadczona, pojmowała dobrze daleko idące możliwości całej sprawy. Nie wolno jej było zrobić ani jednego fałszywego kroku. Jeśli nie będzie zmuszona do kontrolowania niczyjego postępowania, prócz własnego i Barbary, zmniejszy możliwość popełnienia jakiejś omyłki. Umysł jej był w tej chwili dziwną, tragicznie-śmieszłą mieszaniną

myśli i uczuć: światowej przebiegłości, instynktu macierzyńskiego, wrodzonej gorącej sympatji do wszelkich spraw miłosnych i chłodnego zainteresowania karierą syna. Być może nie było jeszcze za późno, by zapobiec prawdziwemu nieszczęściu, tembardziej, że wszyscy jednogłośnie twierdzili, że kobieta ta nie jest zwykłą awanturnicą. Cokolwiek się uczyni, nie należy jednak zapomnieć, że pielęgnowała ona Milton'a i nawet uratowała mu życie, jak mówi Barbara. Trzeba ją traktować uprzejmie i z względnością.

Ubrała się pospiesznie i weszła do pokoju córki. Barbara była już zupełnie gotowa. Stała przy oknie, wychodzącem na morze. Lady Valleys rozpoczęła trochę lękliwie:

— Moja droga, powiedz mi, Eustachy wstał już z łóżka?

— Miał podnieść się dzisiaj na parę godzin.

— Ach, tak! Czy byłoby to połączone z uszczerbkiem dla jego zdrowia, gdybyśmy obie udały się do niego i uwolniły mrs. Noel?

— Biedny Eustachy!

— Oczywiście, oczywiście... Lecz zastanów się, proszę, czy może mu to zaszkodzić teraz.

Barbara milczała chwilę.

— Nie, — rzekła wkońcu. — Nie przypuszczam, żeby mu teraz miało coś zaszkodzić. Chociaż właściwie należałoby się spytać doktora.

Lady Valleys manifestacyjnie okazała uczucie ulgi.

— Naturalnie, że zasięgniemy najpierw opinji doktora. Trzeba będzie przyjąć dla niego zwykłą pielęgniarkę na pewien czas.

Patrząc ukradkiem na Barbarę, dodała:

— Mam szczerzy zamiar być bardzo uprzejma dla niej, lecz nie należy być zbyt romantyczną, Barbaro.

Z uśmiezku, który się ukazał na ustach Barbary, nie mogła wywnioskować wiele. W tej chwili nawiedziła ją cała dotychczasowa obawa o córkę, przeczu-

cie, że młoda dziewczyna, zarówno jak Miltoun, stoi u progu jakiegoś szaleństwa.

— A więc moja droga, — rzekła — teraz zejść już na dół.

Barbara zabawiła jeszcze dłuższą chwilę w swym pokoju, w tym samym, gdzie kilkanaście nocy temu, leżała bezsennie, gnębiąc się rozpaczliwie, aż wkońcu, gdy nie wiedziała już co czynić, wybiegła, by ochłodzić się w ciemnym morzu. Jej ostatnia rozmowa z Courtierem stała teraz pomiędzy nią a ponownym spotkaniem z Harbingerem, spotkaniem, którego starała się uniknąć na zebraniu w Valleys-House. Zeszła na dół bardzo późno.

Tego samego wieczora, na drodze, prowadzącej na wybrzeże, pod szafirem nieba, usianego gwiazdami, spacerowało mnóstwo osób. Byli to przeważnie mieszkańcy pobliskich miast na dwutygodniowych wakacjach świątecznych. Parami, w trójkę lub w towarzystwach, złożonych z sześciu-ośmiu osób, przechodzili obok muru, otaczającego niewielką posiadłość lorda Dennisa. Odgłosy ich wesołego śmiechu i rozmów wraz z szmerem drobnych fal dobiegały uszu Harbingera, Bertie, Barbary i Lily Malvezin, kiedy wyszli po skończonym obiedzie, by odetchnąć świeżym powietrzem morskiem. Wycieczkowicze spoglądali bez szczególnego zainteresowania na te cztery sylwetki w wieczorowych strojach, które stały poza ogrodzeniem ponad ich głowami. Mieli, bezwątpienia, zupełnie inne zainteresowania: milkli coraz bardziej w miarę, jak mrok nocy gęstniał. Czworo młodych ludzi stało również milcząco. Było coś tajemniczego w tej nocy, z jej ciemną głębią i westchnieniami, coś, co przeszkadzało rozmowie. Niebawem rozdzielili się w pary i oddalili nieco od siebie.

Harbinger stał, opierając się o mur. Zdawało mu się, że na całym świecie nie istnieje ani jedno słowo, któreby mógł w tej chwili wymówić. Nawet jego największy wróg nie mógłby go nazwać romantykiem, jednakże teraz ta sylwetka dziewczyny obok niego,

połysk jej karku, bladego policzka wśród ciemności, wywoływał nastrój tajemnicy, który go zresztą bardzo rzadko nawiedzał. Umysł jego, umysł człowieka interesów, który z natury i z przyzwyczajenia, najlepiej się czuje pośród najbardziej materialnego otoczenia, uświadamiał sobie tylko bardzo niewyraźnie, że tutaj, wśród tej ciemnej nocy, ponad ciemnym morzem, u boku tej bladej dziewczyny, której serce było tajemnicą niezgłębioną dla niego, — że wśród tego wszystkiego istnieje być może coś — tak jest, — coś, co przekracza granicę jego filozofji, coś, co wabi go i pociąga z wygodnej równowagi w otchłanie boskości. Niebawem uczucie to przeszło w rozdrażnienie zmysłów, wywołane zapachem jej włosów. Chciał przerwać tę niesamowitą ciszę.

— Barbaro, — odezwał się — czyś mi przebaczyła?

Odpowiedziała bez odwrócenia głowy tonem zwykłym, obojętnym:

— Tak, przecież ci już mówiłam.

— Czy to już wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— O czym-że chcesz, żebym mówiła — o wyścigach, o biegu Cassety?

Harbinger zaklął bardzo głęboko w sercu. Bez wątpienia coś wyjątkowo złego powodowało ją, by zachowywać się tak względem niego. To był ten osobnik — ten osobnik!

Przemówił nagle:

— Powiedz mi tylko... — potem słowa uwięzły mu w gardle. Nie, jeśli rzeczywiście coś było, wolał nie wiedzieć. Istniały przecież granice!

Tam, nisko, woddali, jakaś para kochanków przeszła milcząc i obejmując się w pół rękami.

Barbara odwróciła się nagle i odeszła w stronę domu.

ROZDZIAŁ XI

Dzień, w którym Miltoun'owi wolno było po raz pierwszy wstać z łóżka, był dniem radości i zarazem smutku dla tej, która go pielęgnowała. Było dla niej wielkim szczęściem patrzeć na niego, siedzącego w fotelu i oszołomionego własną słabością. Natomiast myśl, iż nie jest już całkowicie od niej zależny, że nie jest już dla niej tem świętem stworzeniem, bezradną istotą, napawała ją smutkiem matki, której dziecko doszło do wieku niezależnego i już jej nie potrzebuje. Z każdą godziną powracającej mocy umysłu i ducha zdawał się bardziej oddalać od niej. Z każdą godziną traciła bardziej znaczenie jako jego pielęgniarka i pocieszycielka, a stawała się kobietą, którą kochał. I chociaż myśl o tem promieniała z dalekiej przyszłości jak uroczy kwiat, w terażniejszości zdawała się przynosić niepewność i obawę. Audrey czuła teraz, kiedy już najgorsze minęło, wielkie zmęczenie, tak, iż z trudnością zdawała sobie sprawę z tego, co czyni i gdzie się znajduje. Lecz uśmiech szczęścia pozostał wierny jej oczom i jaśniał w nich teraz, zaćmiewając cienie zmęczenia i kładąc znak milczenia na jej usta.

Pomiędzy dwoma brązowymi popiersiami na biurku ustawiła wazon z konwalją, każdy wolny zakątek w jego gabinecie ozdobiony został różami, by uczcić jego powrót do zdrowia.

Siedział w głębokim fotelu, owinięty w turecki szlafrok lorda Valleys, który Barbara zabrała ojcu, nie mogąc znaleźć nic odpowiedniego pomiędzy prostą odzieżą swego brata.

Zapach konwaliaj górował ponad surowym zapachem w skórę oprawnych książek, złota pszczoła napełniała pokój wesołym brzęczeniem.

Siedzieli, nie mówiąc nic, uśmiechali się tylko lekko i patrzyli na siebie. W tym cichym momencie, kiedy namiętność nie powróciła jeszcze, by ich cał-

kowicie opanować, dusze ich, krążąc wśród spokojnego przestworza, połączyły się nierozzerwalnym węzłem tak, że nie mogli odwrócić od siebie słodkiego, spokojnego, przejmującego nawskroś spojrzenia. Dusze ich trwały przy sobie, bliskie jak tony muzyki na strunach skrzypiec, zagłębione w sobie tak dalece, iż przez ten krótki moment nie były w stanie wyodrębnić się jedna od drugiej.

Lady Valleys, zgodnie ze swem postanowieniem, powróciła do miasta rannym pociągami i około trzeciej wyruszyła wraz z Barbarą do Temple. Po drodze wstąpiła do doktora. Cała sprawa byłaby łatwiejsza do przeprowadzenia, gdyby Miltoun mógł przemieścić się natychmiast do Valleys-House. Z wielkiem uczuciem ulgi przyjęła lady Valleys zapewnienie doktora, iż nie widzi żadnego niebezpieczeństwa w wykonaniu tego projektu. Poprawa zdrowia była zdumiewająca, o włos uniknęło się poważnego zapalenia mózgu! Organizm lorda Miltoun'a był bardzo odporny. Doprawdy, radziłby zmianę otoczenia. Mieszkanie w Temple było podczas panujących upałów zbyt duszne. Czy był dobrze pielęgnowany? — Oczywiście! Naturalnie! Zupełnie dobrze! W tem miejscu oczy doktora spojrzwały bystrzej. Tak jest, rozumie to, — nie była wykwalifikowaną pielęgniarką. Nie zaszkodzi wziąć inną, jeśli już zarządza się tę zmianę. Ta pani sama wkońcu mogłaby zachorować z wyczerpania. Bez wątpienia! Tak, tak, zajmie się tem! Karetkę ambulansową uważa za najodpowiedniejszą do przewiezienia chorego. Wszystko może być zarządzone już tego popołudnia, sam się tem zajmie. Mogą się o nic nie troszczyć, pielęgniarze sami już sobie dadzą radę. A kiedy już będzie w Valleys-House i kiedy się tylko trochę podreperuje i odzyska apetyt, natychmiast nad morze, natychmiast! O tej porze nic lepszego nie można zalecić. Co się tyczy odżywiania, uważałby za stosowne dawać coś na pobudzenie apetytu, niewiele, łyżeczkę może cztery razy dziennie — w tapiocie, z jajkiem lub w mleku. Po tygodniu postawi go to na nogi, zaś kil-

kutygodniowy pobyt nad morzem powróci mu całkowicie zdrowie. Przepracowanie, brak spokoju, jakaś drobnostka — wszystkoby mogło wpłynąć na zupełnie inny przebieg choroby! Oczywiście, oczywiście! Przyjdzie jeszcze sam przed obiadem, by upewnić się, że wszystko jest w porządku. Zmiana może początkowo dawać się we znaki pacjentowi!

Wyprowadził uprzejmie lady Valleys, a po jej odejściu podszedł do telefonu. Uśmiezek błakał się po jego gładko wygolonych wargach.

Lady Valleys, uspokojona rozmową z doktorem, powróciła do samochodu, w którym oczekiwała ją Barbara. Kiedy jednak auto ruszyło, torując sobie drogę wśród szalonego ruchu ulicznego, oznaki niezwykłego zdenerwowania poczęły malować się na jej pogodnym zwykle obliczu.

— Wiesz co, moja droga, — rzekła nagle — wolałabym, żeby ktoś inny tem się zajął. Przypuśćmy, że Eustachy odmówi.

— Nie uczyni tego — odpowiedziała Barbara.— Ona jest tak wyczerpana! Biedactwo! Poza tem...

Lady Valleys spojrzała z zaciekawieniem na tę młodą, zarumienioną twarzyczkę. Tak jest, jej córka była już dojrzałą kobietą, posiadała już całą intuicję kobiecą. Powiedziała poważnie:

— Postąpiłaś bardzo nieopatrnie, Barbaro. Miejmy nadzieję, że nie doprowadzi to do niczego złego.

Barbara zagryzła usta.

— Gdybyś go widziała, mamó, w tym stanie, w jakim ja go ujrzałam! A zresztą, cóż złego może się stać! Czy nie wolno im się kochać, jeśli chcą!

Lady Valleys z trudnością powściągnęła grymas. Właściwie zapatrywała się przecież tak samo na tę sprawę. A jednak!

— To tylko jest początek — rzekła. — Zapominasz, jakiego rodzaju człowiekiem jest Eustachy.

— Dlaczego nie można tego biednego stworzenia wypuścić z klatki? — zawołała Barbara porywczo. —

Coby to komu szkodziło? Mamo, jeśli kiedykolwiek, gdy będę zamężna, zechcę odzyskać swobodę, uczynię to bezwątpienia!

Głos jej drżał i dźwięk jego niczem nie przypominał zwykłego, radosnego głosu Barbary. Lady Valleys odruchowo chwyciła jej rękę i uściśniła.

— Moje drogie dziecko, — rzekła — nie mówny o tak ponurych rzeczach.

— Stanowczo obstaję przy swoim, nic nigdy mnie od tego nie odwiedzie.

Twarz lady Valleys nagle spochmurniała.

— Tak nam się tylko zdaje, moje dziecko, lecz nie jest to takie proste.

— W każdym razie nic nie może być gorszego, jak być pogrzebana żywcem, jak ta biedna kobieta — szepnęła Barbara.

Zamiast odpowiedzi, lady Valleys mruknęła:

— Doktor przyrzekł karetkę na godzinę czwartą. Cóż ja jej powiem?

— Ona zrozumie sama, gdy się na nią tylko spojrzysz. Jest tego rodzaju człowiekiem.

Drzwi otworzyła im sama mrs. Noel.

Po raz pierwszy tym razem ujrzała ją lady Valleys w mieszkaniu, w stroju domowym. Prawdziwe uczucie ciekawości dołączyło się do pewności siebie, jaką starała się zamaskować swoje zdenerwowanie. Śliczna istota, prawdziwie czarująca! Lecz choć powiedziała ze szczerą sympatją w głosie: — Jestem pani prawdziwie wdzięczna. Wyobrażam sobie, jak pani musi być wyczerpana — nie przeszkodziło to jej bynajmniej dodać śpiesznie: — Doktor zaleca, żeby syn mój przeniósł się do domu z tych dusznych pokoików. Może go pani zechce uprzedzić. My czekamy tutaj chwilę.

Natychmiast spostrzegła, iż Barbara miała rację: tej kobiecie nie trzeba było wiele, by zrozumiała.

W ciemnym korytarzu obejrzała się za Barbarą.

Młoda dziewczyna stała oparta o ścianę, z głową odrzuconą w tył.

Lady Valleys nie mogła dojrzeć jej twarzy, mimco poczuła, iż ogarnia ją uczucie dziwnej niepewności. Szepnęła:

— Dwa morderstwa i kradzież. Czy to nie było w „Nasz Wspólny Przyjaciel“, Barbaro?

— Mamo...

— Co takiego?

— Jej twarz! Kiedy odrzucasz zerwany kwiat, w ten sposób patrzy on na ciebie!

— Moja droga, — wyszeptała lady Valleys bardzo wzruszona, — co za dziwne rzeczy mówisz dzisiaj.

To czatowanie w ciemnym kurytarzu, ta szepcząca dziewczyna, wszystko to było niezwykle w jej codziennem życiu.

Następnie ujrzała przez otwarte drzwi Miltoun'a, spoczywającego w fotelu. Był bardzo blady, lecz w oczach i koło ust malował się zwykły wyraz, który wywierał dziwne wrażenie na lady Valleys: czuła się jakgdyby skarcona, a jednocześnie budziła się w niej świadomość, że jest tak bardzo, tak nieuleczalnie światowa.

Powiedziała trochę lękliwie:

— Ogromnie się cieszę, że ci jest już lepiej, mój drogi. Jak bardzo musiałeś cierpieć. Tak mi jest przykro, że do wczoraj o niczem nie wiedziałam.

Odpowiedź Miltoun'a, jak zwykle zresztą, zmieszała ją najzupełniej:

— Dziękuję! Przeżyłem cudowne chwile — teraz jednak przypuszczam, że będę musiał odpokutować za nie.

Jego uśmiech powstrzymał lady Valleys od pochylenia się i pocałowania go.

Drżała na całym ciele. Nagły przypływ uczucia prostej kobiecości sprawił, iż gorąca łza spadła na rękę syna.

Gdy Miltoun poczuł gorącą kroplę na ręce, powiedział:

— Już dobrze, mamó. Jestem zupełnie zdecydowany, by pojechać z wami.

Dotknięta tonem jego głosu, lady Valleys pokonała wzruszenie. Podczas przygotowań do odjazdu pilnie badała oboje. Prawie zupełnie nie patrzeli na siebie, a kiedy czasem spojrzenia ich spotykały się, wyraz ich oczu absolutnie nic jej nie mówił.

Odetchnęła z ulgą, kiedy Miltoun'a, owiniętego w pledy i futra, zniesiono nadół do karety. Zatrzymała się z chwilę, by pomówić z mrs. Noel.

— Zaciągnęliśmy względem pani wielki dług wdzięczności. Mogłoby być o tyle gorzej. Niech pani nie będzie smutna. Proszę się położyć do łóżka i wypocząć dobrze. — Stojąc już przy drzwiach, dodała szeptem: — Kiedy wydobrzeje zupełnie, przyjdzie pani podziękować.

Schodząc ze schodów, myślała sobie: „Tajemnicza, skryta, nigdy nieodgadnięta“... Nagle ujrzała Barbarę, wbiegającą znów po schodach na górę.

— Cóż takiego, Barbaro?

— Eustachy prosił, żeby mu przynieść trochę konwalij z pokoju — minęła lady Valleys i weszła do mieszkania.

Mrs. Noel nie było w saloniku. Młoda dziewczyna uchyliła drzwi od sypialni i zajrzała. Audrey stała przy łóżku i gładziła dłonią białą powierzchnię poduszki. Cichutko odsunęła się Barbara od drzwi i pochwyciwszy pęk konwalij, wybiegła z mieszkania.

ROZDZIAŁ XII

Miltoun posiadał silny, stalowy organizm swej babki, lady Casterley, to też szybko powracał do zdrowia. Kiedy nabrał apetytu i począł się odżywiać normalnie, na siódmy dzień uzyskał pozwolenie wyjazdu nad morze pod opieką Barbary.

Zamieszkali w małym domku nad samem morzem i spędzali czas, leżąc na piasku w cieniu sitowia, a kiedy Miltoun nabrał więcej siły, spacerowali po wybrzeżu lub udawali się na dłuższe wycieczki samochodem.

Barbara pilnie obserwowała brata. Zdawało jej się, że dość spokojnie oddaje się wypoczynkowi na łonie natury, chcąc odzyskać równowagę po walce i upadku sił ubiegłych kilku tygodni. Jednakże nie mogła się pozbyć uczucia, że wcale go przy niej nie było. Gdy na niego patrzała, miała wrażenie, że obserwuje niezamieszkaną dom, oczekujący, by ktoś się w nim rozlokował.

Przez całe dwa tygodnie nie wspomniął ani razu mrs. Noel. Dopiero ostatniego ranka, spoglądając na morze, powiedział ze swoim dziwnym uśmiechem.

— Widok morza każe nieomal wierzyć w jej teorię, że starzy bogowie jeszcze nie wymarli. Czy ty ich widzisz czasem, Barbaro, czy też jesteś równie tępa jak ja?

Bezwątpienia w gibkim pędzie fal, tych nimf morskich, otoczonych aureolą popielatych, spienionych włosów, rzucających się w ramiona brzegu, było jakieś pogańskie uniesienie, niewyczerpana radość, namiętne, słodkie poddanie się wieczystemu losowi, cudowne przystosowanie się do własnej tajemnicy życia.

Barbara, zmieszana jak zwykle tonem jego głosu, nagle przerwana w głębinę nowego, niezwykłego zagadnienia, nie umiała znaleźć odpowiedzi.

Miltoun ciągnął dalej:

— Mówi ona czasem także, że można usłyszeć śpiew Apolla. Posłuchajmy, może nam się uda.

Lecz usłyszeli tylko westchnienie morza i wiatru, szmerzącego w sitowiu.

— Nie, — szepnął Miltoun wkońcu — ona jedynie może go usłyszeć.

I Barbara znów ujrzała dziwny wyraz na jego twarzy, wyraz nie smutku lub zniecierpliwienia, lecz jakiejś pustki, coś niezamieszkanego i oczekującego.

Następnego dnia opuściła siedzibę nad morzem, ażeby się spotkać z matką. Lady Valleys, po wizycie w Cowes i u księżnej Gloucester, powróciła do miasta, gdzie oczekiwała na otwarcie parlamentu. Następnie zamierzała udać się do Szkocji. Barbara jeszcze tego samego popołudnia po przybyciu do Londynu, poszła do mieszkania mrs. Noel. Złożyła tę wizytę kierowana nie tyle współczuciem, ile dziwną ciekawością i troską. Teraz, kiedy Miltoun był już zupełnie zdrow, czuła pewne zaniepokojenie. Czy popełniła błąd, sprowadzając mrs. Noel, by go pielęgnowała?

Kiedy młoda dziewczyna weszła do saloniku, zastała Audrey siedzącą w głębokiej, miękko wystanej poduszkami, wnęce okiennej z otwartą książką na kolanach. Fakt, iż książka otwarta była właśnie na spisie rozdziałów, upewnił Barbarę, że mrs. Noel nie czytała zbyt uważnie. Nie okazała wzruszenia na widok swego gościa, ani żywszego zainteresowania nowinami o Miltoun'ie. Barbara była zaledwie kilka minut w pokoju, kiedy uderzyła ją myśl: „Boże drogi! Przecież ona ma ten sam wyraz twarzy co Eustachy”. Ona również była, jak jakieś puste pomieszczenie, bez zniecierpliwienia, niezadowolenia lub bólu — w oczekiwaniu! Młoda dziewczyna, ogarnięta dziwnym uczuciem zmieszania, zdołała zaledwie zastanowić się nad swem odkryciem, kiedy zaanonsowano przybycie Courtiera. Czy był to prosty zbieg okoliczności, czy też wynik obliczeń na podstawie kartki, którą pisała z Sea House? Donosiła w niej, że Miltoun ma się już zupełnie dobrze, wobec czego ona powraca do miasta i ma zamiar przyjść do mrs. Noel i podziękować jej. Co spowodowało jego wizytę — tego nie umiałyby wyjaśnić Barbara, jak również nie umiałyby wyjaśnić własnych uczuć w tej chwili. Przybrała niedostępny wyraz twarzy, o którym wiedziała, że Courtier tego nie znosi. Jakkolwiekby było, zaczerwienił się w chwili, kiedy się z nią witał. Oznajmił mrs. Noel, że przyszedł się pożegnać. W przyszłym tygodniu wy-

jeżdża już stanowczo. Starcia wybuchły, rewolucjoniści są liczebnie dużo słabsi. W rzeczywistości powinieli być tam znajdować już oddawna!

Barbara, która odeszła do okna, odwróciła się nagle i powiedziała:

— Przecież pan głosił idee pokoju jeszcze przed dwoma miesiącami!

Courtier skłonił się.

— Niewszyscy jesteście doskonale stali w przekonaniach, lady Barbaro. Biedni straceńcy walczą za świętą sprawę.

Barbara wyciągnęła do mrs. Noel rękę z pożegnaniem.

— Pan uważa ich sprawę za świętą tylko dlatego, że są słabsi.

Dowidzenia, mrs. Noel. Świat jest przeznaczony dla silnych — nieprawdaż?

Powiedziała to, żeby go dotknąć i z tonu jego głosu wywnioskowała, iż dopięła celu.

— Nie, nie, lady Barbaro. Matka pani mogłaby coś podobnego powiedzieć, ale pani nie powinna tak mówić.

— Jest to mojem osobistem przekonaniem. Dowidzenia!

Wyszła z pokoju.

Powiedziała mu przecież, że nie chce, żeby wyjeżdżał — nie teraz jeszcze, a mimo to wyjeżdża!

Zaledwie wyszła po tym niezwykłym wybuchu, przygryzła silnie usta, by stłumić w sobie uczucie irytacji i omal-że bólu. Był dla niej szorstki, a ona odpłaciła tem samem. W taki sposób pożegnali się! Potem, wychodząc na słoneczną ulicę, pomyślała sobie: „A więc dobrze; ja go nic nie obchodzę, a on mnie jeszcze mniej!”

Usłyszała za sobą głos.

— Czy pozwoli pani sprowadzić sobie dorożkę?

Uczucie bólu ustąpiło natychmiast, lecz nie odwróciła się, uśmiechnęła się tylko, kiwnęła główką i usunęła się trochę, by mu zrobić miejsce na chodniku obok siebie.

Chociaż szli obok siebie, nie mówili z początku wcale. Barbara czuła, jak budzi się w niej niepowstrzymana, djabelna chęć poznania prawdziwych uczuć, które ukrywały się pod obojętną powagą, chęć zmuszenia go do okazania, jak dalece mu na niej zależy. Oczy miała skromnie spuszczone, lecz koło ust błąkał się ledwie dostrzegalny uśmiezek, czuła, iż policzki jej płoną, lecz wcale się tem nie martwiła. Czy nie miała osiągnąć żadnego... żadnego... czyżby miał odejść bez... Pomyślała: „Musi mi coś powiedzieć! Musi przemówić do mnie bez tej obrzydliwej ironji”!

Powiedziała nagle:

— Tych dwoje czeka tylko — na pewno coś się jeszcze zdarzy.

— Bardzo być może — odpowiedział poważnie.

Spojrzała na niego, sprawiło to jej satysfakcję, gdyż zdrzał pod jej spojrzeniem. Powiedziała łagodnie:

— Myślę, że postąpią zupełnie słusznie.

Zdawała sobie sprawę, że były to nieopatrne słowa; nie zastanawiała się także, co chce wyrazić, wiedziała też doskonale, że buntowniczy duch ich poruszy Courtiera. Odgadła z jego spojrzenia, iż tak się stało w istocie, więc po krótkiej chwili dodała:

— Szczęście jest główną rzeczą — a potem z łagodnym, trochę złośliwym spokojem — czy nie tak, mr. Courtier?

Cała radość zniknęła z jego twarzy. Poblądł bardzo. Podniósł dłoń i znów ją opuścił. Zrobiło się jej jego żal. Ruch ten zdawał się prosić, by go oszczędziła.

— Jeśli o to idzie — powiedział, — to, niestety, należy przyzwyczać się zarówno do nieprzyjemnego, jak i do przyjemnego. Lecz życie jest jednak czasami niesłychanie wesołe!

— Naprzykład teraz.

Spojrzał na nią poważnie i odparł:

— Naprzykład teraz.

Uczucie najzupełniejszego upokorzenia ogarnęło Barbarę. Był dla niej za silny — raziła ją jego donkiszoterja — nienawidziła go! I z mocnem postanowieniem, by nie pokazać nic po sobie, by okazać się równie silną, jak on, rzekła spokojnie:

— A teraz czas na mnie, wsiądę do dorożki.

Kiedy siedziała już w dorożce, a on stał obok z kapeluszem w ręku, spojrziała na niego tak, jak spojrzeć czasem umieją kobiety, że nie zauważył nawet, iż na niego patrzyła.

ROZDZIAŁ XIII

Kiedy Miltoun przyszedł podziękować Audrey Noel, zastał ją, stojącą pośrodku pokoju. Ubrana była białą, usta jej i ciemne oczy uśmiechały się, wyglądała dostojnie, jak kwiat w cichy, bezwietrzny dzień.

Spojrzeli na siebie i zapomnieli o wszystkim. Kiedy jaskółki pierwszego dnia letniego otoczy wiew łagodnego powietrza, zapominają one o zimnych dreszczach wiatru, nie mogą wyobrazić sobie zamarcia blasku słonecznego na skrzydłach i fruwać godzinami całymi ponad złotymi polami, nie jak ptaki, lecz jak oddech nowej i słonecznej pory roku. Jaskółki nie umieją szybciej i całkowiciej zapominać niedoli dni minionych, niż tych dwoje. Spojrzenie jego było tak spokojne, jak ona sama, oczy jej, zwrócone ku niemu, wyrażały spokój i ciszę wielkiego, skupionego wzruszenia.

Usiedli, by porozmawiać ze sobą. Zdawało się, że powrócili do owych dawnych dni w Monkland, kiedy on przychodził do niej tak często i dyskutował o wszystkim na ziemi i niebie. A jednak, poza tem spokojnem, skwapliwem radowaniem się wzajemną obecnością, odczuwali jakiś rodzaj strachu. Był to nastrój wczesnego poranka przed samym

wschodem słońca. Srebrzyste, jakby z rosy utkane, pajęczyny kryły kwiaty ich serc, a jednak każdy uwięziony kielich był widoczny. Oboje zdawali się przenikać wzrokiem pajęczą siatkę w poszukiwaniu barw i głęboko ukrytych kształtów, uwięzionych tak zazdrośnie. Każde z nich obawiało się odsłonięcia cudzej tajemnicy. Byli jak dwoje kochanków, którzy, błądząc po cienistym lesie, obawiają się przerwać rozmowę o drzewach, ptakach i zaginionych dzwoneczkach leśnych, aby ich gwiazda przyszłości nie spadła i nie zaginęła w otchłani pocałunku. Każda godzina posiada swą duszę, a duszą tej godziny był zapach i czar białych kwiatów, stojących w wazonie na oknie, tuż ponad główką Audrey.

Rozmawiali o Monkland i chorobie Miltoun'a, o jego pierwszej mowie, o wrażeniach, jakie wyniósł z Izby Gmin, o muzyce, o Barbarze, Courtierze i o rzece. Opowiadał jej o stanie swego zdrowia i opisywał czas, spędzony nad morzem. Ona, jak zwykle, mówiła mało o sobie, przekonywując go, że nawet jego może to mało interesować, opisywała natomiast jeden wieczór spędzony w operze, oraz opowiedziała jak to znalazła w Galerji obrazów portret, przypominający Miltoun'a. Łagodny, ściszony, radosny, dźwięk ich głosów nadawał tym wszystkim i wielu innym pospolitym zagadnieniom słodkie, doniosłe znaczenie i otaczał je aureolą, której żadne z tych dwojga nie zniszczyłoby za nic na świecie.

Było już po szóstej, kiedy Miltoun wstał, zabierając się do odejścia i przez cały ten czas ani na jedną chwilę nie zamęcili świętego spokoju uczucia, goszczącego w ich sercach.

Rozstali się spokojnem spojrzeniem, które zdawało się mówić:

— Dobrze nam było — piliśmy z czary szczęścia.

W tym stanie zadziwiającego spokoju pozostawał Miltoun od chwili, kiedy od niej wyszedł, aż do godziny wpół do dziesiątej wieczorem, gdy wyruszył, by udać się do parlamentu. Zapadła jedna z tych

ciepłych, jasnych nocy, która po wsiach mieni się magicznym urokiem robaczek świętojańskich i nawet na miasto rozlata swój tajemny czar. Miltoun'owi, rozradowanemu odzyskanem zdrowiem i dobrem samopoczuciem, którego każdy zmysł był na nowo rozbudzony i bystry, spacer taki, wśród ciepłej, pięknej nocy sprawiał niewymowną przyjemność. Przechodząc drogą koło St. James parku, czuł prawie że wyrzuty sumienia, deptając szafirowe cienie liści kasztanów — tak piękne, jakby były żywe. W powietrzu unosiły się ćmy i komary, zrodzone na wodzie, z trawników dolatywał zapach świeżo skoszonego siana. Miltoun czuł, iż serce jego lekkie jest, jak jaskółka, którą obserwował tego poranka. Odlatujący ptak zdobył gdzieś siwe piórko, uniósł się ze swym skarbem, wypuścił z dzióbka i znów obniżył lot, by schwytać je zpowrotem. Tak wysoko wzbijał się jego duch na wyżyny szczęścia tej pięknej nocy! Przybliżywszy się do gmachu parlamentu, zapragnął pospacerować jeszcze trochę, zawrócił więc na zachód w stronę rzeki. Wieczór był tak cichy, że powierzchnia rzeki wyglądała jak czarne wężowo-gładkie włosy natury, rozpuszczone na łożysku ziemi, oczekujące na pieczętowaną boskiej dłoni. Gdzieś woddali, na przeciwległym brzegu, tętniła jakaś wielka maszyna, niezatrzymana mimo spóźnionej pory. Kilka gwiazd iskrzyło się na ciemnym niebie, lecz nie było księżyca, któryby swą poświatą zaćmił płomień lamp. Nieliczni przechodnie mącili spokój. Miltoun szedł wzdłuż wału rzecznoego, następnie przeszedł most i znalazł się znów przed domem, gdzie mieszkała Audrey. Stanął przy ogrodzeniu. W saloniku jej małego mieszkanka nie było światła, lecz okno było otwarte i korony białych kwiatów wazonie na okiennym parapecie błyszcząły wśród ciemności, jak twarz półksiężyca. Nagle ujrzał dwie blade dłonie, które ujęły wazon, podniosły go i usunęły w głąb. Zadrżał, jakgdyby jego dotknęły. Znowu białe dłonie wypłynęły, przedzielała je teraz

ciemność, księżyc białych kwiatów zniknął, na ich miejsce umieszczone zostały pęki szafirowych, czy też purpurowych kielichów. Powiew ciepłego powietrza, płynący gdzieś z pośród ciemnej nocy, przyniósł mu ich mocny zapach, — powstrzymał oddech z obawy, by nie zawołać głośno jej imienia.

Ręce zniknęły znowu w otwartym oknie, nie widać już było nic prócz ciemności. Napływ tak szalonej tęsknoty ogarnął Miltoun'a, iż zatracił wszelką władzę ruchu. Usłyszał teraz dźwięki muzyki, — grała. Ściszony strumień melodji podobny był do nocy, wzdychał, pulsował, drżał cichą, leniwą słodyczą. Zdawało się, że muzyka Audrey przywołuje go, mówi mu, że i ona za nim tęskni i jej serce również przenika pustką. Tony zamarły. W oknie ukazała się jej biała sylwetka. Od tego zjawiska nie chciał, ani nie próbował wcale się oddalić. Wszedł w obręb światła lampy. Ujrzał nagle, jak wyciągnęła ku niemu ręce, a potem przycisnęła je do piersi. Wtedy zamarło w Miltoun'ie wszystko, prócz szaleństwa tęsknoty. Przebiegł pędem malutki ogródek, sień, schody.

Drzwi były otwarte. Przesząpił próg. Ciemno było w małym saloniku, gdzie zapach czerwonych kwiatów w oknie napelniał powietrze. Z początku nie mógł jej dojrzeć, potem zauważył cień jej białej sukni koło pianina. Siedziała z rękami spoczywającymi na bladych klawiszach. Padł przed nią na kolana, ukrył twarz w jej sukni i, nie patrząc w górę, podniósł ku niej obie dłonie. Jej łzy gorące padały na jego ręce. Przytuliła jego dłonie do serca, które pulsowało tak, jakby oddechała w niem cała namiętna, gorąca noc. I pierzchnęło wszystko, prócz nocy i miłości.

ROZDZIAŁ XIV

Na wybrzeżu Sussex, niedaleko Nettlefold, na małym wzgórzu roztacza się niewielki nadmorski gajk. Przechodzień, wkraczający w jego zacisze ze słonecznego wybrzeża, uchyla w duchu czoła przed świętością tego miejsca. W głębi lasu, krocząc poprzez pachnący zielony dywan, znużony wędrowiec orzeźwia czoło czystym, świeżym powietrzem i ciszą. Kwiaty promieni słonecznych na ziemi, pod gęstwiną gałęzi, rzadkie są i blade, owady nie maćą ciszy brzęczeniem, ptaki są prawie milczące. Na skraju lasu skupiają się ciche, mleczno-białe stada, szukające osłony przed południowym skwarem. Tutaj, ponad polami i siedzibami, ponad nieustającą, pajęczą pracą ludzkich poczynań i gwarem ich rozmów, otacza strudzonego przechodnia dziwnie uroczysty nastrój. Wszystko zdaje się głosić boskość: wielkie białe chmury, szybujące w górze, słaby, tęskny poszum gałęzi i dalekiego morza. I na chwilę zanika bezradność i bojaźń przed majestatem pokoju boskiego.

Podobny nastrój udzielił się Miltoun'owi, kiedy dotarł do tej świątyni w trzy dni po owej szalonej nocy. Szedł przez długie godziny samotny i pełen najsprzecznějších uczuć. Przez te trzy dni dał się ponosić prądowi, a teraz, wyrwawszy się z miasta, gdzie nie sposób było zastanowić się w spokoju nad sobą, uciekł tu, do samotności wybrzeży, by rozważyć swą nową sytuację.

Sytuację tę uważał za wysoce doniosłą. W zamęcie całkowitego urzeczywistnienia, nie istniało już teraz dla niego zagadnienie wyrzeczenia się jej. Należała do niego a on do niej — to było przesądzone. Lecz co należało czynić teraz? Nie było żadnej możliwości uwolnienia jej z więzów małżeństwa. Z punktu zapatrywań jej męża nie było okoliczności takich, w których małżeństwo mogłoby być uznane za

zerwane. W rzeczywistości, dla samego Miltoun'a rozwód nie ułatwiłby niczego, gdyż wierzył, że oboje zawinili ciężko, a winni nie mogą się połączyć ślubami. Nie żądała niczego więcej, niż być potajemnie jego, a on wiedział, że było to wyjście, które obrałaby większość mężczyzn bez dalszego zastanowienia. Nie było żadnego oczywistego powodu, by nie miał właśnie tak postąpić, pozostawiając niezmienionym dotychczasowy tryb życia. Byłoby to łatwiejsze, najzwyczajniejsze. Wiedział też, że nie będzie czuła się niešťczęśliwa przy swej łatwości do poświęceń i samozaparcia. Sumienie Miltoun'a było czemś strasźliwym i okrutnym. W gorączce, podczas jego choroby, przybrało kształt Wielkiego Oblicza, unoszącego się ponad nim. Walka ucichła w nim podczas długich tygodni rekonwalescencji, jednakże teraz, kiedy oddał się swej namiętności, sumienie w nowej, złowieszczej formie zbudziło się i przygniatało jego serce. Musi i powinien uwiadomić jej męża. Choć nie doprowadzi to nawet do jawnego skandalu, czy będzie mógł nadal oszukiwać tych, którzy — gdyby dowiedzieli się o jego nielegalnej miłości — nie pozwoliliby mu nadal pozostawać ich przedstawicielem. Gdyby powszechnie wiadome było, że Audrey jest jego kochanką, byłby zmuszony porzucić swe dotychczasowe stanowisko w życiu publicznem... Czyż honor nie nakazywał mu teraz z własnej woli zrezygnować ze swej godności? Dniem i nocą prześladowała go myśl: „Jak mogę ją, żyjący wbrew autorytetowi, być autorytetem dla mych współobywateli? Jak mogę pozostawać na odpowiedzialnem stanowisku w życiu publicznem? Lecz jeśli ustąpię, cóż wtedy uczynię?”

Ten sposób życia leżał mu we krwi. Był urodzony i wychowany dla takiego życia. Nie myślał o niczem innym od czasu, kiedy był małym chłopcem. Nie było innego zajęcia, ani zainteresowania, które mogłoby przykuć jego uwagę choćby na chwilę. Wiedział dokładnie, że w tym wypadku egzystencja jego byłaby zupełnie zrujnowana.

I tak szalała walka w jego dumnej, udęczonej duszy, która przeżywała wszystko zbyt tragicznie. Wola nakazywała mu nie opuszczać i nie zaniedbywać pracy i władzy nad pożytecznym dobrem, — sumienie podszeptywało mu bezustannie i gorliwie, iż jeśli podjął się sprawować władzę, musi również podlegać jej autorytetowi.

Idąc przez mały gaik nadbrzeżny, znajdował się w stanie najwyższej rozpacz i buntował przeciw zadanu, które los przed nim postawił. Nawiedzały go porywy gniewu do tej namiętności, którą musiał opłacić ceną swej kariery życiowej lub honoru, porywy, po których następowały wyrzuty sumienia, że choć przez okamgnienie mógł pożałować swej miłości dla tej słodkiej istoty. Twarz Lucyfera nie była bardziej ponura, bardziej udęczonej, niż oblicze Miltoun'a w mroku leśnym, wysoko ponad królestwem tego świata, dla którego walczyły jego ambicje i sumienie. Rzucił się na ziemię, wyciągnął ręce i przypadkowo dotknął dłonią chrabąszcza, który pełzał poprzez nieporośniętą trawą ziemię. Jakiś ptak okaleczył go. Miltoun wziął w rękę małe stworzenie. Chrabąszcz był bezsilny, lecz oszczędzono mu losu, któremu podlegać musiał człowiek, trzymający go teraz w ręce. Gdy odjęto mu władzę swobodnego poruszania się, chrabąszcz, w przeciwieństwie do człowieka, nie miał świadomości, iż życie całe ma zmarnowane. Gdy odbiorą mu władzę, świat się nie zapadnie, będzie widział jeszcze siebie pełzającego bezradnie po ziemi. Myśl ta gnębiła go. Czemu ją spotkał, pokochał i był przez nią kochany? Czemu był pewny tego od pierwszej chwili, kiedy ona nie była przeznaczona dla niego? Gdyby nawet żył sto lat, nigdy nie spotka drugiej, jej podobnej. Czemu w imię swej miłości musi pogrzebać wolę i siłę człowieka? Jeśli nie mógł się dopatrzyć logiki w schemacie boskim, niechaj sam postąpi nielogicznie! Niechaj sam będąc autorytetem, postępuje wbrew autorytetowi! Pocóż paraliżować swą

władzę dla dobra logiki, która nie istnieje! Byłoby to szaleństwo większe, niż cały ten szalony świat!

Nie było odpowiedzi na jego myśli w ciszy leśnej, tylko gruchał gdzieś woddali gołąb i słychać było lekki tupot trzody, wylegającej znowu na jasność słoneczną. Powoli cisza przeniknęła do duszy Mil-toun'a. Pomyślał sobie: „Czy tak będzie w grobie? Czy gałęzie tych drzew — to ciemna ziemia nade mną? A szum wśród nich, czy to poszum, który umarli słyszą, gdy kwiaty rosną, a wiatr przefruwa wśród nich? Jest-li dotyk tej ziemi podobny temu, który się odczuwa, leżąc z wzrokiem zwróconym na wieki w nic-kość? Może życie nie jest niczem innym, jak zjawą, snem, — a to właśnie jest jawa? I pocóż mój gniew, ten nic nieznaczący płomień, wybuchający tu i ówdzie, gdy w rzeczywistości niema wiatru, któryby go podniecił, jeno otacza mnie całun cichego powietrza i kwiaty słońca, rzucone na mnie niewidzialną dłonią? Dlaczego nie mam uspić duszy mej, miast pozwolić, by zniszczyło ją pożerające szaleństwo? Czemu nie mam czekać cierpliwie na kształt, którego obecne życie jest jeno lichym cieniem?”

Leżał, wstrzymując oddech i patrząc na nieruchome gałęzie, które stanowiły ciemne obramienie dla przeglądającego przez nie perłowego nieba.

„Czyż miłość nie starczy za wszystko“ myślał. „Czyż spokój nie starczy za wszystko? — Czyż nie wypełni mu życia, tak jak wypełnia życie kobiecie? Czyż nie jest to zbawieniem i szczęściem? Czem jest wszystko inne? Pustym dźwiękiem, ambicją, która w rzeczywistości jest niczem“.

I, jakby lękając się, że nie uda mu się utrzymać tej myśli i postanowienia, powstał i wybiegł śpiesznie z lasu.

Rozległy krajobraz pól i drzew, poprzecinanych białawymi drogami, skrzył się w promieniach południowego słońca. Nie było tu dzikich, zamieszkałych przez wiatry, obszarów, błyszczących purpurą i szafirem, strzeżonych przez szare skały, nie było

tu siedziby wiatrów, ni dzikich bogów. Wszystko było pogodne i srebrzysto-złote. Miast ostrego, żałośliwego gwizdu lecących na żer, napoty zbłąkanych wśród wiatru, sępów, w górze niewidzialne skowronki wznosiły hymny na cześć ciszy i pokoju; i nawet morze, neporuszone u brzegów żadnem skrzydłem awanturycznego ducha — wiatru, trwało spokojnie u boku ładu.

ROZDZIAŁ XV

Kiedy popołudniu tego samego dnia Miltoun nie zjawił się w cichem mieszkaniu Audrey, wszystkie mrozące wątpliwości, które tylko jego obecność zdolna była uspokoić, wypełzły w umyśle tej, która zawsze zbyt skłonna była niedowierzać własnemu szczęściu. Nie mogło przecież trwać długo — jakżeż by mogło?

Ich charaktery różniły się przecież zasadniczo. Nawet w oddaniu, które było przecież tak wielkiem szczęściem, wątpiła jeszcze, gdyż wiele myśli jego i uczuć pozostawało dla niej tajemnicą. Wszystko, co kochał w naturze i poezji, miało w sobie coś surowego i nadziemskiego. Łagodność, subtelność i harmonja nie czyniły na nim wrażenia. Nie obdarzał miłością tych prostych, zwykłych przejawów życia, jak ptaki, pszczoły zwierzęta, drzewa i kwiaty, to, co właśnie było dla niej najdroższe.

Chociaż nie dochodziła jeszcze godzina czwarta, Audrey poczyniała już kłonić się, jak kwiat, pragnący wody. Usiłując rozerwać się trochę, usiadła do pianina i grała, lecz tylko półświadomie, myślą błądziła po mieście w poszukiwaniu Miltoun'a. Po herbacie próbowała z początku czytać, następnie szyć, wreszcie powróciła znów do pianina. Zegar wybił szóstą i jakgdyby ostatnie jego uderzenie przebiło tarczę ochronną jej duszy, poczuła się nagle ogromnie

nieszczęśliwa i niespokojna. Dlaczego tak zwlekał z przyjściem? Grała jeszcze i przewracała kartki nut machinalnie, bez zwracania na nie uwagi. Dręczyła ją myśl, że może zachorował. Może powinna zatelegrafować? Lecz dotąd kiedy nawet nie wie, gdzie on się znajduje?

I nagle wielki, nieuzasadniony lęk przed nieświadomością tego, gdzie się jej ukochany znajduje, przejął ją do głębi, tak, że jej ręce zdrętwiałe osunęły się z klawiszów. Nie była w stanie usiedzieć teraz spokojnie, krążyła od okna do drzwi, wychodziła do małego hallu i znów pospiesznie wracała do okna. Dręczyła ją ciemna chmura niepewnych, coraz straszniejszych przypuszczeń. Może to już koniec wszystkiego? Może wybrał właśnie taką miłosierną drogę, by ją porzucić? O, z pewnością nigdy nie byłby tak okrutny! Nagle po tych bolesnych rozmyślaniach nastąpiła reakcja, powiedziała sobie, iż jest niemądra. Bezwątpienia był w parlamencie, coś zupełnie zwykłego powstrzymało go od przyjścia. Było nonsensem niepokoić się! Musi przyzwyczaić się do tego. Za żadną cenę nie chciałaby mu być przeszkodą. Wołałaby raczej — tak jest — wołałaby raczej, żeby nie wrócił więcej. Wzięła znów książkę, zdecydowana czytać spokojnie aż do jego przyjścia. Lecz z chwilą gdy usiadła, obawy jej powróciły ze zdwojoną siłą, nawiedziło ją mrozące krew w żyłach straszne uczucie niepewności, świadomość, że nie jest w stanie uczynić nic tylko czekać do chwili, kiedy rozstrzygnie się coś, nad czym sama nie ma żadnej władzy. I, przekonana przesądnie o tem, że oczekiwanie przy oknie, skąd go mogła dojrzeć idącego, powstrzymuje właśnie jego przybycie, oddaliła się do swej sypialni. Stamtąd obserwowała błędzące ponad rzeką chmury, ciemno purpurowe w promieniach zachodzącego słońca. Lekki, szemrający wetryk przefruwał wzdłuż domów, mrok począł pełzać powoli. Nie zapalała światła, nie chcąc przyznać się przed sobą, że już naprawdę zaczyna być późno. Przebierała się, maru-

dząc rozpaczliwie nad każdym najdrobniejszym szczegółem toalety, czerpała jakąś nieuchwytną, tajemną ulgę, starając się wszelkimi siłami uświadomić sobie, że jest piękna. Z prostej obawy, by nie powrócić do salonu zanim on przyjdzie, rozpuściła włosy, pomimo, iż były w najzupełniejszym porządku i poczęła je szcztokować. Nagle zastanowiła się z przerażeniem nad swojemi wysiłkami przystrojenia się. — Gotując się tak szczególnie na jego przybycie, kusiła przecież los. Za każdym najłżejszym odgłosem nieruchomiąta, nad słuchując, biała jak smukły narcyz wśród mroku, pochylony w kierunku dźwięku jakiejś nieuchwytniej melodji, którą przygrywa dlań ktoś gdzieś, daleko, w polu. Lecz wszystkie te drobne odgłosy milkły jeden za drugim bez znaczenia i za każdym razem myśl jej powracała do białych ścian pokoiku, by znów zająć jakąś pracą drobne, leniwie się poruszające palce. Przez tę godzinę, spędzoną w mrocznej sypialni, przeżyła lata całe. Ciemno było zupełnie, kiedy z niej wyszła.

ROZDZIAŁ XVI

Miltoun przyszedł dopiero po godzinie dziewiątej. Wyszła naprzeciw do hallu i w milczeniu, drżąc na całym ciele, przytuliła się do niego. Ten wyraz namiętnego wzruszenia bez jednego słowa, które nadałoby mu kreślenie, przejął go do głębi. Jakże wrażliwa była i czuła! Zdawało się, że jest zupełnie bezbronna. Lecz chociaż głęboko dotknęło go jej wzruszenie, nie ukoіło w nim bynajmniej wzburzonych nerwów. W tym momencie była wcieleniem życia, na jakie się musi zdecydować — życia nieustającej tkliwości, bierności i zastanowienia.

Przez długą chwilę nie mógł się zdobyć na wyjawienie swej decyzji. Każdy ruch jej, każde spojrzenie jej oczu zdawało się przemawiać za tem, by

zachował milczenie. Lecz w naturze Milton'a tkwił pierwiastek nieugiętości, który nie dozwalał mu odbiegać od raz przyjętego postanowienia.

Kiedy dobiegł końca swego wyjaśnienia, rzekła:

— Dlaczego nie mamy utrzymywać wszystkiego w tajemnicy i nie rozstawać się?

Wtedy poczuł z rodzajem przerażenia, że musi stoczyć całą walkę na nowo. Powstał i otworzył okno. Ponad rzeką zwisało ciemne niebo, wiatr podniósł się. Usłyszał nieustający szept i czarna otchłań nocy z rozsypanymi gwiazdami spojrzała mu prosto w twarz. Cofnął się i, opierając się parapecie okna, spojrzał na Audrey. Jakżeż podobna była do delikatnego kwiatu! Błysnęło mu w pamięci wspomnienie uwiedłego kwiatu, który kiedyś wiosną wrzuciła Audrey do płomieni ze słowami: „Nie mogę znieść, gdy kwiaty więdną, zawsze mam ochotę je spalić”. Ujrzał dokładnie delikatne, woskowe płatki, ustępujące pod gwałtownym uściskiem małych, czerwonych, pełzających iskier, oraz smukłą łodyżkę, drżącą, rozżarzoną i kurczącą się jak coś żywego. Zmieszany rozpoczął:

— Nie mogę żyć w kłamstwie. Jakież mam prawo przewodzić ludziom, kiedy sam się nie umiem przystosować i być posłuszny? Nie jestem podobny do naszego wspólnego przyjaciela Coutiera, który wierzy w wolność. Ja nigdy w nią nie wierzyłem i nigdy nie będę wierzył. Wolność?! Cóż to jest ta Wolność? Tylko ci, co poddają się władzy, mają prawo sprawować władzę. Człowiek, który stara się przeforsować prawa, podczas kiedy sam niema dość siły, by im podlegać, jest łotrem. Nie chcę być tym, o którym powiedziec mogą. „On umie opanować innych, lecz siebie...”

— Przecież nikt nigdy się nie dowie.

Milton odwrócił się.

— Ja będę wiedział — rzekł, lecz spostrzegł zupełnie jasno, że ona nie rozumie go. Jej twarz nosiła wyraz dziwnej, budzącej się skrytości i zamknięcia się w sobie, jakgdyby ją czemś przestraszył. To,

iż nie jest w stanie go zrozumieć, rozgniewało Mil-
toun'a.

— Nie mogę pozostać na tem stanowisku w ży-
ciu publicznem — powiedział z uporem.

— Lecz co to może mieć wspólnego z polityką?
Jest to tak mało znaczące.

— Gdyby to było mało znaczące dla mnie, czyż-
bym zostawił cię w Monkland i przepędził w czyszcę
te pięć tygodni przed moją chorobą? Zaiste drobna
rzecz!

Zawołała w nagłym porywie:

— Okoliczności są mało znaczące. Miłość jest
najważniejszą rzeczą.

Miltoun spojrział na nią ze zdumieniem. Po raz
pierwszy uświadomił sobie, że posiada ona swoją filo-
zofję, równie głęboką i stanowczą, jak jego własna.
Lecz odparł z okrucieństwem:

— A więc właśnie, ta najważniejsza rzecz zwy-
ciężyła mnie.

Ujrzał, jak podniosła oczy, jakby dostrzegając
w najskrytszym zakątku duszy jakieś straszliwe,
prerażające odkrycie. Spojrzenie jej było tak smutne,
tak niesamowicie przenikliwe, że Miltoun odwrócił
oczy.

— Być może, że jest to mało znaczące — za-
mruczał. — Ja nie wiem. Nie widzę przed sobą prostej
drogi. Straciłem grunt pod nogami, muszę go odzy-
skać, zanim cośkolwiek postanowię.

Ona, jakgdyby nie słyszała tego, co powiedział,
lub nie starała się zrozumieć sensu jego słów, po-
wtórzyła:

— Och, pozostawmy wszystko tak, jak było, ni-
gdy nie będę pragnęła od ciebie tego, czego mi nie
możesz dać.

Upór jej w tej chwili właśnie, kiedy miał uczy-
nić wszystko, żeby się tylko jej całkowicie, bez za-
łszeń poświęcić, wydał mu się bardzo nierozważny

— Ja się już raz zdecydowałem — rzekł. — Nie
mówmy o tem więcej.

Lecz wyszeptała znowu z jakimś udręczonym uporem:

— Nie, nie, nie. Niech pozostanie tak, jak było.

Miltoun poczuł, iż dłużej cierpieć nie może! Położył rękę na jej ramieniu i rzekł:

— Dość już o tem. — I nagle, w przybliżeniu skruchy, pochwycił ją w ramiona, uniósł i przytulił silnie.

Trwała nieruchomie w jego uścisku z oczyma zamkniętymi, nie odpowiadając na jego pocałunki.

ROZDZIAŁ XVII

W przeddzień otwarcia parlamentu lord Valleys w wesołym usposobieniu dosiadł konia, by odbyć przejażdżkę po Hyde parku. Klacz, którą dosiadał, była pełnej krwi. Jeżdżąc konno, używał tylko zwykłego wędzidla, gdyż umiejętność jazdy posiadał już od siódmego roku życia, a nadto w przeciągu dwudziestu lat był pułkownikiem jazdy królewskiej.

Po drodze witał uprzejmie znajomych i rozprawał zupełnie szczerze na różne tematy, głównie na temat zagadnień polityki rządowej. W sekrecie bawiły go różne zdania i domysły, które nigdy nie trafiały w sedno rzeczy — zapytania i napomknienia, obracające wniwecz jego napozór szczerze i otwarte, lecz w gruncie rzeczy nic niezdradzające odpowiedzi.

Mówił również wesoło o Miltoun'ie, który „miał się już zupełnie dobrze“ i „palił się do walki“, czekając rychło-li parlament zbierze się na sesję jesienią. Dokuczał lordowi Malvezin jego żoną, utrzymując, że jeśli kiedykolwiek jego syn, Bertie, zainteresuje się polityką, będzie to wyłącznie jej zasługą.

Będąc znany przez policję, pozwolił sobie na szybsze tempo galopu w Hyde parku.

Dzień był pogodny, jasny, to też z prawdziwym żalem zawrócił ku domowi. Spotkawszy Harbingera, zaprosił go na lunch do siebie. Młody Harbinger zdawał się być bardzo zmieniony ostatnimi czasami: twarz jego miała wyraz niemal że ponury. Lord Valleys przypomniał sobie nagle z przerażeniem niepokojące słowa żony o Barbarze. Ostatnio spotykał się ze swą młodszą córką bardzo mało, a w ogólnem zamieszaniu i zajęciach przedwakacyjnych, zupełnie zapomniał o tej sprawie.

Na lunchu nie było nikogo z domowników prócz lady Valleys i Barbary.

Agata, która bawiła w Valleys House wraz z małą Anną, oczekując, by udać się z matką do Szkocji, wyszła na miasto. Rozmowa przy stole rwała się, młodzi ludzie milczeli. Lady Valleys rozmyślała nad treścią raportu, który musiała przygotować jeszcze przed swoim wyjazdem. Lord Valleys obserwował ukradkiem córkę. Wiadomość, iż Miltoun znajduje się w bibliotece, była miłą niespodzianką dla wszystkich. Na zaproszenie, by zechciał przyjść do stołu, służący przyniósł odpowiedź, że lord Miltoun już jadł i czeka na rodziców w bibliotece.

— Czy wie, że niema nikogo obcego?

— Tak jest, milady.

Lady Valleys odsunęła talerz i powstała.

— Dobrze — rzekła, — skończyłam już.

Lord Valleys powstał również i razem wyszli z pokoju, pozostawiając Barbarę, która się podniosła i patrzyła niepewnie w stronę drzwi.

Lord Valleys dopiero niedawno dowiedział się o epizodzie z pielęgniarką podczas choroby Miltoun'a. Wiadomość tę przyjął z powątpiewającą miną człowieka, który dowiaduje się o czynie bardzo ekscentrycznej osoby. Jeśliby o podobnym fakcie słyszano w związku z kimś innym, możnaby go rozumieć tylko jednoznacznie. Gdyby Eustachy był przeciętnym młodzieńcem, ojciec jego wzruszyłby tylko ramionami i pomyślał: „No tak, teraz wiadomo czego się trzy-

mać". Lecz w tym wypadku absolutnie nie wiedział co sądzić. I teraz, idąc przez salon, łączący jadalnię z biblioteką, odezwał się do żony:

— Czy znów idzie o tę kobietę, Gertrudo — czy właściwie o co?

Lady Valleys odpowiedziała, wzruszając ramionami:

— Pan Bóg raczy wiedzieć, mój drogi.

Miltoun stał we framudze okna, wychodzącego na taras. Wyglądał bardzo dobrze i powitanie jego z rodzicami było zupełnie zwykłe.

— A więc, mój drogi, miewasz się, jak to widać, już zupełnie dobrze. Co nowego masz nam do powiedzenia?

— Tylko to, że zdecydowałem się zrezygnować z mego mandatu.

Lord Valleys spojrział na syna z przerażeniem.

— Na miłość boską! A to czemu?

Lady Valleys, która z bystrością kobiety, poczęła już domyślać się prawdziwego powodu, zaczerwieniła się silnie.

— Głupstwa mówisz, mój drogi — powiedziała. — Jest to najzupełniej zbyteczne, nawet gdyby... Powściągnąwszy się, dodała sucho:

— Powiedz, jakie przyczyny cię do tego skłaniają

— Przyczyna jest zupełnie prosta: złączyłem życie moje z mrs. Noel i nie mogę pozostawać na moim stanowisku, żyjąc w obłudzie. Gdyby to doszło do wiadomości ludzkiej, musiałbym niechybnie zrezygnować natychmiast z mandatu.

— Boże miłosierny! — wykrzyknął lord Valleys.

Lady Valleys poruszyła się gwałtownie. W obliczu tego, co czuła, że będzie prawdziwie poważnem przejściem pomiędzy tymi dwoma tak różnymi typami — porzuciła swą dotychczasową maskę i stała się prawdziwą, szczerą kobietą. Nieświadomie wyczuli to obaj mężczyźni i, rozmawiając, zwrócili się do niej.

— Nie będę roztrząsał tej sprawy — rzekł Miltoun. — Uważam, że tak mi nakazuje honor.

— A cóż się potem stanie? — spytała.

Lord Valleys wtrącił głosem, w którym dźwięczało szczere uczucie;

— Na Boga! Myślałem, że stawiasz twą ojczyznę na pierwszym miejscu przed prywatnymi sprawami.

— Geoffrey'u! — zawołała lady Valleys.

Lecz lord Valleys ciągnął dalej:

— Nie, Eustachy, nie mam nic wspólnego z twojemi poglądami. Nawet nie będę starał się ich zrozumieć.

— Wiem o tem — rzekł Miltoun.

— Posłuchajcie mnie obaj — rzekła lady Valleys. — Różnicie się charakterami najzupełniej. Nie powinniście się kłócić. Nie chcę tego. Posłuchaj mnie, Eustachy. Jesteś naszym synem i powinieneś być dla nas względny i wyrozumiały. Usiądźcie, rozważymy wszystko spokojnie.

Wskazała mężowi krzesło i sama usiadła we framudze okiennej. Miltoun pozostał stojąc.

Opanowana nagłem przerażeniem lady Valleys rzekła:

— Czy już... czyś ty... nie zrobisz przecież skandalu?...

Miltoun uśmiechnął się ponuro.

— Oczywiście, powiem wszystko temu człowiekowi, lecz możecie być zupełnie spokojni. O ile wiem, jego zapatrywania na małżeństwo są tego rodzaju, że nie uznaje rozwodu w żadnym wypadku.

Lady Valleys odetchnęła z głęboką i nieukrywaną ulgą.

— A więc, mój drogi chłopcze, — zaczęła — jeśli nawet uważasz, że powinieneś mu to powiedzieć, nie widzę żadnego powodu, któryby przeszkadzał utrzymywać to w tajemnicy przed innymi.

Lord Valleys przerwał jej:

— Byłbym rad, gdybyś zechciał wytłumaczyć nam związek pomiędzy twoim honorem a rezygnacją z mandatu — powiedział sucho.

Miltoun potrząsnął głową.

— Jeśli ojciec sam nie jest w stanie tego do-
rzyć, wszelkie tłumaczenie będzie bezcelowe.

— Nie widzę żadnego. To wszystko razem jest—
jest bardzo nieprzyjemne. Zaprzeszanie pracy społecz-
nej, kiedy nie zachodzi żadna konieczna potrzeba,
wydaje mi się już czemś zbyt daleko idącym, czemś
absurdalnym. Czyż istnieje taki człowiek, któryby
w tym lub innym okresie swego życia nie przeżył po-
dobnego stosunku? Tego rodzaju poglądy zdyskwa-
lifikowałyby przynajmniej połowę narodu.

Jego oczy zdawały się teraz szukać poparcia
u żony i jednocześnie unikać jej spojrzenia — jak-
gdyby prosił o potwierdzenie swych poglądów i starał
się dać do zrozumienia, że są one jego własne i w razie
potrzeby będzie ich bronił. I w tym samym momencie,
pomimo obawy i wzruszenia, zmysł humoru ocknął się
w lady Valleys. Było to doprawdy takie paradne, to
zdemaskowanie się Geoffrey'a. Nie mogła się po-
wstrzymać od przyglądania mu się z lekko drwiącym
wyrazem.

— Mój drogi, — szepnęła — oszacowałeś stanow-
czo niedokładnie — trzy czwarte narodu conajmniej.
Lord Valleys w obliczu niebezpieczeństwa sta-
wał się pewniejszy siebie.

— Przechodzi to najzupełniej moje pojęcie —
rzekł, — czemu mieszasz miłość do polityki?

Miltoun odpowiedział powoli, jakgdyby wyznanie
raniło mu usta:

— Miewa się czasami — przebaczcie mi, że uży-
wam tego wyrażenia — własną religję. Ja nie uznaję
podziału życia na prywatne i publiczne. Mój ideał
zniknął, został zniszczony. Nie widzę już teraz przed
sobą w życiu społecznym żadnego wskaźnika, żad-
nego celu, żadnej pewności.

Lady Valleys pochwyciła go za rękę.

— Ach, mój drogi, to są tak straszliwie pury-
tańskie poglądy.

Widząc dziwny uśmiech Miltoun'a, dodała po-
spiesznie,

— Logiczne, chciałam powiedzieć.

— Na miłość boską, Eustachy, zastanów się, gdzie zdrowy rozsądek? — przerwał lord Valleys. — Nie jest że to twoim świętym obowiązkiem, usunąć na bok wszelkie skrupuły i spełniać powinność względem ojczyzny, gdy została ci dana taka władza i takie możliwości?

— Nie posiadam zdrowego rozsądku.

— W takim razie będzie może i lepiej, jeśli zrezygnujesz z udziału w życiu społecznym.

Miltoun skłonił się w milczeniu.

— Ależ to nonsens! — zawołała lady Valleys. — Ty nie rozumiesz, Geoffrey'u. Pytam się po raz drugi: Eustachy, co zamierzasz czynić potem w życiu?

— Nie wiem jeszcze.

— Poprostu zmarniejesz ze zgryzoty.

— Bardzo możliwe.

— Jeśli nie umiesz pogodzić się z własnym sumieniem, — przerwał lord Valleys. — Na miłość boską, wyrzeknij się jej, jak przystało na prawdziwego mężczyznę, i rozetnij ten węzeł.

— Co, proszę? — spytał Miltoun lodowato.

Lady Valleys położyła mu dłoń na ramieniu.

— Musisz nam pozwolić również na logiczne rozważania, mój drogi. Nie wyobrażasz sobie chyba, że pozwoli ci ona, byś dla niej zmarnował życie? Tak złym sędzią charakterów ludzkich chyba nie jestem.

Zatrzymała się, ujrawszy dziwny wyraz twarzy Miltoun'a.

— Nie należy przesądzać — rzekł, — być może stanę się jeszcze bardzo wolnomyślny.

Na te słowa, które wydawały się jej tajemnicze i złowróźbne, nie wiedziała co odpowiedzieć

— Jeśli jesteś przekonany o tem co mówisz — zaczął znów lord Valleys, — że przyszłość twa straciła prawdziwe znaczenie dla ciebie przez tę — tę sprawę, nie czyni nic, nie decyduj, na miłość boską, zbyt prędko. Zaczekaj jeszcze. Wyjedź zagranicę! Od-

zyskaj równowagę! Przekonasz się, że wszystko ułoży się jeszcze w parę miesięcy! Nie uprzedzaj wypadków! Możesz podać zły stan zdrowia jako powód niestawiennictwa na sesjach jesiennych.

Lady Valleys przyłączyła się gorliwie:

— Doprawdy widzisz teraz wszystko w zbyt jaskrawych barwach. Co właściwie znaczą sprawy miłosne? Mój drogi chłopcze, czy ty przypuszczasz choć przez chwilę, że ktoś o tobie pomyśli coś złego nawet, gdyby wiedział? A właściwie może o tem żywa dusza nie wiedzieć.

—Nigdy mi nie przyszło na myśl zastanawiać się nad tem, co ktokolwiek o mnie pomyśli.

— A więc — zawołała lady Valleys zirytowana— jest to tylko twoja własna duma.

— Tak jest.

Lord Valleys, który się odsunął, przemówił nagle głosem nieomal tragicznym:

— Nie przypuszczałem nigdy, że mogę się na punkcie honoru różnić z mym synem.

Podchwyciwszy słowo „honor“, lady Valleys zawołała nagle:

— Eustachy, przyrzeknij mi, że zanim zdecydujesz się na cośkolwiek, pomówisz, poradzisz się najprzód wuja Dennisa.

Miltoun uśmiechnął się:

— To już zaczyna być komiczne.

Na to słowo, które w istocie wydało się im za popędliwe, lord i lady Valleys odwrócili się w stronę swego syna i wszyscy troje stali przez chwilę, patrząc na siebie w zupełnem milczeniu. Lekki szelest przy drzwiach odwrócił ich uwagę.

ROZDZIAŁ XVIII

Barbara, pozostawiona przez rodziców, by dotrzymać nadal towarzystwa Harbingerowi, odezwała się:

— Napijemy się kawy w salonie — i przeszła do drugiego pokoju.

Poza tym wieczorem, kiedy stali przed domem nad morzem i patrzyli na przechodzących, nie była z nim sam na sam od chwili owego pocałunku w ogrodzie. I teraz, po opanowaniu pierwszego zmieszania, patrzyła na niego spokojnie, chociaż w jej piersi trzępotało się coś, jakgdyby uwięziony ptak szamotał się słabo w wygodnej, lecz mocnej klatce. Ostatnia sprzeczka z Courtierem pozostawiła w jej sercu ból. Poza tem, czy nie zdawała sobie sprawy z tego, co mogł jej ofiarować Harbinger?

Jak nimfa prześladowana pogonią fauna-władcy lasów, w ucieczce, spoglądała wstecz. Nie było już nic wśród gęstwiny rozległych gajów, czegoby nie znała, dróżki, przez którąby nie wędrowała, ani jednego strumyka, któregoby nie przesadziła, nie była dłużna żadnego pocałunku. Jego państwo, w którym będzie prawowitą władczynią, było dla niej już poznanym światem. Nie mogła się od niego niczego więcej spodziewać, prócz władzy i spokojnego zadowolenia. Oczy jej mówiły: „Skądże mam wiedzieć, czy w życiu nie będę więcej żądała, niż mi dać możesz, że mi nie będzie zbyt ciasno w twoich ramionach i że nie będę przesycona tem wszystkim, co mi przyniesiesz w darze? Czy już tego, co mi dać możesz, nie miałam w życiu?”

Czytała w jego ponurej, przygnębionej twarzy wyrzut, że postępuje z nim okrutnie i żał się jej go zrobiło. Chciała być dobra dla niego, więc powiedziała prawie-że nieśmiało:

— Czy gniewasz się na mnie, Kladjuszu?
Harbinger podniósł oczy.

— Dlaczego jesteś tak okrutna?
— Wcale nie jestem okrutna.
— Jesteś! Nie wiem czy posiadasz wogóle serce?
— Owszem, jest ono tutaj — powiedziała Barbara, dotykając ręką piersi.

— Ach, — szepnął Harbinger — ja wcale nie żartuję.

Powiedziała łagodnie:

— Czy naprawdę jest aż tak źle z tobą, mój kochany?

Lecz słodycz jej głosu zdawała się tylko podniecać ogień, w nim tlejący.

— Poza tem wszystkiem kryje się coś — bąkał. — Nie masz prawa wystawiać mnie na drwiny.

— A co właściwie jest to coś, jeśli wiedzieć można?

— Toś właśnie ty powinna wytłumaczyć. Ja nie jestem ślepy. Co właściwie oznacza twój stosunek z Courtierem?

W tej samej chwili ujrzała Barbara coś jej dotychczas nieznanego — właściwego człowieka. Pomimo wszystko, życie z nim nie byłoby pozbawione całkowicie emocyj!

Twarz mu pociemniała, oczy rozszerzyły się, cała postać zdawała się wyolbrzymiać. Zauważyła nagle włosy, pokrywające jego zaciśnięte pięści. Cała jego uprzejmość opuściła go. Podeszedł do niej bardzo blisko.

Jak długo trwała ta scena między nimi i co właściwie znaczyć miała, z tego nie mogła sobie dokładnie zdać sprawy. Jedna myśl za drugą, jedna fala uczucia za drugą nawiedzała ją. Bunt i zachwyt, wzdrganie i podziw, zmieszane uczucie wstrętu i przyjemności, wszystko razem mieszało się, jak czasem w dzień majowy nagle spadający grad i jednocześnie słońce, przedzierające się przez chmury.

Powiedział chrapliwie:

— Och, Barbaro, doprowadzasz mnie do szaleństwa.

Zacisnęła silnie usta, jakgdyby chcąc odzyskać nad nimi panowanie, i rzekła:

— Zdaje mi się, że już mam tego dosyć — i odeszła do biblioteki ojca.

Widok rodziców, wpatrujących się tak przenikliwie w Miltoun'a, przywrócił jej całkowity spokój.

Uderzył ją komizm tej sceny. Nie wiedziała, że wywołało ją właśnie to słowo. W istocie kontrast pomiędzy Miltoun'em a rodzicami był w tej chwili prawie-że zabawny.

Lady Valleys odezwała się pierwsza:

— Lepiej być komicznym niż romantycznym. Myślę, że Barbara może się dowiedzieć o wszystkim, choćby ze względu na jej udział w tej całej sprawie. Twój brat rezygnuje z mandatu, moja droga. Sumienie nie pozwala mu pozostawać na stanowisku na skutek pewnych okoliczności, które powstały.

— Och! — zawołała Barbara — przecież na pewno...

— Sprawa była już rozpatrywana, Barbaro, — przerwała jej lady Valleys sucho — jeśli nie możesz podać lepszych argumentów niż zdrowy rozsądek, zmysł społeczny i wzgląd na własną rodzinę, możesz się nie trudzić ponownem wszczęciem dyskusji.

Barbara spojrzała na Miltoun'a. Twarz jego, z wyjątkiem oczu, była nieruchoma jak maska.

— Och, Eustachy, — powiedziała — przecież nie zechcesz sobie zmarnować życia. Pomyśl tylko, jakie będę sobie wyrzuty czyniła.

Miltoun odpowiedział twardo:

— Uczyniłaś to, co uważałaś za słuszne. I ja tak czynię.

— Czy ona pragnie tego również?

— Nie.

— Mam wrażenie — wtrącił lord Valleys, — że niema oprócz twego brata ani jednej osoby jeszcze na całym świecie, któraby pragnęła, żeby to się stało. Nie bierze on jednak tego pod uwagę!

— Och, — westchnęła Barbara — pomyśl tylko o babuni.

— Już ja wolę o niej nie myśleć — szepnęła lady Valleys.

— Ty jesteś jej całą nadzieją, Eustachy. Zawsze tak mocno wierzyła w ciebie.

Miltoun westchnął. Zachęcona tem Barbara przybliżyła się do niego.

Było zupełnie jasne, że pod pozorami obojętności rozpaczliwa walka toczyła się w piersi Miltoun'a. Powiedział wkońcu:

— Jeśli nie ustąpiłem tej, która jest dla mnie wszystkim, choć błagała mnie i wymagała tego, stało się to dlatego, że przekonania moje i uczucia w tym wypadku są takie, że ich nie jesteście w stanie rozumieć. Przepraszam, iż użyłem słowa „komiczne” przed chwilą, powinienem być raczej powiedzieć „tragiczne”. Wyjaśnię wszystko wujowi Dennisowi, jeśli tego żądacie, lecz właściwie jest to sprawa, która nie powinna nikogo interesować prócz mnie.

Nie patrząc na nikogo i nie mówiąc ani słowa więcej, wyszedł z pokoju.

Kiedy tylko drzwi zamknęły się za Miltoun'em, Barbara podbiegła w ich kierunku i z ruchem, dziwnie przypominającym załamanie rąk, zawołała:

— Mój Boże! Mój Boże! — poczem odwróciła się i zaczęła płakać.

Lord i lady Valleys byli głęboko wzruszeni, widząc, że córka ich jeszcze gwałtowniej od nich reaguje na smutną wieść, nie wiedzieli wcale, jak mocno była już przejęta zanim weszła do pokoju. Od czasu kiedy była małą dziewczynką nie widzieli jej płaczącej. W obliczu tej rozpaczki stopniał cały gniew, jakiby jej może okazali za to, że popchnęła Miltoun'a w objęcia mrs. Noel. Lord Valleys, bardzo wzruszony, zbliżył się do córki i, stojąc obok niej w ciemnym kącie, nic nie mówił, tylko łagodnie gładził jej rękę. Lady Valleys, sama czując się bliska płaczu, usunęła się w zagłębienie okna.

Barbara rychło stłumiła łkanie.

— Jaki miał okropny wyraz twarzy — powiedziała. — I poco? Poco? To wszystko jest najzupełniej zbyteczne!

Lord Valleys, kręcąc nerwowo wąsy, zamruczał:

— Otóż to właśnie! Sam sobie utrudnia życie.

— Tak — szeniła lady Valleys od okna, — zawsze miał taki przykry sposób bycia. Nawet, gdy był dzieckiem. Bertie nigdy nie był taki.

Zapadło milczenie, zmacone tylko przez Barbarę, która gniewnie wycierała nos.

— Pójdę zobaczyć się z mamą — powiedziała nagle lady Valleys. — Ten chłopiec zrujnuje sobie całe życie, jeśli my temu wczas nie zapobiegniemy. Czy pójdziesz ze mną, moje dziecko?

Lecz Barbara odmówiła.

Udała się do swego pokoju. To przejście w życiu Miltoun'a wzburzyło ją do głębi. Zdawało się, że los ukazał jej nagle do czego może doprowadzić jeden krok, odbiegający od utartej ścieżki. Uczuła się w dziwnym konflikcie ze sobą. Oto co znaczyło ulecieć w błękity! Jeśli Miltoun nie zmieni swej decyzji i rzeknie się swego stanowiska, będzie zgubiony! A ona sama! Urok, jaki wywierał na nią Courtier swoją rycerskością, swoją wrodzoną galanterją, zmuszającą go do poszukiwania zawsze najniebezpieczniejszych dróg... czy nie był w rzeczywistości absurdem? Czy wogóle znajdowała się pod jego urokiem? Może najzwyczajniej podobało jej się to, że sama wywiera na niego urok? Poprzez gmatwaninę tych myśli przemknęło wspomnienie twarzy Harbingera, tuż przy jej twarzy, jego zaciśniętych pięści, to nagłe objawienie niebezpiecznej, zmysłowej potęgi. Wszystko zdawało jej się, jak dręczący sen, pełen bolesnych, dziwacznych przeżyć i powikłań, które nigdy nie dadzą się uporządkować. Po raz pierwszy w życiu była wytrącona z równowagi, straciła ster swej normalnej, zwyczajnej filozofii. Myślą odbiegła znów do spraw Miltoun'a. Więc jednak stało się to, czego zapowiedź

widziała w ich twarzach! Barbara nie mogła powstrzymać się od uśmiechu, wyobrażając sobie zgorznienie Agaty, gdy się o tem dowie. Biedny Eustachy! Dlaczego przyjmował wszystko tak tragicznie? Jeśli naprawdę wprowadzi w czyn swój zamiar — a przecież tak rzadko zmienia swe postanowienia — będzie to prawdziwa tragedia! Skończy się raz na zawsze cała jego karjera życiowa!

Może teraz będzie miał już dosyć mrs. Noel? Nie była ona jednak tego rodzaju kobietą, która mogła się prędko sprzykrzyć mężczyźnie. Nawet niedoświadczona Barbara czuła to. Będzie dość delikatna, by mu się nie narzucać, by nic od niego nie wymagać, by nie dać mu nigdy odczuć, że ma względem niej choćby najmniejsze obowiązki. Ach, czemu nie mogą nadal pozostawać ze sobą jakgdyby nic nie zaszło! Czy nikt nie będzie w stanie go przekonać? Znowu pomyślała o Courtierze. Możeby on, który znał tak dobrze oboje i tak szczerze lubił mrs. Noel, przekonał Miltoun'a o prawie do szczęścia i o prawie buntu w walce o to szczęście! Eustachy powinien się zbuntować! Było to jego obowiązkiem. Zasiadła do pisania, potem włożyła kapelusz, zabrała list i zbiegła na dół.

ROZDZIAŁ XIX

W oranżerji w Ravensham odbywał się właśnie ostatni popołudniowy przegląd kwiatów, kiedy Clifton przystąpił do lady Casterley i zaanonsował:

— Lady Valleys oczekuje w białym salonie.

Od czasu wiadomości o chorobie Miltoun'a i o tem, że mrs. Noel pielęgnowała go, uzbroidła mała staruszka duszę swą w pozorną cierpliwość, maconą — trzeba przyznać — od czasu do czasu dotkliwemi obawami o te nowe wpływy w życiu jej faworyta. Nawiedzał ją również czasem rodzaj zazdrości, do której nie

przyznawała się nawet w swych „urzędowych“ modlitwach, odmawianych regularnie. Nie żywiąc teraz wielkiej ochoty do opuszczania domu nawet, by pojechać do swej letniej rezydencji Catton, ciągle jeszcze przebywała w Ravensham. Był tu także lord Dennis, który przyjechał do niej, jak tylko Miltoun opuścił Sea House. Lecz lady Casterley nie była bardzo towarzyska. Z nigdy niesłabnącem zainteresowaniem w sprawach polityki, korespondowała swobodnie z wybitnymi mężami stanu. Ostatnio słabe echo czerwcowej afery wojennej odbiło się na niej rodzajem jakiegoś ożywienia i odmłodzenia, wywołanem zwykle przeżyciem kryzysów narodowych nawet wtedy, gdy nie były dokonany faktem, lecz tylko wisiały w powietrzu. Jakby na dźwięk trąbki sygnałowej, duch jej prostował się, obnażał miecz i stawał na baczność.

W takich okresach wstawiała wcześniej, kładła się spać później, była mniej wrażliwa na przeciągi i odmawiała ze stanowczością wszelkiego jadła, podawanego jej między godzinami posiłków. Pisała również własnoręcznie listy, któreby w innym wypadku dyktowała swej sekretarce. Niestety, pogłoski wojenne ucichły prawie natychmiast po ich pojawieniu się, a takie przeminięcie niebezpieczeństwa prawie zawsze wpływało na nią drażniąco. Wizyta lady Valleys wypadła bardzo w porę, jako rodzaj pocieszenia.

Przywitała się z córką, mierząc ją lekko krytycznym okiem, bowiem było coś w jej zachowaniu, czego nie lubiła.

— Tak, tak, miewam się zupełnie dobrze. —
Dlaczego nie zabrałaś ze sobą Barbary?

— Była bardzo zmęczona.

— Hm! Obawia się spotkania ze mną od czasu, jak popełniła to kapitalne głupstwo z Eustachym. Musisz zwracać uwagę na nią, Gertrudo, inaczej popełni jeszcze jakieś głupstwo sama. Nie podoba mi się ten sposób, jaki trzyma w niepewności Harbingera.

Córka przerwała jej krótko:

— Przywiozłam złe wieści o Eustachym.

Z policzków lady Casterley zniknęły nieznaczne rumieńce, zniknęła cała zbytnio podrażniona energia.

— Powiedz mi natychmiast.

Kiedy wysłuchała wszystkiego, nie odpowiedziała nic zrazu, lecz lady Valleys skonstatowała z przerażeniem, że oczy jej przesłoniła jakgdyby mgła, zmęczenie, właściwe starcom.

— A więc co nam radzisz począc, mammo?

Sama zmęczona i zmartwiona, uświadomiła sobie jeszcze jakieś niezwykle uczucie zniechęcenia wobec tej milczącej, drobnej staruszki, wśród tego cichego białego pokoju. Nigdy jeszcze nie widziała matki swej w takim stanie — wyglądało to, jakgdyby posłyszala nad sobą łopocące czarne, złowróżbne skrzydła porażki. I wiedziona nagłą czułością dla tej drobnej, delikatnej istoty, która przed tyloma laty na świat ją wydała, wyszeptala prawie-że ze zdziwieniem.

— Mammo, droga!

— Tak, — powiedziała lady Casterley jakgdyby do siebie — ten chłopiec zbiera wszystko pieczołowicie. Nagromadza uczucia, potem naraz wybuchają wszystkie i zatapiają go. Naprzód jego namiętność, teraz sumienie. W nim znajduje się dwóch ludzi, lecz teraz jeden z nich poniesie śmierć.

Nagle, odwracając się do córki, powiedziała:

— Czyś słyszała wogóle kiedyś o jego sprawie oxfordzkiej, kiedy razu pewnego przekroczył granicę i uctował z odstępcami? Nigdyś o tym nie słyszała? Oczywiście! Nigdyś wogóle o nim nic nie wiedziała!

Gniew wezbrał w sercu lady Valleys na myśl, że ktośkolwiek może znać jej syna lepiej od niej samej, lecz natychmiast minął, gdy spojrzala na tę drobną figurkę. Powiedziała z westchnieniem:

— Więc cóż?

Lady Casterley szepnęła:

— Odejdź teraz, dziecko. — Muszę się namyślić. Wszak mówiłaś, że ma się poradzić Dennisa?

Czy znasz jej adres? Spytaj się po powrocie do domu Barbary i zatelefonuj mi.

— Oddają córce pocałunek, powiedziała ponuro:

— Dożyję jeszcze tej chwili, by go znów ujrzeć w cuglach, pomimo, że mam już siedemdziesiąt osiem lat.

Kiedy zamilkł turkot samochodu jej córki, lady Casterley zadzwoniła.

— Jeśli lady Valleys zatelefonuje, Cliftonie, nie przyjmuj sam polecenia, tylko poproś mnie do telefonu. — Widząc, że Clifton się nie rusza, dodała ostro: — O co idzie?

— Mam nadzieję, że nie było złych wiadomości o stanie zdrowia młodego lorda?

— Nie.

— Proszę mi wybaczyć, milady, lecz już od dawna mam zamiar zapytać o coś.

Staruszek podniósł dłoń z pewną godnością, jak gdyby chciał powiedzieć: „Wybacz mi, że przez ten moment będę tylko człowiekiem, przemawiającym do drugiego człowieka“.

— Wiem, iż młody lord interesuje się pewną panią — ciągnął dalej — ponieważ znam go tak dobrze, martwiłem się już tem nieraz, tembardziej, że powiedział mi, będąc tu ostatnio w lipcu, coś bardzo szczególnego. Byłbym bardzo wdzięczny, gdyby milady zechciała mnie upewnić, że nic nie stoi na przeszkodzie jego karierze.

Na twarzy lady Casterley malował się wyraz zdumienia, łagodności i zniecierpliwienia, jak gdyby miała do czynienia z dzieckiem.

— Nic takiego nie może stać na przeszkodzie, czemubym w porę nie potrafiła zapobiec, Cliftonie, — powiedziała. — Nie masz powodu do żadnych obaw.

Clifton skłonił się.

— Proszę mi wybaczyć, iż wogóle wspominałem o tem, milady — drżenie przebiegło po jego twarzy między długimi, białymi faworytami — lecz przy-

szłość młodego lorda znaczy więcej dla mnie, niż moja własna.

Clifton wyszedł z pokoju. Lady Casterley zasiadła w fotelu. Siedziała, wpatrzona w pusty komin, aż do chwili, kiedy mrok zapadł.

ROZDZIAŁ XX

Niedaleko owego ponurego przedpiekła, kędy gościła potężna władza półprawdy, owo straszdyło Karola Courtiera, najmował on sam kilka niedużych pokojków za cenę piętnastu szylingów tygodniowo. Główną zaletą jego mieszkanka było to, że nie wiązało go żadnym kontraktem, a było zawsze do jego dyspozycji ilekroć przyjeżdżał do Londynu. Gospodyni jego zawsze z własnej woli wynajmowała te pokoje innym lokatorom z tygodniowym wymówieniem, aby w każdej chwili Coutier mógł w nich zamieszkać. Była to łagodna kobiecina, żona starszego od niej o lat dwadzieścia gisera, działacza socjalistycznego. Poczciwy ten człowiek obdarzył ją dwoma małymi chłopcami i wszyscy trzej trzymali ją w ustawicznym rygorze, tak, że największą i jedyną przyjemnością było dla niej towarzystwo Courtiera. Gdy znikał od czasu do czasu na swoje włóczęgi, spędzane na posłannictwach, badaniach i przygodach, zamykała poczciwa kobieta wszystkie jego rzeczy w dwu obitych blachą kufrach i wstawiała je do szafy, która pachniała trochę myszami. Kiedy pojawiał się znowu, kufrы otwierano i dobywał się z nich przejmujący zapach suszonych płatków różanych. Wychodząc z założenia, że wszystko, co ziemskie przemija prędko, zaopatrywała się co lata u swej siostry, żony ogrodnika, w znaczny zapas tego specjału, który zaszywała następnie z zapałem w małe woreczki i składała rokrocznie w kufrach Courtiera. To, oraz sposób przy-

rzządzania grzanek, tak, by były chrupiące, jak również doskonale przewietrzanie pościeli — były to jedyne dogodności, których mogła dostarczyć temu człowiekowi o wrodzonych skłonnościach do niezależności i przyzwyczajonego przez swój tryb życia do dbania o swe wygody. Gdy tylko zauważyła jakieś oznaki, zwiastujące jego rychły wyjazd, usuwała się do jakiegoś ustronnego kąta, zdala od męża gisera i dwóch żyjących znamion jego miłości i płakała cicho. Nigdy jednak nie przyszłoby jej na myśl okazywać swe strapienie w obecności Courtiera, tak samo, jak nie płakałaby nigdy w obliczu śmierci lub narodzin, czy też innej jakiejś wielkiej tragedji lub radości. Stykając się z rzeczywistością, od młodości już hołdowała zasadzie „sto — stare”: trwać mocno.

Courtier był dla niej rzeczywistością, zasadniczą rzeczywistością życia, ośrodkiem jej dążeń, poranną i wieczorną gwiazdą.

Żądanie zatem — wyjawione w pięć dni po pożegnalnej wizycie u mrs. Noel — by mu przynieść kufer, który mu towarzyszył we wszystkich podróżach, wywołało u niej zwykłe objawy i okres odosobnienia, poczem — wedle zwyczaju — pojawiła się w jego saloniku, niosąc na tacy list i kilka woreczków z suszonymi płatkami róży. Zastała go bez marnarki, zajętego pakowaniem.

— A więc, mrs. Benton, znów wyruszam w świat.

Mrs. Benton, która nie zatraciła jeszcze w zachowaniu i wyglądzie czegoś, co przypominało małą dziewczynkę, splotła ręce i odezwała się zwykłym, spokojnym, pogodnym głosem:

— Tak jest, panie, lecz mam nadzieję, że tym razem nie uda się pan tam, gdzie grozi jakieś niebezpieczeństwo. Zawsze uważam, że udaje się pan do miejsc niebezpiecznych.

— Jadę do Persji, mrs. Benton, tam, skąd mamy nasze dywany.

— Ach, rozumiem, panie. Właśnie przyniesiono pańską bieliznę z pralni.

Oczy jej, pozornie opuszczone, chłoneły mnóstwo drobnych szczegółów: zarost jego włosów, kształt pleców, kolor szelek. Nagle powiedziała zmienionym głosem:

— Czy nie ma pan przypadkiem jakiejś fotografii zbytecznej, by nam zostawić? Niedalej jak wczoraj mrs. Benton powiedział do mnie: „Nie mamy nic na pamiątkę w razie, gdyby nie powrócił”.

— Tu jest jakaś stara fotografia.

Mrs. Benton wzięła obrazek.

— Och, — rzekła — doskale widać koga ma wyobrażać.

Trzymając fotografię trochę za mocno, gdyż ręce jej drżały, dodała:

— Oto jest list do pana, posłaniec czeka na odpowiedź.

Podczas kiedy czytał list, zauważyła ze zdumieniem, że widocznie zmęczenie przyprawiło go o uderzenie krwi do głowy...

W odpowiedzi na list Courtier udał się do znanej powszechnie cukierni Gustard'a. Zegar nie wskazywał jeszcze piątej. Zdawało mu się, na pierwszy rzut oka, że w lokalu niema nikogo prócz trzech kobiet w średnim wieku, zajętych pakowaniem słodyczy. Dopiero po chwili ujrzał siedzącą w kącie Barbarę. Przyływ krwi ustąpił. Bardzo blady szedł przez pokój, umeblowany mahoniami i przesiąknięty zapachem ciast weselnych. Barbara również była blada.

Kiedy siedział koło niej tak blisko, że mógł rozróżnić jej rzęsy i wchłaniać zapach jej włosów i sukien, i słuchał historii o Miltoun'ie, którą opowiadała wahająco i z namysłem, zdawało mu się, iż jest skazańcem, oczekującym stracenia już ze stryczkiem na szyi, któremu każą słuchać o czyimś bólu zębów. Uważał, że los mógł mu tego zaoszczędzić! I, jakby na przekór, wspomniał tę wspólną przejażdżkę przez rozgrzane promieniami słońca wrzosy, kiedy to

parafrazował starą sycylijską pieśń: „Tu chciałbym zasiąść i śpiewać“! Dalekim był teraz od śpiewania. Nie trzymał także ukochanej swej w ramionach. Stała przed nim szklanka herbaty, a dolatywał go zapach ciasta i od czasu do czasu tchnienie wody z kwiatu pomarańczowego.

— Rozumiem — powiedział, kiedy skończyła swe opowiadanie. — Wolność jest wspaniałą ucztą! Pani chce, żebym poszedł do jej brata i zacytował mu Burns'a? Pani wie, oczywiście, że on mnie uważa za człowieka niebezpiecznego.

— Tak, lecz szanuje pana i bardzo lubi.

— I ja również szanuję go i lubię — odpowiedział Courtier.

Jedna ze sklepowych przeszła obok, niosąc wielkie, białe, tekturowe pudełko, szelest jej sukien przerwał zapadłą przed chwilą ciszę.

— Pan był bardzo miły dla mnie — powiedziała nagle Barbara.

Serce Courtiera poruszyło się tak gwałtownie, iż miał wrażenie, że się w nim przekręca... Patrząc w stojącą przed nim filizankę, powiedział:

— Każdy człowiek odnosi się z adoracją do gwiazdy wieczornej. Pójdę natychmiast, by spotkać się z pani bratem. Kiedy mam pani zakomunikować nowiny?

— Jutro o piątej będę oczekiwała pana w domu.

Powtórzywszy:

— Jutro o piątej — powstał.

Odwrócił się od drzwi i dojrzał jej twarz zdziwioną, z cieniem wyrzutu w oczach. Wyszedł w ponurym nastroju. Zapach ciasta i wody pomarańczowej, szelest sukien przechodzących kobiet, kolor mahoni — wszystko to drażniło jego wzrok, słuch i powonienie. W głębi serca wszystkie uczucia zmieniły się teraz w tępa wściekłość. Czemuż nie wykorzystał tej niespodziewanej okoliczności? Czemu nie wypowiedział się przed nią ze swej namiętnej miłości? Był szaleńcem razem ze swoim sumieniem! A jed-

nak nie było to wszystko absurdem! Była przecież tak młoda! Bóg jeden wie, że był w gruncie rzeczy zadowolony, iż tak się skończyło. Obawiał się, że gdyby był pozostał, wystawiłby się na pośmiewisko. Lecz wspomnienie jej słów: „Pan był bardzo miły dla mnie“, nie opuszczało go, jak również wyraz jej twarzy, taki zdziwiony i pełen wyrzutu. Tak, gdyby był został, wystawiłby się na pośmiewisko! Poprosiłby o jej rękę, on, człowiek dwa razy od niej starszy, bez stanowiska i bez złamanego grosza. A poprosiłby o jej rękę w taki sposób, że bezwątpienia nie znalazłaby żadnej trudności, by mu odmówić. Na pewno popełniłby błąd. A przecież miała zaledwie lat dwadzieścia i była, pomimo wszystkich pozorów światowej kobiety, dzieckiem jeszcze! Nie! Przysłuży jej się, o ile to będzie w jego możliwości, ten jedyny raz, a potem zejdzie jej z drogi.

ROZDZIAŁ XXI

Miltoun opuścił Valleys House i udał się w stronę Westminsteru. Przez całe pięć dni po powrocie z Londynu nie zaszedł jeszcze do Izby Gmin. Po długim odosobnieniu, wywołanem chorobą, czuł dotkliwą tęsknotę za ruchem i szumem miasta. Wszystko, co widział i słyszał, czyniło na nim żywe, intensywne wrażenie. Lwy na Trafalgar Square, budowle Whitehall napełniały go jakimś dziwnym rodzajem radości i triumfu. Był jak człowiek, który po długiej podróży morskiej, po raz pierwszy dostrzeżę ląd i stoi, wyciążając oczy, wstrzymując oddech i wchłaniając szczegół po szczególnie zapomnianych zarysów i form. Udał się na Westminsterський most i, oparłszy się o balustradę w samym jego środku, chłonał widok, roztaczający się przed nim.

Mówią, że miłość dla tych murów i wieżyc leży we krwi. Mówią, że ci, co raz zasiedli pod tym dachem, nigdy już nie będą tymi samymi. Miltoun przekonał się po sobie samym, że była to prawda — rozpaczliwa prawda. W rzeczywistości zasiadał tam tylko przez trzy tygodnie, lecz zdawało mu się, że jest związany z temi murami już od setek lat. A teraz — nigdy więcej już tam nie zasiądzie! Opętańcza żądza wyzwolenia się z więzów opanowała go. Być więźniem najtajniejszego ze swych instynktów — wiary w autorytet! Nie być w stanie sprawować władzy dlatego, że sprawowanie jej równoznaczne było z kłamstwem! Boże! Jakież to ciężkie do zniesienia! Odwrócił wzrok od widoku wieżyc i szukał rozrywki w kontemplowaniu twarzy przechodniów.

Wiedział o tem, że każdy z nich walczył o zachowanie swej godności! Czy też może byli nieświadomi walki lub nawet istnienia godności i pozwalali, by wszystko szło z biegiem życia? Większość z nich wyglądała na to! Wrodzona wżgarda dla powszedniości i pospolitości wezbrała w nim, gdy się teraz tym ludziom przyglądał. Tak jest: wyglądali właśnie na takich! I jakby naprzekór, widok ludzi, którzy, jak myślał, skłonią go do kompromisu, wzbudzał w nim właśnie uczucia, broniące mu wszelkich pojednawczych zamiarów. Wyglądali potulnie, spokojnie, bez woli i dumy, jakgdyby wiedzieli, że życie jest dla nich zbyt ciężkie i godzili się wstydliwie z tym faktem. Było najoczywistszem, że trzeba im wskazywać, co czynić mają i jakie drogi wybierać. Godziliby się na wszelkie rozkazy, tak jak godzili się na pracę i rozrywkę... I myśl, że nie wolno mu będzie korzystać z prawa wydawania im rozkazów, paliła go dotkliwie. Oni zaś, przechodząc, rzucali od czasu do czasu spojrzenia na tę wysoką postać, wspartą o barjerę, nie przypuszczając, jak bardzo zależny jest los ich od jego postanowień. Jego szczupła, blada twarz i zgłodniałe oczy zdołały może zainteresować lub budzić współczucie w tym lub owym przechod-

niu, dla większości jednak był tylko zwykłą jednostką w tłumie. Ciemna postać człowieka, który w świadomości własnej potęgi, starał się przełamać okowy swej wiary w tę potęgę, była dla przechodniów martwym posągiem, którego zrozumieć nie mieli czasu ani ochoty, nie sprawiało im bowiem przyjemności przyglądanie się tragedji duszy ludzkiej, doprowadzonej do ostateczności.

Była już godzina piąta, kiedy Miltoun opuścił most i jak wygnaniec przemknął się przed wrotami kościoła, zdążając do klubu swego wuja. Wstąpił na telegraf, by nadać wiadomość do Audrey, o której godzinie nazajutrz ją odwiedzi. Wychodząc stamtąd, zauważył w oknie sąsiedniego sklepu reprodukcje obrazów starych mistrzów włoskich, między innymi Botticelli'ego „Narodziny Venus”. Nigdy nie widział tego obrazu, a przypominając sobie, iż Audrey wspominała, że był jej ulubionym, zatrzymał się przed wystawą, by mu się przyjrzeć. Powierzchnie obznajmiony ze sztuką, jak to zresztą przystało kulturalnemu człowiekowi, nie posiadał Miltoun zdolności przejmowania się dziełami sztuki tak głęboko, by podporządkować własne poglądy na piękno ideałom ogólnoludzkim. Przyglądał się słynnemu wizerunkowi bogini chłodno, nawet z odrobiną irytacji. Rysunek ciała zdawał mu się mało subtelny, cały obraz potraktowany płasko i prymitywnie, nie podobała mu się również postać Flory. Promienna pogoda i subtelność, o których mówiła Audrey, nie przemówiły mu wcale do serca. Potem spostrzegł, że wpatruje się z baczną uwagą w twarz Venus i począł powoli, lecz z niezbitą pewnością odczuwać, że patrzy na twarz samej Audrey. Włosy na obrazie były złote i zupełnie inne niż włosy Audrey, oczy szare i też niepodobne, usta pełniejsze, jednakże była to jej twarz: ten sam zadziwiająco subtelny, zwodniczy wyraz. Jakgdyby dotknięty tem, odwrócił się i odszedł. W oknie wystawowym małego sklepu znalazł odzwierciedlenie tej, dla której zaprzedał swoje życie — wcielenie

biernej, opętańczej miłości, słodką istotę, która mu się tak najzupełniej oddała, dla której miłość i kwiaty, zwierzęta i ptaki, muzyka, niebo i bystre strumienie, były wszystkim, co jej wystarczało do życia, która, podobnie bogini na obrazie, zdawała się dziwić własnej egzystencji. Miltoun'a olśniło nagle zrozumienie istoty Audrey, rzadkie u niego, nieumiejącego patrzeć w serca innych. Czy powinna się była urodzić na tym świecie? Lecz ten błysk jasnowidzenia ustąpił rychło miejsca bolesnej świadomości smutnej sytuacji, — która go nigdy teraz nie opuszczała. Cokolwiek postanowi, musi się pozbyć za wszelką cenę tej słabości! Lecz co właściwie będzie jego celem w przyszłości? Czy ma pisać książki? Jakiego rodzaju książki mógłby pisywać? Tylko takie, które wyrażałyby jego poglądy na zasady obywatelstwa, jego polityczne i socjalne zasady. Będzie to właściwie prawie to samo, co pozostanie w parlamencie! Nigdy nie potrafi stanąć w szeregu szczęśliwej bandy artystów, łagodnych, niezdecydowanych umysłów, dla których przeszkody nie mają znaczenia, którym wystarcza, gdy mogą rozumieć, odzwierciadlać i tworzyć. Co miał czynić na tych galerach? Myśl ta była nie do zniesienia! Karjera w sądownictwie? Tak, w tej dziedzinie mógłby jeszcze spróbować, lecz nie widział celu. Czy miał zostać sędzią? Znaczyło to to samo, co pozostawanie w parlamencie! Zapóźno, by myśleć o dyplomacji! Zapóźno, by wstąpić do armji! Przytem nie przypadła mu zupełnie do gustu sława wojskowa. Mógłby się zagrzebać na wsi, jak wuj Dennis i administrować jednym z majątków ojca. Lecz to byłaby śmierć za życia! Pójść pomiędzy biednych i nieszczęśliwych? Przez chwilę zdawało mu się, że znalazł powołanie. W jakim charakterze? Czy poto, by rządzić ich losem, kiedy sam nie potrafił rządzić swoim własnym? Poto tylko, by ich wspomagać pieniędzmi, kiedy uważał przecież, że filantropja jest wielkiem złem, które niszczy naród do szpiku kości! Na progu każdej drogi

stał demon lub anioł z dobytym mieczem! W tej chwili nawiedziła go znów inna myśl. Czy on, człowiek odepchnięty od wrót kościoła i państwa, nie mógłby grać roli upadłego anioła — stać się złym duchem — niszczycielem? Natychmiast, wiedziony instynktem, ujrzał się wśród murów parlamentu, jak przechodzi na drugą stronę, łączy się z rewolucjonistami i biczuje swe teraźniejsze stronnictwo — stronnictwo autorytetu i praworządności. Ta idea uderzyła go, jako niezwykle komiczna. Roześmiał się głośno na ulicy...

Klub, do którego uczęszczał lord Dennis, znajdował się w dzielnicy S-t James, na cichej, bocznej ulicy. Miltoun zastał swego wuja w bibliotece. Czytał opisy podróży Burton'a i popijał herbatę.

— Nikt tutaj nie przychodzi, — powiedział, — więc możemy wbrew przepisom na ścianie, rozmawiać swobodnie. Kelner, proszę o jeszcze jedną filiżankę herbaty!

Niecierpliwie, lecz z pewnym odcieniem współczucia przyglądał się Miltoun wytwornym ruchom lorda Dennisa — ruchom, którym starość starała się patetycznie nadawać ważne znaczenie, choćby tylko dla siebie samej. Nic z tego, coby wuj jego mógł mu powiedzieć, nie mogło ostrzec go równie dobrze, jak sama ta malownicza, stara postać. Być tylko widzem, patrzeć, jak wszystko mija obok ciebie, pozwolić, by miecz rdzewiał w pochwie, jak to uczynił ten starzec! Wytłumaczenie, z czem właściwie przyszedł, było szczególnie niemiłe dla Miltoun'a, ponieważ jednak dał słowo, więc, zbrojąc się potajemnie w złość, rozpoczął:

— Przyrzekłem mej matce, że się ciebie o coś zapytam, wuju Dennisie. Wszak są ci wiadome moje sprawy ostatnie?

Lord Dennis potwierdził.

— A więc związałem moje życie z życiem tej kobiety. Nie wywoła to żadnego jawnego skandalu, lecz uważam za swój obowiązek zrezygnować z man-

datu i wycofać się z życia politycznego. Czy z twojego punktu widzenia uważasz to za słuszne, czy nie?

Lord Dennis spojrział w milczeniu na swego siostrzeńca. Lekki rumieniec zabarwił jego policzki. Robił wrażenie człowieka, który podróżuje w myślach po krainie przeszłości.

— Myślę, że jest to niesłuszne — rzekł wkońcu.

— Dlaczego, jeśli spytać wolno?

— Nie mam przyjemności znać tej pani i dlatego nie mogę się orjentować zupełnie dokładnie, lecz mam wrażenie, że decyzja twoja krzywdzi ją.

— Tego nie mogę zrozumieć — powiedział Milton.

Lord Dennis odpowiedział stanowczo:

— Zapytałeś mnie szczerze, oczekując szczerzej odpowiedzi, prawda?

Milton potwierdził.

— A więc, mój drogi, nie weź mi tego za złe, jeśli to, co ci powiem, nie będzie bardzo przyjemne.

— Oczywiście, że nie wezmę.

— A więc dobrze! Mówisz, że wycofasz się z życia publicznego, gdyż tak ci nakazuje sumienie. Nie miałbym nic do skrytykowania, gdyby się tylko na tem kończyło.

Przerwał i przez kilka chwil milczał, widocznie w poszukiwaniu słów, któreby dobrze wyraziły jakiś powikłany bieg myśli.

— Na tem się jednak nie skończy, Eustachy! Człowiek życia publicznego jest silniejszy w tobie niż wszystko inne. Pragniesz możliwości przodowania bardziej niż miłości. Twe poświęcenie zabije twoje uczucie, za twój ból i stratę odpowiadać będzie wkońcu twoja towarzyszka.

Milton uśmiechnął się.

Lord Dennis ciągnął dalej surowo z odrobiną złośliwości.

— Nie słuchasz mnie. Lecz ja widzę zupełnie dokładnie, że ten podświadomy proces już się w to-

bie dokonywa. W tobie jest coś z jezuitę, Eustachy. Nie patrzysz na to, czego widzieć nie chcesz.

— A więc radzisz mi, bym poszedł na kompromis?

— Przeciwnie. Wskazuję ci, że będzie właśnie kompromisem, jeśli będziesz się starał zachować twe sumienie i twą miłość jednocześnie.

— To zaczyna być ciekawe.

— I przekonasz się, że nie potrafisz utrzymać ani jednego ani drugiego; — dokończył ostro lord Dennis.

Miltoun wstał.

— Innemi słowy radzisz mi, tak jak wszyscy inni, bym opuścił kobietę, którą kocham i która mnie kocha? A jednakże, wuju, mówiono, że ty kiedyś...

Lecz lord Dennis wstał również i zdawało się, że nagle zapomniał o wszystkich przyzwyczajeniach i właściwościach starości.

— O mojej sprawie — powiedział twardo — nie będziemy mówić. Ja nie radzę ci, byś opuścił kogośkolwiek. Błędnie mnie zrozumiałeś. Ja ci radzę, byś zastanowił się nad samym sobą. I wyrażam ci moje zdanie o tobie — tyś był stworzony przez naturę na męża stanu, nie na kochanka. W tobie jest coś oschłego, Eustachy, coś umarłego, nie jestem pewien czy tak samo nie jest z wszystkimi członkami naszej sfery. Za długo mieliśmy do czynienia z formułkami i ceremoniałem. Nie umiemy patrzeć na życie z lirycznego punktu widzenia.

— Niestety, nie mogę popełnić podłości potę, by przystosować się do twojej teorii.

Lord Dennis począł spacerować po pokoju. Usta miał silnie zaciśnięte.

— Człowiek, który daje rady — rzekł w końcu, — zawsze naraża się na śmieszność. A prócz tego jeszcze zrozumiałeś mnie błędnie. Nie jestem tak zarozumiały, by ważyć się na przestąpienie najtajniejszej skrytki twojej duszy. Powiedziałem ci tylko, że — podług mnie — postąpisz o wiele uczciwiej

względem siebie samego i względem tej pani, jeśli skwitujesz z twego sumienia i pogodzisz miłość twą z twym stanowiskiem, niż jeśli udawać będziesz, żeś był zdolny poświęcić to, o czym dobrze wiem, że jest najsilniejszym w tobie pierwiastkiem. Czy pamiętasz powiedzenie Democritusa: „Natura czy usposobienie każdego człowieka jest jego przeznaczeniem lub bogiem”. Zastanów się nad tem.

Przez dobrą chwilę stał Miltoun w milczeniu, nie odpowiadając wcale, poczem rzekł:

— Przepraszam, że cię niepokoiłem, wuju Denisie. Polityka kompromisu nie ma dla mnie zastosowania. Dowidzenia!

Nie podając mu ręki, wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ XXII

W dużym hall'u ktoś podniósł się z kanapy i podszedł do niego. Był to Courtier.

— Nareszcie pana zdybałem. Czy nie zechciałby pan zjeść obiadu razem ze mną? Opuszczam Anglję jutro w nocy, a jeszcze chciałbym panu coś przed wyjazdem powiedzieć.

Przez mózg Miltoun'a przeszła błyskawiczna myśl. „Czy wie on cośkolwiek?” Jednakże zgodził się na towarzyszenie mu i wyszli razem.

— Bardzo trudno znaleźć jakieś spokojne miejsce — powiedział Courtier. — Może tu będzie nam nieźle?

Miejscem, wybranem przez niego, była niewielka restauracja, uczęszczana głównie przez bywalców wyścigowych i słynna z dobroci swych steak'ów. Kiedy siedzieli naprzeciw siebie w pustym prawie pokoju, Miltoun pomyślał: „Tak, wie na pewno! Czy jeszcze będę mógł to znieść?” Oczekiwał z wściekłością na rozpoczęcie ataku, którego się spodziewał.

— A więc ma pan zamiar zrezygnować ze swego stanowiska? — powiedział Courtier.

Miltoun przyglądał mu się przez chwilę zanim odpowiedział.

— Kto był tak uprzejmy, że panu doniósł o tem?

Było jednak coś w wyrazie twarzy Courtiera, co stłumiło jego złość. Życzliwość jego była zupełnie oczywista.

— Jestem tutaj jedynym jej przyjacielem, — ciągnął Courtier poważnie — i to jest moje jedyna okazja, nie mówiąc już o moich uczuciach względem pana, które są — niech mi pan wierzy — bardzo serdeczne.

— Proszę, niech pan mówi zatem — szepnął Miltoun.

— Niech mi pan przebaczy, jeśli będę mówił bez ogródek. Czy zastanawiał się pan nad tem, jaka była jej sytuacja zanim poznała pana?

Miltoun poczuł, iż krew napływa mu do twarzy, lecz siedział spokojnie, wpijając paznokcie w zaciśnięte dłonie.

— Tak, tak — rzekł Courtier, — lecz to stanowisko — jakie pan sam zresztą zajmował — które skazuje kobietę albo na śmierć za życia, albo na moralne złamanie ślubów małżeńskich, takie stanowisko doprowadza mnie do wściekłości. Nie może pan zaprzeczyć, że to były jedyne alternatywy i przyznaję, że miał pan prawo zasadniczo protestować przeciwko nim, nie tylko słowami, lecz i czynem. Tak się też stało, wiem o tem, lecz obecnie postanowienie pańskie jest cofnięciem się wstecz, jakgdyby przyznaniem się, że protest pański był niesłuszny.

Miltoun powstał z miejsca.

— Nie mogę dysputować o tej sprawie — powiedział.

— Musi pan, choćby ze względu na nią. Jeśli wyrzeknie się pan swego stanowiska, po raz drugi złamie pan jej życie.

Miltoun usiadł znowu. Na dźwięk słowa „musisz” jakieś stalowe uczucie opancerzyło jego duszę. Oczy

jego przypominały teraz spojrzenie starego kardynała.

— Słuchaj, Courtier, — powiedział — usposobienia nasze różnią się za bardzo. Nigdy nie będziemy w stanie się zrozumieć.

— Mniejsza z tem — rzekł Courtier. — Przyznając, że te dwie alternatywy są okropne, z czembys się nigdy nie zgodził, gdyby fakty nie tyczyły ciebie samego, gdyby sprawa ta nie była twoją osobistą sprawą...

— Nie ma pan prawa twierdzić podobnie — rzekł Miltoun lodowato.

— Jakkolwiekby było, przyznaje pan to. Jeśli uważa pan zatem, że nie miał pan prawa przyjść jej z pomocą, na jakiej zasadzie opiera pan to mniemanie?

Miltoun oparł się łokciami na stole i, wsparłszy brodę na rękę, przyglądał się bojownikowi przegranej sprawy w milczeniu. W głowie miał taki zamęt, że z trudnością zmusił usta do posłuszeństwa.

— Jakiem prawem pyta mnie pan o to? — spytał wkońcu.

Ujrzał, jak twarz Courtiera stała się purpurowa. Palce jego nerwowo skubały płomienne wąsy. Odpowiedź jego była jednakże ironicznie spokojna jak zazwyczaj.

— Mój Boże, z trudem przyszłoby mi milczeć i siedzieć spokojnie ostatniego mego wieczora w Anglii, kiedy widzę, jak poświęca pan kobietę, dla której żywię uczucia braterskie. Oto pańskie zasady: trzeba za wszelką cenę być posłusznym autorytetowi sprawiedliwemu czy też niesprawiedliwemu, pożądanemu lub niepożądanemu. Złamać prawo bez względu na to, jakie i w imię czego, znaczy złamać przykazanie...

— Nie wahaj się, powiedz „przykazanie boskie“.

— Przykazanie nieomyślnej, wieczystej mocy. Czy jest to prawdziwe określenie pańskich zasad?

— Tak — rzekł Miltoun przez zęby. — Myślę, że tak.

— Wyjątki potwierdzają regułę.

— Trudno, wypadki wytwarzają fałszywe prawa. Courtier uśmiechał się.

— Wiedziałem, że wystąpi pan z tem. Zaprzeczam jakoby miały fałszować to prawo, które jest zupełnie nie z naszych czasów. Pan miał prawo ratować tę kobietę.

— Nie, Courtier. Jeśli już mamy walczyć, walczmy przy pomocy nagich faktów... Nie ratowałem nikogo. Raczej ukradłem, by nie umrzeć z głodu. I dlatego nie mogę udawać, że jestem przykładem. Gdyby to doszło do wiadomości ludzkiej, nie mógłbym chwili jednej pozostać na mem stanowisku. Nie mogę korzystać z przypadkowej tajemnicy. Czy uczyniłby pan to na mojem miejscu?

Courtier milczał. Miltoun patrzył na niego intensywnie, jakgdyby chcąc przyspieszyć jego odpowiedź.

— Uczyniłbym to — powiedział Courtier wkońcu. — Jeśli prawo zmusza do moralnego przestępstwa tych, którzy nienawidzą ludzi, związanych z nimi ślubami małżeńskimi — i tem samem narusza świętość małżeńskiego stanu, tę świętość, którą ma obowiązek podtrzymywać, wobec takiego stanu rzeczy musi pan być przygotowany na to, że będzie ono złamane przez rozsądnie rozumujących mężczyzn i kobiety, którzy pomimo to nie ztratą własnej godności.

W Miltoun'ie zbudziła się teraz głęboka namiętność do utarczki słownej, leżąca we krwi. Zatracił prawie poczucie tego, że chodziło przecież o jego własną przyszłość. Ujrzał w osobie tego krewkiego człowieka, którego oczy i głos miały taki biało-płomienny wyraz, ucieleśnienie wszystkiego, czemu z głębi duszy oponował.

— To są — powiedział — djabelskie argumenty. Nie mogę przyjmować jednostki jako sędziego w mej własnej sprawie.

— Ach! Otóż to właśnie o co mi chodzi! — Ale, ale, może wyjdziemy z tego upału?

Gdy tylko znaleźli się na ulicy, Courtier rozpoczął znowu:

— Brak zaufania do ludzkiej natury, obawa — oto jest cała podstawa działania u ludzi pańskiego pokroju. Zabrania pan jednostce sądzić, nie posiada pan bowiem wiary w istotną szlachetność człowieka, w głębi duszy uważa pan ludzi za złych. Nie daje im pan swobody, nie pozwala na żadną decyzję, gdyż obawia się, że ich postanowienia pogorszą tylko wszystko, miast ulepszyć. To jest właśnie zasadnicza różnica pomiędzy arystokratycznym a demokratycznym punktem widzenia. Mówił mi pan kiedyś, że nienawidzi i obawia się tłumu.

Miltoun patrzył w tę krewką, stanowczą twarz zukosa.

— Tak — powiedział, — wierzę w to, że ludzi można podnieść — pomimo wszystko.

— Pan jest uczciwy. Komu to pan zawdzięcza?

Znów poczuł Miltoun, że wzbiera w nim wściekłość. Raz wreszcie chciał pokonać tego czerwono-włosego buntownika. Powiedział z gryzącą ironją:

— Dziwnym zbiegiem okoliczności temu „czemuś”, którego istnienia zaprzecza pan, które przenika przez medjum najlepszego.

— Wysoki Kaznodziejo! Spójrz na tę dziewczynę, która tu przemyka się samotnie, czatując na nas. Przypuśćmy, że miast usunąć się, zgarnąwszy wokół siebie szaty, podejdziesz do niej i przemówisz, niech ci opowie, co właściwie czuje i myśli, a dowiesz się o rzeczach, które prawdziwie cię zdumieją. W głębi duszy ludzkości drzemią skarby. A wznoszą się dzięki porywom, które w nich nurtują. Czy pan nie zauważył nigdy, że sentyment narodowy zawsze wyprzedza prawo?

— A pan jest człowiekiem, — powiedział Miltoun — który nigdy nie stoi po stronie większości.

Bojownik przegranych spraw zaśmiał się krótko.

— Wcale nie postępuję tak logicznie — odpowiedział. — Wiatr zawsze z innej strony wieje, a życie nie jest zbiorem przepisów, zawieszonych w biurze na ścianie. Gdzieśmy to zaszli właściwie?

Zatrzymali się przed grupką ludzi, stojących u wejścia do Queen's Hall:

— Może wejdziemy do środka, by posłuchać muzyki i dać odpocząć naszym językom?

Miltoun zgodził się i weszli.

Wielka oświetlona sala, przesiąknięta blado niebieskawym dymem setek papierosów, zapelniona była po brzegi.

Zajmując miejsce pomiędzy tłumem mężczyzn w słomkowych kapeluszach, usłyszał Miltoun poza sobą spokojny, ironiczny głos:

— Profanum vulgus! Przyszli posłuchać najpiękniejszej muzyki, wszystko jedno kiedy skomponowanej! Plebs, któremu pan nie zaufałby przez sekundę, że może wiedzieć co jest dla niego dobre! Oplakany widok, nieprawda!

Nie odpowiedział. Pierwsze powolne tony siódmej symfonji Beethovena wypłynęły z poza ogrodzenia z kwiatów, otaczających estradę.

Cisza śmiertelna zaległa salę, tylko niebieskawo dym wznosił się spokojnie, jakgdyby z kadzideł, spalanych przed bogiem melodji. Zdawało się, że jedna myśl, jedna dusza opanowała te wszystkie blade twarze, pochylone w kierunku dźwięków muzyki, która wzmagąła się i cichła, jak westchnienie wiatru, witającego zwolnione z więzów śmierci duchy piękna.

Kiedy ostatnie tony zamilkły, Miltoun odwrócił się i wyszedł.

— A więc, — rzekł głos poza nim — czy nie dowiodło to panu, jak wszystko rośnie i doskonali się, jak wspaniały jest cały świat?

Miltoun uśmiechnął się.

— Pokazało mi to, jak może jeden genjusz ludzki upiększyć świat.

I nagle, jakgdyby muzyka rozluźniła w nim jakieś pęta, począł wyrzucać z siebie słowa.

— Spójrz na ten tłum uliczny, Courtierze, który z wszystkich w świecie, najbardziej chyba mógłby być pozostawiony sam sobie. Zabezpieczony przed epidemją, trzęsieniem ziemi, cyklonem, posuchą, przed zbytnim upałem lub mrozem, w sercu największego i najbezpieczniejszego miasta w świecie, a jednakże — spójrz na postać tego policjanta. Pośród tej karnej i układowej ciżby, jakkolwiek bezpieczna i swobodna na pozór się zdawała, musi być odśrodkowa siła, któraby trzymała ich razem. Skąd pochodzi ta odśrodkowa siła? Z łona tego właśnie tłumu, powiadasz? A ja ci mówię, że nie. Rzuć okiem wstecz na pierwowzory państwa. Od samego początku najdoskonalszy człowiek był podświadomie wykładnikiem autorytetu, zasad i boskiej mocy. Czuł w sobie tę władzę początkowo fizyczną — użył jej, by przodować, przodował od tej chwili i musi nadal przodować. — Wszystkie wasze akcje wyborcze, cały wasz tak zwany demokratyczny aparat jest jeno tylko zmyleniem śladów dla szukającego, ochłapem dla głodnego, balsamem na dumę buntowników. Wszystko to jest powierzchowną maszyną, nie będącą w stanie przeszkodzić „doskonałemu” człowiekowi, by stanął u szczytu, bowiem „doskonały” człowiek stoi najbliższej Boga i jest pierwszym, który przyjmuje Jego rozkazy. Nie mówię o dziedzictwie. Doskonały człowiek nie musi się urodzić w mojej sierze i ja osobiście nie wierzę, żeby znajdował się częściej w tem otoczeniu, niż w jakimkolwiek innym.

Przerwał, tak samo nagle jak rozpoczął.

— Może pan się nie obawiać, — rzekł Courtier, — że traktuję pana jako przeciętnego człowieka. Pan jest na jednym biegunie, a ja na drugim i prawdopodobnie obaj jednakowo oddaleni od złotego środka. Lecz światem nie rządzi siła i bojaźń, jaką ta siła wzbudza, — światem rządzi miłość. Społeczeństwo trzyma się razem przez naturalną skłonność czło-

wieka, przez zmysł społeczny. Zasady demokracji, których tak nienawidzisz, nie oznaczają u podstaw nic innego. Człowiek, pozostawiony samemu sobie, pnie się do góry. Gdyby tak nie było, czy przypuszcza pan przez chwilę, że pańscy niebiescy chłopcy utrzymaliby porządek? Każdy człowiek wie podświadomie co czynić może bez zatracenia swej godności, a czego nie. Tę wiedzę wchłania w siebie z każdym oddechem. Prawa i autorytety nie są alfą i omegą świata, — są tylko udogodnieniami, maszyną, przewodnikami i drogami podjazdowymi. Nie są strukturą gmachu, są jego rusztowaniem.

Miltoun odpalił z miejsca:

— Bez którego żaden gmach nie mógłby być wzniesiony.

Courtier odparował:

— Ale to jest zupełnie co innego, mój przyjacielu, od identyfikowania rusztowania z gmachem! Są to rzeczy, które można łatwo rozebrać i usunąć, by ustąpiły miejsca budowli, wzniesionej na ziemi — nie w niebiosach. Całe to rusztowanie praw jest jedynie poto, by zaoszczędzić czasu, by ustrzec wznoszoną świątynię przed zachwianiem się, przed zatraceniem swego kształtu i pionu.

— Nie — rzekł Miltoun, — nie. To rusztowanie, jak pan nazywa, jest materialną koncepcją architekta, bez którego żadna świątynia nie mogłaby powstać i nie powstałaby. Architektem jest Bóg, pracujący umysłami i duszami tych, którzy Mu są najbliżsi.

— Teraz znaleźliśmy punkt zaczepny — zawołał Courtier, — Pański Bóg jest poza światem. Mój zaś pośród świata.

— I obaj nigdy się nie spotkają.

Zaległo milczenie. Miltoun zauważył, że znajdują się na Leicester Square — było tu spokojnie teraz, gdyż teatry jeszcze nie zaczęły się opróżniać. Pano wało jakby spokojne wyczekiwanie. Światła lamp, jak żółte gwiazdy, spuszczone z ciemnych niebios, przywarły do białawych zarysów music-hallów i ka-

wiarni, rodzaj ulotnej poświaty rozjaśniał wciąż jeszcze gęste liście kasztanów.

— Ten plac, to biała rozpustnica, — powiedział Courtier — jak żywe oblicze ludzkie, pełne dziwacznej, niesamowitej piękności. Lecz na Boga, jeśli się wniknie głęboko, można szlachetność znaleźć nawet i tutaj.

— A na zło zamknie pan oczy? — odpowiedział Miltoun.

Uczuł nagle zmęczenie, obawiał się wrócić do siebie, nie chciał kontynuować tej utarczki słownej, która nie doprowadzała go do żadnej przystani pociechy. Z dziwnym uczuciem znużenia przysłuchiwał się głosowi Courtiera.

— Musimy wykorzystać tę noc, jeśli jutro mamy umrzeć... Pan by się wystarał o pozwolenie z zewnątrz, jabym zapytał samego siebie. Kiedy wstaję rano, kiedy kładę się do łóżka, kiedy odycham, kiedy widzę jakąś twarz, kwiat, lub drzewo, musiałbym opuścić ten przybytek uciech znudzony najzupełniej, gdybym nie odczuwał wtedy, że patrzę w oblicze Boga. O ile pana rozumiem, nie może pan spojrzeć na swego Boga, o ile nie usunie się w jakieś święte zacisze. Czy nie czuje się pan tam samotny?

Miltoun nie odpowiedział i szli dalej w milczeniu. Nagle wybuchnął:

— Mówi pan o tyranji. Jakaż tyranja może się równać z tyranją waszej wolności? Jaka tyranja w świecie podobna jest tej, goszczącej w tych „wolnych“, wulgarnych, ciasnych uliczkach, z ich setką piśmideł, które kotłują się jak mrowiska, by stworzyć — co właściwie? W głębi tej pańskiej wolności, Courtierze, niema miejsca na poryw, na karność lub poświęcenie. Jest tylko miejsce na handel i samowolę.

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Miltoun spojrział na rzekę, odwracając oczy od wysokich domów i oświetlonych okien, do których przemawiał.

— Nie, — przemówił głos — pomimo wszystkich ich wad, wiatr przebiega po tej ulicy i zmiana zawsze

jest możliwa. Na Boga, wolałbym raczej widzieć kilka małych gwiazd na niebie, starających się rozproszyć ciemność, niżeli wszystkie wasze doskonałe sztuczne światła.

I nagle zdało się Miltoun'owi, że nigdy nie będzie mógł oswobodzić się od echa tego głosu, że zbytecznie jest nawet próbować.

— Powtarzamy się — powiedział sucho.

Czarna woda rzeki, ponad którą błyszczał sierp półksiężyca, odpływała powoli i spokojnie. Chaos dalekiego brzegu, zarysy żórawi, wysokie budowle, cokoły, kształty uspionych łodzi, miliony dziwacznych, ciemnych form, zdawały się jakgdyby żywe, odziane w ciemną szatę nocy. Wszystko było podniesłe tutaj, wszystko piękne i dziwne. A ponad tym wielkim, spokojnym przyjacielem ludzkości, lampy — te skromne kwiaty nocy — rzucały słaby, nieprzerwany blask opadających płatków. Słodko pachnący wiatr zerwał się z zachodu, bardzo powolny jeszcze, przynosząc dreszcz i woń niezliczonych drzew i pól. Szmer, będący właściwie nie głosem, lecz jakby szepcieniem serc, towarzyszył wędrówce czarnych wód.

Małe, ręce czółno, prowadzone przez dwóch wiosłarzy, przepłynęło tuż przy brzegu, przy akompaniamencie łoskotu i skrzypienia wiosł.

— A więc „jutro musimy umrzeć“? — rzekł Miltoun. — Masz na myśli, przypuszczam, że „życie społeczne“ jest oddechem dla mych płuc i muszę umrzeć, gdyż się go wyrzeknę?

Courtier potwierdził.

— Czy nie jestem w błędzie, przypuszczając, że moja młodsza siostra wysłała pana na tę kruczatę?

Courtier nie odpowiedział,

— A więc — ciągnął dalej Miltoun, patrząc bystro na niego — jutro jest i dla pana ostatni dzień? Tak jest, ma pan rację, że się pan usuwa. Ona nie jest tem brzydkim kaczącym, które może żyć poza swoim towarzyskim stawem, zawsze będzie tęskniła

do swego właściwego żywiołu. A teraz, pożegnamy się! Będę pamiętał ten wieczór cokolwiek nam się zdarzy w życiu. — Uśmiechając się, wyciągnął dłoń: — *Moriturus te saluto.*

ROZDZIAŁ XXIII

Courtier siedział w Hyde parku, oczekując godziny piątej. Pomimo chmurnego poranka, dzień powstał ładny i pogodny, jakgdyby żar długiego, gorącego lata zbyt mocno przepoił powietrze, by ustąpić przed pierwszym podmuchem chłodu. Słońce przenikało delikatne chmury — pióra błękitnych gołębi — i godziło swemi promieniami w więdnące liście, pokrywające ziemię deseniem delikatnych cieni. Pierwszy wczesny zapach liści, które mają opaść, przeniakał do głębi serca. Słodkie, posmutniałe ptaki stroiły swe malutkie, jesienne flety, wygrywając ostatnie urywki wiosennego hymnu do wolności.

Courtier myślał o *Miltoun'ie* i jego ukochanej. Jakiż złośliwy los postawił ich na swej drodze? Jaki będzie koniec ich miłości? Ziarno bólu było już posiane, jakie kwiaty wyrosną z tego ziarna? Ujrzał znów oczami przeszłości to małe, poważne, rozsądne dziecko o słodkich oczach, umieszczonych daleko od siebie pod łukami brwi, z małym dołeczkiem w kąciku ust, który pojawiał się wtedy, kiedy ją drażnił. — I ta łagodna istota, która umarłaby raczej, niżby wymusiła cokolwiek, spotkała dziwną miłość arystokraty z krwi i kości, o żarliwej duszy fanatyka, którego każdy nerw był wychowywany i trenowany na usługi autorytetu — tego arystokraty — nieprzyjaciela jedności życia, wielbiciela starego Boga, stojącego z batem w rękę i zmuszającego do posłuszeństwa. Boga, któregooby Courtier jeszcze dziś mógł zaklinać, gdy wspominał Jego srogie spojrzenie, skierowane

na niego ze ścian dziecinnego pokoju. Boga, w którego wierzył jego ojciec. Boga ze Starego Testamentu, nie znającego pobłażania i wybaczenia. Dziwne to, że żył On jeszcze, że istniały jeszcze tysiączne rzesze, które wielbiły Go. Jednakże może to i nie takie dziwne, jeśli się wzięło pod uwagę, że człowiek stwarza Boga na wzór i podobieństwo swoje! Miało miejsce dziwne skojarzenie tego, coby filozof nazwał wolą miłości i wolą władzy!

Jakaś para, żołnierz i dziewczyna, nadeszła i usiadła na ławce tuż obok niego. Spoglądali z ukosa na jego wyniosłą, sztywną sylwetkę i zawadjacką minę, poczem, gdy coś nieokreślonego powiedziało im, że nie mają do czynienia z kimś z tego zawadzającego plemienia ludzkiego, zwanego oficerami, przestali mu się przyglądać i całkowicie zatopili się w niemej i niewypowiedzianej radości. Dłoń w dłoń, przytuleni do siebie, podobali się bardzo Courtierowi, gdyż mieli wygląd ludzi, żyjących wyłącznie chwilą, a tacy zawsze przypadali do gustu jemu, którego krew zbyt szybko krążyła w żyłach, by pozwolić mu zastanawiać się długo nad przyszłością, lub zagłębiać w przeszłości.

Liść z gałęzi, zwisającej się tuż ponad nim, spalony pocałunkami słońca, spadł i leżał rdzawy u jego stóp. Jakże prędko żółkły liście!

Było to charakterystyczne dla tego człowieka, który tak się zapalał do przegranych spraw cudzych, że w pół godziny po ostatecznym przegraniu swej własnej sprawy, mógł siedzieć tak spokojnie, nieomal apatycznie. Zawdzięczał tę obojętność temu, że— jak dotychczas — pomimo wysiłków nie udało się jeszcze nigdy losowi zgnębić go całkowicie, a także temu, że był człowiekiem nieuleczalnie przyzwyczajonym do noszenia własnego losu w dłoni i do trzymania tej dłoni otwartej. Nie wydawało mu się to możliwe, że w rzeczywistości będzie musiał ścierpieć porażkę, nie umiał przyznać się przed samym sobą, że uganiał się za tą dziewczyną przez wszystkie

ubiegłe tygodnie i że już jutro wszystko się skończy bez rezultatu, że ona będzie dla niego tak samo umarła, jakgdyby nie znał jej wcale. Nie, nie była to rezygnacja, — był to poprostu brak zrozumienia własnych interesów w życiu. Gdyby to nie była tylko jego przegrana sprawa! Z jakąż rycerskością wyruszyłby do ataku i szturmem ją zdobył! Gdybyż tylko on był właśnie tym kimś innym, jak gorącoby prosił, używając tych wszystkich słów, które cisnęły mu się na usta od czasu, gdy poznał Barbarę i które zdawały się tak śmieszne i niewarte wypowiedzenia, gdy chodziło o niego samego. Tak, dla tego innego uprowadziłby ją z pośród ognia nieprzyjacielskiego, wziąłby ją, tę najpiękniejszą nagrodę.

Siedział, pogrążony w tej dziwacznej, pogodnej apatji, którą krok jeden dzielił od rozpacz — i przyglądał się liściom spadającym, od czasu do czasu bawiąc się laską i wchłaniając powietrze, pachnące zbliżającą się jesienią. A gdy oczami wyobraźni ujrzał się, unoszącego ją w dzikie kraje, gdzie dzięki opiece i miłości uczyniłby ją szczęśliwą, obraz ten wydał mu się czemś tak dalekiem i niedoścignionem, że uśmiech pojawił mu się na ustach i mocno zacisnął zęby.

Dziewczyna i żołnierz powstali i przeszli obok niego, kierując się wdół alei. Przyglądał się ich czerwono-niebieskim sylwetkom, kiedy przechodzili powoli w kierunku słonecznej strony, oraz drugiej jakiejś parze tuż koło ogrodzenia, która przecięła im teraz drogę. Było coś rozbawionego i żywiołowego w ruchach tej nowej pary, gdy wysocy i zgrabni postępowali naprzód, z głowami wysoko wzniesionymi, zwracając się do siebie, by wymienić słowa i uśmiechy. Nawet zdaleka widać było, że byli ubrani podług najświeższej mody. W ich chodzie dominowała jakaś prawie-że zuchwała równowaga tych, którzy są ponad przesadami i wątpliwościami, pewni wszystkiego, co ich otacza i samych siebie. Dziewczyna nosiła suknię rdzawego koloru; kapelusz i włosy

pod nim były tego samego odcienia, a zachodzące promienie słońca otaczały ją jakimś zamglonym blaskiem. Poczem Courtier ujrzał kto to był — ta para!

Oprócz mimowolnego zgrzytnięcia zębami nie wykonał żadnego poruszenia, ani dobył głosu, tak że przeszli obok, nie zauważywszy go. Głos jej doszedł go wyraźnie, mimo że nie mógł rozróżnić poszczególnych słów. Ujrzał, jak wsunęła rękę pod ramię Harbingera i natychmiast znów ją opuściła. Jakiś dziwny uśmiech, którego był nieświadomy, przywarł do jego ust. Wstał, otrząsnął się, jak się psy otrząsają pod razami, i odszedł, zaciskając usta w stanowczą linię.

ROZDZIAŁ XXIV

Barbara siedziała ze spuszczonej oczami sama w cukierce Gustard'a, gdzie zapach ciasta weselnego i wody pomarańczowej napawał radością powietrze, — jak dziecko, które, gdy mu zabiorą zabawkę patrzy niezdecydowanie w ziemię, nie wiedząc dokładnie, co odczuwa. Potem, zapłaciwszy, wyszła na ulicę. Tutaj, na placu przed cukiernią jakaś orkiestra niemiecka wygrywała Coppelję Delibes'a i umęczone tony goniły za nią, jak duchy dysharmonji i niezgody.

Poszła wprost do domu. W tym samym pokoju, gdzie przed trzema godzinami pozostawiono ją po lunchu sam na sam z Harbingerem, siedziała pod oknem jej siostra z wyraźnym wyrazem zatroskania na twarzy. Agata spędziła bardzo przykrą godzinę. Wstąpiwszy z małą Anną do cukiernika, gdzie zwykle nabywała specjalne cukierki, które uważała za bardzo zdrowe dla swych dzieci, zajęta kupowaniem funta tych specjalów, obejrzała się za córeczką i ujrzała ją, stojącą nieruchomo, z wydatnym noskiem skierowanym wgląd sklepu i z buzią otwartą. Spojrzawszy w kierunku tych szczerych, pytających oczu, Agata

ujrzała ku swemu najwyższemu zdziwieniu siostrę, siedzącą z jakimś młodym człowiekiem, w którym poznała Courtiera. Błyskawicznie opanowując sytuację, włożyła cukierek do buzi Anny i zwracając się do sklepowej ze słowami: „Proszę mi odesłać paczkę do domu,” wzięła Annę za rączkę i wyszła ze sklepu. Przykre niespodzianki zazwyczaj chodzą w parze, zaledwie Agata wróciła do domu, dowiedziała się od ojca o komplikacjach, jakie zaszły ze sprawami miłosnymi Miltoun'a. Barbara, powróciwszy, zastała ją szczerze zmartwioną, niezdolną zdecydować, czy powinna wyjawic to, co widziała i równocześnie namiętnie oburzoną tem szczególnem oburzeniem kobiet, miłujących ciepło domowe, kiedy ideały ich zostają pogwałcone.

Domyśliwszy się natychmiast po wyrazie jej twarzy, że musiała dowiedzieć się o sprawie Miltoun'a, Barbara odezwała się:

— No cóż, mój drogi Aniele, czy usłyszę jakąś perorę od ciebie?

Agata odpowiedziała zimno:

— Zdaje mi się, żeś musiała oszaleć, kiedyś sprowadziła mrs. Noel do niego.

— Wszystkie obowiązki kobiety zawierają w sobie odrobinę szaleństwa, — szepnęła Barbara.

Agata popatrzyła na nią w milczeniu.

— Nie mogę ciebie zrozumieć — powiedziała, — przecież wkońcu nie jesteś fiksatką.

— Nie, jestem tylko bardzo zła.

— Może uważasz za stosowne żartować w obliczu ruiny życia Miltoun'a, ja nie mogę — szepnęła Agata.

Oczy Barbary błysnęły. Powiedziała ostrym głosem:

— Świat nie jest twoim pokojem dziecinnym, mój Aniele.

Agata zacisnęła usta mocno, jakgdyby chciała powiedzieć: „To szkoda. Powinien być”, lecz odpowiedziała tylko:

— Przypuszczam, że nie wiesz, iż widziałam cię przed chwilą u Gustard'a?

Barbara przyglądała jej się przez chwilę ze zdumieniem, poczem zaczęła się śmiać.

— Ach, rozumiem — powiedziała, — cóż za okropne zdeprawowanie! W biednej, starej cukierce Gustard'a! — I wciąż się śmiejąc swoim niebezpiecznym śmiechem, wykręciła się na pięcie i wyszła z pokoju.

Podczas obiadu i w ciągu całego wieczoru Barbara milczała uporczywie. Twarz jej nosiła wyraz, który malował się na niej zwykle podczas polowań, szczególnie, kiedy napotykała na trudności różnego rodzaju, lub kiedy jej zalecano, żeby się porządnie „wzięła w garść”. Gdy udała się do swego pokoju, opanowała ją chęć wyrządzenia krzywdy komukolwiek, choćby sobie samej. Wiedziała doskonale, że nie uda jej się zasnąć, kręcić się tylko będzie bezsennie w rozgorączkowaniu z boku na bok — znała przecież siebie doskonale w tego rodzaju niespokojnych nastrojach. Przez chwilę zastanawiała się, czyby nie wyjść na ulicę. To sprawiłoby jej przyjemność, a ich-by dotknęło, było to jednak dość trudne do przeprowadzenia. Nie chciała przecież być widzianą i znosić upokorzenia jawnego skandalu. Wtedy przyszło jej na myśl wspomnienie dachu na wieży, gdzie była kiedyś dawno, jeszcze za czasów swego dzieciństwa. Będzie tam na świeżem powietrzu, będzie mogła odetchnąć i ochłodzić z gorączki. Z niezbyt szczęśliwą uciechą niegrzecznego dziecka, które chce się zemścić, pozostawiła umyślnie otwarte drzwi od swego sypialnego pokoju, w ten sposób, żeby jej pokojowa zdziwiła się, nie widząc jej, żeby się zaniepokoiła i następnie zaniepokoiła innych domowników. Przemknęła przez galerję obrazów, rozświetloną poświatą księżyca, aż do przedsionka, prowadzącego do sanktuarjum jej ojca, — tu znajdowały się kamienne schody, prowadzące na wieżę. Zaczęła się po nich

wspinać. Była bardzo zdyszana, kiedy wkońcu, przebywszy zda się nieskończony szereg stopni, wylądowała na dachu, na skraju północnego skrzydła pałacu, gdzie u jej stóp roztaczała się teraz otchłań, przeszło sto stóp głęboka. Z początku kręciło jej się w głowie, więc trzymała się silnie ogrodzenia, otaczającego dach. Wciąż jeszcze zaabsorbowana była swemi nieskrystalizowanemi, buntowniczymi myślami. Poczem stopniowo straciła świadomość wszystkiego prócz widoku, jaki roztaczał się przed jej oczami. Stojąc wysoko ponad wszystkiemi sąsiednimi domami, była prawie przerażona majestatem tego, co widziała. To miasto, spowite w szatę nocy, tak dalekie i ciemne, żywe, białe połyskujące, z miliardami złocistych kwiatów - świateł, rosnących wśród szafirowych wzgórz i dolin, z którego serca dobywał się głęboki, nieustający szept — miałoby być tem samem, po którym spacerowała tego dnia dopiero? Z jego śpiącego ciała wypłynął najwznieśliwszy duch w ciemnej wspaniałości i unosił się nad ziemią, kusząc ją. Barbara odwróciła się, by nic nie stracić z tego zdumiewającego widoku, poczawszy od czarnej powierzchni Hyde parku tuż przed nią, aż do bladego białawego widma wieżyc kościelnych, daleko na wschodzie. Jakże wspaniałe było to miasto nocy! I. podobnie jak w obliczu rozległej ciemności morza o świcie, poczuła się dziwnie mała i pokorna, tak i teraz nawiedziło ją to uczucie wobec widoku tego potężnego, pięknego tworu, będącego dziełem człowieka. Rozróżniała zarysy hoteli na Piccadilly, a poza niemi pałace i wieże Westminsteru i Whitehall'u, powikłane, piękne, zamglone, błękitne zarysy i kręte, bladawe linje świateł pod ciemnym szafirem nieba. W pobliżu dostrzegła wyraźnie oświetlone okna, samochody, które prześlizgiwały się wdole, nawet drobne sylwetki ludzi przechodzących, a myśl, że każdy z nich jest człowiekiem, jak ona, wydawała się dziwaczna.

Pijąc z tej czary dziwów, doświadczała dziwnego uczucia odurzenia i, zatracając świadomość swej mądrości, poczuła w sobie siłę władzy i mocy, jak kiedyś we śnie w Monkland. Ona, podobnie jak i ten wielki twór u jej stóp, zdawała się odrzucać wiążącą ją powłokę ciała, zdawała się wyzwalać z wszelkich oków i bujać najcudowniej narówni z powietrzem. Zdawała się zespalać z wyzwolonym duchem miasta, zatopiona w odczuwaniu jego piękna. Nagle uczucie to minęło, pozostawiając ją drżącą, chociaż wiatr, wiejący z zachodu, był bardzo łagodny i ciepły. Pomysł przyjscia tutaj wydał jej się dziwaczny i śmieszny. Skradając się pocichutku, zeszła na dół i dotarła już do drzwi galerji, kiedy usłyszała głos swej matki, pytający w najwyższem zdumieniu:

— To ty, Barbaro?

Odwrociła się i ujrzała ją, wychodzącą z drzwi sanktuarjum.

Odzyskując nagle chłód i równowagę umysłu, Barbara stała, patrząc na lady Valleys, która powiedziała z lekkim wahaniem:

— Proszę, wejdz na chwilę do nas, moja droga.

W pokoju, urządzonym wygodnie, stał lord Valleys, odwrócony plecami do kominka. Na twarzy malował mu się naprzemian gniew i decyzja. Wątpliwości Agaty, czy powinna powiedzieć, czy też nie, zostały okrutnie rozstrzygnięte przez małą Annę, która, podczas chwilowej przerwy wśród ogólnej rozmowy, zaanonsowała:

— Widziałyśmy ciocię Barbarę i mr. Courtiera u Gustard'a, ale nie mówiłyśmy z nimi.

Lady Valleys, całkowicie wytracona z równowagi przez zdarzenia ubiegłego popołudnia, nie okazała tym razem swego zwykłego „savoir faire”. Powiedziała natychmiast o wszystkim mężowi. Spotkanie w tej cukierce, która swą popularność zawdzięczała jedynie doskonałym ciastom weselnym, nie miało właściwie żadnego głębszego znaczenia, lecz, że oboje byli już zaniepokojeni sprawą Miltoun'a, wyobrazili

sobie wszystko w okropnem świetle, jakgdyby niebiosy przysięgły się, by całkowicie zdemolować ich gniazdo.

Dla lorda Valleys była to wiadomość szczególnie przyciągająca, jeśli się wzięło pod uwagę uczucie szczerego podziwu, jaki żywił dla swej córki i lekceważenie, z jakim przyjął przestrożę żony z przed kilku tygodni. Po zastanowieniu się i rozważeniu sprawy, przyszli do wniosku, że lady Valleys winna porozmawiać z córką. Chociaż oboje nie byli zbyt głębokimi znawcami dusz ludzkich, jednakże mieli zdrowy, chłodny sąd i zdawali sobie całkowicie sprawę z niebezpieczeństwa drażnienia Barbary. Nie przeszkodziło to jednak lordowi Valleys do użycia mocnych wyrażen na temat przeklętego braku skrupułów ze strony tego osobnika i ułożenia sobie potajemnego planu działania. Lady Valleys natomiast, głębiej obeznana z usposobieniem swej córki i, jako kobieta, bardziej pobłażliwa dla mężczyzn, chociaż nie próbowała stawać w obronie Courtiera, jednakże pomyślała w duchu: „Barbara jest pomimo wszystko zapamiętałą flirciarką”. Trzeba przyznać, że nie mogła zapomnieć całkowicie siebie, gdy była w jej wieku!

Przyzwana tak niespodziewanie Barbara z zaciśniętymi ustami zajęła spokojnie miejsce przy biurku ojca.

Lord Valleys, ujrawszy ją, pojawiającą się tak niespodziewanie, instynktownie rozchmurzył się. Jego znajomość ludzi i rzeczy, setki godzin, spędzone na misjach dyplomatycznych, pomogły mu do przybrania wyrazu spokoju i obojętności, uczuć, które były mu w tej chwili bardzo dalekie. W istocie łatwiejby mu przyszło przeciwstawić się wrogiemu motłochowi niż swej ukochanej córce w tych okolicznościach. Jego twarz z szorstkimi wąsami przybrała podświadomie jeszcze bardziej żołnierski wygląd niż zazwyczaj. Powieki opadły mu lekko, brwi wzniosły się ledwie dostrzegalnie.

Barbara miała na sobie niebieski płaszcz, narzucony na wieczorową suknię i ojciec jej podjął instynktownie ten nic nieznaczący szczegół, by rozpocząć rozmowę.

— Cóż to, Barbaro, czyś wychodziła?

Barbara, wzruszona do głębi swej istoty, z rozedrganymi nerwami, nie dając nic poznać po sobie, odpowiedziała:

— Nie, byłam tylko na dachu wieży.

Wyczuła szczere zakłopotanie ojca pod maską godności i to napełniło ją złośliwą uciechą. Odgadując te ukryte drwiny, lord Valleys zapytał sucho:

— Patrzyłaś w gwiazdy?

Poczem, z nagłą właściwą mu determinacją, jakgdyby nudziła go dalsza zwłoka i przystosowywanie się do okoliczności, dodał:

— Czy wiesz, że mam pewne zastrzeżenia co do tego, czy jest rozsądnie naznaczać spotkania w cukierni wtedy, kiedy mała Anna znajduje się w Londynie?

Krótki, niebezpieczny błysk w oczach Barbary uszedł jego uwadze, lecz lady Valleys spostrzegła go i powiedziała natychmiast:

— Bezwątpienia miałaś jakieś najsluszniejsze powody, by to uczynić, moje dziecko.

Barbara wydeła usta. Z wyrazu jej twarzy nie można było się domyśleć, co o tym wszystkim sądzi. Gdyby nie mieli dnia tego przejścia z Miltoun'em, gdyby nie byli tak szczerze zaniepokojeni, oboje bezwątpienia zauważyliby, że o ile córka ich jest w podobnym nastroju, im mniej się z nią mówić będzie, tem prędzej naprawi się zło. Nerwy ich jednak nie podlegały teraz zwykłej kontroli i lord Valleys wybuchnął niecierpliwie:

— Zdaje się, że nie uważasz za stosowne wytłumaczyć twego postępowania?

Barbara odpowiedziała krótko:

— Nie.

— A, rozumiem, — zawołał lord Valleys — wytłumaczenia żądać się powinno bezwątpienia od tego pana, którego zmysł poczucia miary jest tak ograniczony, że nie przeszkodził mu w zaproponowaniu ci czegoś podobnego.

— On mi nic nie proponował, — to ja jemu zaproponowałam.

Brwi lorda Valleys uniosły się jeszcze wyżej:

— Doprawdy!

— Geoffrey'u, — szepnęła lady Valleys — mam wrażenie, że to ja miałam pomówić z Barbarą.

— Bezwątpienia będzie to rozsądniej.

W Barbarze, która pierwszy raz w swem życiu była karconą, obudziło się jakieś szczególne uczucie, uczucie, którego dotychczas nigdy nie zaznała — jak gdyby ktoś odzierał ją żywcem ze skóry — uczucie przykre i jednocześnie złośliwe.

W tej chwili gotowa była zabić swego ojca. Lecz spuściwszy oczy nie zdradzała swych uczuć.

— Czy to wszystko? — spytała.

Szczęka lorda Valleys wysunęła się naprzód.

— W związku z twoim udziałem w całej sprawie Miltoun'a jest to szczególnie interesujące.

— Mój drogi — przerwała lady Valleys, — Barbara powie mi o wszystkim. Na pewno jest to bez wielkiego znaczenia.

Spokojny głos Barbary odezwał się znowu:

— Czy to już wszystko?

Powtórzenie tego zdania, wypowiedzianego, doprowadzającym do szaleństwa, chłodnym, spokojnym głosem — omal że nie wyprowadziło z równowagi lorda Valleys, który i tak już z trudnością nad sobą panował.

— Od ciebie nie żądamy już nic więcej w tej sprawie, — powiedział lodowato. — Będę miał zaszczyt powiedzieć temu panu co o nim sędzę.

Na te słowa Barbara opanowała się siłą woli i podniosła oczy, patrząc to na matkę, to na ojca.

Ani lady ani lord Valleys nie wytrzymali spokojnie tego spojrzenia zimnego i twardego, a jednakże tak płomiennie żywego. Zdawało się, że zdarła z nich maskę dobrego urodzenia — maskę tych, których dusze przez długie, bezapelacyjne godzenie się z sobą stały się nieelastyczne, niezdolne do wzruszeń, powszedniejsze jeszcze niż sobie z tego zdawali sprawę. Był to nad wyraz przykry moment! Po chwili Barbara odezwała się:

— Jeśli to już wszystko, w takim razie pójde się położyć. Dobranoc.

I równie spokojnie jak przyszła, odeszła.

Znalazłszy się w swoim pokoju, zamknęła na klucz drzwi, zrzuciła okrycie i spojrzała w lustro. Z radością ujrzała, jak mocno zaciśnięte były jej zęby, jak ciężko unosiła się pierś w oddechu, jak oczy jej zdawały się przewiercać spojrzeniem. Przez cały czas myślała:

— Bardzo dobrze, moi kochani! Doskonale!

ROZDZIAŁ XXV

W takim nastroju zbuntowanej rozpaczycy usnęła. I rzecz dziwna, śniła nie o tym, którego tak gwałtownie przez cały czas w myślach broniła, lecz o Harbingerze. Wydawało jej się, że znajduje się w więzieniu, że leży w celi, która przypominała wyglądem pokój przyjęć w Sea House, a w sąsiedniej celi, do której jakoś mogła zaglądać, znajdował się Harbinger, ryjący paznogciami otwór w ścianie. Najdokładniej widziała włosy na jego rękach, słyszała jego oddech. Otwór, który borował, stawał się coraz większy. Serce jej poczęło bić gwałtownie. Obudziła się.

Wstała z łóżka ze świeżem złośliwym postanowieniem. Nie okaże żadnych oznak buntu, będzie się zachowywała przez cały dzień, jakgdyby nic nie

zaszło, oszuka ich wszystkich, a potem...! — Dokładnie nie wytłumaczyła nawet przed sobą samą, co miało oznaczać to „A potem”.

Zgodnie z tym planem pojawiła się przy śniadaniu z twarzą zupełnie pogodną, następnie udała się na przejażdżkę konną z małą Anną, a potem za sprawunkami z matką. Wskutek sprawy Miltoun'a wyjazd do Szkocji został odłożony. Odparowywała z chłodnym sprytem każdy wysiłek lady Valleys wciągnięcia jej do rozmowy na temat spotkania u Gustard'a, nie chciała mówić o Miltoun'ie, poza tem była najzupełniej naturalna. Popołudniu nawet zaoferowała się towarzyszyć matce do starej lady Harbinger, która mieszkała w sąsiedztwie Prince's Gate. Wiedziała, że Harbinger tam będzie, a myśl spotkania go właśnie wtedy, kiedy w perspektywie miała rendez-vous o piątej z Courtierem napełniała ją cynicznym zadowoleniem. Było to takim doskonałym zamydleniem oczu dla nich wszystkich! W poczuciu tego, że dokonywa mistrzowskiego uderzenia, zwróciła się do Harbingera w obecności swej matki, mówiąc, że pójdzie pieszo do domu i że może jej towarzyszyć, jeśli zechce. Oczywiście, chciał.

Kiedy szła tak z nim tego jesiennego popołudnia, pod jesiennymi drzewami, gdzie powietrze było słodkie i pachnące, zlekka ożywione wiatrem południowym, cały jej niebaczny, buntowniczy nastrój pierchnął nagle. Poczowała, że jest szczęśliwa i spokojna i że dobrze jest jej spacerować w jego towarzystwie. Był dzisiaj wesoły, jakgdyby nie chciał psuć jej rozradowania, — była mu za te usiłowania wdzięczna. Raz czy też dwa nawet podniosła rękę i dotknęła jego rękawa, pokazując przyjaźnie ptaki i drzewa, zadowolona, że po tylu godzinach gorzkich przeżyć jest w stanie dać komuś szczęście. Kiedy żegnali się przy drzwiach Valleys House, spojrzała na niego z jakimś dziwnym, napół żalonym uśmiechem. Teraz nadeszła właściwa godzina

W małym, rzadko tylko odwiedzanym pokoju, biało pomalowanym i wykładanym jasną boazerją, zasiadła Barbara, oczekując Courtiera. Z okien pokoju widziała podjazd i miała zamiar wyjść, niby przypadkiem, na spotkanie Courtierowi do hall'u. Była podniecona i trochę zła na siebie za to podniecenie... Przypuszczała, że będzie punktualny, a tymczasem było już po piątej. Niebawem ogarnęło ją uczucie niepewności, wydała się sobie śmieszna, siedząc tu w tym pokoju, gdzie nikt nie wchodził. Podeszła do okna i wyjrzała.

Jakiś głos przemówił za nią nagle:

— Ciociu Barbaro...

Odwróciła się i ujrzała Annę, patrzącą na nią wielkimi, brązowymi oczami. Barbara wstrząsnęła się nerwowo.

— Czy to jest twój pokój? Jest bardzo ładny, nieprawdaż?

— Dość ładny pokój, Anno.

— Naprawdę! Nigdy jeszcze tutaj nie byłam. Ktoś przyszedł akurat, muszę więc odejść.

Barbara mimowoli przyłożyła ręce do policzków i szybko wyszła za swoją siostrzenicą do hall'u. Przy samych drzwiach podał jej Wiliam jakiś list. Spojrzała na adres. List był od Courtiera. Powróciła do pokoju. Przez uchylone drzwi widziała małą Annę, stojącą z nóżkami szeroko rozstawionymi, z rączkami założonemi za nisko opuszczony pasek, z wydatnym noskiem, skierowanym w górę do Wiliama. Barbara zamknęła gwałtownie drzwi, złamała pieczętkę i poczęła czytać:

„Droga Lady Barbaro!

Przykro mi oznajmić Pani, że rozmowa moja z Jej bratem była bezowocna.

Przypadkowo znajdowałem się w Parku przed chwilą. Chcę życzyć Pani wszystkiego najlepszego zanim wyjadę z Anglii. Było dla mnie największą radością znać Panią. Ilekroć pomyślę o Pani, zawsze myśli te napełnią mnie dumą. Ilekroć wspomnę Panią,

wspomnienia te pomogą mi wierzyć, że życie jest dobre. Jeśli będę przygnębiony, kiedy pomyślę, że los jest ciężki, wtedy zawsze będę pamiętał o tem, że Pani oddecha tem samem powietrzem, na tej samej ziemi. A przed pięknnością i radością uchylę kornie czoła przez pamięć, że kiedyś wolno mi było mówić i chodzić z Panią. A więc dowidzenia. Niech Panią Bóg błogosławi.

Najniższy sługa Pani

Karol Courtier“

Policzki jej płonęły, szybki oddech dobywał się z ust, chciała przeczytać list powtórnie, lecz zanim dobiegła końca, nie widziała już liter przez mgłę łez. Gdybyż w tym liście znajdowało się choć słowo żalu lub skargi! Nie mogła przecież pozwolić na to, by odjechał bez pożegnania, bez słowa wyjaśnienia. Nie powinna myśleć o niej, że jest tylko chłodną, niewzruszoną kokietką, która bawiła się nim przez kilka tygodni. Wytlumaczy mu w każdym razie, że w rzeczywistości tak nie było... Postara się, by zrozumiał, że nie jest tak, jak on myśli, że coś w głębi jej duszy pragnie... pożąda! Myśli jej zaczęły się mieszać. „Co to właściwie było?“ myślała. „Co ja właściwie zrobiłam?“. I w straszliwym podnieceniu i gniewie na siebie samą, wsunęła list za rękawiczkę i wybiegła na ulicę. Poszła prędko w stronę Picadilly i skręciła do Green parku. Tutaj spotkała lorda Melvezin i jednego z jego przyjaciół, którzy szli powoli w stronę Hyde park Corner. Skłoniła się im ledwie dostrzegalnem pochyleniem głowy. Spokój tych dwóch wysokich, doskonale odzianych postaci podziałał na nią w dziwnie przykry sposób. Chciała pobiec, frunąc nieledwie na spotkanie, by rozproszyć w nim to uczucie, które go teraz przenika, okrutne mniemanie, że Barbara Caradoc jest typową uwodzicielką, zwykłą kokietką! Ten list bez jednego słowa wyrzutu! Policzki płonęły jej tak, że nie mogła powstrzymać się od sta-

rania ukrycia swego podniecenia przed oczami przechodniów.

Kiedy zbliżyła się do mieszkania Courtiera, poczęła iść wolniej, zmuszając się do zastanawiania się nad tem, co mu powiedzieć, co ma mu kazać uczynić. Wciąż jednak szła zdecydowanie naprzód. Teraz już nie cofnie się — cokolwiekby się stać miało! Serce jej biło gwałtownie, chwilami przestawało zupełnie, zamierało, potem łomotało znowu jak szalone. Zaciśnęła zęby. Jakiś rodzaj rozpaczliwej wesołości ogarnął ją. A to ładna historja! Potem nawiedziło ją uczucie podobne temu, jakie odczuwała, stojąc na szczycie wieży na dachu. To wszystko było przecież szaleństwem, śmiesznością! Przystanąła i dobyte list z za rękawiczki. Może było to i śmieszne, lecz było jej obowiązkiem. Zaciśnąwszy silnie usta, szła dalej. W myślach stała już blisko niego z sercem, bijącym głośno w oczekiwaniu tego, co będzie czuła, kiedy jego usta przemówią, lub może dotkną jej twarzy lub ręki. I nawiedził ją rodzaj mirażu czy też wizji: widziała siebie samą, stojącą z rzęsami spuszczonej na policzki, z ustami lekko rozchylnymi, rękami opuszczonymi bezwładnie wzdłuż ciała. A jednakże w jakiś niepojęty sposób twarz jego była niewidoczna. W tej chwili zdała sobie sprawę z tego, że stoi przed jego drzwiami.

Zadzwoiła spokojnie i, miast opuścić rękę, przycisnęła dłoń, którą rękawiczka pozostawiała nieokrytą, do twarzy, by przekonać się, czy rzeczywiście jej policzki tak płoną.

Drzwi otworzyły się naskutek jakiegoś niewidocznego zabiegu i ukazały sieni, stopnie schodów, przykryte czerwonym dywanem, u wejścia których leżał stary, kudłaty pies, pełen pcheł i troski. Niezrozumiały przestрах ogarnął Barbarę. Stała bez ruchu, lecz myślą pobiegła zpowrotem poprzez Green park aż do samego hall'u Valleys House. Poczem ujrzała idącą na jej spotkanie młodą kobietę w niebieskim fartuchu, z łagodnymi, zaczerwienionymi oczami.

— Czy tutaj mieszka mr. Courtier?

— Tak, proszę pani. — Młoda kobieta ukazała w rozmowie zęby w znikomej ilości i szerniała. Barbara nie umiała zdobyć się na nic więcej, nie mówiła nic, jakgdyby uleciała z niej wszelka moc, gdy stała pomiędzy blaskiem słonecznym, a tym ciemnym, czerwonym kurytarzem, prowadzącym — do czego?...

Kobieta przemówiła znowu:

— Jeśli pani przyszła do mr. Courtiera, to żałuję bardzo, ale przed chwilą właśnie odjechał.

Barbara poczuła nagle drgnienie serca, jakgdyby zgrzyt i drżenie struny, która z nagłą pękła... Pochyliła się i pogładziła łeb starego psa, który obwąchiwał jej buciki.

Kobieta powiedziała:

— I, naturalnie, nie mogę pani dać jego adresu, bo wyjechał zagranicę.

Zamruczawszy coś, czego sama nie rozumiała, Barbara wybiegła spiesznie na światło dzienne. Czy była zadowolona? Czy martwiła się? Na rogu ulicy obejrzała się raz jeszcze, wciąż jeszcze widać było głowę kobiety i łeb psa, wychylone z poza drzwi.

Ogarnęła ją straszliwa chęć śmiechu, która natychmiast ustąpiła miejsca równie straszliwej chęci płaczu.

ROZDZIAŁ XXVI

Wiatr zachodni, którego powiew ogarnął nocy ubiegłej Courtiera i Miltoun'a, zapędził nad Tamizę pierwsze jesienne chmury. Powoli pełzające, szare, wełniste chmury starały się zamroczyć słońce, które chwilami tylko świeciło tego poranku... Podczas kiedy Audrey Noel ubierała się, słabe promienie słoneczne tańczyły jakiś rozpaczliwy tan na białej ścianie sypialni, jak małe zabłąkane duszki bez przyszłości

i jutra, lub jak przejrzyste muszki, które wirują i wirują w powietrzu, nie zostawiając żadnych śladów. Od szczeliny w bocznem oknie, zakrytem ciemną okiennicą, snuły się mgliste nitki światła i padały wprost na lustro. Te drżące, szarawe spirale zdawały się być zupełnie konkretne tak, że ręka Audrey cofnęła się w zdumieniu, kiedy nie mogła ich ująć, — broniły też zajadle swego miejsca, jak małe, żywe duchy. Obserwowanie ich przyniosło chwilową rozrywkę jej zboląlemu sercu. Jakżeż nie miała się czuć zboląła i nieszczęśliwa, kiedy nie widziała swego ukochanego już przeszło dobę całą, a jego ostatnie pocałunki nie mogły rozproszyć przecucia nieszczęścia, które ją ogarnęło od chwili, gdy powiedział jej o swem postanowieniu. Oczy jej patrzyły głębiej, niżli jego oczy, instynkt jej otrzymał ostrzeżenie od losu.

Być zaporą w jego życiu, zburzyć jego działalność, stać się nie towarzyszką i pomocnicą, lecz tylko ciężarem, nie gwiazdą przewodnią, — lecz chmurą na błękitnie nieba? I wszystko przez jakieś skrupuły, których nie była w stanie zrozumieć! Nie gniewało ją to niewytłumaczone zagadnienie, lecz fatalizm i miłość kierowały jej myśli w kierunku jego przyszłości. Jeśli tak się rzeczy miały, niedługiego będzie trzeba czasu, żeby poczuł, że miłość jej zabrała mu władzę nad życiem i jeśli nawet nadal kochać ją będzie, — to jeno jej ciało. A jeśli w imię tego jedyne go skrupułu był zdolny poświęcić swą karierę, będzie również w przyszłości zdolny do tego, by nadal z nią żyć, nie kochając jej już! Myśli tej nie była w stanie znieść. Dotykała do żywego najtajniejszej głębi jej serca. A jednak nie mogła pogodzić się z myślą, że życie mogło być tak okrutne, by dać jej to wielkie szczęście poto jedynie, by natychmiast je zabrać! Bezwątpienia jej miłość nie mogła być tylko jednym dniem słonecznym, jego miłość jednym tylko uściskiem!

Tego poranka, storturowana najzupełniej rozpaczą, chwyciła się myśli, że jest przecież piękna. On

będzie jej pożądał, musi jej pożądać więcej, niż tego innego życia, na myśl o którym pochmurniała jej twarz. To inne życie jest przecież ciężkie i tak dalekie od niej! Tak pozbawione wszelkiej miłości, sztywne i formalne, a jednak — dla niego tak realne, tak rozpaczliwie, piekielnie realne! Jeśli naprawdę będzie zmuszony zrezygnować ze swojej kariery, to z pewnością to życie, które będą wieść wspólnie, da mu całkowite zadośćuczynienie. Żyć będą wśród prostego, miłego otoczenia, które można na całym świecie znaleźć, wśród obrazów, muzyki, sztuki, wśród kwiatów, natury i przyjaciół, którzy będą garnęli się do nich dla nich samych, będą dobrzy i uprzejmi dla wszystkich, pomagając biednym i nieszczęśliwym, i kochając się wzajemnie! On jednak nie chciał takiego życia! Na nic się nie zda przekonywanie siebie, że jest inaczej! Było to zupełnie naturalne i w całkowitym porządku, że chciał zużytkować swą władzę! Przewodzić i służyć! Nie chciała go wcale widzieć innym. Podczas kiedy te smutne myśli dręczyły ją, zaplatała i upinała swe ciemne włosy i ukrywała biedne serce pod osłoną koronkowej sukni. Zauważyła również ze swą zwykłą starannością dwa zwiędłe kwiatki w wazoniku na toalecie, więc usunęła je, zmieniła wodę i włożyła nowe kwiaty.

Zanim opuściła sypialnię, promienie słoneczne zakończyły już swój tan, szare nitki światła zniknęły. Niebo jesieni zapanowało wszechwładnie... Audrey, mijając lustro w hall'u, lustro, które było zawsze dla niej surowe, nie miała odwagi spojrzeć weń. I nagle wiara kobieca w siłę jej wdzięków przyszła jej z pomocą, poczuła się prawie szczęśliwa — bezwątpienia musi ją kochać bardziej, niżli swoje sumienie!

Przeświadczenie to było jednak bardzo chwiejne, gotowe ulec pierwszej przeciwności. Nawet jej miła, nowa pokojowa zdawała się patrzeć na nią tego poranka ze współczuciem. Wrodzone poczucie nietyle „dobrego tonu“, ile harmonji, poczucie, które kazało jej cofać się przed wszystkim, co mogłoby

zakłócić spokój lub dotknąć innych, lub też wywołać u kogoś współczucie dla niej — odezwało się. Natychmiast stała się jeszcze bardziej uważna, niż kiedykolwiek, by nie zdradzać nic po sobie, nawet przed sobą samą...

W ten sposób przepędziła poranek, zajmując się zwykłymi swemi drobnymi czynnościami. Przez cały czas w sercu jej wzbierała szalona tęsknota za tem, by móc wyjechać razem z nim z Anglii i spróbować, czy to bezmierne piękno, które mu ukaże, nie potrafi rozpałić w nim miłości dla rzeczy, które ona sama kochała. Jako młoda dziewczyna spędziła prawie całe trzy lata zagranicą. A Eustachy nigdy nie był jeszcze we Włoszech, ani w jej ulubionych dolinach pośród gór. Potem wspomnienie jego mieszkania w Temple przyszło jej na myśl i zniweczyło marzenia. Nie dla tego czciela książek, map i papierów była ta tycjanowska uczta tonów róż alpejskich, gencjian i brunatnych skał. I zapach skóry, w którą były oprawne książki, przypomniał jej się tak wyraźnie, jakgdyby teraz jeszcze krzątała się bezszelestnie po jego pokoju, pielęgnując go. Ogarnęło ją znowu ciepłe, cudowne uczucie, jakie towarzyszyło jej przez te wszystkie drogie dni — uczucie miłości, przeczuwającej tajemnie zbliżający się triumf, słodkie uczucie, że poświęca każdą chwilę swego czasu, każdą myśl, każdy ruch jemu tylko. Słodka podświadomość oczekiwania na ten boski, nieodwołalny moment, kiedy wkońcu odda się sama i będzie należeć do niego, wspomnienie tego, jak szalenie zmęczona była, jak błogo zmęczona i jak uśmiechała się w wewnętrznej swej radości, że jest zmęczona dla niego!

Drgnęła na odgłos dzwonka. Jego telegram zapowiadał przybycie na popołudnie! Postanowiła nie zdradzać po sobie troski, jaka ją trapiła i odetchnęła głęboko w oczekiwaniu na jego pocałunek.

Zamiast Miltoun'a, do pokoju weszła lady Cas-terley.

Przerażenie sprawiło, iż krew zaczęła pulsować silnie w skroniach Audrey. Poczem, widząc, że mała postać staruszki, stojącej przed nią, drży również, przysunęło krzesło i powiedziała:

— Proszę, niech pani usiądzie.

Dźwięk starczego głosu, wymawiającego słowa podziękowania, przywiódł jej wyraźnie na pamięć wspomnienie ogrodu w Monkland, skąpanego w słodyczy i blasku lata, wspomnienie Barbary, stojącej przy furtce i pochylającej się nad małą figurką, która siedziała teraz tutaj, taka spokojna, z białą, bardzo bladą twarzą. Te delikatnie rzeźbione rysy, te bystre, choć teraz mgłą przysłonięte oczy, tak często przśladowały ją w myślach, że wydawały się teraz, jak zły sen, który stał się nagle jawą.

— Mego wnuka niema tutaj, nieprawdaż?

Audrey potrząsnęła przecząco głową.

— Słyszeliśmy o jego postanowieniu. Nie będę obwijała przed panią nic w bawełnę. Jest to dla mnie klęska — hańba. Znam go i kocham od czasu jego urodzenia i byłam dość niemądra, by roić wzniosłe sny o nim. Zastanawiam się, czy pani wie, czego wszystkiego spodziewaliśmy się po nim. Musisz wybaczyć starej kobiecie, że przychodzi tu do ciebie tak bezceremonjalnie. W moim wieku przykłada się wagę do niewielu rzeczy, lecz za to przykłada się wielką wagę.

Audrey pomyślała: „A w moim wieku przykłada się wagę tylko do jednej rzeczy i wtedy jest to silniejsze niż śmierć“.

Nie powiedziała nic. Do kogo, poco miała mówić? Czy do tej starej, bezwzględnej kobiety, która była ucieleśnieniem całego świata? Na cóżby się zdały słowa?

— Pani mogę powiedzieć to wszystko, — ciągnął dalej głos tej małej postaci, która zdawała się napełniać cały pokój swoją szarą obecnością, — czegoby nie potrafiła powiedzieć innym, gdyż pani ma dobre serce.

Drzenie przebiegło od serca, które w tej chwili chwalono, do spokojnych, zwartych ust. Tak jest, — miała dobre serce! Współczuła nawet z tą staruszką, z której głosu obawa wyrugowała teraz nawet cień despotyzmu.

— Eustachy nie może egzystować bez swego stanowiska w życiu społecznem Jego karjera jest jego życiem. On musi działać, musi przewodzić, musi użytkować swoją władzę. To, co pani zaofiarował, nie jest szczerą częścią jego istoty. Nie chcę pani dotknąć, lecz prawda pozostanie prawdą i wszyscy musimy przed nią czoła uchylić. Być może, że jestem bezwzględna, lecz umiem uszanować ból.

Szanować ból! Tak jest, — ten szary gość potrafił to tak, jak wiatr, przebiegający ponad morzem, szanuje jego powierzchnię, jak powietrze szanuje kielich róży, — lecz wnikać do głębi, do serca, zrozumieć ból — na to nie potrafił się zdobyć ten wiek zgrzybiały! Równie dobrze możnaby było się starać wysledzić tajemnicę zygzaków w locie jaskółek tam, ponad rzeką, lub zgłębić źródło słabego zapachu lilij w wazonie, stojącym tuż przed niemi! I Audrey odniosła uczucie, jakgdyby ktoś rzucił jej skorupy i łupiny, których zawartość dawno już jej dusza pochłonięła. Ogarnęła ją chęć powstania, ujęcia tej ręki, tej lodowatej, żyłastej ręki starości, przyłożenia do swej piersi i powiedzenia: „Poczuj i przestań dręczyć!”

Mimo to, rzecz dziwna, ani na chwilę nie traciła dziwnego, tępego uczucia współczucia dla tej kobiety, o bladej, delikatnie rzeźbionej twarzy. Wszak to nie było winą jej, że przyszła! Znowu przemówiła lady Casterley:

— Teraz jest jeszcze wcześniej. Jeśli teraz, natychmiast, nie zakończycie tego, w przyszłości będzie coraz trudniej. Pani wie przecież, jaki on jest stanowczy. Nie zmieni swego postanowienia. Jeśli pani mu zagrozi drogę do jego pracy, zemści się to na pani samej. Mogę się tylko spodziewać, że mnie pani

znienawidzi za to, co mówię, lecz w ostateczności jest to równie dla pani dobra i szczęścia, jak i dla jego.

Gwałtowne uczucie ironji i wściekłości ogarnęło Audrey, gdy słuchała tej przemowy. Jej dobro! I szczęście, szczęście człowieka, który wydaje ostatnie tchnienie, szczęście kwiatu pod uciskiem bezwzględnej stopy przechodnia, szczęście psa wiernego, gdy go jego pan na zawsze opuszcza! Powoli jakiś ciężar jakgdyby ołowiu powstrzymał gwałtowne bicie jej serca. Jeśli nie skończy natychmiast? Padły słowa, które przez wiele długich godzin spoczywały niewypowiedziane w głębi jej serca! Jeśli nie skończy, nie zazna w życiu chwili spokoju w poczuciu tego, że skazała go na śmierć za życia, profanując własną miłość i dumę. A jednak bodziec został jej poddany przez kogoś innego! Myśl, że ktośkolwiek — ta bezwzględna, stara kobieta z pośród całego bezwzględnego świata — mógł ująć w słowa urojenia i obawy, które dręczyły ją przez cały, długi czas, od kiedy Miltoun powiedział jej o swem postanowieniu, że ktoś inny powiedział to, co już oddawna podszeptywało jej serce — ta myśl raniła ją boleśnie. Tego nie mogła w żadnym wypadku znieść!

Wstała i powiedziała:

— Proszę, niech mnie pani opuści teraz! Mam bardzo wiele rzeczy do załatwienia przed wyjazdem.

Z rodzajem zadowolenia ujrzała wyraz zdumienia, pokrywający tę starą twarz. Z rodzajem zadowolenia zauważyła drżenie rąk, któremi wspierała się staruszka, podnosząc się z krzesła. Usłyszała niepewny głos:

— Pani odjeżdża? Zanim — zanim on przyjdzie? Pani — pani nie zobaczy się z nim więcej?

Z rodzajem zadowolenia zauważyła wahanie, które nie wiedziało, czy dziękować, czy błogosławić, czy też nie powiedzieć nic i usunąć się. Z rodzajem zadowolenia obserwowała rumieniec, który pokrywał zwiędłe policzki i zwiędłe usta, zwarte mocno. Następnie w odpowiedzi na ledwie dosłyszalne słowa:

„Dziękuję ci, moja droga“, odwróciła się, nie będąc w stanie znieść już widoku obcej twarzy, lub głosu. Podeszła do okna i przycisnęła czoło do szyby, starając się nie myśleć o niczem. Usłyszała turkot kół — lady Casterley odjechała. I wtedy, z wszystkich najstraszniejszych uczuć, jakie mogą nawiedzić człowieka, doświadczyła najgorszego: nie mogła płakać!

W tym najbardziej gorzkim, najsamotniejszym momencie swego życia czuła się dziwnie spokojna, opanowana, przewidująca jasno, co czynić powinna i dokąd się udać. Musi to uczynić zaraz, lub nie uczyni tego nigdy! Prędko! I jak najprościej! Zapakowała niewiele rzeczy, wysłała służącą po dorożkę i zasiadła do pisania.

Nie powinna uczynić ani też powiedzieć nic, coby go podnieciło i spowodowało recydywę choroby. Wszystko powinno brzmieć rozsądnie i spokojnie! Byłoby łatwo zawiadomić go, dokąd jedzie, napisać list, któryby go natychmiast do niej sprowadził. Lecz pisać spokojne, rozsądne słowa, które każą mu czekać i rozmyślać tak długo, aż nigdy już do niej nie powróci — to było nie do zniesienia.

Kiedy skończyła, zapieczętowała kopertę, usiadła bezwładnie z jakimś tępym uczuciem, przenikającym jej serce i mózg, starając się zastanowić, co ma teraz czynić. Odjechać — i to wszystko!

Bagaż zniesiono już nadół. Wybrała mały kapelus, który tak bardzo podobał się Miltoun'owi i założyła nań gruby woal. Poczem włożyła płaszcz podróżny i rękawiczki, spojrzała w lustro i, widząc, że już jej nie powstrzymuje nic, wzięła walizkę ręczną i zeszła nadół.

Nieopodal na wybrzeżu płakało jakieś dziecko i rozpaczliwy odgłos krzyku, przerywanego łkaniem i łzami, sprawił, iż Audrey zakryła ręką drżące usta, jakgdyby usłyszała własną wyzwoloną duszę, zawożdżącą tam woddali.

Wychyliła się z dorożki i zwróciła się do słuchającej:

— Idź i uspokój ten płacz, Ella.

I kiedy znalazła się sama w pociągu, zabezpieczona przed oczami obcych, załamało się w niej coś i popłynęły bolesne łzy. Białawy dym, przesuwany się obok okien, był równie trwały, jak jej szczęście. Nie miała już żadnych złudzeń — skończone! Od początku do końca — trwało niecały rok! Lecz nawet w tej chwili nie oddałaby za nic w świecie swej miłości, którą teraz układała do grobu, jak umarłe dziecko, które już nigdy więcej nie dotknie jej piersi drobnymi, ciekawymi paluszkami.

ROZDZIAŁ XXVII

Barbara, powróciwszy ze swych odwiedzin w opuszczonym mieszkaniu Courtiera, zastała w Valleys House polecenie, żeby zechciała natychmiast udać się do lady Casterley.

Posłuszna temu rozkazowi, dotarła do Ravensham i spotkała babkę i wuja Dennisa, oczekujących jej w białym salonie. Stali oboje przy jednym z wysokich okien, najwidoczniej obserwując widok, roztaczający się przed nimi. Odwrócili się na odgłos kroków zbliżającej się Barbary, lecz żadne z nich nie przemówiło, ani nie skinęło głową. Barbara nie widziała się z babką od czasu choroby Miltoun'a, uważała więc, że takie traktowanie jej jest conajmniej dziwne, stanęła więc w milczeniu koło okna. Duża osa pełzała po szybie, ześlizgując się z lekkim brzęczeniem.

Lady Casterley powiedziała nagle:

— Zabij to stworzenie.

Lord Dennis dobył chustkę.

— Nie tem, Dennisie. Rozmaże się. Weź nóż do papieru.

— Chciałem ją wypędzić przez okno — mruknął lord Dennis.

— Niech Barbara to zrobi swoją rękawiczką. Barbara przysunęła się do szyby.

— To jest szerszeń, zdaje się — powiedziała.

— Tak, rzeczywiście — potwierdził lord Dennis przeciągle.

— Głupstwo, — mruknęła lady Casterley — to jest najzwyczajniejsza osa.

— Ależ to szerszeń, babuniu. Ma ciemniejsze obrączki.

Lady Casterley schyliła się. Kiedy się podniosła, trzymała w ręku pantofel.

— Nie drażnij go, babuniu! — zawołała Barbara, chwytając ją za rękę. Lady Casterley jednak uwolniła dłoń.

— Właśnie, że to zrobię — rzekła i uderzyła owad podeszwą pantofla, tak iż upadł martwy na ziemię.

— Nie miał tu nic do roboty.

Poczem tak, jakgdyby całe to zdarzenie nie dotyczyło się ich wcale, wszyscy troje wyglądali znowu milcząc przez okno.

Następnie lady Casterley zwróciła się do Barbary:

— A więc czy zastanowiłaś się wreszcie jakiego nieszczęścia narobiłaś?

— Anno — szepnął lord Dennis.

— Tak, tak, wiem, jest twoją ulubienicą, lecz to jej nic nie pomoże. Ta kobieta odjechała, przynosi to jej wielki zaszczyt, iż tak postąpiła — tak jest, powtarzam raz jeszcze, przynosi to jej wielki zaszczyt. Odjechała, ażeby Eustachy nie mógł się z nią skomunikować aż do czasu, kiedy odzyska w zupełności stracone zmysły.

Odetchnąwszy gwałtownie, Barbara wyszeptwała:

— Ach, biedactwo!

Na twarzy lady Casterley pojawił się nieomal że okrutny wyraz.

— Tak — rzekła. — Bezwątpienia. Lecz rzecz dziwna, że w tej chwili myślę raczej o Eustachym. — Jej mała postać drżała od stóp do głowy. — Będzie to dobra nauczka dla ciebie, byś nie igrała z ogniem.

— Anno, — szepnął lord Dennis, wsuwając rękę pod ramię Barbary.

— Świat jest miejscem, gdzie się rozgrywa rzeczywistość, a nie romantyczne urojenia. Narobiłaś tyle zła, że nie sposób wcale wszystkiego naprawić. Udałam się do niej sama. Byłam, przyznaję, bardzo wzruszona. Gdyby nie twoje głupie postępowanie...

— Anno... — powtórzył raz jeszcze lord Dennis.

Lady Casterley przerwała, uderzając swą małą nogą w podłogę. Oczy Barbary błyszczały.

— Czy jest jeszcze coś, co byś chciała zabić, babuniu?

— Barbaro... — zamruczał lord Dennis. Lecz dziewczyna, przyciskając nieświadomie rękę jego do serca, ciągnęła dalej:

— Twoje szczęście, że znieważasz mnie dzisiaj — gdyby to było wczoraj...

Na te niezrozumiałe słowa lady Casterley odwróciła się i odeszła. Pantofle jej pozostawiały małe, niewyraźne plamy na błyszczącej posadzce.

Barbara podniosła rękę, którą konwulsyjnie zaciskała, do policzka.

— Nie pozwól, by mówiła dalej, wuju — szepnęła — teraz właśnie, dzisiaj!

— Nie, nie, moja droga — odszepnął lord Dennis — oczywiście, że nie — już dosyć tego!

— To twoje sentymentalne szaleństwo — dobiegł ich głos lady Casterley z odległego kąta pokoju — sprowadziło całe nieszczęście Miltoun'a.

Posłuszna lekkiemu uściskowi ręki, obejmującej teraz jej kibić, Barbara nie odpowiedziała. Odgłos drobnych kroków, zbliżających się znowu, rozległ się

w ciszy pokoju. Ani Barbara, ani lord Dennis, stojący przy oknie, nie odwrócili głowy. Raz jeszcze kroki ucichły i znów potem jęły się zbliżać.

Nagle Barbara krzyknęła, wskazując na podłogę:

— Oh, babuniu, na miłość boską, stój spokojnie! Czy niedostatecznie rozgniotłaś tego szerszenia, nawet jeśli nie miał tu nic do roboty?

Lady Casterley spojrzała na szczątki owada.

— Obrzydliwość! — rzekła, lecz kiedy następnie przemówiła, ton jej głosu był mniej surowy i kłótlivy.

— Ten człowiek — jakżeż się on nazywał — czy już się go pozbyłaś?

Twarz Barbary oblała się szkarłatem:

— Jeśli będziesz znieważać moich przyjaciół, pójde natychmiast do domu i nigdy więcej z tobą mówić nie będę.

Przez chwilę zdawało się, że lady Casterley gotowa jest uderzyć swą wuczkę. Potem nieznaczny, sardoniczny uśmieszek ukazał się na jej twarzy.

— Uczucia te przynoszą ci zaszczyt! — rzekła.

Puszczając rękę swego wuja, Barbara zawołała:

— W każdym razie lepiej będzie, jeśli sobie pójde. Nie rozumiem poco przysyłałaś po mnie!

Lady Casterley odpowiedziała chłodno:

— Poto, ażeby powiadomić ciebie i twoją matkę o tym, pozbawionym wszelkiego egoizmu, postępku tej kobiety, poto, żebyście się miały na bacznosci przed tem, co Eustachy teraz uczyni, poto, żeby dać ci możliwość naprawienia twego szaleństwa. Nadto, by ostrzec cię przed... — urwała.

— Tak?

— Pozwól... — wtrącił lord Dennis.

— Nie, wuju, pozwól, żeby babunia użyła swego... pantofla!

Usunęła się pod ścianę, smukła i prawie groźna, z głową wysoko podniesioną. Lady Casterley milczała.

— Czy jesteś już gotowa? — zawołała Barbara.

— Niestety, odfrunął!

Jakiś głos zaanonsował:

— Lord Miltoun.

Wszedł prędko i cicho, poprzedzając zaanonsovanie i stanął, dotykając nieomal zebranych przy oknie, zanim zauważyli, że się zjawił. Twarz jego miała przerażający wygląd opalonych twarzy, z których jakieś wzruszenie spędziło całą barwiącą je krew. Oczy, w których skupiała się zawsze cała jego żywotność, rzucały złe, przeszywające błyski, tak że mimo woli wszyscy obecni spuścili głowy.

— Chciałbym z tobą pomówić na osobności, babuniu, — powiedział do lady Casterley.

Po raz pierwszy może w życiu ta nieposkromiona, drobna kobieta ugięła się widocznie. Lord Dennis pociągnął za sobą Barbarę, lecz przy drzwiach szepnął jej do ucha:

— Stój tu cicho, Barbaro. Nie podoba mi się to wszystko.

Niezauważona przystanęła Barbara w pobliżu. Głosy lady Casterley i Miltoun'a, ciche, dochodzące z głębi tego długiego, białego pokoju brzmiały niesamowicie wyraźnie, bowiem wruszenie nadawało każdemu słowu niezwykłą ostrość. Każde poruszenie mówiących wydawało się rozgorączkowanym oczom dziewczyny zastraszająco precyzyjne, podobne do poruszeń małych figurek, które widziała niegdyś na przedstawieniu marjonetek w Paryżu. Słyszała, jak Miltoun czynił zarzuty swej babce w słowach straszliwie gorzkich i surowych. Podsuwała się coraz bliżej, aż widząc, że nie zwracają na nią większej uwagi, niż gdyby była jedną z figur, zdobiących pokój, zajęła swe miejsce przy oknie.

Lady Casterley mówiła:

— Nie chciałam cię ujrzeć zrujnowanego w mych oczach, Eustachy. Krok ten kosztował mnie bardzo wiele. Zrobiłam wszystko, co było w mej mocy — dla ciebie.

Barbara ujrzała, jak twarz Miltoun'a zniekształcił straszliwy uśmiech — uśmiech, zdający się uragać

nienawiścią swemu oprawcy. Lady Casterley ciągnęła dalej:

— Tak, teraz patrzysz na mnie z djabelskim wyrazem. — Możesz mnie nienawidzić, jeśli chcesz, — lecz nie popełniaj odstępstwa, jęcząc i rozpaczając, że nie możesz osiągnąć księżyca. Przywdziej zbroję i idź walczyć. Nie bądź tchórzem, chłopczel!

Odpowiedź Miltoun'a padła, jak uderzenie batem:
— Zamilcz! Na Boga!

Nastąpiła niesamowita cisza. Nie brutalność słów, lecz widok nagiej siły, nagle wyzwolonej z wszelkich obłonek — która zdawała się być złym psem, nagle spuszczone z łańcucha, — sprawił, że Barbara wydała lekki okrzyk. Lady Casterley opuściła się na fotel, drżąc. Bez spojrzenia w jej stronę Miltoun przeszedł obok i wybiegł z pokoju. Barbara wiedziała, że gdyby nawet ich babka trupem padła w tej chwili, nie przystanąłby, ani spojrzeć. Podbiegła naprzód, lecz staruszka usunęła ją ruchem ręki.

— Idź za nim — powiedziała. — Nie zostawiaj go samego.

Zarażona przestraczem, brzęącym w tym słabym głosie, Barbara wybiegła.

Dogoniła brata w chwili, kiedy wsiadał do auta, którem tu przyjechał. Bez słowa wsunęła się za nim do samochodu. Twarz kierowcy zwróciła się pytająco ku nim, lecz Miltoun poruszył tylko głową, jakgdyby chciał powiedzieć:

— Gdziekolwiek bądź, aby jak najdalej stąd.

Przez mózg Barbary przebiegła myśl: „Gdyby tylko udało mi się zatrzymać go tu przy sobie“.

Wychyliła się i rzekła spokojnie:

— Proszę jechać do Nettlefold w Sussex — mniejsza o benzynę, można będzie napełnić w drodze. Dostanie pan zapłatę, jakiej pan zażąda, tylko prędko proszę.

Kierowca zawahał się chwilę, spojrział jej w oczy i powiedział:

— Dobrze, proszę pani. Droga przez Dorking, nieprawdaż?

Barbara skinęła twierdząco.

ROZDZIAŁ XXVIII

Zegar, umieszczony nad stajniami, wybijał siódmą, kiedy Miltoun i Barbara, wjeżdżali z poza wysokiej żelaznej bramy, zamknięci w swoim małym, prędko poruszającym się, odrębnym świątku, pachnącym zlekka benzyną. — Chociaż samochód był zamknięty, drobne krople deszczu przenikały przez otwarte okno, orzeźwiając rozgorączkowaną twarzyczkę dziewczyny i kojąc trochę jej strach przed tą podróżą. Teraz, kiedy los okazał się naprawdę okrutny, kiedy nie było już w mocy Miltoun'a ustrzec się przed cierpieniem, serduszko Barbary krwawiło z żalu, umiała w tej chwili zapomnieć o sobie. Bezwład, z jakim zareagował na jej natręctwo, nie wróżył nic dobrego. Siedziała, milcząc, w swym kącie, wysilając rozpaczliwie spryt kobiecy, by przełamać zapory jego skrytości. Zdawał się nawet nie widzieć tego, że pozostawili za sobą miasto i jechali drogą poprzez Richmond park.

W parku drzewa, pociemniałe od deszczu, zdawały się przyglądać chmurnie pędzącemu szybko czerwonemu pojazdowi, nie mogąc się pogodzić jeszcze z tym przykrym intruzem w ich leśnej, wonnej ciszy. Sarny, ścigające się wesoło po miękiej trawie, podnosiły z łękiem głowy, jakgdyby chciały powiedzieć: „Niszczyciele słodkiej paproci! Truciciele powietrznych szlaków“!

Barbara, jak przez mgłę, zdawała sobie sprawę z ciszy panującej tam wysoko, w chmurach, między wierzchołkami drzew, w powietrzu. Gdybyż ten spokój chciał przeniknąć do ich ciemnego, wędrownego

więzienia i pomoc jej! Gdybyż przyszedł, jak sen i wykradł ponure strapienia i w jednej chwili zmienił ból w radość. Lecz cisza i ukojenie pozostawały nazewnątrz i wielka przepaść, jaka rozwiera się pomiędzy dwiema duszami ludzkimi, pozostała niepołączona żadnym mostem. Cóż miała mu powiedzieć? Jakże zmusić go do mówienia? Jakież możliwości otwierały się teraz przed nim? Czy zrezygnuje ze swego stanowiska i posepnie czekać będzie na Audrey Noel? A nawet jeśli ją odnajdzie znowu, nanowo powrócą do miejsca, skąd wyszli. Ona odeszła, nie chcąc mu być ciężarem w życiu — a zatem będzie znowu wszystko po dawnemu! A więc, czy zgodnie z rozkazem babki nałoży zbroję i ruszy na bój? To będzie jednak końcem wszystkiego, gdyż jeśli raz miała Audrey tyle siły woli, by odejść, bezwątpienia nie wróci już, by wedrzeć się w jego życie po raz wtóry. Ponura myśl zaświtała w umyśle Barbary. Cóż będzie, jeśli Miltoun zrezygnuje ze wszystkiego? Jeśli pograży się w wieczny mrok! Mężczyźni są zdolni do tego — wiedziała przecież — wtedy, kiedy nawiedza ich nieszczęście w samym rozkwicie jakiejś silnej namiętności. Bezwątpienia Miltoun nie uczyni tego, on, mający tak silną wiarę! „Jeśli śpiew skowronków nic nie oznacza, jeśli błękit tam w górze jest tylko otchłanią naszej wyobraźni, jeśli my tylko pełzamy przy ziemi, nie osiągając nic, jeśli życie nasze jest bezcelowe, przekonaj mnie o tem, Barbaro, a będę cię błogosławił“. Lecz czy posiada jeszcze tę ostoję, tę kotwicę, która go zabezpieczała przed zatonięciem? Nagła myśl o śmierci była czemś przerażającym dla Barbary, radującej się tak szczerze życiem i niezdającej sobie sprawy z tego Potężnego Spokoju. Utkwiła oczy w plecy kierowcy, okryte grubym paltem z czerwonym kołnierzem, znajdowała w ich rzeczywistości i masywności pewne uspokojenie. Przecież znajdowali się w taxometrze, pędzącym przez Richmond park! Śmierć — niedorzeczna, nieprawdopodobna śmierć! Było prawdzi-

wym nonsensem niepokoić się! Zmusiła się do spojrzenia na Miltoun'a. Zdawał się spać. Oczy miał zamknięte, ręce splecione, tylko lekkie drżenie powiek zdradzało go. Niepodobna było określić co właściwie działo się teraz w nim podczas tego ponurego snu na jawie. Barbarze zdawało się, że go wcale niema przy niej, tak całkowicie zdawał się zamknięty w sobie i pochłonięty smutnymi myślami. Nagle otworzył oczy i powiedział:

— Więc przypuszczasz, Barbaro, że skończę wreszcie ze sobą? — Przerazona tem, że czytał w jej myślach, Barbara zdołała tylko usunąć się i wyjąkać:

— Nie, ach nie!

— Dokąd my właściwie jedziemy?

— Do Nettlefold — Czy chcesz, żeby się zatrzymał?

— Wszystko mi jedno. Możemy pojechać tam równie dobrze jak gdziekolwiek indziej.

Obawiając się, że znów zapadnie w ponure milczenie, ujęła go lękliwie za rękę.

Mrok zapadał szybko. Samochód, pozostawivszy za sobą wille przedmieścia Surbiton, pędził teraz pomiędzy szeregiem sosen, pośród wrzosu, na który spłynął już czarny cień zamierającego dnia.

Miltoun przemówił dziwnym, powolnym głosem:

— Jeśli zechcę, wystarczy tylko, bym otworzył te drzwiczki i skoczył. Wy, którzy wierzycie, że jutro umrzemy, przekonajcie mnie, że tak jest w istocie, że wyswobodzę się przez ten jeden krok, a uczynię to!

Poczem, jakdyby litując się nad jej przerażeniem, dodał:

— Już dobrze, Barbaro, będziemy zupełnie wygodnie spali w naszych łóżkach tej nocy, bądź spokojna.

Głos jego brzmiał tak beznadziejnie, że Barbara zapragnęła teraz, aby przestał mówić.

— Będziemy cierpieć w milczeniu, — szepnął

Miltoun — jeśli już nic innego nam nie pozostaje. Wybacz mi, że cię zaniepokoiłem.

Przytulając się silnie do niego, Barbara wyszeptała:

— Gdybyż tylko... Mów do mnie.

Miltoun gładził łagodnie jej rękę i milczał.

Samochód sapał złowieszczo, mknąc z nadzwyczajną szybkością przez pustą drogę. Barbarę ogarnęła chęć, której nie śmiała urzeczywistnić, chciała przygarnąć jego głowę i przytulić do siebie. W sercu jej panowała pustka i lęk. Gdybyż posiadała coś ciepłego, żywego, stanowiłoby to dla niej wielką ulgę. Wszystko prawdziwe, realne, namacalne, pokrzepiające gdzieś się zapodziało. Zdawało jej się, że tylko ciepło czyjegoś policzka przy jej piersi zdolne będzie stłumić to uczucie niepokoju, które odczuwała, jak dziecko, zbłąkane wśród lasu, pomiędzy przemykającymi mimo, ciemnymi dachami sosen, których szeregi wydawały się opuszczoną krainą, graniczącą między dwoma światami.

Samochód zwolnił biegu i przystanął. Kierowca zapalił latarnie. Czerwona jego twarz ukazała się w oknie.

— Musimy tu się zatrzymać, proszę pani. Wyszła mi benzyna. Czy państwo zatrzymają się tu na obiedzie, czy też pojedziemy dalej?

— Pojedziemy dalej — odpowiedziała Barbara.

Gdy przejeżdżali przez małe miasteczko, kupując po drodze benzynę i pytając o drogę, młoda dziewczyna czuła się trochę spokojniej, rozglądała się nawet wokół z rodzajem zaciekawienia. Znów ruszyli w drogę. Barbara pomyślała: „Gdybym tylko mogła zmusić go do snu — potem morze uspokoi go na pewno“! Lecz oczy Miltoun'a przostawały szeroko rozwarte. Barbara sama z trudem pokonywała senność. Główka jej pochyliła się trochę, z ust dobywał się urywany oddech. Łoskot kół, trzeszczenie spójni w wozie, cienie ciemnych drzew, migających pobok, zapach mokrych paproci, wnikający przez

okno, wszystko z pewnością musi pomóc i uspić go. Niebawem poczuła, że w rzeczywistości zaczyna on zapadać w sen — potem — potem nie czuła już nic więcej.

Kiedy się zbudziła, wóz powoli wjeżdżał po dość stromem wzgórzu, ponad którym wzeszedł księżyc. Powietrze pachniało mocno i słodko, jakgdyby rozciągało się nad niezmiernymi równinami trawy...

— Już ugory — pomyślała, — musiałam chyba spać.

W nagłym przerażeniu obejrzała się na Mil-toun'a. Siedział tak jak przedtem, sztywno oparty o poduszki, z szeroko otwartymi, utkwionymi w jeden punkt oczami, bez innych oznak życia. Nawpół rozbudzona, jak duże, ciepłe dziecko, nagle wyrwane ze snu, objęła go i przytuliła się do niego. Myśl, że on siedział w ten sposób spokojnie z umysłem błędzącym gdzieś daleko przez cały czas, kiedy ona sprzeniewierzyła się swej powinności czuwania nad nim, śpiąc — ta myśl była dla niej straszna. Na uścisk, nie otrzymała odpowiedzi i, budząc się teraz już całkowicie, zawstydzona, zboląła, uwolniła brata z objęć i odwróciła twarz do okna.

Tam w górze, wysoko, dwie wąskie, czarne, długie chmury, uformowane w kształcie skrzydeł sępa, połączyły się tak, że nie widać było prawie wcale księżycy, tylko jakieś żywe światło uwięzione, jak promienne oczy ptaka pomiędzy szybkoskrzydłą ciemnością. Ten potężny, niesamowity duch, błędzący złowieszczo ponad równinami, leżącymi w poświacie księżycowej, zdawał się czyhać tylko, by porwać w swe szpony i pochłonąć wszystko, co wdzierało się w granice dzikiej samotności rozległych przestrzeni wolności i swobody.

Barbara nieomal-że oczekiwała, iż usłyszy, do-bywający się z obłoków, zbląkany gwizd sępa. Jej dawne marzenie senne powróciło teraz do niej. Gdzież były jej skrzydła — skrzydła, które we śnie unosiły ją do gwiazd, skrzydła, które już nigdy na ja-

wie nie uniosą jej z ponad ziemi? Gdzież były skrzydła Miltoun'a? Skuliła się w swoim kącie, łza stoczyła się z pod jej przymkniętych powiek, podążyła za nią druga i trzecia jeszcze... Coraz prędzej, coraz obficiej płynęły łzy.

Poczuła obejmujące ją ramiona Miltoun'a i usłyszała jak powiedział:

— Nie płacz, Barbaro!

Instynktem wiedzona położyła główkę na jego piersi i łkała gorzko. Borykając się ze łzami, czuła się coraz mniej nieszczęśliwa, gdyż wiedziała, że Miltoun już nigdy nie będzie taki zrozpaczony jak przedtem, jeśli zdobył się na to, by ją pocieszyć. Wszystko było jeno złym snem, z którego niebawem się zbudzą. I będą znów szczęśliwi, tak szczęśliwi, jak byli przedtem, przed temi ostatnimi miesiącami! Szepnęła więc:

— Jeszcze tylko chwileczkę, Eustachy!

ROZDZIAŁ XXIX

Wobec tego, że stara lady Harbinger zmarła, w początkach lutego następnego roku, małżeństwo Barbary z Klaudjuszem zostało odłożone aż do czerwca

Pomimo że właściwie było już lato, dzika słodycz wiosny wciąż jeszcze przenikała powietrze, unoszące się nad ugorami wokół Monkland.

W dniu swego ślubu Barbara wstała wcześniej i ubierała się właśnie do przejażdżki konnej, kiedy jej pokojowa weszła do pokoju. Zauważywszy zdumione oczy, jakimi Stacey mierzyła jej wysokie buty, zapytała:

— O co idzie, Stacey?

— Zmęczy się pani.

— Głupstwo, przecież nie będą mnie wieszać.

Odprawiła grooma, który jej chciał towarzyszyć i skierowała się w stronę skalistych ugorów, dokąd

jeździła z Courtierem rok temu. Tutaj ciągnęła się przeszło na milę przestrzeń równego, zdatnego do galopowania gruntu, porośłego niewysokim, jeszcze nierozkwitłym wrzosem. Siedziała na koniu pewnie, a duch jej zdawał się wyprzedzać ją, pragnąc jak najprędzej dostać się tam na wyżyny, pomiędzy ptaki, by czuć, jak krucha ziemia usuwa się z pod nóg, a wiatr dmie w twarz pod głębokim błękitem nieba. Ponożona przez gorąco-krwistego, ulubionego konia, który radośnie rwał naprzód, rżał i prycał, spoglądając od czasu do czasu bokiem na swą panią, starając się przeniknąć jej zamiary i nie słuchając jej poto jedynie, by sprowokować jej mocniejszy uścisk — Barbara przeniknięta była uczuciem jakiejś rozkosznej niecierpliwości w stosunku do wszystkiego, co nie miało związku z doskonałą żywotnością i energią.

Gdy znalazła się na wierzchołku wzgórza, puściła konia galopem. Wiatr dał mocno w jej twarz i odkrytą szyję, wszystkie mięśnie były w napięciu, cała krew burzyła się — ogarnęła ją prawdziwa ekstaza pędu i ruchu!

Zatrzymała się dopiero przy złomie, skąd niegdys wraz z Courtierem przyglądała się pasącym się wdole stadom dzikich kuców. Było to dziś dla niej tylko dalekiem wspomnieniem, zamglonem już i słodkiem, jak wspomnienie jakiegoś wyjątkowego dnia wiosennego, kiedy się zdaje, że drzewa kwitną w oczach i przez prostą swawolę wydzielają ze swych pąków zapach cytryn. Dzikie kuce pasły się dzisiaj także, a woddali lśniło morze. Usiadła, nie myśląc o niczem innym, tylko o tem, jak przyjemnie było żyć na świecie. Ta głębia i słodycz wszystkiego, ta swoboda i siła! Daleko na zachodzie, ponad jakąś samotną farmą, dostrzegła dwa sępy, zataczające szerokie kręgi. Nie zazdrościła im — była tak szczęśliwa, równie szczęśliwa, jak sam poranek! I nagle nawiedziła ją szczerą, nieopanowaną tęsknotą, jaką odczuwają nieraz wędrowcy na szczytach gór.

— Muszę to zrobić — pomyślała, — poprostu muszę!

Zsunęła się z konia i położyła nawznak na ziemi. Po chwili zatraciła świadomość wszystkiego prócz błękitu, roztaczającego się ponad nią. Ponad jej ciałem, które odgradzało od twardej ziemi miękkie posłanie wrzosu, przepływał cichy wiatr. Jej duch stąpał się w jedność ze spokojną, niezmierną swobodą. Przeniesiona poza granice własnego odczuwania nie zdawała sobie sprawy z tego nawet, czy jest szczęśliwa.

Koń, starający się zjeść jej rękaw, obudził ją z zadumy. Powstała, dosiadła Hala i zjechała wdół. W pobliżu domu skróciła sobie drogę, przecinając łąkę, poprzez którą płynęły dwa wąziutkie, bystre strumyki, tworzące między sobą rodzaj wysepki, poroście mleczami, blado lila dzwonekami i żółtymi ostróżkami. Ostatnie tchnienie wiosny przebiegało od jednego do drugiego końca tej rozległej łąki, tak różnorodnej, usianej drzewami, kamieniami, kwiatami i przeciętej wodą.

Kilka kuców, zaciekawionych Barbarą i jej koniem, ukazało się i przystanęło w bezpiecznej odległości, wyciągając powątpiewająco nosy i tłukąc lichemi ogonkami. Nagle woddali parka kukulek przefrunęła w pogoni za własnym nawoływaniem, szukając tarniny na dalekich trzęsawiskach. Podczas gdy śledziła ptaki, sunące jak strzały, zauważyła, że ktoś wysunął się z kępy pobliskich buków i szedł w jej kierunku. Nagle spostrzegła, że była to mrs. Noel!

Zarumieniła się i podjechała bliżej. Co będzie mogła powiedzieć? Czy może mówić o swem weselu i zdradzić obecność Miltoun'a? Czy wogóle mogła otworzyć usta bez wzbudzenia bolesnych wspomnień jakiegokolwiek rodzaju? Poczem, zniecierpliwiona swym brakiem zdecydowania, zaczęła:

— Jestem szczęśliwa, że znów panią widzę. Nie wiedziałem wcale, że pani wciąż jeszcze tutaj mieszka.

— Przyjechałem zaledwie wczoraj do Anglii i przybyłam tu właśnie, żeby przypilnować pakowania moich rzeczy.

— Oh! — szepnęła Barbara. — Pani wie, przypuszczam, co mnie czeka dzisiaj?

Mrs. Noel uśmiechnęła się, spojrzała na nią i powiedziała:

— Słyszałam już wczoraj. Wszystkiego najlepszego życzę pan!

Barbarę ścisnęło coś za gardło.

— Jestem doprawdy szczęśliwa, że panią widziałam — szepnęła raz jeszcze. — Teraz muszę już jechać. I ze słowami „Dowidzenia” rozstały się.

Cały pogodny nastrój Barbary pierzchnął. Nawet Hal zdawał się teraz stąpać niepewnie, pomimo że wracał do stajni, która zawsze była dlań upragniona w dziesięć minut po jej opuszczeniu.

Mrs. Noel nie zmieniła się zupełnie, oczy jej tylko wydawały się ciemniejsze. Gdyby była okazała choć odrobinę jakiegoś współczucia z samą sobą, Barbara na pewno nie czułaby się w tej chwili tak zmartwiona i poruszona.

Opuszczając stajnię, ujrzała wielką, białą, połyskliwą chmurę, pędzoną przez wiatr. „Czyżby pogoda miała się popsuć?” pomyślała.

Weszła do domu przez stare schody, zwane tajemnymi, które prowadziły wprost do czytelnicy. Musiała minąć ten wielki, ciemny pokój. Tutaj zastała Miltoun'a zagłębionego w wielkim fotelu z książką na kolanach, nie czytał, lecz patrzył na portret starego kardynała. Wstrzymując oddech, przebiegła szybko na palcach po miękkim dywanie. Bała się przeszkodzić dziwacznej scenie między tym dwojgiem. Czuli się winni teraz, obciążona tą nową świadomością, której nie miała zamiaru wyjawic. Sparzyła się już raz ogniem, mieszając się między kochanków i nie chciała uczynić tego po raz wtóry!

Przez okno, znajdujące się na przeciwległym końcu, dojrzała, że chmura załamała się. Padał

deszcz. Dotarła do swego pokoju, niezauważona przez nikogo. Pomimo radości, jaką odczuwała, znajdując się tam, na szczycie wzgórza, cała jej ostatnia przygoda dziewczęca nie była zupełnie udana. Znow nawiedziły ją dawne wzruszenia, dawne wątpliwości, niezadowolenie, wszystko, o czym myślała, że już dawno umarło. Tych dwoje! Zamknąć oczy i być szczęśliwą — czyż to było możliwe? Wielka tęcza, najwyraźniejsza jaką kiedykolwiek widziała, ukazała się na niebie, biorąc początek w parku, a kończąc się gdzieś w polu. Słońce świeciło znowu poprzez smagany wiatrem, połyskliwy deszcz. Klejnoty błękitu poczęły przeświecać poprzez czarne, białe i złote chmury. Dziwaczne, białawe światło — duch wiosny, odfruwający w tym ostatnim, żywiołowym odruchu — zabarwiło liście drzew. Tysiące szalonych barw spadło na pola i ugory, jak stada pstrych ptaków.

Ta chwila potężnej piękności wzruszyła Barbarę. Duch burzliwej dzikości przeniknął do głębi jej serce. Przycisnęła ręce do piersi, jakdyby chcąc w niej zatrzymać całe piękno tego momentu. Gdzieś woddali zakukała kukułka i jej nieśmiertelne wołanie pobiegło na skrzydłach wiatru. W tym głosie zdawała się przebiegać cała piękność, barwa i radość życia. Gdybyż tylko mogła wchłonąć je i utrzymać na zawsze w swem sercu tak, jak jaskry tam w polu więżą w swych kielichach słońce, lub jak krople deszczu, lśniące na pnących się wokół okien różyczkach, zamykają w sobie opalową grę światła! Gdybyż tylko nie było więzów, łańcuchów, kresu!

Zegar wybił dziesiątą. Jutro o tym czasie! Policzki jej rozgorzały rumieńcem. W lustrze widziała, jak płonęły, jak oczy nabrały dziwnego wyrazu, jak usta wydęły się wzgardliwie. Stojąc tak, długo patrzyła na siebie, aż powoli twarz jej zatraciła ślady wzruszenia i znow nabrała wyrazu rezolutnego i spokojnego. Z serca pierzchno uczucie dzikie i burz-

liwe, wzamian poczuła chłód. Oderwana od siebie samej, przyglądała się z adowoleniem, jak jej piękność przybiera znowu tę spokojną, promienną osłonę, którą na chwilę straciła.

* * *

Tego wieczoru po obiedzie, kiedy mężczyźni opuścili salę jadalną, Miltoun usunął się do swoich pokojów. Ze wszystkich obecnych w małym kościółku on jeden wydawał się zupełnie obojętny, a był najbardziej wzruszony. Pomimo iż wesele było zupełnie ciche i w zamkniętem kółku, jednakże wstrętna mu się wydawała ta cała tania uroczystość, która towarzyszyła obrządkowi zaślubin jego młodziutkiej siostry. Wolał, żeby ta ceremonia odbyła się w małej, ciemnej, nieużywanej kaplicy pałacowej, bez udziału ludzi, tylko w obecności jednego księdza. Tutaj, w tej napóły pogańskiej, małej, wiejskiej świątyni, przybranej pospiesznie kwiatami, przy akompanjamencie nieudolnego, napóły pogańskiego chóru i całej okolicznej ciekawości i uniżenia — uroczystość irytowała go, a w związku z późniejszą nudną ceremonją weselną, najzupełniej rozstroiła mu nerwy. Zmienił frak na starą marynarkę i wyszedł w pole.

Zdawało mu się, że wśród tych rozległych, ciemnych przestrzeni uda mu się ukoić swe rozdrażnienie.

Od czasu wyborów ani razu nie był jeszcze w Monkland, od czasu wyjazdu mrs. Noel ani razu nie opuścił Londynu. Zagrzebał się w Londynie i w swej pracy — Londyn i praca uratowały go! Wyruszył w bój!

Rosa jeszcze nie spadła. Miltoun skierował swe kroki poprzez pole. Nie było księżycy na niebie, ni gwiazd, było cicho i bezwietrznie. Nie słyhać było nawoływania sów, ani szelestu skrzydeł licznych ptaków nocy, małe chrząszczyki jeszcze nie ruszyły

w drogę. Jedyne strumyk żył i szumiał pośród tej ciszy nocnej. I kiedy Miltoun szedł tak szarą ścieżką, ciągnącą się pomiędzy zamglonym blaskiem stokrotek i mleczków, ogarnęło go poczucie, iż znajduje się w obecności nie snu, lecz wieczystego oczekiwania. Odgłos jego kroków zdawał się profanacją, tak pobożna była ta cisza, wśród której spalało się wonne kadzidło miliardów liści i źdźbeł trawy.

Przeszedłszy przez żywopłot, znalazł się tuż koło opuszczonego domku Audrey, pod tą samą lipą, która w noc przygody Courtiera ujmowała wielki księżyc w szafirowo-czarną ramę. Od tej strony jedynie parkan i kilka krzewów otaczało ogród.

Dom był pogrążony w ciemnościach, lecz wiele białych, smukłych kwiatów, unoszących się jak promienna mgła ponad ziemią rozświetlało powietrze nad klombami. Miltoun, wsparty o drzewo, zatonął we wspomnieniu.

Z pośród milczących krzewów, otaczających jego ciemną sylwetkę, dobyło się słabe świerkanie jakiegoś małego, sennego ptaszka. Jakieś stworzonko nocne przesunęło się obok niego w trawie. Cma przefrunęła w poszukiwaniu płomienia świecy. I w sercu Miltouna coś poniosło się nagle na skrzydłach w jej ślady, w poszukiwaniu ciepła i blasku zgaszonego płomienia miłości. Usłyszał w ciszy odgłos, jakgdyby ktoś ciągnął za sobą gałąź poprzez długą trawę, odgłos stawał się coraz cichszy, potem znów wyraźniejszy, znów słabszy. Nie mógł dostrzec, skąd dochodzi ten niespokojny odgłos. I świadomość jakiejś bliskiej, lecz niewidzialnej obecności nawiedziła go i przejęła tak, że mu włosy powstały na głowie. Gdybyż Bóg zechciał zaświecić księżyc lub gwiazdy i sprawić, by mógł dojrzeć! Gdybyż Bóg zechciał przerwać oczekiwanie tej nocy i posłać jeden promień światła na jej ogród i jeden promień światła do jego serca! Lecz wszystko pozostało w ciemności i niespokojny odgłos nie milkł. Niesamowita myśl zaświtała w głowie Miltoun'a, zdawało mu się, że

odgłos pochodzi z jego serca, które błąka się samotnie, starając się znów ogrzać. Przymknął oczy i natychmiast uświadomił sobie, że to nie było jego serce, tylko jakaś niepoczieszona istota, wędrująca tam woddali. Wyciągając ręce przed siebie, postąpił naprzód, chcąc powstrzymać w jakiśkolwiek sposób ten odgłos. Kiedy dotarł do ogrodzenia, głos nagle umilkł. Ujrzał, jak nagle rozblęsnął płomień i padła blada, szeroka ścieżka światła na trawę.

I nagle, orientując się, że ona znajduje się tam w ogrodzie, cofnął się z przerażeniem. Paznogie jego rąk ugięły się i złamały na żelaznym ogrodzeniu, lecz on tego nie zauważył. Uczucie, które go teraz ogarnęło, nie było podobne temu, kiedy czerwone kwiaty na parapecie jej okna posyłały mu swą woń, nie była to tylko prosta, przemożna namiętność. Głębsze, straszniejsze było to, co wzbierało teraz w nim, to pożądanie miłości, o którym wiedział, że jeśli zostanie teraz pokonane, nie wróci do niego nigdy, lecz pozostanie martwe na tej ciemnej trawie, pod ciemnymi krzewami. A jeśli odnieś zwycięstwo? Co wtedy? Cichutko usunął się znów pod drzewo.

Dostrzegał teraz małe, białawe ćmy, wędrujące w smudze światła, dostrzegał teraz wyraźnie białe kwiaty, bladą wartę kwietną, strzegącą innych ciemnych kwiatów, już uspionych. Stał, nie zastanawiając się już, ogłuszony, złamany walką. Ręce jego i twarz lepiły się od żywicy, która powoli, niewidzialnie wyciekała z lipy. Pochylił się i dotknął trawy i nagle ogarnęło go pewne, świadome poczucie jej obecności. Tak, ona była tu — tu na tej werandzie! Widział całą jej postać od stóp do głowy i, nie orientując się, że go dostrzec nie może, oczekiwał z jej strony jakiegoś okrzyku. Lecz nie zawołała go, nie wykonała żadnego ruchu w jego kierunku, zawróciła i weszła w głąb domu. Miltonoun podbiegł naprzód do ogrodzenia. Tutaj jeszcze raz przystanął — niezdolny myśleć ani odczuwać, jakgdyby opuszczony

przez siebie samego. I nagle podniósł rękę do ust, jakgdyby tam była krew, płynąca z jego serca, którą chciał zatamować.

Oddalił się, wciąż trzymając rękę przy ustach i ścisząc swe kroki w długiej, miękkiej trawie.

ROZDZIAŁ XXX

W wielkiej oranżerji w Ravensham, obok grupy japońskich lilij stała lady Casterley, trzymając list w ręku.

Była bardzo blada, był to bowiem pierwszy dzień, kiedy pozwolono jej wstać po silnym ataku influenzy. Ręka, trzymająca list, również nie posiadała swej zwykłej pewności. Czytała:

Monkland Court

„Tylko napędce kilka słów ci piszę, droga Mamo, zanim poczta odejdzie. Chcę ci donieść, że Barbara szczęśliwie odjechała. Wyglądała pięknie. Przesyła ci serdeczne pozdrowienie i trochę bezsensowne polecenie. Kazała Ci powiedzieć, że pewnie będziesz zadowolona, jeśli Ci doniesie, że jest zupełnie bezpieczna teraz i stoi pewnie obiema nogami na stałym gruncie!”

Ponury uśmieszek zaigrał na białych ustach lady Casterley. Tak, rzeczywiście, najwyższy już był czas po temu! Ta dziewczyna była bardzo bliska krańcówki urwiska! Bardzo bliska uczynienia jakiegoś romantycznego szaleństwa! Teraz już było po wszystkim! Podnosząc znowu list do oczu, czytała dalej:

„My wszyscy, oczywiście, uczestniczyliśmy przy obrzędku zaślubin i jutro wracamy do miasta. Geoffrey jest bardzo przygnębiony. Naturalnie, że nie może już tak być w domu jak było za obecności Bar-

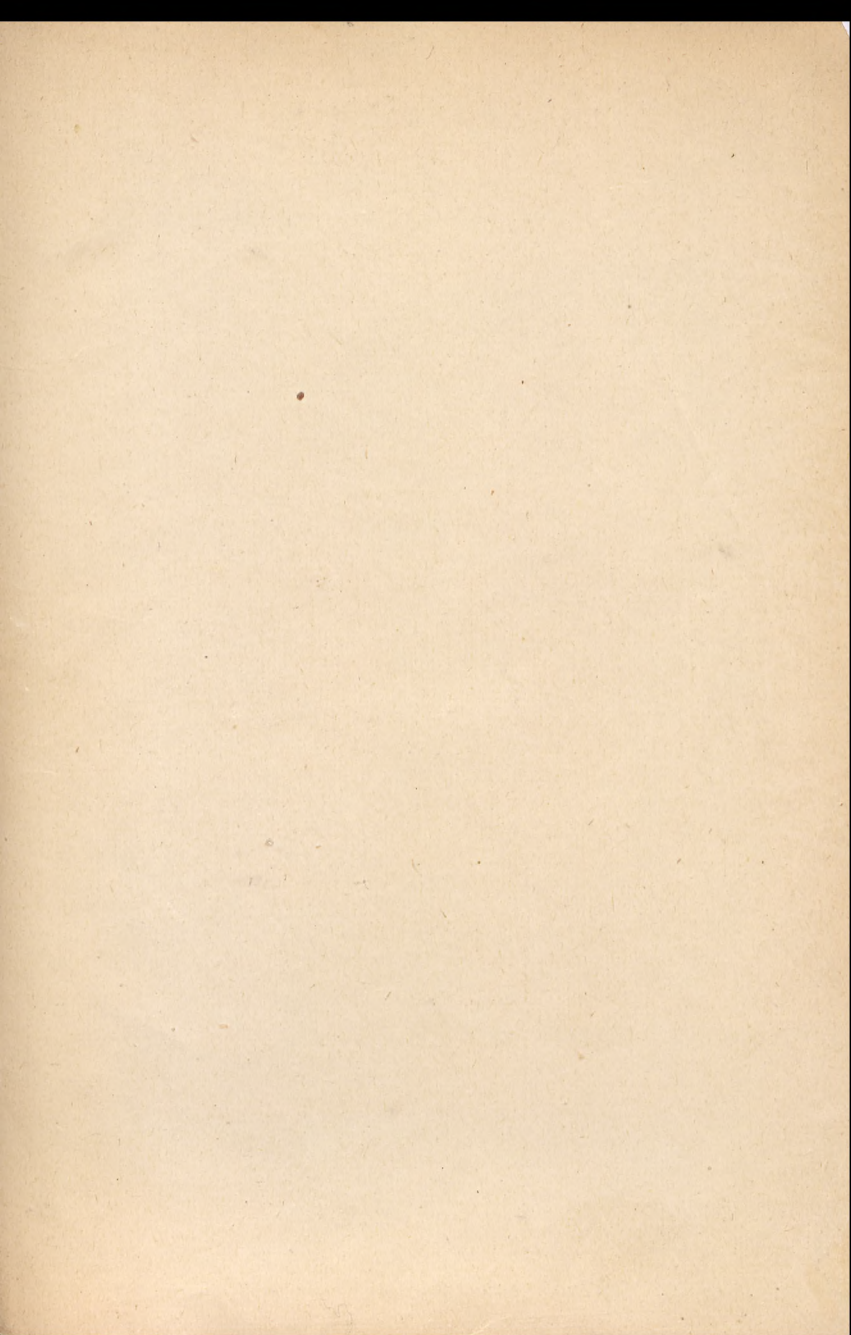
bary. Obserwowałam bardzo uważnie Eustachego i doprawdy wierzę teraz, że już skończył w zupełności z tą swoją nieszczęsną sprawą. Tymczasem pracuje bardzo dzielnie z nadzwyczajnem powodzeniem w parlamencie. Geoffrey mówi, że jego ostatnia mowa o Przewodniczącym była bezwzględnie jedną z najlepszych."

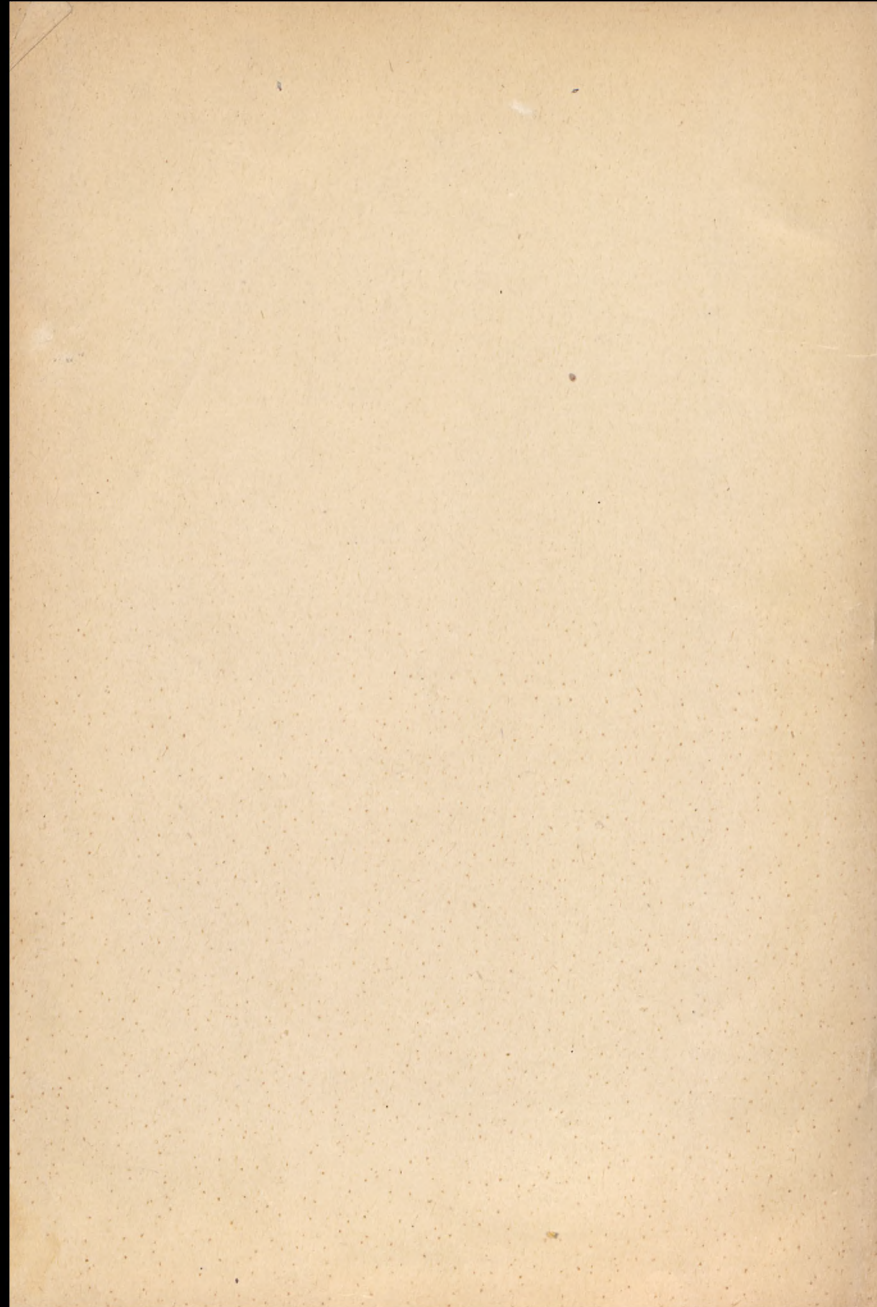
Lady Casterley opuściła rękę, trzymając list. Bezpieczny! Tak jest — był bezpieczny! Obrął drogę właściwą — naturalną drogę! Zczasem będzie się czuł szczęśliwy! Podnieś się teraz do szczytu tyle pożądaney władzy, o której marzyła dla niego zawsze od czasu, kiedy był maleńkiem dzieckiem, zawsze od czasu, kiedy jego malutka, opalona rączka obejmowała jej dłoń podczas wędrówek pomiędzy kwiatami lub meblami tych wysokich komnat. Teraz jednak, kiedy tak stała, mniąc w dłoni list, cała białoszara, jak jakiś mały, rezolutny duch pomiędzy smukłemi liljami, napełniającemi swą wonią wielką oranżeryę — kiedy stała tu tak, cień przemknął po jej twarzy. Czy spowodowały go przelotne promienie popołudniowego słońca, czy też zaświtało w jej głowie wspomnienie starego greckiego powiedzenia: „Usposobienie jest losem“, a może nagle uświadomiła sobie tę wielką prawdę, że wszyscy podlegają swym własnym naturom i to, co człowiek w życiu najbardziej ukocha, wkońcu bierze go w niewolę?

KONIEC



J. Lutostawski
Kralupy, 10.5.78
- 1502V





40



1218260

współopr.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001014388871